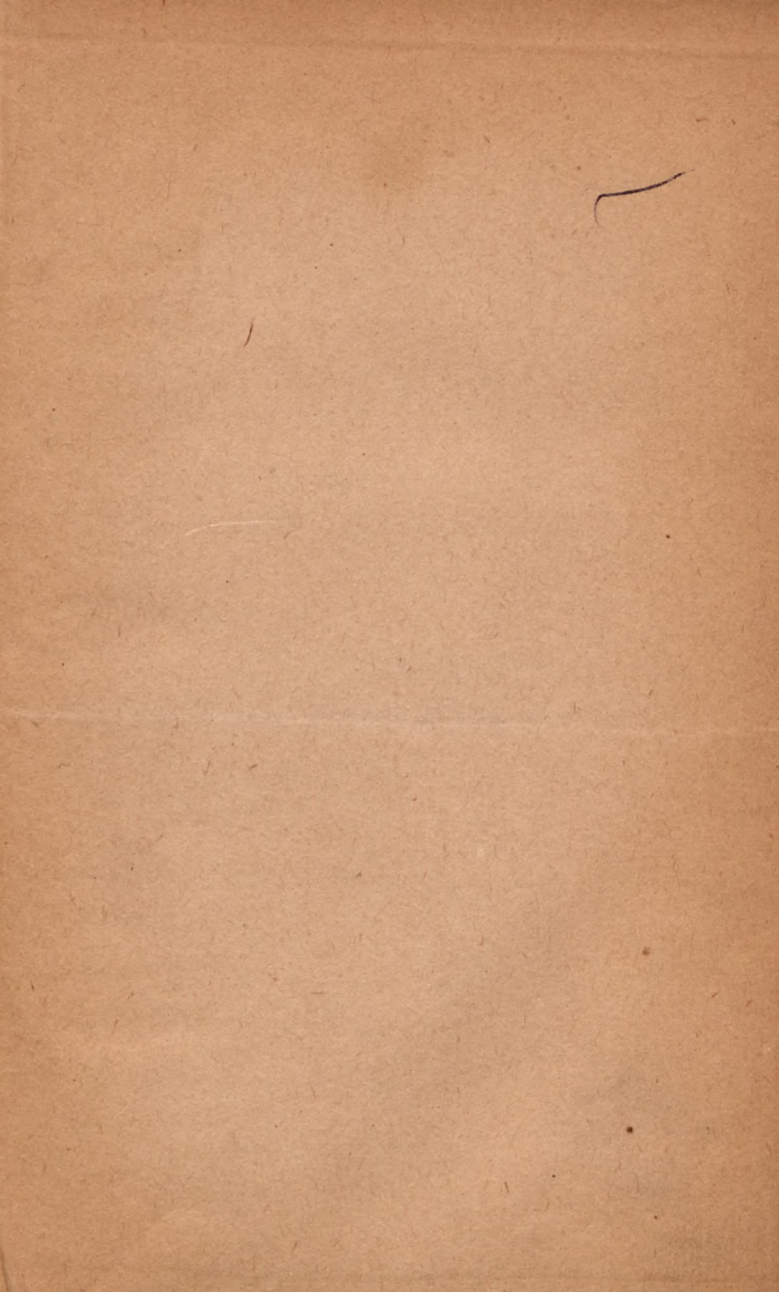


17996

B. P. im. L.

1000072375





144573

LISTY Z KRAKOWA.

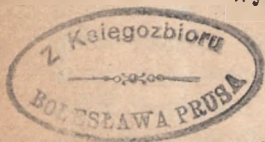
NAPISAŁ

JÓZEF KREMER.

TOM PIĘRWSZY.

(WSTĘPNE ZASADY ESTETYKI.)

Wydanie trzecie niezmienione.



Nakładem księgarni pod firmą Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

NAUMBURG.
1869.



Дозволено цензурою. С. Петербургъ. 22 Марта 1869го года.



323962 /т.1

18.01:159.94:7.01

LIST I.

Wstęp.

Oznaczenie treści listów. — Stanowisko całej osnowy. — Usprawiedliwienie formy.

Krakow — w Jesieni 1841 r.

W ostatnim liście twoim, piszesz mi drogi przyjacielu mój, że sprawy powołania twojego i codzienne zatrudnienia tak ci czas zajęły, że, mimo nawet szczerzej chęci twojej, brakło swobody, byś się mógł rozczytać w tém wszystkiém, czego się dorabia świat nam społeczny w dziedzinie wiedzy i umiejętności; a gdy przecież nie jesteś obojętny na to wszystko, co się w świecie duchowym dzieje, więc wzywasz mnie, bym w listach moich do ciebie rozpisywał się nad jaką treścią naukową, przedstawiając ci jój obraz wedle dzisiejszego stanu umiejętności, a zarazem nie szczędził moich własnych uwag nad przedmiotem przezemnie obranym. Zapewniasz mnie, że radbyś czytał listy takowe, bo w nich znalazłbyś jakiś odpoczynek i rozerwanie umysłu znużonego sprawami powszedniemi życia, a zarazem nabrałbyś choć ogólnego

wyobrażenia o stanowisku dzisiejszém jednej z nauk, które tak zacnie dziś się rozwijają. Zostawujesz mi nawet wszelką wolność, i co do wyboru samej treści i co do rozciągłości jęj, ale nawzajem żądasz jedynie, abym pisując do ciebie miał nieustannie na pamięci, że choć lubisz nauki, wcale atoli nie liczysz się z powołania do ludzi uczonych, że naukowość bynajmniej nie jest zadaniem życia twojego; a tém samém wymagasz po mnie, abym zastosował pisanie moje do usposobienia twojego. Słowem pragniesz, żeby sposób mojego wykładu mniej miał na celu ścisłość umiejętną, jak raczój aby był roztoczeniem choć w lżejszej formie ogólnych prawd, przyjętych już dziś przez celnych pracowników w pewnej gałęzi wiedzy ludzkiej.

Chętnie odpowiem tym życzeniom twoim, ale wyznaję ci otwarcie, że swoboda, którą mi nadajesz co do wyboru przedmiotu samego, niepospolitą właśnie stanowi dla mnie trudność. Jakoż uważ, iż co do samej osnowy wybór nie jest tak łatwym; bo jakże bogate jest koło wiedzy ludzkiej! pełno jest tam przedmiotów, o których z pewnością przewidzieć możesz, iż za zbliżeniem się naszym okażą nam cały urok skarbów swoich i sowito wynagrodzą łożoną dla nich pracę. Wiesz dobrze, iż z umiejętnościami tak się dzieje, jak z zacnymi ludźmi, im dłużej z nimi pożyjemy i głębiej ich poznamy, tém téż serdeczniej i kochać i cenić umiemy. — Nie dziw tedy, iż długo się z sobą ważyłem rozbierając pilnie naturę każdej treści, a przytém i własną nieudolność moją.

W téj wątpliwości jednak pomogło mi nakoniec i rozpatrzenie się we własnej osobie twojej; a lubo jak mi powiadasz, nie jesteś z powołania naukowym człowiekiem, widzę przecież w tobie obszerny i wszechstronnie

ukształcony rozum i uczucie głębokie i trafne, będące owocem wrodzonej szlachetności duszy, a długiego nad sobą i światem myślenia; pragnę przeto przedstawić ci tego rodzaju osnowę, coby sobą dotknęła całą treściwość rozłożystego twego umysłu i zając zdołała wszystkie strony ducha twojego.

A lubo wypadało mi przedewszystkiém policzyć się z własnymi siłami i zapytać się, czyli wystarczę przedsięwzięciu takowemu — wszakoż przeważyła wszystkie wątpliwości nieskończonych dla mnie powabów myśl, iż właśnie przedmiot takowy zawiąże tysiące nitek i stosunków między twoim umysłem i moim, i że za pośrednictwem treści takowej zetknąć się zdołamy we wszystkich punktach ducha naszego. Nadzieja ta tém głębszego dla mnie nabierała znaczenia, gdym zawsze był zdania, iż jest wielkiej wagi korzyścią dla piszącego, aby czytelnik nie sądził o nim z ułomków jego istoty, ale poznał go we wszystkich gałęziach umysłowości jego.

Wypadało mi tedy taką znaleźć treść dla pracy mojej, któraby w jednym spólnym środku zebrała całą czynność ludzką i była niby ostatecznym wypadkiem i sumną życia naszego tak duchowego jak materialnego; a takim przedmiotem są, wedle mojego zdania, *sztuki piękne*. W nich zjawiają się jakby kwiatem wszystkie pierwiastki żyjące i pracujące od wieków w duszy człowieka, w nich obaczysz na oczy wszystką treść człowieka, ale oblaną wdziękiem nadświatnym. Jakoż w sztukach pięknych człowiek składa całego siebie, im powierza najdroższe serca swojego uczucia, i wiarę swoją i nadzieję, i tęsknotę swoją; a co jest dla duszy dopiero jakimś jasnowidzeniem, toć mistrz przeistacza na dzieło piękności; w tych to dziełach jego znajdziesz i cały dobytek

prac naukowych, i prawdy z wiary płynące, i zasady z filozofji i doświadczenia czerpane; te dzieła równie wyraźnie wyjawiają nam i jasne i ciemne ludzkiego rodu chwile, i wszystkie koleje ciągle zmieniającej się historii jego, jak i dzieje Natury, toczące się od początku stworzenia przekazaniem im kołem; wszystko co jeno człowieka obchodzić może i co porusza głębiny duszy jego, wszystko to wyraża się w dziełach sztuki pięknej. Dla tego téż one są tém wielkiem ogniskiem, jakie Bóg światu rozpałił, i do którego chodzą grać się wszystkie wieki i narody i wszyscy ludzie bez względu na różnice powołania, wieku, płci i położenia towarzyskiego.

Czy się zaś piękność okaże w dziełach architektury, rzeźby, malarstwa, muzyki lub poezyi, zawsze one będą najpowabniejszym wieńcem żywota umysłowego, a poświęcenie im pracy swojej, tyle zaiste ma uroku, ile téż i zasług.

Zamierzając sobie atoli zabrać się piórem około sztuk pięknych, daleki jestem od myśli, abym był godnym robotnikiem a sługą w téj winnicy pańskiej; rozumiem jednak, iż świetność przedmiotu samego udzieli mi trochę poświaty swojej, i że ta drobna praca moja pożyczszy sobie od osnowy samej cząstkę jej wartości.

Wiém również, iż lubo mała liczba prac naukowych przetrwać zdoła czas swój i spłynąć puścizną na późniejsze pokolenia, inne zaś choć toną w zapomnieniu i do imienia nawet giną w ogromnej powodzi prac ludzkich, przecież każda w swoim szczupłym zakątku i w skromnym obrębie, choćby tylko przez chwilę czasu swojego działała, nie jest zupełnie straconą i nie żyła zupełnie daremnie na świecie, i choć atomem przyczyniała się do ogólnej budowy czasów, zwłaszcza gdy była w pocziwo-

ści podjętą i w dobrej wierze odprawioną. Mogę tedy rościć sobie nadzieję, że i ta drobna robota moja stanie za grosz wdowi w wielkiej sprawie oświecenia. Bo gdy się sekundy złożyą, zrodzą wieki, a ziarnka granitowego piasku wydzwigły turnie tatrzańskie.

Spodziewam się tedy, iż przed sądem twoim po-błażanie znajdę, a to tém więcej, gdy, jak wiiesz dobrze, tak mało mam poprzedników w literaturze naszej (*). Jakoż ze wszystkich sztuk pięknych jedna prawie Poezya, sama jaśniejąc u nas tak pełnym, tak świetnym kwiatem, zualazła przeważne komentarze i zasłużonych prawodawców swoich. W tej więc stronie piśmiennictwa naszego nie jedno piękne imię święci; przewiduję, iż tu lub ówdzie zejść mi się z niemi wypadnie, a w takim razie jak jawnie i rzetelnie wypowiem, gdy sam innego będę zdania, tak nawzajem z wielkiem serca zadowoleniem będę korzystał z prawd, które inni na pewnych utwierdzili podwalinach, i choć wątłemi siłami przyczynię się do wzmocnienia prawdziwych wyobrażeń o piękności, które już w powszechniej literaturze stanęły. Myślę bowiem, że jak samo przeczenie obcych zdań może być sprawą lada czyją, tak ten duch przeczenia i ciągłego niweczenia jest iście *złym duchem*.

Z tych tedy powodów rozumiem, iż każda praca literacka winna przypierać do całej budowy społecznej jej naukowości, boć każda jest niby listkiem wyrosłym na drzewie ogólnej wiedzy swojego stulecia. Każdy zaiste człowiek jest synem wieku swojego; wiek, w którym

(*) Przypominam czytelnikom, że te wyrazy były pisane 12 lat temu; od tego czasu pojawiły się wielce znakomite, a nawet systematyczne dzieła o Estetyce, które zaprawdę są zubożeniem niepospolitém literatury polskiej.

on żyje, jest dla niego jakby planeta przekazany mu od Opatrzności na mieszkanie; z nim razem odprawia biegi koło słońca i świata wszechnicy, na nim się rodzi, żyje i kości swoje składa. Pragnąc więc, aby i ta praca moja nie była czémś zupełnie odrębném a li o sobie stojącym, wręcz i wyraźnie pisać ci będę choć nie tak ze stanowiska, toć przecież na stanowisku spółczesnej nam filozofii, używając myśli jej zasadniczych za kanwę, na której roztoczę obrazy tego, czego sam doszedłem myśleniem, rozmową ze znawcami sztuki, wpatrywaniem się własnym w arcydzieła pięknosci, i co mi nastreczyła literatura estetyczna ostatnich lat tak bogata w znakomite badania, a nawet korzystać będę z prac mistrzów nauki w innych dzielnicach wiedzy ludzkiej, a mianowicie o ile takowe zostają w jakimś pokrewieństwie z treścią tej przedsięwziętej pracy mojej.

Nie tracąc zatem osobistej niezawisłości, będę korzystał z dzisiejszego stanu literatury, a tak stając na pracach poprzedników zachowam też własne piętno moje. Albowiem jak pomijanie dobytków umiejętnego świata i chęćka rozpoczynania nauki od siebie jest bez wątpienia zarozumiałością i śmiesznym zuchwalstwem, tak i wyrzeczenie się własnego ugruntowanego przekonania jest rzeczą nie godną myślącego człowieka.

Tak już będącemu z samym sobą w zgodzie względem treści mojej, chodziłoby mi jeszcze o formę dla tej treści; lecz ty sam szczęśliwym instynktem wiedziony nastreczyłeś mi formę listów. Jestem wprawdzie przekonany, iż praca systematyczna, a będąca niby całością organiczną i plastyczną w sobie, byłaby iście najgodniejszym kształtem dla zamierzonej osnowy mojej, ale widzę równie, iż forma takowa ani mnie ani tobie nie

byłaby na rękę. Pismo bowiem tego rodzaju z góry zaraz wymaga osobnego zakroju swojego, aby samo po-
 częcie, pochod dalszy i ukończenie, stworzone niby je-
 dnym odlewem, składało się jakby w posąg pełny w so-
 bie harmonii i co do treści i co do umiejętnego wykła-
 du. Aby zaś pokusić się o doskonałość takową, trzeba
 być bardzo pewnym sił swoich, i naprzód wiedzieć, iż
 się ją ukończyć zdoła; gdy tymczasem przewidzieć się
 nie da, czy ty zajęty sprawami codziennego życia bę-
 dziesz zawsze miał sposobność potemu, byś ściśle po-
 szedł za wątkiem osnowy takowej, i jak długo ona bę-
 dzie godną uwagi twojej; również i ja, mogąc jedynie
 na dorywku pisać, nie wiem czyli będę miał zawsze
 dość swobody i siły potemu. Jak ty bowiem spodzie-
 wasz się znaleźć w tej pracy mojej rozerwanie umysłu,
 tak i ja w niej szukam ochłody i orzeźwienia myśli z po-
 wszedniego zatrudnienia; książka zaś systematyczna by-
 łaby i dla ciebie i dla mnie pełną grozy pracą. Zresztą
 sam wiesz, jak trudno utrzymać jedność harmonijną
 w samej zewnętrznej formie, i jak wielce wykład zawisł
 od chwilowego natchnienia i rozmaitej życia pogody.

Z tych wszystkich powodów przeto zgadzam się zu-
 pełnie na formę listów; z czego obiecuję sobie jeszcze
 inne mnogie a dla mnie bardzo ważne dogodności, bo
 nie tylko otworzy się miła dla mnie sposobność czę-
 stych z tobą stosunków, ale też będę mógł pisywać do
 ciebie w każdej chwili i pod różnym nastrojeniem umy-
 słu; nie zawadzi bowiem choćby i każdy list miał inną
 barwę swoją. Nadto forma listów nadaje mi prawo skre-
 ślenia ci wprost, co mi przy sposobności myśl i serce
 pod pióro przyniesie, a nie spuszczać z oka głównego
 celu mojego, będę, mógł czynić wycieczki w przedmio-

ty będące w związku ze sztukami pięknymi; tym sposobem zdołam wedle upodobania tak długo rozwijać rzecz całą, póki tobie do czytania ochoty a mnie do pisanania swobody nie zabraknie.

Nie oznaczam ci téż dla tego liczby listów moich, może ich będzie bardzo długi szereg, może ich liczba będzie bardzo szczupła; ilekolwiek zaś nakręślę, zawsze złożą, jakąś całość ukończoną w sobie, a zaczynając od najogólniejszych zasad teoryi, zapuszcze się w coraz bliższe szczegóły sztuki całej. Unikając rozrywania materyi, postaram się aby każda ważniejsza osnowa całkowicie, ile możności, w jednym liście objętą była; będą tedy listy nierówniej obszerności, a obojętną jest rzeczą, choćbym niekiedy i przestąpił miarę właściwą listom zwyczajnym.

Otoż widzisz cały zamysł mój; upraszam tylko, abyś sobie nie robił zbyt pochlebnych dla mnie nadziei. Jeżeli zaś te listy upodobanie twoje zjednać sobie zdołają, toż zechciej z twój strony wyjawić zdanie swoje o mój pracy. Wiem, iż w końcu zawsze się zgodzimy; boć tak najczęściej bywa, jeżeli różność zdania pochodzi ze szczerzego zamiłowania prawdy, nie zaś z chęci pustej utrzymania się przy swoim, a spór, pocziwie i w dobrej wierze wiedziony, kończy się zawsze z korzyścią dla rzeczy saméj i z podwyższoném poważaniem wzajemném.

LIST II.

Ogólny widok na sztukę.

Stan dzisiejszego społeczeństwa do potęg natury. — Zjawiska nam społeczne dowodzące budzącej się miłości do sztuki. — Zasmakowanie w sztukach pięknych jest oznaką uduchownienia się czasu. — Sztuka ma cel swój sama w sobie. — Sztuka jest ogniwem łączącym świat duchowy z cielesnym. — Historia sztuki jest obrazem rozwijania się duchowej potęgi ludzkiego rodu. — W świecie chrześcijańskim sztuka straciła wagę swoją.

Wśród zgiełku codziennego życia, wśród kłopotów i kłopotków powszednich, i zabiegów, i wrzawy świata, bieży nam czas cały i wiek nasz. Niby falą płynie trud za trudem, praca ściga pracę, a wśród tego zamętu i hałasu nie dosłyszysz i wołania wyższej natury człowieczej i szlachetniejszej istoty swojej. Niekiedy atoli odezwie się w głębiach piersi znienacka ten głos, tak silnie, tak potężnie i cudownie zarazem: że już umilkną w duszy wszystkie niskie chęci i pragnienia, i pierzchną niby mgły nocne przed wschodzącą jutrzeńką. — Wtedy nieśmiertelna istota ducha naszego, dawno zapomniana, znów zadzwoni niby pieśnią anielską i obudzi chęci, uczucia i myśli do innej należącej dziedziny. —



Rzekłbyś, że matka, dawno zmarła, nawiedziła w szarą godzinę tęsknącą sierotę; bo chwile takowe uświęcają nas do wyższego powołania i wzywają, byśmy wstąpili w głąb' siebie i zbadali do dna wiekuiistą istotę naszą.

Zaprawdę, i narody całe, i stulecia, i części świata takie mają chwile, taką stronę żywota swojego. Patrz na naszą mądrą i doświadczoną Europę, zdawałoby się zrazu, iż rękodziela, papiery, handel, przemysł, weksle, kredyt, koleje żelazne, para, banki i roje corocznych a coraz świetniejszych wynalazków, przygłuszyły wszelkie życie duchowe; że wśród hałasu tego, wśród gonitw niezmordowanych za zarobkiem, przepomniano o wyższych celach człowieka i istoty. Jeżeli zaś głębiej zapuścisz oczy w ten żywot społecznego nam towarzystwa, wyświeci się jasno, iż właśnie podniesienie materialnego bytu jest potężną pobudką umysłowego przebudzenia; a jeżeli jest prawdą niezaprzeczoną i starą jak świat, iż jedynie w zdrowym i silnym ciele silna też i potężna dusza przemieszkować może, tak nie podlega wątpieniu, iż ułatwienie w zaspakajaniu potrzeb cielesnych, jest warunkiem koniecznym zwrócenia myśli do nadzmysłowych rzeczy.

Przemysł materialny jest ciałem społeczności umysłowej. Dowodem tego jest przeszłość cała. Marzenia tysiącoletnie staréj Azyi, dzieje poranne człowieka w Grecyi, i prace harde i pełne majestatu dawnego Rzymu, i wysilenia następnych dziesięciu wieków płowieją w obliczu dziwów obecnego nam świata. Bo jeżeli niegdyś człowiek pasując się z sobą i żywiołami, pełnym boleści mazołem pracując ciężko na to życie swoje, nie miał ani siły po temu, ani swobody, by się wzniósł ku wiekuiistemu pochodzeniu ducha i wypiastował niebiański pierwiastek jego, dziś już we wieńcu

swych cierpień i chwały ociera czoło krwawym znojem złane, widzi, że nowe zaranie dnieje nad przyszłością jego; żywioły poddały mu się w panowanie, zaprzęły się na jego miejsce, pracują na niego. A nabrał tём potężniejszego hartu, gdy dawna walka z potęgami natury wyćwiczyła siły jego, wzmocniła ducha i wyrobiła go w sobie. Gdy zaś najgłówniejszym warunkiem fizycznego świata jest przestrzeń. bo każda rzecz materialna miejsce jakieś sobą zajmować musi, więc tём przestrzeń była najpotężniejszym oporem, który ten świat materialny stawiał dotychczas zwycięztwom umysłowym człowieka. Ale dziś ta trudność przemożona. Para uskrzydła podróże, morzem i lądem zniesione oddalenie, wielka społeczność ludzi, rozstrzelona w kraje osobne i dzielnice świata, rozdrobiona w ludy daleko od siebie mieszkające, czuje się być znienacka zblizona do siebie; miasta, rozsypane na setki mil, już sąsiadować z sobą będą, a za handlem rzeczy materialnych trop w trop pójdzie zamiana najkosztowniejszego towaru, bo udzielanie i nabywanie wzajemne pojęć i cywilizacyi umysłowej. Niebawem tedy ród ludzki będzie miał za wspólny dom swój Ziemię całą, a za ojca jedynego Boga na niebie, a tak zaiste spełnią się obietnice najpiękniejsze i zwiastowania Chrześcijaństwa na świecie.

Nie dziw tedy, iż przy wzmożeniu się potęgi materialnej ludzi, wśród wartkich łoskotów przemysłu, będzie korzystać koniecznie i część umysłowa człowieka, i rychlój lub późnój zajmie godne siebie stanowisko. Bo nawet, im głośniejsza zewnętrzna wrzawa i ruchawsze zabiegi świata, tём tём silniejsza potrzeba zachowania się w sobie i stulenia się sobą samym. Tём prawdy dowodzą zjawiska, które się wszędzie czuć dają. Pomi-

jając już owe ciche ale liczne prace rodzące się w samotnej izbie uczonych, i umiejętności po Akademiach, co z katedr dla szczerzej liczby wybrańców płyną; nie wspominając już o mnóstwie dzieł, co choć może nie zawsze głębokiem ale zaiste coraz przystępniejszym dla wszystkich korytem wylewa się na świat, wspomnę o jednej tylko oznace silnie ocknionej dążności umysłowej: jest to owo wszędzie dostrzedz się dające zasmakowanie publiczności europejskiej w roskoszach sztuk pięknych. Były wprawdzie wieki słynące wielkimi mistrzami w pewnej gałęzi sztuk, na których stulecie nasze zdobyć się nie może, a przecież od czasów starej Grecyi nigdy wielka publiczność nie zajmowała się więcej estetycznym wykształceniem jak dziś. Nasz wiek nie dałby umrzeć Cervantesowi z głodu, ani Tasso nie byłby zmuszony, jak niegdyś, pożyczyć sobie w Paryżu talara jednego, ani Coreggio umarłby pod ciężarem miedzi zapłaconej mu za arcydzieło jego; a dawneż to czasy, gdy Schiller, chirurg batalionowy, mdlał w lesie z nędzy i cześci?

Dziś prawdziwy geniusz dorobi się zawsze wieńców i nagrody należnej, bo podstawa jego szczęścia i chwały jest szeroka, bo nią jest ukształcenie i sąd publiczności całej; już dziś dla artystów niema owego dawnego znaczenia łaska lub protekeya osób przeważnych, zawsze niepewna i chwiejąca się. W naszych czasach nie mają się o co troszczyć Vernety, Lipińscy, Suchodolscy, Thorwaldseny; żadna więcej niełaska lub intryga nie podkopie ich sławy, ani przyszłości nie roztrąci. Wszystkie prawdziwe talenta do uznania swojego przychodzą.

Powiesz może, iż zajmowanie się publiczności sztuką piękną dowodzi raczej powierzchownego lubownictwa niż znawstwa, że wśród tłumu powołanych mała liczba

odbiera święcenie na kapłaństwo do świątynicy sztuki, że u większej części sztuka piękna zastępuje jedynie miejsce zabawy, lub służy próżnej chęci wystawności. Nie chcę temu przeczyć; niechaj się atoli święci czas taki, kiedy już szlachetniejsze rokosze choćby dla zabawy poszukiwane będą; niechaj się, powiadam, święci czas taki, w którym wystawność i zamożność domu okazuje się raczej kosztownym posągami, cudnej piękności obrazem, lub smacznie budowanym domem, niżeli, jak to dawniej bywało, tłuszcza służby próżnującej lub szarańczą pasibrzuchów. Zbytek okazujący się w dziełach piękności jest zbytkiem ze wszystkich najszlachetniejszym.

Już to nawet i Schiller powiedział, iż łatwiej poznasz, czém kto jest i co wart, z tego, jak się bawi, jak z tego, nad czém pracuje. I bardzo słuszne wedle mnie jest to orzeczenie, gdyż najczęściej każdy pracuje, bo musi, a zawsze bawi się, jak chce. Świętem uroczystem dla Grecyi były igrzyska; tam obok siły i zwinności cielesnej okazywano potęgę i zwinność umysłową. W obliczu całego zgromadzonego ludu, wieszcz uderzywszy w lutnie śpiewali pieśni swoje bogom i wielkim ludziom na cześć; historycy czytali dzieje, pełne chwały ludu, który ich słuchał, a lud ten dawał im oklaski i wieńce, Przeciwnie w onym Rzymie trzeba było mordów i rzezi na krwawej Arenie, by zabawić naród, co się panem świata uczynił. Hiszpanów, owych katów całych ludów Ameryki, rokoszą jest walka z rozjuszonym bykiem. W średnich wiekach nie zawsze skręcano sobie karki na turniejach dla rozrywki, ale znano i inne rokosze; dość ci będzie przypomnieć Truwerów, Minstrelów, Minnesengerów, i owe *Jeux floraux* i *Corte d'amore*, których ślady w Tuluzie do dni naszych

się przechowały. Otoż każdy wiek i naród ma swoje smaki będące piętnem jego. Nigdzie tak dobitnie, jak przy zabawie, nie odróżnisz barbarzyńca od ukształconego człowieka.

Mógłbym ci zaiste przytoczyć wiele zjawisk, będących dowodem, że w czasie nam społecznym, kluje się zewsząd miłość do sztuki pięknej. Nie rozwodzę się nad tak świetnym, a może nawet i przesadnym powodzeniem po świecie mistrzów muzykalnych, ani nawet nad wychowaniem dzisiejszym, w którym zwykle za ważny pierwiastek uchodzi nauka muzyki i rysunku; nie będę ci też mówił o wystawach publicznych rzeźb i obrazów, ani o licznych już stowarzyszeniach w celu opiekania się sztuką piękną, a szerzących tak szczęśliwie wśród samej publiczności zajęcie się dziełami sztuki; pomijam już te wszystkie tak ważne oznaki, bo lubo one, jak i inne podobne im sprawy, mają wielkie znaczenie swoje, uważam atoli, że daleko silniejszą wróżbą ocknienia się powszechnego zmysłu dla sztuki, jest kilka innych pojawów, będących tak charakterystyczną cechą naszych czasów. Pod tym względem zwracam baczność twoją na chęć tak wyrazistą upiększenia natury, która, w około otaczając człowieka, jest jakby ciałem każdego narodu. Teraz po wielu stronach Europy, mianowicie w Niemczech zawiązały się stowarzyszenia i komitety, mające, jak same orzekły, na celu „upiększenie ojczyzny“ swojej. Więc pomagają naturze własnego kraju. Komitety, wybrane z ludzi kochających ziemię ojczystą a z estetycznym wykształceniem, zajmują się stworzeniem pięknych, naturalnych pejzażów; więc stroją w kwiaty, w krzewy miejsca jałowe, ułatwiają przystęp do widoków pięknych, sprowadzają stare drzewa, by ubrać brzegi jakiegoś je-

ziora lub rzeki, opiekują się biegiem potoków, budowaniem zgrabnych mostków, torają ścieżki wdzięcznym zakrętem, zakładają chodniki, przeistaczają pustkowia, cierniem i chwastem zarosłe, na łąki lub gaje i t. d. Ale trudno wyliczyć tutaj te wszystkie prace, które niby tak drobne a przecież zmieniają fizyognomią całej okolicy, przeistaczając ją na pejzaż jakby idealny, który tém jest wdzięczniejszy, że rzeczywiste parki, założone koło miast, dworów i pałaców wiejskich, nie kończą się nagle, znienacka, ale zwolna i niepostrzeżenie przechodzą w pejzaż przyrodzony kraju. Wyznasz, że to staranie około piękności ziemi ojczystej nagradza się już samo przez się użytkiem rzetelnym, który na mieszkańców splywa; ale nadto te wdzięki, nadane ziemi ojczystej, uszlachetniają i człowieka mieszkającego wśród uszlachetnionej natury. Zwracam jeszcze teraz uwagę twoją na zjawisko, równie ważne, bo na owe wystawy po krajach europejskich, w których, obok wyrobów przemysłowych, umieszczone są dzieła sztuki właściwej. Rzemieślnik, rękodzielnik, fabrykant przypatrując się pracom własnego powołania, widzi zarazem dzieła artystyczne, a tak uczucie piękności form, choćby nawet bez wiedzy jego, przenika w duszę jego, i w niej rozpoczyna magiczne pracowanie swoje. Tym trybem, choć zwolna i niepostrzeżenie, roboty ślusarskie, garncarskie, złotnicze, kotlarskie, stolarszczyzna i kamieniarka nabierają form wdzięcznych, artystycznych. Coraz przeto silniej a silniej rodzi się chęć do ornamentyki, czyli do sztuki umiejaczej stroić i zdobić narzędzia, sprzęty, wprost do powszedniego użytku, do potrzeb codziennych przeznaczone. Ta sztuka zdobiąca, lubo tutaj jest tylko przydatkiem, lubo tedy

nie istnieje jeszcze dla siebie i o sobie, lubo nie jest usamowolnioną i *wyzwoloną*, lubo dopiero jest sztuką nadobną, toć przecież jest jakby ogniwem pośredniem między prostém rzemiosłem a sztuką właściwą. Obejdzie się podobno bez długich rozpraw nad głębokiem znaczeniem tego kierunku przemysłu i rękodzieł; nie potrzeba zaiste szerokich wywodów, by wyświecić wpływ, jaki ten kierunek wywiera i na wyrabiających te przedmioty, i na tych, którzy je kupują dla użytku swojego. Jakoż praca tego rodzaju około rzemiosła uszlachetnia się i uzacnia, a tém samém, nabierając coraz wyższego, duchowego znaczenia, uzacnia i tych, którzy się nią trudnią — a tak co piękne i urocze wnika w wielką część pracującego ludu. Bo jak piękność form wykształca i podnosi uczucia, tak praca rąk nabiera wyższego znaczenia, a na krwawy trud rzemieślnika spływa uświęcenie z góry. Granice, dotychczas wydatne, a niby nieprzebyte między rzemiosłem a sztuką właściwą, łagodnieją; a zatém i przejście z warsztatu do pracowni artystycznej łatwiejsze, — majster przeistoczyć się może na mistrza! Przypominam ci Wieki Średnie, gdy i artyści składali cechy swoje, podobnie jak rzemiosła — w tych czasach też niejednen rękodzielnik przeszedł na artystę (np. Benvenuto Cellini, Piotr Vicher). Przywiedź sobie na pamięć wyroby z owych czasów: te klucze zdobne, okucia, zamki misterne, artystyczne, te stare prasy, szafy, w snycerstwo ubrane, lichtarze, dzwonki, dzbany, puhary, zbroje bogato wyrabiane, te kamienne odrzwia w gałęzie i kwiaty, hafty na szatach i t. d. Wszak dziś, mimo wyraźnej dążności do form estetycznych, wiele nam jeszcze brakuje, zanim wyrównamy średnim wiekom pod względem użycia form i

kolorów. Przypatrz się sukniom naszym, czyliż może być coś szpetniejszego jak te ubiory nasze! do czego podobne te ich barwy! im sukno mniej podobném do jakiegoś koloru, więc im brudniejsza jego farba, tém modniejsza. Trzeba wyznać, iż i pod tym względem kobiety wyższe są od nas szczęśliwym instynktem swoim i co do formy, i co do barwy stroju swojego.

Z drugiej strony i ci, dla których się wyrabiają tak artystyczne sprzęty, zyskują niezmiernie wiele. Zważ bowiem że sama kosztowność materiału (np. złota, srebra, palisandru, hebanu) bez artystycznych form, jak jest dowodem zamożności domu, tak zarazem jest smutném świadectwem barbarzyństwa właściciela. Wyznaj że to życie nasze powszednie tak zwykle bywa biedne i prozaiczne, że się trzeba bronić całemi siłami od suchot duchowych, od zjałowienia serca i fantazyi; prawda, że do tego celu niepomału pomagają i muzyka w domu, kilka dobrych obrazków na ścianie, kilka książek i może ogródek, a choćby nawet dojniczki z kwiatami na oknie — ale przecież forma estetyczna sprzętów, które nas w około otaczają, których codziennie używamy, wpływa daleko jeszcze silniej choć nieznacznie na całe usposobienie psychologiczne nasze. Patrzmy, jakże wiele potrzeb cielesnych jest nam spólnych ze zwierzętami! Wypada nam tedy koniecznie jakoś się uwolnić od tej spólności z jestestwami bezrozumnymi, wypada nam zaspokojenie tych potrzeb jakoś uduchownić, zidealizować; a to się dzieje w części przez nadanie formy estetycznej sprzętom, narzędziom, których używamy właśnie przy zaspokojeniu tych potrzeb zmysłowych. Możemy się pochwalić, żeśmy się nauczyli już wiele w tym względzie od starożytnego świata; wyraźnie już widać, że nie darmo patrzymy się na owe prze-

śliczne formy lamp, wazonów, puharów, samowarów wykopanych w Herkulanum i Pompei (*).

A prawiąc o oznakach wróżących rozbudzenie się miłości do sztuk pięknych, czyliż można pominąć zewsząd już klujące się prace literackie, mające sztuki piękne za przedmiot swój; a mówiąc o takich pisarzach, czyliż można przemilczyć o ogromnych zasługach M. Grabowskiego i Kraszewskiego? Obaj ci zacni ludzie nie tylko słowem ale czynem, nie tylko teorią ale praktycznym jej zastosowaniem tyle już dowodzili dobrego, że patrząc na ich usiłowania każdy człek poczciwy całym sercem zawoła: szczęść wam Boże na tój drodze! A gdy (o czém nie wątpię) czynność ich i staranie wywarły najszczęśliwsze skutki na koło, do którego stanęli w osobistych stosunkach, tak znów ich pisma rozchodzą się w najdalszą dal przenikając wszystkie warstwy czytelników. Ta siejba uczciwa pewnie nie przeminie bez bogatego plonu. Upprzedzam cię, że być może, iż przeczytawszy np. Grabowskiego pisma, znajdziesz niekiedy zdania, co niezupełnie okażą się w zgodzie ze zdaniem, które tu i ówdzie znajdziesz w tych listach moich. Aleć to nie wiele zawadzi, bo też nie mogę mieć pretensyi, abyśmy już wszyscy jednemi i temi samemi oczyma zapatrywali się na rzeczy; niema też nic nudniejszego jak jednostajność zdań; onaby dowodziła raczej strupienia umysłów, a nie życia rozwijającego się w całej pełni swojej. Różność stanowiska pokazując rzecz z różnych stron, niezaszkodzi nigdy, a byle każdy sumiennie imał się pracy i wedle sił swoich,

(*) W muzeum burbońskim w Neapolu pokazują nam samowar znaleziony w gruzach pompejańskich, podobny z kształtu do samowarów naszych (z kominkiem), ale forma jego nierównie estetyczniejsza, strojna i zdobna.

ile tylko może najlepiej uiszczają się z roboty wziętej na siebie, toć pewnie błogosławieństwa mu nie zabraknie, a praca jego nie pójdzie na niwecz. A obok Kraszewskiego i Grabowskiego godzi się też uczciwie i z poważaniem wspomnieć o pp. Rastawieckim i Przeździeckim, tudzież o innych szanownych pracownikach, którzy w ostatnich latach tak szczęśliwie zajęli się w różnych kierunkach robotą około sztuki pięknej!

Witajmy tedy z całym sercem. czas podający na miejsce grubych wesołości sztuki piękne. Przy wyraźnej dążności świata do ukształcenia i uduchownienia istoty swojej, spodziewać się też należy, iż i u nas zniknąć zaczynają owe zabawy barbarzyńskie, wypływające niby z potrzeby nastrojenia nerwów i napięcia umysłu, a szafujące minutami i godzinami jakby zdawkową monetą życia. Co aby się jak najrychlej stało, daj Boże!

Zasmakowanie w sztukach pięknych jest zawsze wróżbą uduchownienia się czasu i pierwszym szczeblem poznania najwyższych prawd, bo sztuki piękne dopiero przez zmysły na nas działają. Porusza cię rzeźba, obraz, budowanie; toć przecież to są rzeczy, co twój wzrok, co zmysły uderzają, a przez tę zmysłową formę świeci istota duchowa. Oczyma posągu lub obrazu spogląda na nas świat nadzmysłowy; architektura, ciosami i cegłą cuda sprawiając, jakby pieśnią przejmując duszę; wszak i tony muzyki są brzmieniem zmysłowym, bo do słuchu zmierzonym; ale harmonia, ale melodia, którą się tony te wiążą, zrodziły się w głębiach duchownych i do ducha płyną; a cóż dopiero rzec o Poezyi, co potęgą wyobraźni i czarem języka łączy w sobie urok wszystkich sztuk razem. Sztuki odziewają prawdy żywotne piękności szatą. A co nam Filozofia podaje w trudnych i jedynie abstrak-

cyą dościgłych rozumowaniach, sztuki piękne tchem swęj potęgi przetwarzają na ciepłe i pełne życia istoty. Ztąd Göthe gdzieś powiada, że prawdy zstąpiły nagie z nieba na ziemię, a sztuki sprawiły im sukienki. Lecz z tego wszystkiego już poznać możesz, że w każdym dziele sztuki dwa zaiste różne schodzą się pierwiastki: jeden zmysłowy, materyalny, — drugi duchowy, będący prawdą nieskończoną. Pierwszy dla zmysłów przystępny, drugi tylko dla samego ducha widza lub słuchacza istnieje. Pojmowanie takowe istoty sztuki jest główną piastą całego przyszłego rozumowania naszego a dostatecznie później udowodnioném zostanie.

Jeżeli więc w życiu całego naszego rodu piękność jest tak wielkiej wagi pierwiastkiem, warto, byśmy też całą myślą naszą zanurzyli się w ten świat i poznali najskrytsze tajemnice jego. Zanim atoli zapiścimy się w ten bliższy rozbiór przedmiotu naszego, przedewszystkiém radbym jedynie w tej chwili uprzątnąć niektóre wątpliwości, jakieby ci się zrazu nasunąć mogły. Potrzeba, żebyśmy je na wstępie samym z siebie zrzucili, niby juki dalszy pochod nasz opóźniające.

Powyzéj rzekłem, że dwa są pierwiastki w dziele sztuki, że w sztuce duch. prawda nieskończona, wciela się w postać zmysłową, i że dla tego właśnie piękność artystyczna jest pierwszą nauczycielką człowieka, rozwierając mu państwo duchowe i objawiając mu prawdy najwyższe: Być atoli może, że się łatwo nie zgodzisz na samo wyobrażenie takowe o piękności i powiesz, że przecież daleko prostsą drogą do nauczenia prawdy jest gołe rozumowanie, nieodziane w żaden przystroj, że ono rychléj do celu prowadzi i wyraźniéj nam wskazuje, o co w życiu istotnie chodzi. niż wszelkie piękności dzieła,

w których niekiedy i bardzo trudno dopatrzeć się prawdy; że sama prawda nie z ułudy lecz z prawdy się rodzi, bo człowiek nie pieszczotami piękności, ale cierpką pracą dokupuje się przekonania swojego; słowem, że sztuki nie są wcale właściwym środkiem do celu. Otóż ten zarzut nie tylko tobie ale każdemu z razu mimowolnie do myśli przyjdzie, skoro się wspomni o wielkiem znaczeniu piękności.

Lecz ten zarzut byłby wtedy zupełnie słusznym gdybym twierdził, jakoby nauczanie prawd najwyższych było celem sztuk pięknych, bo w takim razie nauka ścisła, umiejętność gruntowna mogłaby zaiste zastąpić sztuki i byłaby daleko właściwszym środkiem do celu. Obaczmy już w inném miejscu dokładniej, że oswojenie człowieka z prawdą nieskończoną, wiekuistą, jest zaprawdę skutkiem sztuk pięknych, spływającym na umysł nasz, lecz nie jest ich celem.

Odrzuć przedewszystkiém myśl, jakoby sztuka piękna miała jakieś cele krom siebie, i jakoby była jedynie środkiem do osiągnięcia jakiegoś dobra, będącego czémś inném jak pięknością. Sztuka ma cel swój sama w sobie, sobie samej jest celem i końcem, do którego zmierza. Tak jak i wszystkie prawdy niczyją nie są służebnicą, ani środkiem do osiągnięcia obcych im celów, lecz same z siebie mają wagę i znaczenie swoje. Czyliż cnota, dla tego jedynie ma wartość wysoką, iż zdradza wewnętrzny duszy pokój, że jest podwaliną towarzyskiej budowy i źródłem szczęśliwości człowieczego rodu? Czyliż najwyższym celem wychowania młodzieńca jest to, aby się, jak mówią, dobrze wydał w towarzystwie, zaradzał sobie w przyszłości w każdej potrzebie i znalazł w naukach sposób dalszego utrzymania swojego?

Czyliż prawdy matematyczne dla tego istnieją, aby służyły za ćwiczenie gimnastyczne rozumowi i miały zastosowanie w miernictwie, astronomii i przemyśle? Ktoby tego był zdania, mógłby równem prawem powiedzieć, iż miliony gorejących światów na niebie jedynie dla tego są stworzone, by nam ustroić i rozświecić ciemność nocy, by namiot niebieski rozbity nad ziemią wyszyć gromadami gwiazd błyszczących, na ozdobę mieszkania naszego. My mieszkańcy na tej drobnej ziemi mieliśmy istotnie takie zarozumienie o sobie, bo, podobni do źle wychowanego dziecięcia, mniemaliśmy, iż wszystko dla naszej zabawy i pożytku jest stworzonym? a nawet aż do Kopernika świat mniemał, iż te tłumy ciał niebieskich, wraz z naszym słońcem, pędzą kołowrotem koło ziemi naszej, jakoby około środka i pani swojej; a było to nawet bardzo szczęśliwie, że gwiazdy tak są wysoko zawieszane, bylibyśmy może ich się napaarli, by się z niemi pobawić i popsuć je w końcu. Zaledwie już mędrkowie się nie pytali, dla czego zamiast owych gwiazd nie mamy kilku księżyców ziemi dodanych, boćby przecież piękniej nam noc oświeciły i bogacięj nam ustroiły niebo, niż owe słońce miryady, których małą tylko część gołym okiem dojrzeć można, a których nieskończonej chmury choćby najlepszym teleskopem człowiek na wieki nie dostrzeże.

Do podobnież krzywych rezultatów prowadzi fałszywe stanowisko i krótkowzrokie zapatrywanie się na rzeczy. Bo jako kwiat na iglicy niedostępnych Alpów dyszy zapachem i świeci barwą, choć niewidziany nigdy od oka ludzkiego, kwitnąć jedynie Bogu samemu na chwałę, tak i gwiazdy mają cel swój w sobie, i dla siebie są stworzone, a nie służą naszej drobnej ziemi. Co

innego zapewne jest twierdzić, iż gwiazdy stroją niebo nasze, a co innego, iż one dla samej ozdoby tylko istnieją. Podobnie i zasady matematyczne są i były prawdą, choćby i nie było rodu ludzkiego, któryby je poznał; mimo to nie przeczę, że matematyka jest bez wątpienia ważnym wielce środkiem pedagogicznym do wychowania młodzieży, i że jako środek ma cel niby po za granicą własną, bo tym celem jest głównie wyćwiczenie abstrakcyjne myśli młodzieńca. Zresztą któżby zaprzeczył ważne wielce przysługi, które przyniosła Matematyka innym umiejętnościom a mianowicie życiu społecznemu w zastosowaniu techniczném swoim!

Gdy zaś już same przedmioty natury (np. kwiaty, gwiazdy) lub nauki mające właściwy sobie, więc ograniczony zakres (np. matematyka) nie mogą być wyłącznie uważane za środek do jakiegoś celu, cóż dopiero rzec o prawdach wiekuistych, nieskończonych! one właśnie dla tego są, bo są. Wszak cnota jest prawdą wiekuistą, o sobie stojącą, bez względu na skutki zbawienne z niej płynące; człowiek powinien być zacnym i poczciwym, dla tego że jest człowiekiem. Tak i sztuka piękna, dla tego stoi sama o sobie, dla tego ma cel sama w sobie, że w niej tkwi pierwiastek wiekuistości, a człowiek tworzy dzieła sztuki, bo duch jego jest wiekuistym. Gdyby potrzeba jeszcze dowodów o nieśmiertelności ducha ludzkiego, możnaby rozpocząć również wywody takowe od jego potęgi stwarzającej piękności, i od upodobania, którego doznajemy patrząc się na dzieła takowe przez mistrzów stworzone. Ta bowiem twórczość i to upodobanie rodzi się z potrzeby oglądania wiekuistości, choć odzianej jeszcze materją; a ta potrzeba, ta tęsknota

właśnie dla tego w nas przebywa, iż wiekuistość żyje w duchu naszym, że on sam jest nieśmiertelnym.

Jeżeli zaś sztuki piękne są jedynie środkiem do czegoś innego, słowem jeżeli wchodzą w obcy sobie zakres, jak to widzimy, iż malarstwo, rzeźba, architektura, zdobi sprzęty domowe, stroi ogrody, szaty, łącząc się ze stolarzszczyzną, haftami, strojem mieszkań i t. d. toć wtedy przestaje być sztuką istotną, o której mówię, ale jest jedynie sztuką zdobiącą, nadobną, jest przystrojem. Przecież my tu jedynie o sztuce wyzwolonej, to jest usamowolnionej od wszelkich pobocznych celów rozprawiać mamy.

Jeżeli tedy, jakieśmy wyżej powiedzieli, sztuka piękna wyraża prawdę we formie zmysłowej, przystępnej dla wzroku i słuchu, toć już widzisz, iż ona służąc do uzmysłowienia prawdy, sama sobie służy i siebie samą ma za cel, bo ona sama jest prawdą, ale wyjaśnioną w sposób materyalny; jest ona jednym z kształtów, który prawda na siebie przybiera, tak np. znów filozofia jest również prawdą, ale już we formie bezbarwnego rozumowania. W niej duch świeci bez pośrednictwa materji i zmysłów, świeci czystym wieczności promieniem i przemawia wprost o sobie i o wielkiem przeznaczeniu człowieka. Sztuka piękna zaś, łącząc świat cielesny z wiekuistym, jest pośrednicą między niebem i ziemią; opuściła dla nas rajską dziedzinę, a przywdziawszy na się cielesność śmiertelną, dzieli z nami i znikomość i biedy nasze, by nas w czarnych pocieszyć chwilach, zabawić swojemi kwiatami, i przytulić do siebie, niby dziecię płaczące. Gdy atoli świat zmysłowy łatwiejszy jest do pojęcia niż czysto rozumowy, więc też sztuka piękna wcześniej była nauczycielką ludzi niż Filozofia.

Nim się ród ludzki mocą samego rozumu dobił prawd o niebie i ziemi, o życiu i śmierci, o wieczności i naturze, wcześniej o nich zamarzył, ucząc się czytać z dzieł piękności jakby z książki obrazkowej, w nich przeczuwając wielkie przeznaczenie swoje. Dla tego też poeci, wieszcz, bardy byli pierwszymi nauczycielami narodów, tudzież pierwszymi ich kapłanami i filozofami.

Od wieków, sztuka, religia i filozofia w ścisłym z sobą były związku, rosnąc na wspólnym sobie gruncie prawdy. A że pojmowanie różne prawdy i różny sposób jej uzmysłowienia wynika z najgłębszej duszy świątynicy i z całej treści człowieka, więc też historia sztuki jest wiernym obrazem owej wewnętrznej historii rodu ludzkiego.

Jeżeli cały ród człowieczy, co od wieków niepowrotnie płynie niby rzeką do wieczności morza, uważać będziesz za jedną osobę, znajdziesz to samo pracowanie się jego nad sobą, te wolne ale pewne postępy rozwijania się duchowego, co w pojedynczym człowieku. Tu jedna tylko zachodzi różnica, iż ród ludzki nie umiera nigdy; a choć i on ma mroźne i głuche zimy i długie nocy swoje, co szeregiem wieków jakby grobem przywalają świat, aleć gdy otrętwienie śmiertelne przemienie, doczekuje się znów wiosny swojej, a każda wiosna silniejsza i piękniejsza cudniejszym buja liściem, i nową świeżniejszą epokę w historii rozpoczyna. Każda epoka odradza się nowym pierwiastkiem, którym żyje i oddycha, a ten pierwiastek jest różny wedle różnego stopnia ukształcenia, który ród ludzki w pewnym właśnie czasie zajmuje.

Tak więc i sztuka koniecznie różne a różne kształty na się przyjmuje. Patrz na dzieje staréj Azji, co to jest zarazem wschodem i słońca i ducha człowieczego, spo-

strzeżesz wszędzie, iż tu historia przeżyła dziecięce lata swoje. Nie wdając się jeszcze teraz w głębsze dowodzenie i nie zapuszczając się w te dzieje, przypomnę ci pokrótce, co nam stary Herodot o téj Azji, o tym Egipcie prawi, owe koleje fantastyczne losu Psametyka, sny starego Astyagesa, owego króla Rampsenita zeniącego dowcipnego złodzieja z córką swoją, pierścień Polykratesa, Zopyra i płaszcz jego purpurowy, Babilon, Niniwę, Semiramidę. Rzekłbyś, że te gawędy Herodot gdzieś na wieczernicach ruskich posłyszał; są to gadki, jak je to niańki lubią dzieciom bajać; jakoż zawsze też uważałem, iż ta pierwiastkowa historia bardzo do smaku małym pacholetom przypada i z wielką jęj chciwością słuchają. A lubo Azja i historia jęj dziś jeszcze podobna jest do jakiejś długiej a świetnej bajki, lubo przypomina powieści, opowiadane przez Arabów przy samotném ognisku w głuchocie pustyni, wszakoż jest to już nowe życie Azji, nowe jęj wydanie. Azja Mahometańska wielce się różni od owęj Herodotowęj, bo w téj tylko istotnie widać ducha człowieczego niby w powiciu; tu fantazyja samopas bujając, na poły we śnie i na poły na jawie o sobie przemawia; ztąd tutaj sztuki są jakby wymarzone nocą widziadła; poezya, choć pełna treści, jest potrzebą natury samęj, i bezprzytomnie brzmi z pełnych piersi, jakby pieśń słowika z wonnych krzewów róży.

Jeżeli spojrzysz na mapę, widzisz, jak z ogromnego pnia Azji wyrasta niby konarem Europa; tak i duch europejski jest uszlachetnionym szczepem na starém drzewie azyatyckiej historyi. Dla tego jeżeli odwróciwszy się od dawnych Indyow, Assyrii i Persyi spojrzysz na Grecyę, uderza cię przeobrażona już do dna postać rzeczy. Jest to pierwsza historia europejska, a wita ją

tęż powiew ducha Europy zwiastującej tchem swoim wielką świata przyszłość. Lubo i historia Grecyi ma swoje powieści i cudotworne podania, wszakże one łączą się z mitologią, i należą jedynie do pierwotnej historii. — Bohatérowie Homerowi! Herkules, Egeus, Tezeus, Dioskury, są równie jakby Lech, Czech, Krakus i Wanda przypomnieniem z lat dziecięcych, ale nie wchodzą w dojrzalszy żywot Grecyi.

W Grecyi umysł człowieka stał się młodzieńcem, podrośł, serce się wzdęło w piersiach, świat w około zagrał poezją i całym cudem ułudy. Był to naród-poeta, lud-artysta; umysł tu bowiem już przeczuwał prawdę wiekiustą, ale nie zdołał jej jeszcze pojąć, jaką jest sama przez się. Lud grecki za nadto był jeszcze zmysłowy, by prawdy te w całej ich grozie i powadze przyjął; uzmysłowił je więc i wprowadził do dziedziny materialnego świata, słowem pojął je jako sztukę piękną, i dla tego właśnie całe życie Greków, ich tętno, ich istota wskrósł jest estetyczną. Tak, kogo anioł muzyki z milionów wybierze, i przystępując do kolebki śpiącego niemowlęcia, ucałowaniem na kochanka swojego poświęci, już wtedy szczęśliwego wybrańca przyszłe życie z dźwięku i harmonii splecione, a nim on dorośnie, już wszystkie uczucia, myśli, pragnienia swoje, cierpienia i roskosze na tony tłómaczy, wszystko mu jest pieśnią i w melodyą się składa, a co słowami objawić nie zdoła, wylewa muzyką. Tak i Greków kochaniem, ich duszą, ich żywiołem była piękność; ku niej to wszystko kierowali; ona była najwyższem ich powołaniem. Ani przed nimi, ani też po nich żaden naród nie był im w tym względzie podobny. Mądrość ich filozofów, najgłębsze tajemnice natury i serca człowieczego, skrytości ziemskiego i tame-

cznego życia uwite są w obrazy ich mitologii pełne cudownego uroku i rzewności, a tak i do rozumu i do serca i do zmysłów przemawiały. Marmurowe ich bogi, tak ciepłe i czarowne, tak pełne spokojnego majestatu i wspaniałej wesołości, tak dumne i tkliwe zarazem. W nich uczucia całej Grecyi, jój duch skamieniał. Greków olimpijskie igry, ich uczty, ofiary, były poetyczne; u nich nawet morza i skały, gaje i krynice, drzewa i potoki, bóstwami były ożywione, co poufaląc się z ludźmi cieszyli się i smucili z nimi. Ów Jowisz potężny, skinieniem brwi niebem wstrząsający, zstępował z wysokiej stolicy swój, kochał się w córach Ziemi i napełniał olimp komerażami o sobie. A że z góry idzie przykład, więc też mieszkańcy ziemscy, na wzór niebian, z wadami swemi i swawolą byli poetyczni, pełni dobrego smaku. Czyliż może być, powiedz, genialniejszy hultaj i poetyczniejszy *rouè* niż ów Alcibiades? Jakaż to są lichota ci nasi dzisiejsi panowie *mauvais sujets*, owe źle udawane Lowellassy i biedne kopije Donżuanów; są to jedynie bezmzgłe karykatury plastycznych hulaczków greckich. Ich nawet nie stać, by hultajami byli.

Wodzowie Greków, ich prawodawcy, ich wojny i bitwy, ich życie i skonanie były żywemi epepejami. Widzisz owe popiersie przesłane nam ze starych lat, ową cudnej piękności głowę? — Patrz, jak utrefione staranie włosy, jak broda spada bogactwem kędziorów, jak ta przepaska strojnie wieńczy czoło; zrazu rzekłbyś, iż to jakieś dandy Ateńskie, ale wnet gdy zważysz pełne szlachetności zarysy i ów profil Grecki, a potężne Jowiszowe czoło i mądry zakrój oczu, zgadniesz, iż w głowie tej zrodziły się błyskawiczne myśli, co oświeciły świat. Jest to Plato, ów boski Plato, który pierwszy rozum i myśl

na tronie osadził i wyrzekł, iż jest pokrewieństwo między duchem człowieczym a nieskończonością wiekiustą, która nie ma końca ani początku. On to jest najprzezroczytszym wyrazem Greka. W dziełach jego mądrość odziana w obrazy uroku pełne. Filozofia jego jest jakby pieśnią o wieczności i zacności człowieka, jestto Filozof-Poeta. A ów Alexander, co to niby Macedończyk ale przejęty i party duchem greckim, na czele garstki awanturników przeskakuje hożo Hellespont, z Iliadą w kieszeni rzuca się na Azyą i chce sobie zawojować świat, i zawojował go; bo macedońskiego bohatera nosił przez świat duch Hellady i pragnienie podobania się Grekom, których przecież się był panem uczynił; oparł się o Indus, obudził drzymiącego Brahmę, a wróciwszy do Babilonu umiera tam młodzieńcem przehulawszy noc. Życie jego rozlegało się jak pieśń po całym obrębie ziemskim i przeminęło jak pieśń. Zaledwie zgasł, a już z całego jego państwa, wielkiego jak świat ówczesny, nic, nic wcale potomności nie pozostało, prócz wieńca chwały i sławy imienia: prawdziwa nagroda żywota Poety!

Ale widzę, zem się zbyt rozbujał i zawczasie o Grekach wspomniał; wiész atoli dobrze, iż trudno o nich na zimno rozprawiać; skoro w ich dzieje, w ich życie zajrzysz, toć się zdaje, jakbyś do dawnych i drogich przyjaciół zajechał; tak tu miło, tak każdemu dobrze, iż się o rozstaniu ani myśli. A pisząc o sztukach pięknych, jakże nie mieć ciągle tej Grecyi przed oczyma? Bądź tedy przygotowany, że ci ją bardzo często wprowadzę jeszcze w listy moje.

Lecz téż Greków epoka, ich powołanie koniecznie się skończyć musiało z wyższém dojrzaniem umysłu; z wpływem stóleciów zmieniła się postać rzeczy, umysł się

zbogacił nowym a coraz wyższym dorobkiem prawd. Wyjawiał się inny czas. Bo skoro myśl człowieka się wzmogła i nabrała potęgi, wyrosła téż z form piękności, jakby ze szat swych młodzieńczych. Szczupłe koło prawd rozumowych starego świata mogło się jeszcze wyrazić sposobem zmysłowym. A póki duch człowieczy był latoroślą, wystarczała mu forma sztuk pięknych, jak kwiatowi wystarcza słabe czołby strojne naczynie garncarskie; ale gdy latorośl owa urosła w potężną sosnę północy, rozsadziła naczynie wbijając korzenie w głąb' serca ziemi i rozpinając konary namiotem nad połową świata. Tém drzewem olbrzymiém była *Wiara Chrześcijańska*. Sztuka piękna przestała być wszystkiém dla człowieka, zmalala, jak maleje światło kagańca przed jasnym wschodem słońca. Już nie pod zmyśleniem pełném ułudy, ale wprost słowami Syna Bożego płynęła prawda, dreszcz wieczności przejął ziemię całą, — nowy się rodził świat, a zrodziła go wśród boleści własnego skonania światowładna *Roma*. Dech żywota, którym Bóg natchnął człowieka stworzonego z prochu ziemi, był zarazem tchem prawdy wiekuistej, co była w nim *od początku*, ale teraz dopiero dostąpiła prawa swojego. U Greków była jedynie jeszcze przecuciem, teraz stała się pewnością serca. Wiekuistość cofnęła się z zewnętrznego świata, opuściła materyą, a wstąpiła, jakby do świątynicy swojej, do wewnętrznych serca tajników i zagrała tam wiarą, miłością, nadzieją. Pod światłem i ciepłem Religii urosła téż silnie i Filozofia, której dziś najwyższą jest chwałą, że jest chrześcijańską. Bo nie mieszając rzeczy niebiańskich i ziemskich, wyznać powinienes, że nigdy filozofia nam spóczesna nie byłaby dostąpiła tego doskonałości stopnia, gdyby jój nie był ogrzał i oświecił promień

prawd Religii; choć nabytek, co nam przyszedł łaską i objawieniem, wcale różny jest od zasad zdobytych mocą samego rozumowania człowieka, jak to obaczymy w innym liście, w którym nam przyjdzie rozprawiać o różnicy wiary i filozofji (*). Tak jak kwiat rozrosły swoją pięknnością choć jest czémś inném, niż to niebo, co mu śle rosę swoją i promień słońca swojego, wszelako kwiatu piękność bez tego Nieba się nie obejdzie. Gdy tedy u Greków jedyną i najwyższą formą wyrażania się prawdy, jedyném ogniskiem całej ich istoty były sztuki, my zaś, obok sztuki pięknej, mamy jeszcze wyższe nierównie formy, bo wiarę objawioną i Filozofią; nie dziw tedy, że i dla nas piękność sztuki nie jest już tém, czém była dla Greków. Dla nich ona była kochanką, dla nas jest przyjaciółką. Grek, porwany pięknością pełną majestatu Jowisza Fidiasowego, padał przed nim na kolana; u nas nie sama piękność obrazu lub rzeźby nas przejmuje, ale znaczenie wielkie i święte, jakie on mieć może dla nas. Stajesz przed dziełem sztuki, przed budowlą, rzeźbą, malowidłem, uderzy cię potok muzyki, poezyi; wtedy wśród rokoszy, wśród rozgrzania uczuć króluje rozum i rozsądek; nie stracisz przytomności swojej, ale o obrazie, o tej kompozycyi, lub poezyi sądzić będziesz. Sąd ten o dziełach sztuki jest główném piętnem czasu naszego i jego prawem.

Artyści tedy już nie powinni więcej poniewierać zdaniem publiczności, wszak oni dzieła nie dla siebie, ani dla małego kółka artystów tworzą; sztuka przestała być hieroglifem tajemniczym. Dla tego téż godzi się, by artyści obzierać się na istotę wewnętrzną i na bicie serca

(*) Porów. List VIII.

publiczności, dla której pracują. A lubo Madonny Rafaela, Laokoon, i Rekwiem Mozarta i Hamlet tchną duchem nieprzeżytej nieśmiertelności, lubo będą celem czci wszystkich wieków i uwielbieniem wszystkich narodów bez względu na ich pochodzenie; przecież znów cała tajemnica geniuszu, np. Verneta jest ta, iż trafił w samo tętno Francyi. Z tego też powodu mogłeś przypatrzeć się galeryom Włoch, Niemiec i Francyi, a przecież bawić z upodobaniem przed jakim weselem wiejskiem Stachowicza i cieszyć się chwackimi figurami krakowskiego ludu, mimo mnóstwo niedostatków, jakie zaiste słusznie temu mistrzowi zarzucają.

Patrząc się na to wszystko, com ci tu popisał, spostrzegam, żem się dotknął choć z wierzchu wszystkich prawie główniejszych przedmiotów mających być treścią listów moich; wyznaję, iż większa część tych twierdzeń nie obejdzie się bez dowodów następnych, niechaj jednak tymczasem zostaje, com skróślił; nie zawadzi, byśmy z początku zaraz porozumieli się względem istoty przedmiotu naszego.

LIST III.

O prawidłach i ustawach w sztuce.

Rozmaitość pierwiastków duchowych i ich walka, stwarza doskonałość. Różne zdania co do samej drogi prowadzącej do piękności. — Czas głuchy w sobie i bez treści wierzy w same jedynie prawidła. — Prawidła stojące li na wzorach przeszłości. — Tow. Przyjaciół Nauk War. w r. 1812. — Prawidła opierające się na abstrakcyjnym rozumowaniu z pomijaniem wzorów. — Natchnienie.

Jest to stara i tylekroć powtarzana pieśń, iż człowiek zawisł między dwoma wręcz przeciwnymi światy, a życie jego ciągłą jest walką dwóch pracujących się z sobą pierwiastków. Bo w głębinach duszy dwojaka mieszka potęga, co, jakby igła magnesowa, dwie odwrótne wskazuje strony. Niekiedy, gdy zamieci życia i burze zatrząsą duchem i do dna poruszą istotę naszą, owa igielka zadrga w sobie, oscyluje, miesza położenie swoje; ale zaledwie wichry przeminą, a jużci znów ona nieruchoma staje, jednym biegunem pokazując jakby zimną północ powinności i prawd rozumowych, a drugi zwracając tęsknie do południa ciepłych serca uczuć. Człowiek wiecznie na rozstajnych drogach, a dwa różne od siebie anioły, już od kolebki jego, dwie różne mu otwierają

życia ścieżki. Szczęśliwy, kto obie dążności w jedną zlać zdoła całość i w jedną je stopi harmonią.

Wszakże to rozdwojenie istoty naszej, nie tylko uczuć się daje, gdy idzie o zacność żywota i wartość naszą moralną, lecz, przechodząc w głąb' całej treści naszej wewnętrznej, dotyka wszystkich dążności, pragnień i czynności naszych. Nie ma rzeczy, nie ma celu życzeń i myśli, coby się nie zmieniały wedle pierwiastku, który w nas przeważa. Świat się w oczach mieni wedle wewnętrznego nastrojenia duszy, a najczęściej widzimy go nie we własnych barwach jego, ale powlekamy go kolorami naszego natchnienia. Meta, do której tak każdy człowiek w szczególności, jak i cały ród ludzki biegnie, jest prawda; tu zawieszono wieńce jego chwały, a prawda właśnie jest wyrobieniem się wzajemnym przeciwległości takowych.

Żywot też historii jest ciągłym przerzucaniem się z jednej ostateczności w drugą; bo ta walka przeciwległych sobie żywiołów stanowi duszę dziejów świata, są to główne sprężyny ruchu pracy człowieczego rodu i warunkiem koniecznym udoskonalenia jego. Spójrzysz na historią każdego narodu, co nie utonął w motłochu mniej znaczących państw i wypłynął na wierzch historii, a wszędzie obaczysz, iż podwaliną jego wielkości jest poprzednia walka wrogich sobie żywiołów. Każda umiejętność, każda nauka, każda prawda, tém więcej ma wagi, im silniejsze i cięższe było pasowanie, którym okupioną została. Najwyższe szczyty wiadomości ludzkich i najniższe jej doliny doznały rozdwojenia tego.

Nie dziw tedy, że i sztuki piękne różnie osądzone były, wedle różnego stanowiska zapatrywania się na nie. Ta dwoistość, walcząca w sercu człowieka, dała często

znać o sobie w sporach estetycznych, a wyjawia się ona już przedewszystkiém odwrótnością dwóch potęg przeciwległych: bo z jednej strony posłyszysz tłumne głosy, iż prawidła pewne i niezachwiane są głównym warunkiem rozkwitania sztuki i nieomylném jej zbawieniem; z drugiej strony wnoszą się zdania poniewierające wszelkiemi ustawami, twierdzące, iż piękności cyrklem mierzyć nie można, iż rozum nie ma prawa wdzierania się w dziedzinę smaku, iż pod zimnym tehem rozsądku najpiękniejsze kwiaty uczuć naszych omdlewają i marzną. Otóż te dwie ostateczności podzieliły estetyków na dwa wrogie sobie ohozy.

Wyznajemy że sztuki piękne, wypływając z ducha ludzkiego, są dziełem jego, do niego należą, podlegają tedy sądowi jego; duch, tworząc dzieła piękności, ma przecież prawo stanowić ustawy tym dziełom swoim. Ani te szranki nie mogą mu być szkodliwe ani ubliżające, bo on je sam sobie naznacza. Nawzajem znów przyznasz, iż gdy na świecie pusto i głucho, gdy umysł wyludniony z myśli i uczuć, gdy czczość ciemna spada na serca, wtedy najczęściej rodzą się reguły, ustawy i prawidła pisane; nauka rzuca się na dzieła lepszej przeszłości i pragnie w nich dociec tajemnic rodzenia się tych wszystkich uroków, które podziwiać jeszcze może, ale których już stworzyć nie zdoła. Co zeszte wieki w spadku zostawiły, to teraz rozbiera, wyprowadzając z nich ustawy postępowania w sztukach pięknych. Sekcja ciała następuje po śmierci. Tak się rzecz ma w piękności dziełach, tak we wszystkiiej czynności umysłowej. Póki Rzym żył życiem świeżem, wewnętrznem i rodzimem, póty też kodeksów nie potrzebował; prawa zwyczajowe, ustawy, rosnące niby w obliczu jego, tętniały

jak krew własna w życiu narodu; ale gdy się wyrodził, odbiegł od siebie i samego siebie zapomniał, — uronił i wiadomość ustaw swoich. Wtedy w 1000 lat po onych ustawach 12 tablic, trzeba było Justynianowi z ułomków, ze szmat przeszłości, ułożyć ów ogromny kodex, ono *Corpus Juris*; robota łatana, preparat anatomiczny, tutaj Rzym dawny w spirytusie przechowany; ale w nim jeszcze widać geniusz onego ludu prawnika-żołnierza. Z tych biednych okruchów, ze sztuk potrzaskanych świeci duch starego Rzymu, a księga dawnych prawników była testamentem jego, poczem dokonał — i umarł. A do dzisiejszego dnia jedzą ją prawnicy, krzepiąc nią od półtora tysiąca lat dowcip swój.

Podobnie też w czasie ubogim dla literatury, pracownicy skrzętne, bibliografy spisują jak po umarłym inwentarz całego majątku naukowego, nie przepuszczając żadnemu szpargałowi i wydzierając dziedzictwo toczącym molom. Po śmierci wielkich wodzów światoburzców zjawia się najwięcej dzieł, map i planów strategicznych. Tak najczęściej po praktyce następuje teoria. Jakoż zawsze też uważać możesz, iż starce hulaszcze, przegoniwszy resztki i osiadłszy na mieliznie, najchętniej smakują w rozmówkach w stylu Pawła Kocka. Słabsze i bez ładu głowy lubią też dla porządku poliniować sobie godziny dnia każdego, i wzięść w rubryki żywot swój i wszystkie swoje sprawy, by nie zginęły w powszednim natłoku czynności swoich. Kto ma istotną przytomność w duszy i porządek w głowie, obejdzie się bez tych rubryk i szufladek, i bez nich z ładem dopełni spraw swoich, rzetelnie spłaci się z powołania swojego i skwituje się z długu życia.

Gdy Pindar, Eschylus, Sofokles i Aristophanes, i

wszystkie one gwiazdy greckiej poezji, schodzili z nieba Hellady, a noc zapaść miała nad Grecją, Arystoteles potężną myślą spuścił się do głębin tych skarbów, dobywając z nich, jakby lite złoto, ustawy dla potomnych wieszczów. Gdy znów Rzym zabił Grecją, gdy ciężką i niezgrabną ręką złupił ją z kosztownych dzieł sztuki, a nauczywszy się frazesów greckich myślał, że już sam Grekiem się stał, wtedy i on chciał mieć filozofią i poezją swoją. Wtedy biedny Cycero, choć drżącym piórem i choć z poprzedniem przeproszeniem, zaczął im prawić pochwały nauk, filozofii, wyklądać zasady prawa i wymowy, zbierając myśli z greckich ksiąg. Zasady cnoty obywatelskiej były spisane w jego dziełach, ale dawno już umarły w życiu, a Rzymianie, ten lud najpraktyczniejszy, nie mając własnej poezji, puścili się tropem Greków. Wówczas Horacyusz, chcąc rodaków barbarzyńskich oswoić z pięknosciami sztuki, skleił im naukę o sztuce poetycznej; a było to właśnie wtedy, gdy Vitruvius, jakby przewidując zwalenie się przybytków i świątnic Grecyi, napisał księgi swoje o architekturze i porządkach.

Patrz, co się dzieje kilkunastu wiekami później we Francyi. Tu w 16m stuleciu już oddawna były zgasły czasy średnich wieków. Bayard, ten ostatni rycerz, skończył we krwi swojej, modląc się do rękojeści pałasza swego w kształcie krzyża złożonej; a Franciszek I. pod Pawią poznał, że rycerskość więcej nie popłaca, i odpokutował tę pomyłkę swoją w niewoli madryckiej. Nastąpiła na miejsce dawniej budowy tumów gotyckich styl *renaissance*, a zuchwałe pomysły Michała Anioła miały się już dostać w niezgrabne ręce następców, i przeradzać się

zwolna w smak *rokoko*. Nie dziw też że i pieśń romantyczna oniemiała.

Jużto ów Clement Marot, przybrawszy na się szaty dworu Franciszka I., czczył gładkie a mądre panie, wielbił ze szczęściem Dianę de Poitiers i królową Małgorzatę Nawarry, obsypywał je wonnemi różami swych pieśni; choć atoli był tak romansowym poetą, nie był wszakże już romantykiem: bo lubo świetnym i lekkim motylem oblatywał poezyi kwiaty i damy dworu króla swojego, jednak skrzydełka jego lśniały klejnotami i złotem wieszczów greckich i rzymskich; był to klasyk w całym rynsztunku swoim. Chociaż, na wzór dawnych lat, lutnia jeszcze niekiedy większą dawała cześć niż liczne grody i zamki, a kto jeno mógł, przebięrał na lirze; i nawet ów posepny i żelaznej woli kardynał Richelieu składał także jak mówią wiersze i chętnieby się był do Atalii Rasyna przyznał; literatura atoli traciła zwolna rodzinne życie swoje, chwytając obce od kilkunastu wieków zamarłe wzory, i uroniła resztki własnego ducha, co w niej tętniał i żył. W braku treści swojskiej wszystko przetworzyło się na formę, a dla tego ustawy i prawidła tém potrzebniejsze się stały. Sztuka, poezya, winna rodzić się z potrzeby wewnętrznej, z tęsknoty nieskończonej ulżenia sercu, w której wiekuista prawda o sobie znać daje we formie uczucia i pocucia; dzieło sztuki jest żywym kwiatem wyrastającym z głębin piersi ludzkich; kwiat obcy na zewnątrz do serca przypięty zwiędnieje, bo mu braknie uczuć swojskich i soków rodzimych — jedynie kwiat robiony, sztuczny, obejdzie się bez właściwej sobie ziemi. W takich czasach obcych i zwiędłych kwiatów, lub kwiatów robionych, sztucznych, na miejsce sztuki staje sztuczność: i takim to czasem

była właśnie epoka, gdy wystąpił Boileau z przepisami i regułami. W nim jeszcze treść i wielka poprawność języka; lecz wzorem przytém jest wymuskanego stylu i kalkułu; znać, jak drży, by jakąś śmielszą myślą nie zgrzeszył przeciw konweniencji. Myśli jego, od stóp do głów utrefione, chodzą jakby w sznurówkach. Sztuka się wynarodowiła i zwiędła, bo, odcięta od soków własnej ziemi, obojętniała coraz więcej na treść, stała się formą, łupiną. Poezya dramatyczna przemienić się musiała w sztukę retoryczną. Literatura bez iskry wewnętrznego życia szklannemi oczyma patrzyła się na naród, co już był bez głębi duchowej, nie zdradzała się w świętych tajnikach natchnienia, ale lękała się w głowie; w téj tedy literaturze wszystko było wyrachowaném. Patrząc jak autor tragedyi ówczesnej obliczył każdy akt, każdą scenę, każdy efekt, jak roztropnie rozwiązuje sobie trudności, jak kombinuje, jak sobie zagrywa i odgrywa nawzajem, zdałoby się, że widzisz wyćwiczonego mistrza grającego wista z dziadkiem. Dużo w téj literaturze jest isticie rozumu i prawideł, a nic wcale natchnienia.

Tak bez końca mógłbym ci wynajdywać przykłady dowodzące jawnie, iż zawsze, albo przynajmniej często, czas prawideł jest czasem biednym dla nauk i sztuk, i że wszystkie reguły nie zdołają ożywić umarłego już ducha. Pocóż atoli mamy tego szukać przykładów po obcych, gdy mamy tu pod ręką najtrafniejszy, bo swojski. W epoce tak jałowej dla literatury, jak epoka księstwa Warszawskiego, zdarzyło się, iż w roku 1812 na wniosek księdza Staszyca Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk uchwaliło: iżby dobrze było, aby raz na zawsze spisać sobie prawidła wszystkich rodzajów poezyi, „aby (odpisuję dosłownie) smak dobry ustalić i

zdrową ugruntować krytykę.“ Książka ta nie miała nic mieć nowego, ale jedynie uznane już zasady w jasnym porządku wystawić, „podać niewzruszone sztuki przepisy.“ Myśl ta prawie powszechnie trafiła w rym, bo coż wygodniejszego, jak mieć taki receptarz pod ręką, gdzieby jak na leguminy, blamanże i konfitury, można znaleźć przepisy i sposoby robienia dobrych hymnów, słodkich sielanek, i smacznych tragedyi. Wzięto się tedy co żywo do roboty. Członkowie lubujący w poezyi rozebrali różne jój gałęzie między siebie, prace ich miały być niby przygotowawcze i materiałem do owój książki. Na Franciszka Wężyka padła kréska, by prawidła tragedyi napisał. Ciekawy téż jest bardzo sąd Towarz. Przyjaciół Nauk o pracy Wężyka, a napisany — nie wiem z pewnością przez kogo. Mam ten akt przed oczyma udzielony mi uprzejmością Wężyka, datowany 2 Maja 1814. A íście jest to ważne źródło historyczne do ocenienia wyobrażeń ówczesnych, bo one tu nam płyną niby z piérwszój ręki. Dzieło całe, jak widzisz, miało być posągiem doskonałym i wiecznotrwałym, którego osobne części mieli wyrabiać artyści różni, każdy osobnym swym dworem, wedle własnego pojmowania rzeczy i smaku swojego, a potém dopiero te części miały być złożone w jeden posąg-potwór. Ani ci się będę rozwodził nad całą treścią téj odpowiedzi Towarzystwa, dość na tém, że praca Franciszka Wężyka odrzuconą została, a to z pięciu powodów, z których ci tylko trzy wymienię; wystarczą, jak myślę. Naprzód *powód piérwszy*: „iż autor, mówiąc o „dramatycznój poezyi, wspomniął jedynie o tragedyi i „komedyi, pomijając inne rodzaje *a mianowicie operę*. „*Powód drugi*: że wzorami autora więcéj byli, jak się „zdaje, pisarze angielsey a mianowicie Shakspeare, o

„którym nie można do młodzieży powiedzieć; *haec vos exemplaria nocturna versate manu, versate diurna*. Po-
 „wód trzeci: że autor nadto pozwala powstawać przeciw
 „uznanym już powszechnie prawidłom, do czego z uszczerb-
 „kiem dobrego smaku pisarze niemieccy obszerne już i
 „pochopne otworzyli pole.“ Wyznaj, iż gdyby dziś ktoś
 znający się na rzeczy z takim zdaniem się odezwał, jużby
 nikt nie wątpił, iż sobie żartuje z ludzi. I rzeczywiście
 ta nagana jest najpiękniejszą pochwałą, jaką Towarzy-
 stwo P. N. dla rozprawy Wężyka wymyślić mogło.

Któżby w tój odpowiedzi poznał to samo towarzy-
 stwo, co w kilka lat później, tak głęboko przejąwszy się
 powołaniem swoim, tak wielkie zasługi położyło w li-
 teraturze naszej, zajaśniało wieńcem tak świetnych imion
 i stało się zaszczytem czasu swojego!

Widzę jednak, żem się już nadto rozpisał, mówiąc
 o prawidłach wydobytych ze wzorów, z sztuki przeszłej,
 i niby z tego, co już jest na placu, bo znajdziesz inny
 jeszcze rodzaj prawodawców powyższym tak zupełnie
 przeciwny, jak ogień wodzie. Ci bowiem wpadają w od-
 wrótną zupełnie zasadę, zarzucając wszelkie wzory po-
 przednie i prawidła z nich płynące. Co przed nimi stwo-
 rzyły wieki, nie ma żadnej u nich powagi, nie chcą
 widzieć wielkich dzieł sztuki, któremi geniusze całej prze-
 szłości uposażyły świat; chcą z gołego rozumowania, z
 pojęć abstrakcyjnych wysnuć ustawy stałe i niezienne
 dla sztuk pięknych. Rzecz jasna, iż trzymając się
 w sferze czystego i abstrakcyjnego rozumu, stanowić
 mogą jedynie zasady ogólne, nie wdając się wcale
 w szczegóły. Bo proszę cię, jakim tu sposobem z ogólnego
 rozumowania wywieść, ile aktów ma mieć tra-
 gedyja?.... dla czego nie jeden tylko, dla czego nie

sześć lub więcej? albo jak ze samych pojęć rozumowych wskazać warunki doskonałego obrazu lub rzeźby? A mówiąc takim ogólnym trybem o kolumnach w architekturze, uczyć oni cię będą, aby one ani zbyt cienkie, ani zbyt grube nie były; powiedzą nawet, jakie wrażenieby uczyniły popełnione w tym rodzaju błędy, ale ci nie oznaczają w liczbach stosunku grubości kolumn do ich wysokości, bo jakżeby z rozumowania samego taka dokładność wypłynąć mogła? W takowe szczegółowe objaśnienia nasi teoretycy nie wdają się wcale; dla tego ich zdania o dziełach sztuki są zupełnie ogólne, są to formuły i pewniki. Im nie chodzi bynajmniej o to, aby wykazać prawdę zamkniętą w jakim dziele sztuki pięknej, ani nawet określić, czém ta prawda jest w sztuce, bo uważają jedynie, czém jest prawda sama w sobie wzięta. I nie przeczę, że rozumowanie takowe może być bardzo prawdziwe, ale do celu nie prowadzi, bo zastosowania nie ma. Podobnie można być wielkim teoretykiem prawa, znać doskonale historią prawodawstwa wszystkich narodów cywilizowanych, i przesiąknąć prawem rzymskiem, jak genialny Savigny w Berlinie, rozumować nad ustawami jak Montesquieu, a przecież nie umieć jeszcze napisać pozwu, lub poradzić sobie w najzwyczajniejszym wypadku. Nie przyjąłbyś zapewne obiadu zgotowanego na najpewniejszych zasadach chemii, a nawet wedle najdoskonalszej książki kucharskiej przez człowieka, który nigdy w kuchni nie postał. Można być wielkim teoretykiem lekarzem, a nie wiedzieć jak sobie począć przy łóżku chorego. Niechajże ktoś pływa, jeździ na koniu lub rąbie się wedle książki, nie mając żadnej w tym względzie wprawy!

Takowe teorye estetyczne mogą dać ogólne i trafne

nawet wyobrażenie, ale odstępują nas, skoro istotnie przyjdzie wykonać dzieło sztuki, wymagającej koniecznie wprawy i nałożenia się, a przedewszystkiém wrodzonej twórczej potęgi. Że teoretycy tego rodzaju tu i ówdzie u nas się plączą, poznasz ze zdań ogólnych, z ckliwych frazesów ustnych i pisanych, jeżeli chodzi o ocenienie czyli to poematu, czy posągu, muzyki, obrazu, gry scenicznej i t. d. choć te pięknie brzmiące formuły są nawet najczęściej bez rozumowania i oznaką czczego umysłu.

Przeczystawszy to wszystko, com ci dziś napisał, powiesz, że to są dawne rzeczy, bo od wieków ludzie już wiedzą, że do sztuk pięknych potrzeba i natchnienia i prawideł, że się jedno bez drugiego nie obejdzie; i że znów prawidła, jak nie powinny opierać się na samych tylko wzorach i obcej powadze, bez własnej samoistności rozumu, tak i nawzajem nie powinny być rozumowaniem gołym bez wdania się w szczegóły, nastreżone nam pracą wielkich mistrzów. Przyznaję, że to są dawne zasady wypływające już nawet z gołego rozsądku, ale cóż, kiedy w rzeczywistości widzimy, iż mało kto tego zbawiennego środka się trzyma; wszędzie i zawsze znajdziesz postępowanie wręcz mu przeciwne. Jestem przekonany, iżbyśmy mniej mieli maroderów, pozostałych z owiej wojny mniemanych klasyków i tak zwanych romantyków, gdyby sobie jakoś do serca wzięto te pojęcia z samego wynikające rozsądku. Małoż to jest ludzi rozumiejących, iż byle przypatrzeć się jak inni robią, nabyć wprawy, potem już można samemu się do pracy; byleby schwycić na uczynku Corneliusa, gdy maluje, albo Thalberga, gdy palcami przebiera, a już można zostać wielkim malarzem, wielkim pianistą: jedno ci panowie zapomnieli,

iż sztuki piękne nie są rzemiosłem, i że czego innego jeszcze wymagają jak wprawy i mechanicznego wykonania, że potrzeba uświęcenia z góry, promienia z nieba, — natchnienia.

Ale nierównie liczniejszy do dziś dnia jest naród tych, co rozumieją, iż natchnienie samo, zwłaszcza w poezyi, zupełnie wystarcza, iż się obejdzie bez wzorów, że wszelkie naukowe przygotowania są zbyteczne, że byleby wydać, co w sercu żyje i pracuje, toć już się zostaje wielkim wieszczem. Dziwnie też to zdanie przypada do smaku tym, co sądzą, iż bez ślęczenia, jak powiadają, nad książkami, bez wielkich nauk, można być człowiekiem rozumnym, dowcipnym i bardzo przyzwoitym w świecie. Ci panowie niezmiernie się boją, by się nie stali przypadkiem, jak mówią „erudydami“, co by nie było zgodnem z ich powołaniem; ale niechaj się uspokoją, uczoność nikogo nie łowi, ani erudycya na nikogo nie poluje. Nie ma tedy żadnego dla nich niebezpieczeństwa, bo muzy są to harde panie, bardzo zadzierające noska; bardzo i bardzo trzeba się o nie starać, bardzo się im zalecać, by były na kogoś łaskawe, co nie lada tam komu się zdarza. Przecież takowe zdanie ma legiony zwolenników swoich, bo cóż miłszego, jak nie pracować, i młodość, jakby lazaroni jaki, spoczywając na gruzach wielkiej przeszłości w *dolce farniente* przepędzić, wiosnę życia swojego przehuczyć szumnie bąkiem, lub przeziwać ją na przypiecku tatusinym; a przedewszystkiem być wolnym od téj „nudnej i niepotrzebnej łaciny.“ Ludzie tacy pożywają i trawią dnie i lata żywota swojego, jak gąsienica pożywa liście i gałązki drzewa, które plugawi.

Jeżeli przyszły wieszcz nie spojrzy wstecz za siebie i nie potoczy w koło wzrokiem na świat, co go czaro-

wnym otacza wieńcem; jeżeli obojętny na prace olbrzymie przeszłych stuleciów, co niesłychaną boleścią, wśród krwawego potu, znosiły na barkach swoich ciosy do ogromnej budowy, na której stanął wiek nasz; jeżeli mądrość lat tysięcy, opłacona tyłu trudami i takim pasowaniem się milionów ludzi, będzie dla niego głuchą i wymietną łupiną; jeżeli nie trawił samotnie cichych nocy sam na sam z Bogiem i książkami, gdy świat inny wyższy wylewa na prace błogosławieństwo ducha; toć iście na nic się nie zda i natchnienie i zdolność, jakie z urodzenia może otrzymać. Bo gdy w duszy głucho i pusto, gdy rozum, w sobie biędny, nie wyrobił sił z siebie, toć i nie będzie prawdziwego natchnienia ale odurzenie szału; talent będzie się zataczał nie umiając panować nad sobą, ani o swęj mocy nie stanie, bo z ducha bez treści żaden się tęcz watek nie wysnuje.

Mylą się ci, co fundując się w zupełności na swym zapale, na owém tajemniczym miotaniu się ducha, rozumieją, iż to, co w nich robi, prze, już ich do sztuki uświęca, i byleby iskra talentu zaświeciła w człowieku wewnętrznym, już zajmie sobą całego ducha i buchnie płomieniem geniuszu. Wszak Göthe tak słusznie wyrzekł: „Sztuka jest sztuką! kto jej nie przeniknął do dna myślą, nie będzie nigdy mistrzem!“

Gdy w nowęj Europie poezya stargała dawne swoje pęta, wtedy wezbrała i zerwawszy brzegi swoje, rozlała się szeroko i rozswawoliła się do woli, nim znów wróciła do karbów prawdziwej piękności. U nas to nieco później nastąpiło, ba! ta epoka się u nas dziś jeszcze niezupełnie skończyła. Tu i ówdzie widzimy jakieś pieśni, poezye, pełne surowizny uczuć i myśli, wichrem

szалу oderwane od ziemi, co podrzeźniając wielkiemu przykładowi, unoszą się niby nad rzeczywistością, a choć same z siebie nie mają polotu, przecież same nazywają się orłami; zaiste są to orły, papierowe latawce, uwiązane na sznurki i puszczone z wiatrem ręką dziecka z fary. Im więcej nieładu w myślach, im więcej sprzeczności, im mniej rozsądku, tém niby mocniejszy zapal i szal. Lada kto woła: *est Deus in Nobis*, ale tym *Deus*, tém bóstwem dającym mu natchnienie nie jest zaprawdę Apollo, ale niższy jakiś bożek. — Rzekłbyś bowiem, czytając takie płody, iż tym panom wieszczom krynica kastalska na Węgrach płynie, i że to natchnienie ich jest natchnieniem greckich bachantek, nie laurowym ustrojonych wieńcem.

Powiedzą mi może, iż praca nad umiejętnością i czytaniem autorów odebrałaby im właściwe ich piętno i mogłaby zatracić indywidualność, odznaczającą ich od innych; jeżeli jednak ta indywidualność charakteru ma jakąś wartość, toć też nie zaginie i nie utonie w pracy, ale zawsze na wierzch wypłynie; a jeżeli przeciwnie, nie obroni się obcym wpływom i przewadze wielkich wzorów, toć niechaj jej nie żałują, boć zaiste nie ważyła wiele, a szkoda niezbyt bolesna. Cóżby sądzili o wartości moralnej jakieś pani, niechęcej bywać w świecie, by nie naraziła słusznie *reputacyi* swojej?

Jednym z głównych warunków każdego artysty jest ukształcenie naukowe. A im wyraźniej duch w sztuce jakieś z siebie się rozwija, im jaśniej wyświeca istotę swoją wewnętrzną, tém bogaciej naukami uposażony być winien. Tak muzyka jest właśnie tą sztuką, w której on najmniej jasno o sobie przemawia; w niej jakby hieroglifami tonów za mgłą jeszcze i pod zagadką uczu-

cia swe rodzi; dla tego też sztuka ta mniej niż wszystkie inne wymaga udoskonalenia umysłowego; z tej przyczyny też ona już w młodym wieku może być do wysokiego stopnia doprowadzona, gdy władze rozumowe zamknięte są jeszcze w pączku. Wszak widzimy nawet ludzi z miernymi zdolnościami dowcipu, a jednak odznaczających się mistrzostwem w muzyce.

Ale architekt, co patrząc się na wielkie pomniki świata, przez nie niby wgląda w serce wieków i narodów; ale rzeźbiarz, do którego marmurowe bohaterzy i bogi o piękności przemawiają, nie obejdą się bez nauki. I malarz, choćby był niepospolitego talentu, bez wiadomości i nauk utworzy jedynie idealizowane kopie natury, a najwyższego kwiatu swjej sztuki, bo malarstwa historycznego i religijnego, nigdy nie osiągnie. A cóż dopiéro powiedzieć o poezyi używającej nie tonów, nie marmurów lub barwy, ale najduchowniejszego narzędzia, bo mowy, do wyrażenia tego, co wre i kipi w duchu!

Atoli o wszystkich pierwiastkach i potęgach, które się znaleźć winny w mistrzu, we wieszczu, mówić będziemy w osobnych listach, w których też ten przedmiot tak ważny dokładniej rozbierzemy. Tutaj powtórzmy sobie wypadki ostateczne niniejszego listu naszego. Zaiste gołe prawidła, czyli one będą czerpane z wielkich wzorów przeszłości, czyli będą wprost wyrozumowane z zasad filozoficznych, będą tak niedostateczne jak usposobienie przyrodzone, jeżeli nie będzie wykształcone zapatrywaniem się na dzieła sztuki które nam po zmarłych wiekach zostawili arcymistrzowie piękności. A przedewszystkiem zdaje się być potrzebą, zwłaszcza u nas konieczną, aby zwrócić uwagę młodych artystów i uczniów, by nie wazyli sobie lekce udoskonalenia rozu-

mowego, co z prac naukowych płynie; umiejętności niechaj będą pierwszą jego geniuszu kąpielą; gdy się na nich wyrobi, zaprawi, uszlachetni, już i silnie urosną skrzydła natchnienia jego. Gdy pozna, co się wielkiego na Ziemi i na Niebie święci, gdy przeczuje, co na dnie ogromnych wydarzeń tętni i żyje, gdy zawsze pozna godzinę na wielkim zegarze świata, a przybytek myśli jego z bogaci się całą treścią wieków; wtedy, jeżeli istotnie przeznaczony na wieszczą, przyjdzie chwila, co jakby grom Boży spadnie na duch jego, i tam tysiące światła na chwałę Nieba zapali.

LIST IV.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury.

Panowanie świata materyjalnego nad duchem. — Sztuka nie jest kopiowaniem natury. — Wielkie dzieła natury. — Stosunek rzetelny sztuki do natury. — Dwa pierwiastki koniecznie objęte w każdym dziele sztuki. — Różnica między prawdziwymi dziełami sztuki, a dziełem będącym naśladowaniem natury. — Wrażenie, jakie te ostatnie na nas czynią. — Zofiówka — figury woskowe, udawanie zwierząt. — Wyznanie, iż sztuka ma prawo przebierania w dziełach sztuki. — Natura w swych najwyższych pięknościach jest ukrytą dla sztuki. — Przykłady. — Przestrzeń niebios. — Puszcze pierwotne i ich cuda. — Natura przedpotopowa. — Piękność natury i piękność sztuki. — Lubo sztuka nie może być naśladowaniem natury, przecież poznanie téj natury jest ogromnej wagi dla ducha człowieka.

Od chwili stania się Boga człowiekiem, materya i natura jest jedynie naczyniem duchowém.

W Grudniu 1841.

Znów tedy wróciła zima, owa stara niańka północy, by naturę znękaną skwarem i wysileniem lata po dawnemu ukołysać do nocnego spoczynku; pokryła ją czarnych chmur namiotem i, niby prawiąc jéj czarodziejskie Arabii powieści, obsypała smutne drzewa, jakby kwiatem grudniowym, srebrną bielą szronu; ich kity wysadziła ca-

łém bogactwem wschodnich klejnotów, daje im za tło ciemne nasze niebo, by tém piękniej błyszcząły i zagrały brylantem w mroźném słońcu naszém. Bając nam żarty o wiosnie, rysuje na szybach okien gałązki, gaje, tak dziwnój, czarownój i drwiącój postaci, jakby widma powojów i palm amerykańskiej puszczy — z innego świata goście. Na miejsce dnia życia, nastąpiło państwo martwe kryształów i ślepych żywiołów walka; a kiedy noc roztoczy się królestwem swoim, już też wtedy zima w całej swój poezyi; jakby sny śpiącój natury ciągną się po ziemi i plątają różnokształtne mary bałamutnej mgły; wszystko śni i drzemie; niebo samo tém jaśniej czuwa i tak świetnie, tak pilnie gwiazdami swojemi na nas patrzy, iżbyś rzekł, że to oczy wielkich ludzi z dawnych lat, co z wiekuistości na Ziemię oglądają i onój strzegą.

Im ciszej atoli w około nas, im samotniej w naturze, im w głębszym uspieniu świat fizyczny, tém potężniej budzi się życie wewnętrzne człowieka: świat duchowy, wycofnąwszy się z zewnątrz w siebie, jakby w ognisku gromadzi wszystkie promienie swój potęgi, aż rozgoreje w sobie i cichym płomieniem myśli zaświeci.

Im silniej się duch wzmoże, tém już słabsze ma nad nim świat zmysłowy panowanie. War namiętności traci siły przy jasnym przebudzeniu się rozumu. I ludy bowiem dzikie, idioty i dzieci, powodowane jedynie naturą zwierzęcą, stoją jakby w kole zaczarowanym zmysłów, oddane na oślep ich przemocy; sam tylko wzrost i ukształcenie umysłu zdoła zakląć te czary, i usamowolnić człowieka z pod ich władzy. Człowiek natury tak jest obrzydliwym, jak człowiek zepsuty; tamten

idzie wprost za jęj chucią, ten ją przekręca i majaczy. Peszeres maluczkiego ducha, mieszkający jakby wygnaniec świata na szarym końcu Ameryki, tak jest przerażającym i smętnym widokiem, jak paryżanin z czasów Regencyi; tamten niby sfinx zagadkowy natury, na poły zwierzem, nie przeczuwa nawet jeszcze wysokiej zacności człowieka, ten ją już zapomniał, przemarnił i w karykaturę obrócił. Ani stan dziki natury, ani stan zepsucia, choć tak różne są od siebie, nie sprzyjają bynajmniej rozwojowi sztuki pięknej.

Są przecież w dziejach ludzkich czasy, w których sztuka jest tylko naśladowaniem natury prostém jęj kopiowaniem. To zjawisko miewa atoli różne powody w ludzkiej historii. Najczęściej rodziło się w epokach wolnych wprawdzie już od pierwotnej dzikości, w których wszelako życie duchowe, wewnętrzne, idealne mniej było rozwinięte, a natomiast życie zmysłowe, zewnętrzne, praktyczne przeważało w świecie; w takich czasach nastaje definicya, że sztuka piękna jest naśladowaniem natury. Jakoż po dziś dzień tu i ówdzie ta definicya uchodzi jeszcze za prawdziwą, lecz już z innych powodów; bo jeżeli w najnowszych czasach odzywają się głosy nakazujące artystom kopiować naturę, toć to poszło stąd, że zaledwie przeminęła epoka, w której sztuka, poniewierając formami natury i zdrowym rozsądkiem, paczyła czyste formy piękności. Nie dziw tedy, że świat, ze wstrętem odwracając się od tych gwałtów dokonanych w państwie sztuki, rzucił się w objęcie przyrody i jęj się zupełnie powierzył. Tak przeto upowszechniło się zdanie, jakoby najwyższą zaletą artysty było naśladowanie natury. Lubo zaś one czasy jałowych form przeminęły, zostało przecież to zdanie; przechodzi z ust do

ust, mając obieg między ludźmi, jak owa stara wytarta moneta, co choć już bez wewnętrznej wartości swojej, ma przecież jeszcze wiarę nałogową ludu, boć się jój mało kto bliżej przypatrzył.

Już nawet z ostatnich dwóch listów moich wypływa, iż sztuka, będąc najpiękniejszym kwiatem samodzielnego ducha, z głębi istoty naszej wyrasta, musi tedy być czémś więcej, niż prostém puszczeniem się śladem natury. Przecież mniemanie takowe ma tak licznych stronników swoich, iż mi pozwolić zechcesz, abym nieco obszerniej tę całą rzecz rozebrał. Jakoż jasne porozumienie się wzajemne, co do pojmowania stosunku sztuki do Natury, jest najważniejszym warunkiem całego dalszego wątku naszego.

Nikt nie przeczy, iż sztuka piękna była nauczycielką ludów i karmicielką wysokich myśli i uczuć prawdziwie człowieczych; gdyby tedy ona była prostém natury naśladowaniem, rzecz jawna, iżby same dzieła natury były potężniejszym środkiem do tego celu, niż dzieła sztuki. Na cóż byśmy więc mieli tworzyć z całym mozołem i poświęceniem naszym to, co już przyroda sama tak sutą, tak wielką odmierzyła nam miarą. Czyliż mogłaby już praca być mniej pożyteczna i mniej potrzebna?

Odwiedźno te nasze Tatry, zapuść się w serce tych olbrzymich grodów natury, a wnet odstąpią myśli porównywające sztukę i przyrodę. Pożegnaj społeczność ludzi, co tętni życiem i ciepłem w dolinie, porzuć sioła i kołyszące się błogosławieństwem zbożne łany, a wstąp na ostrze Łomnickiej iglicy, na najwyższy szczyt Krępaku, wspinając się po piętrach coraz wznioślejszych, przedrzyj się przez wszystkie szczeble coraz biedniejszej, coraz niższej roślinności. Przebywszy bory cie-

mněj sosny, wyżėj dosięgnij krzewów karłowatėj brzo-
 zy, wyżėj jeszcze granice najwznieślejszych polan, zo-
 staw następnie pod sobą państwo czarnej kosodrzewiny
 o rozkręconych warkoczach, następnie ostatnie smugi
 traw zielonych, a staniesz w smutnej ojczyźnie gład-
 kich i suchych mchów i pierwotnych porostów, kędy po-
 czyna się grobowe samowładztwo martwego kamienia.
 Wkoło dźwigają się stos na stosie gruzy ogromnych bał-
 wanów granitowych — głuchego zniszczenia obraz. Roz-
 tworzą ci się zewsząd niby ulice, niby labiryntne bu-
 dowania, place i ściany roztrzęsionego miasta Gigantów,
 a wszędzie cisza śmiertelna, jakby u grobu natury. Ni
 tu kwiatek zabłyśnie, ni listek zaszeleści, wszelki głos
 tu zamarł i został gdzieś w głębi. Od czasu do czasu
 tylko usłyszysz martwy i trupi łoskot; jest to skała
 granitowa, co, urwawszy się z posady swėj. w podskoki
 szalone podbijając się niby rykoszetem, coraz chyżej
 pędzi, i warcząc przepada w otchłaniach; porywa w swym
 polocie do okropnej podróży tłumy skalnych ułomów,
 góra się poruszyła, odezwała się głuchym przytłumio-
 nym grzmotem — i znów ucichła. Znowu natura
 w koło oniemiała, a ta cisza, niby zimną ręką śmierci,
 okryła serce; bo to milczenie głębokie straszniejsze niż
 głos grożących piorunów na ziemi. Spinaj się wyżej a
 wyżej po urwiskach sterczących i stromych upłazach, aż
 cię kołem obstąpią, niby straszydła niebosiężne, szczyty
 bure Tatrów, syny innėj natury, co je zrodziła wśród
 mąk i cierpień ziemia nasza, i wśród wywrotów całej
 świata dzielnicy. Te szczyty zrosłe u dołu kotliną
 czarną, pokryte śniegów płachtą niby koszulą śmiertelną,
 bo tu skonanie wszelkiego żywota, i ciemno wiecznie i
 wiecznie zimno. Gdy po długiej fizycznej pracy, po

twardszym jeszcze trudzie duszy, staniesz wreszcie na samém ostrzu łomnickiém, świat nowy, dziwny i straszny obejmie cię sobą. W głębiach pod tobą przeciągają chmury i pokryły sobą ziemię całą niby morzem nieprzejrzaném, a miotane oddechem wiatru, igrają falą i wzdymają się jakby oceanu wody. Turnie sterczą z chmur, jak wyspy wśród łona powodzi.

Wrychle wiatry tu i ówdzie przedarły obłoków opo-
nę, a po przez te szczeliny, jakby przez okna, widzisz w przepaści płatami świat zielony, rokoszny. Teraz rozstąpiły się chmury, spadła zasłona ze sceny stworzenia, a już jakby mappą na dnie otchłani roztaczają się całe kraje, narzucone tkanicą, srebrną siatką rzek; zdala, na rąbku północnym widnokręgu, świeci się stary Kraków nasz. Kręchy ciemniejsze, tu i ówdzie rozsypane, znaczą porozrzucane szmatami bory, a w kropki i plamki bezkształtne spłynęły mieszkania ludzi, siola i miasta. Wszystko w głębi pozostało, i życie ludzi, i ok morskich gromady, i kosodrzewiny i zwierzęta i rośliny, i trop dzikiej kozy i gniazda tatrzańskich orłów, i wszystko przepadło w toni głębokiej, przepadło życie i śmierć, radość i żal, śmiechy i westchnienia. Tu sam jeden Bóg mieszka na majestacie swoim; sąsiadujesz z gwiazdami, a dwie otchłanie objęły cię sobą; tam Ziemia gdzieś tonie pod tobą, tu sklepi się bezdno błękitów niebiańskich. Dech wiekuistości powiewa ochłodą, a przecucie nieśmiertelnej istoty twej wzmaga się w piersiach, i tysiączne, dotychczas drżemiące w duszy, głosy budzą się hymnem zmartwychwstania; żywot tuteczny znika z oczu i wyciera się z pamięci; coś w ciągu lat twoich przeżył, przemarzył, przecierpiał, toć jest teraz jakby snem, — niby wieki całe rozdzielają cię

od dnia wczorajszego. Zdaje ci się tutaj, jakbyś już przeżył chwilę skonania twego i odprawił już tę najcięższą i ostatnią pracę, i jakbyś tu teraz ocucił się z długiego snu grobowego, i przez wspomnień srzężogę patrzył się na lata twoje upłynione na ziemi, co jéno słabo jeszcze brzmią w sercu niby głosy dalekiej muzyki. Wszystko co doczesne w głębi pozostało, srebrne tylko obłoki wznoszą się nad Ziemią, niby dymy ofiarnych kadzideł; posyła je świat ku Niebu jako modlitwy dziękczynienia i zrekowiny swoje z Bogiem.

Mamyż się jeszcze w myśli postawić na śnieżnych czubach wiekuistój Himalai, czy na lodowych Andów lub Alpów rogalu? kędy atmosfera rzadka, misterna, nieza-farbowana więcej błękitną barwą, ale gdzie na miejsce łazurów niebiańskich już czarny i ciemny eter rozpostarł się na oném przestworzu wiekuistém świata, a twarz słońca i gwiazdy wszystkie palą się czerwonym ogniem?

Jeżeli człowiek, zapomniawszy o wątłych siłach swoich cielesnych, pracowaniem fizyczném zechce się mierzyć z olbrzymią potęgą natury, już téż stanie się podobnym do owych nieszczęśliwych podupadłych na rozumie i wystawionych tak po mistrzowsku w onym obrazku Hogartha, kędy biedak jeden, marząc na jawie i położywszy sobie szpargał starych nót na głowie, rozumie że jest wielkim kompozytorem. Tam znów drugi, w łaźnym obłędzie, zamknięty w ciasnej ciemnicy, nagi, drżący od zimna, wyschły w szkielet, przykuty łańcuchem, siedząc na garści słomy, trzyma patyk w ręku, a opasał sobie zwiędłe czoło papierem, marzy że jest królem, cesarzem, i żąda poszanowania i czci.

Tak się też dzieje, jeżeli sztuka wypuści z pamięci prawdziwe powołanie swoje, i jeżeli się pokusi pracowa-

niem cielesnym naśladować naturę, zawsze w takich rzeczach spaczy się w sobie i skręci. Jeżeli zaś sztuka pamiętać będzie, że jest pierworodną ducha córą; że ona z nadgwiazdnych światów ród swój wie, jeżeli rozgoreje zacnym uznaniem siebie, już wtedy urosnie w olbrzymia, przerośnie naturę i wszelkie jej sprawy. Bo zaprawdę, drogi przyjacielu mój, choć ogromne i majestatu pełne są dzieła natury, szlachetniejsze atoli jeszcze są dzieła z ducha płynące. Zaiste, wysokie są Alpów i Tatrów przyczółki, ale wyżej sięgają zacne człowieka sprawy. Gwiazdy goreją chwałą Boga na Niebie, ale piękniejszą Jego chwałą są czyny wielkich ludzi na Ziemi; wszak te jak i tamte z łaski Bożej się dzieją. Bóg promieniem swym wiekuistym mądrości, przeświecając świat materji, zapala go życiem jestestw milionów; ale gdy przejmie sobą ono najwyższe i ostatnie dzieło swoje, bo ducha człowieczego, wtedy już promień światłości Jego, jakby słońce przez pryzma kryształowe puszczone, zajaśnieje złotymi barwami tęczy, i odradza się w duchu człowieka nową wspaniałością, bo zaświeci *wiarą, pięknnością i mądrością*. Co człowiek zacnego i wielkiego sprawi, sprawi to błogosławieństwem nieba.

Przedewszystkiemi atoli chciej rzucić okiem na istotę sztuki i istotę natury, a już stosunek ich wzajemny i ich różnice na jaw wystąpią. Jeżeli bowiem sztuki piękne są myślą i córami ducha naszego, wcielonego w materję, już jasno znać, iż świat fizyczny dostarczać winien sztuce osnowy swojej, i niby materyjalnej przyrodziwy. Pożycza on jej dźwięku, tonów, marmurów. ciosów, metalów, barwy, a nadewszystko pożycza kształtów jestestw przyrodzonych, zjawisk i scen swoich; a sztuka, używszy tych materyałów, występuje z dziełami architektury,

rzeźby, malarstwa, muzyki i poezji. Temu przeczyć nie można, ale tę prawdę wzięto mylnie za drugą i pomieszano ją z zasadą, jakoby sztuka piękna naśladowała naturę. Bo co innego zupełnie jest wyjawiać pracę duchową sposobem zmysłowym, a co innego brać sobie za wzór ostateczny jestestwa w naturze istniejącej. Co więcej, jeżeli mowa w sztuce o naśladowaniu natury, tedy można mieć tylko na oku rzeźbę i malarstwo; bo te niby pożyczają sobie kształtów z natury tworząc kształty ludzkie i zwierzęce, okolice, knieje i wody, niebo i skały, chociaż i tutaj posąg i obraz jest czémś więcej niż gołem naśladowaniem natury, jak obaczymy poniżej. Ale jakże zrozumieć, iż architektura i muzyka naśladuje naturę? czémże mają być te nasze grody i tury, ich sklepienia wsparte na słupach gotyckich; czyliż, jak niektórzy rozumieją, przypominać one mają puszcze i święte gaje, owe pierwsze przybytki dzikiej Europy? — Bądź pewień, że one były jakby gąbką wymazane z ludzkiej pamięci w czasie, gdy stawiono Mynster strasburski lub nasz kościół Maryacki. Jakież głosy w naturze ma naśladować muzyka? czyliż ona udaje może wichru gawory w drzewach, ptaków szczebiotanie, lub ryk rozhukanych bałwanów? — sam wiesz, jak dziecinne i małej wartości są te kompozycye, co to tonami udają to bitwy z hukiem dział, to burze z piorunami, grzmotami, dęszcem i innym przydatkiem. A co do poezji, tu jeszcze mniej można mówić o naśladowaniu natury. Jeden rodzaj poezji, to jest opisowy, może być niby najwięcej z tą naturą fizyczną w stosunku; ale on właśnie opisuje tylko naturę, ale jęj nie udaje, nie naśladuje wcale. Pamiętam, — gdy w szkołach byłem, — czytywano nam na wzór z Wirgiliusza i Buffona obraz

konia, i kazano nam uważać, jak tu słowa, nawet ich brzmienie i miara naśladowują furkanie, świstanie, stąpanie i rżenie rumaka; mnie się zaś zdawało, iż lepiej, niż te wszystkie sztuczne opisy, udaje konia długouchy kuzynek jego. Ale w jakichże stosunkach jest dramat, lira, komedia ze światem fizycznym? One zaiste zupełnie ze światem duchowym, z istotą umysłową człowieka są połączone. Można wprawdzie mówić, iż ten charakter romansu lub dramatu nie zgadza się z naturą, tak jak mówić można, że gra tego lub owego artysty dramatycznego nie jest naturalną; jednak zdanie takowe jedynie jest sposobem mówienia, bo tu pod wyrazem *Natura*, *naturalny* uważamy raczej zgodność z prawdą duchową a nie ze światem fizycznym, materyalnym, to jest z naturą fizyczną, z naturą w ścisłym znaczeniu. Chociaż, jak obaczmy później, sztuka także bynajmniej nie ma celu, by i pod względem umysłowym rzeczywistość kopiować, by ludzi i pod względem ich umysłowego charakteru żywcem brać z rzeczywistego świata i przenosić do dzieła sztuki. Ale wróćmy do przedmiotu.

Choćbyśmy tedy mieli już prawo pominąć architekturę, muzykę i poezję, dowodząc jedynie, iż malarstwo i rzeźba są czémś więcej jak naśladowaniem natury, wszakoż błędność zdania tego wypływa nawet z rozumowania ogólnego nad istotą sztuki, nie czyniąc tymczasem żadnej różnicy między sztukami w szczególności, choć nam rzeźba i malarstwo z natury swój najtrafniejszych użyć przykładow.

Jak człowiek w sobie wzięty nie jest samym martwym zbiorem członków i części ciała, ale w obliczu jego, w oczach, w grze ogólnej jego osoby znać obecność ducha i właściwość jego charakteru, rozlaną po

harmonii całej istoty jego, tak przez dzieła sztuki, przez ich formę zmysłową, niby przez ich ciało, przegląda duch mistrza. W każdym tedy dziele sztuki dwa są pierwiastki; jeden zmysłowy, a drugi duchowy; jak to już w drugim liście powiedziałem. — Patrz na obraz, zrodzony pod pędzlem *Salvatora Rozy*; tu na płótnie, na łokciowej przestrzeni, na równej płaszczyźnie zamknięte sa wprawdzie piękności tajemnicze natury, w całej ich grozie: ale krom tego jest jeszcze jeden pierwiastek, którego rzeczywistej naturze brakuje — jest to duch mistrza sobie przytomny. Te malowane góry, skały, obłoki, urwiska, knieje i potoki, choć z natury wzięte, odrodziły się na nowo w duszy wielkiego mistrza, skąpały w jej toniach, uduchowiały się, przeszły wskrós jego myślą, a tak wystąpiły na jaw. Kopiował on, lecz nie tę rzeczywistą, materyalną naturę, którą widział cielesnemi oczyma swojemi, ale kopiował obraz jej, jej widmo, jakie mu duch zrodził i jakie w duchu swoim ujrzał; widziadło to stanęło przed oczyma duszy jego, uchwycił je farbami i rysunkiem na płótnie wcielił. A dzieło jego właśnie dla tego ma wielką wartość swoją, iż nie jest kopią natury. Tak malował okolice *Rubens*, *Poussin*, *Claude Lorrain*, *Ruisdael*, *Józef Vernet* i wielu innych świetnych talentów; tak maluje nasz *Głowacki Tatory*. Dzieła ich tem się różnią od prac mających li za cel wierne oddanie natury, iż jak te są prosto widokiem okolic (*vue — veduta*), tamte raczej są widokiem w duchu samego mistrza. Patrząc się na widoki malowane, zajmuje nas nie mistrz ale rzecz, ale przedmiot, to jest okolica, którą obraz wystawia, i najczęściej nie pytamy wcale o malarza; w onych zaś dziełach mistrzów mniej, albo wcale nie zajmuje nas przedmiot, bo obraz

wyobrazić może kilka biędnych krzaków, potok z mostkiem i kilka krów, ale podziwiamy mistrza.

Podobnie widzieć możemy najpyszniejsze wydanie historii naturalnej z wybornemi wizerunkami zwierząt, ptaków, kwiatów; te wizerunki będą nas o tyle obchodziły, o ile wiernie naśladowują naturę, o ile nas ta natura sama zajmuje, a w robocie chwalić może będziemy czystość i dokładność technicznego wykonania. Ale gdy ci *Hondekoeter* lub *Snyders* maluje zwierzęta i ptactwo, gdy staniesz przed malowanemi kwiatami *Jana Breughel* lub *Racheli Ruysch*, porwany będziesz nie już przedmiotami, które ci mistrz przedstawia i ich treścią, ale genialnością jego. Powód tego bardzo jasny, bo obrazy w historii naturalnej i one widoki rzeczywistych okolic mają za cel jedyny oddać ci naturę jaka jest, więc téż ona tutaj jest przedmiotem, który cię głównie zajmuje; a odwrotnie *Poussin*, *Claude Lorrain*, *Hondekoeter*, roztwierając ci tajniki własnego ducha swojego, używają tylko natury za środek, za kanwę. Tu nie chodzi o treść, ale o sztukę mistrzów wyjawiającą się tym przedmiotem. Dla tego téż ich roboty do sztuki pięknej należą; obrazki zaś w historii naturalnej i widoki nie należą do dzieł sztuki, są one tylko pomocą dla nauk, nie są pojmowaniem natury artystycznym, ale naukowym, prozaicznym.

Kto zrozumieć nie może, co to jest pojmowanie artystyczne natury i jak wielka różnica między poetycznym a prozaicznym zapatrywaniem się na okolice, niechaj tylko się zakocha, a iście zaraz pozna różnicę tę; natura nagle się dla niego przeobrazi, uduchowni. Wszędzie, gdzie kochanie swoje widywał, gdzie miłość jego chodziła i natura się zmieni i odzieje się światłem i

barwą duszy jego; jakże mu będą gaworzyć drzewa, rozmawiać potoki, świecić niebo, a krzak każdy, drzewo każde odzieje się poezją; świat w około ożywi się „lek-
 „kim gnomów i sylfidów narodem; zrozumie ptaków
 „pogadanki, mienienie się złotych promieni w liściach
 „zielonych, zgadnie postacie fantastyczne obłoków, pod-
 „słucha cichy sen księżycy drzemiącego na pagórach“,
 będzie miał oczy i uczucia artysty, A kto tego wszyst-
 kiego sam jeszcze nie doświadczył, niechaj tymczasem,
 nim na niego kréska przyjdzie, przeczyta, jeżeli może,
 owe tęsknoty pisane i drukowane młodych naszych poe-
 tów, z których jeden radby być wazonikiem na *jej* oknie,
 drugi w ciekawej miłości franką u *jej* łóżka, a trzeci
 jakimś bladym promieniem księżycy na *jej* podłodze, lub
 kanarkiem w klatce, i Bóg wie nie czém.

Jeżeli nie może być powołaniem sztuki, aby była
 kopia natury, wypływa z tego, iż wszelkie udawanie
 natury trąci śmiesznością i wzbudza wstręt i obrzydzenie.
 Do czego zaś kuszenie się takowe i podrzeźnianie
 natury prowadzi, już to najlepiej poznasz nie tak z dzieł
 sztuki, jak z innych prac ludzkich, mających istotnie
 udawanie natury na celu. Dość ci będzie przypomnieć
 one skały na taczkach zwiezione, one grotty wysadzone
 muszlami, i kaskady sztuczne, jeziora, któremi to niby
 zdobili ogrody swoje, a podobno, jak słyhać, jeszcze
 tam gdzie zdołają. Podrzeźnianie takowe natury jest
 zawsze ckiwe i zdradza wielkie barbarzyństwo myśli;
 bo jeżeli roboty takie są drobiazgowo, wzbudzić mogą
 uśmiech; jeżeli poczynione na wielką stopę, wzniesają
 wstręt, nie wyjąwszy Zofijówki, tak Trembeckiego za-
 chwycającej; bo czy małe, czy wielkie są takowe dzieła,
 brakuje im właśnie tego, coby ich urok stanowiło, to

jest, iż są dziełem rąk ludzkich, a nie natury. Lecz co więcej, im bardziej się zbliży dzieło człowieka do natury, im ją wierniej kopiować zdoła, tém téż przykrzejsze będzie wrażenie, jakie sprawi na umyśle naszym. Wizerunki i portrety, trafione z najdokładniejszą wiernością, są nawet obrzydliwe w tém podobieństwie swoim.

Wstąp do galeryi choćby najwyborniejszych figur woskowych, a znajdziesz tu wypukłości form jak w rzeźbie, i barwy rozmaitość jak w malarstwie; obie te sztuki są tutaj zjednoczone, a przecież obie razem zrodziły tylko ironią życia i śmierci: są to drwiny z umarłych i z żywych zarazem. Czém one są istotnie, najtrafniej poznasz, przypatrując się wrażeniom, jakie czynią na dzieciach i osobach mniej nawykłych do podobnych widowisk. Z jakąż nieśmiałością, z jakimże skrępowaniem duszy i wyrazów przypatrują się tym sławnym politykom, wodzom, autorom i rozbojnikom; widzowie znajdują się jakby pod wpływem nocnej zmory. Rzekłbyś, iż tu upiory różnych narodów i wieków zbiegły się na jakies sejmy swoje. Nie jest téż milszy on szereg konnych królów angielskich ustawionych w korytarzu Toweru, lub ona woskowa królowa Elżbieta, przechowywana w szklanych kuferkach po różnych miejscach Londynu, lub kurfirszy saskie w zbrojowni drezdeńskiej; lecz te wszystkie mają przecież jeszcze znaczenie pamiątki; czém inném także są preparaty anatomiczne z wosku, bo tu nie chodzi o pięknosć, o estetyczność, ale o naukę będącą głównym ich celem.

Może w téj chwili przychodzą ci na myśl owe figury drewniane średniowiekowego snycerstwa a pomalowane barwami, i przypominasz mi może arcydzieło naszego

Wita Stwosza na wielkim ołtarzu maryjackiego kościoła w mieście naszym, co również łączy snycerstwo z malarstwem, a przecież nie tylko nie wzbudza wstrętu, ale jest najwyższego wdzięku obrazem? Chętnie wyznaję, że ta grupa świętych postaci, stworzona ręką genialnego mistrza, jest pełna najwyższej a rzewnej piękności, że patrząc się na te figury, jakieś dziwne nadziemskie tchnienie idzie na lud, co tu pokoleniem po pokoleniach składał cześć Boga-Rodzicy, modląc się do niej z serca i powierzając jej głębokie duszy tęsknoty, boleści i nadzieje swoje. Na to chętnie się zgadzam; ale bo też jest ogromna różnica między widokiem figur woskowych a tém dziełem starego mistrza; w niém zaprawdę powiewa dech chrześcijańskiej sztuki: lecz o tej sztuce i o tej pracy obszerniej jeszcze powiemy w innym liście, gdy nam wypadnie bliżej rozebrać istotę romantycznych stuleciów.

Są ludzie mający osobliwą zdolność i ochotę udawania zwierząt; naśladują np. pianie kogucie, ryk bydła, miauk koci, ruchy wiéwiórki i t. d. Za pierwszą razą udawanie takie może rozśmieszyć, ale później stanie się ekliwém. Dla tego póki będziesz naprzykład przypisywał istotnie pianie kogutowi, głos ten nie będzie miał nic w sobie przykrego, skoro się atoli przekonasz, iż to człowiek pieje a nie kur, wnet sprzykrzysz sobie te sztuki i zechcesz się czém rychléj uwolnić z ich sąsiedztwa. Dla czego widok małpy i jej obyczajów taki sprawia nam wstręt, którego do innych zwierząt nie czujemy wcale? oto właśnie dla tego, iż ciało małpy przypomina człowieka, gdy tymczasem dusza jej jest zwierzęca w całej bezecności swojej, jest to wydrzeźnienie i paskwil na naturę ludzką. Nie dziw iż genialny

Retsch, rysując scenę do Mackbetha Shakspearowego, użył małych postaci do maszkarów szatańskich. Kto zechce mieć wierną kopią natury, może tego dokazać prostą technicznością bezduszną; niechaj sobie zdejmie maskę gipsową z umarłego lub z żywego człowieka podającego się téj operacyi; może go téż chemia zastąpić, niech tylko daguerrotyp nadstawi naturze, a złowi ją żywcem jakby rybę w saku. Wiész dobrze, iż po wynalezieniu téj maszyny, tak bogatęj w skutki, byli tacy, co obaczywszy mikroskopową dokładność jęj płodów, już radzi byli zaśpięwać wieczne odpocznienie malarstwu, nie zważając włąśnie, iż daguerrotyp zabił tylko kopiistów a nie istotnych malarzy, jak wynalazek druku zabił przepisowców a nie autorów.

Najtrafniejszy wizerunek jakiejś twarzy, wymuskany z największą dokładnością i pracą, z udaniem każdego włoska, nieskończenie mniejszą ma wartość, jak kilka zarysów wielkiego mistrza, pociągnionych węglem na ścianie, lub genialne skice Piotra Michałowskiego. Niedawno widziałem przesliczny zbiór rysunków Rafaela; zarisy niby z niechcenia tylko piórem i tuszem rzucone, a jednak tam widzisz improwizacyą ducha gorejącego ogniem bożym. Na jednym zwłaszcza półarkuszu jest kilka pomysłów do obrazu Madonny. Znac jak dusza mistrza natchniona rośnie, wzmagą się w sobie, każdy pomysł zradza następny, pełniejszy, bogatszy, formy coraz przejrzystsze, świętsze i wolniejsze od powłoki zmysłowej; rzekłbyś, iż, gdy je Sanzio kreślił, słuchoł pieśni niebiańskich, co na skrzydłach cherubinowych spuszczały się z gwiazd na ziemię; a były te śpięwy coraz silniejsze, bliższe a bliższe, aż ogarnąwszy powodzią harmonii duszę jego, uniosły go z sobą ku Niebu,

kędy przez rozsunioną obłoków oponę ujrzał oblicze Królowej Nieba Boga-Rodzicy.

Tak wszędzie i zawsze znać, iż sztuka jest córą ducha, w najwyższych chwilach jestestwa jego poczętą, a nie zaś niewolnicą form narzuconych jęj od natury. — Zważ atoli, że z tęj prawdy, iż sztuka nie jest naśladowaniem natury, bynajmniej nie wypływa, jakoby ona mogła ważyć lekko sobie przyrodę i cały ten piękny Boży świat, co nas w koło otacza jakoby dramatem stworzenia. Wszak są rodzaje sztuki, których właśnie istota na tém zawisła, aby kształty natury zidealizować i unieść je w dziedzinę piękności. Takim rodzajem sztuki jest malarstwo i rzeźba, a nawet pod pewnym względem i poezya. Te to sztuki właśnie winny dokładnie poznać naturę, zrozumieć głębokie jęj tajemnice, pojąć jęj ruchy, życie i tętno. Bo jeżeli w sztuce prawda ma się powlekać kształtami przyrodzonymi, potrzeba tęż, żeby te formy nie były spaczony, ani kłamliwe, ale winny być rzetelne, to jest takie, jakie istotnie znajdują się w naturze. Jeżeli np. w obrazie mistrz, z braku zgłębnienia natury, chybi w perspektywie, kolorycie, anatomii, w rozdzieleniu światła i cieniów i tym podobnie, — toć takowe uzmysłowienie, same błędne będąc, nie zdoła godnie odpowiedzieć prawdziwości myśli. Treść czyli myśl wewnętrzna dzieła, sztuki, samą prawdą będąc, winna tęż mieć formę prawdziwą; dla tego więc mistrz, chcąc wydać myśl swoję pod formą zmysłową, znajdzie zawsze odpowiednią formę w naturze, bo jestestwa natury, jak i myśl prawdziwa, spólne mają źródło, — obie płyną z najwyższego rozumu.

Jeżeli zaś wiek jaki lub naród nie dobił się jeszcze prawdy, jeżeli nie ma jeszcze jasnej i ukończonyj w so-

bie wiedzy, jeżeli sam nie jest jeszcze świadom ducha swego, wtedy też myśli jego nie są prawdą, ale urojeniem; nie znajduje więc dla nich w świecie rzeczywistym, w naturze, form odpowiadających, ponatwarza postaci fantastycznych, dziwolężnych; świadkiem tego są owe rzeźby potworne bożyszczów indyjskich, owe wielorękie i wielogłowe poczwary, których nie ma w naturze, a które tak są kłamstwem jak jest kłamstwem myśl, którą one uzmysłowić mają. Przeciwnie u Greków, gdy myśl się wyrobiła, więc też wyraziła się we formie prawdziwej, bo w postaci jestestw rzeczywiście istniejących w świecie, zwłaszcza w postaci człowieczej. Inne formy zaś fantastyczne należą u nich do wyobrażeń pierwotnych i mają znaczenie symboliczne tylko.

Zechciej zresztą zważyć, iż gdyby jedynie o naśladowanie natury chodziło, jużby było zupełnie obojętném, jakiby był przedmiot natury do naśladowania wzięty; byleby tylko był dobrze udany, jużby też i dzieło było doskonałe. A przecież na to się nikt nie zgodzi, owszem każdy żądać będzie, aby mistrz przebierał i, co piękniejsze w naturze, za wzór sobie uważał. Otóż w żądaniu takowém już są dwie rzeczy zamknięte, na które uwagę twoją zwracam: naprzód, żeby w takim razie wszystko od wyboru przedmiotu zależało, który może być bardzo rozmaity; powtóre, żądanie takowe zawiera już i wyznaczenie, iż nie wszystko w naturze jest piękném i że tedy nie cała natura godna naśladowania; nareszcie, że i sąd o piękności przedmiotów do umysłu należy, że tedy duch człowieka w sobie ma próbię i miarę piękności, a tak mimowolnie już przyznana jest w sztukach wyższość ducha nad przyrodą. Jeżeli zaś człowiek w sztuce pięknej ma wybierać co jest najwznioślejszém

w naturze, wypływałoby znowu ztąd, iżby winien być w takim stosunku do natury, aby właśnie najogromniejszą jej stronę, najwyższą jej potęgę w całej świeżości jej uroku poznać mógł. Ale rzecz zupełnie przeciwnie się ma, bo właśnie najbogatsze skarby piękności przyrodzonej albo są z trudnością przystępne dla sztuki, albo też na zawsze zasłonięte przed śmiertelnymi oczyma ludzi. Jeden rzut oka na naturę wrychle nas o tém przekonać zdoła.

Człowiek, ciałem swém z prochu do ziemi przykuty, zdolen jedynie marzyć o przestworach niebiańskich, bez końca, początku i granic jak wieczność, kędy światów, słońc i planet tłumy bieżą niby pochodnie Boże po czarnym eterze, czerwonym jaśniejąc płomieniem. Na skrzydłach wyobraźni jedynie zdoła przelatywać to Królestwo Niebieskie, mijać tych gwiazd oceany, póki ziemia nasza wraz z księżycem swym nie zleje się w jedną świecącą kroplę, póki zupełnie nie utonie atomem w przepaści niebios. Nie daremnie to już Plato marzył o muzyce światów, o harmonii sfer. Ale pocóż rzucać się w te myśli zawroty? alboż to nasz własny planeta, owa matka ziemia, nie stroi się w klejnoty cudownego uroku, ale tak odsunione od świata i sztuki pięknej, że tylko trafem szczęśliwym ktoś tam z Europy zabłądzi. Spojrzyjmy na one zwrótnikowe puszcze, ogromne, wiekuiste, któremi porasta jeszcze stara ziemia nasza. Cała siła roślinności, wywołana potęgą wilgoci i upałów, tak tu świeża, dziewicza, silna i młoda, jak w pierwszej chwili stworzenia, gdy ją Bóg z nicstwa wywołał. Puść się nurkiem w one przedwieczne knieje, a natura, niewidziana u nas siły, jakby kościołem Bożym obejmie cię do koła. Paprocie, znane naszej ciemnej i biednej północy

jako mdłe i nikłe trawy, i chwasty, tam rosnąc w olbrzymie postaci, zamieniają się na drzewa, grające wysoko nad ziemią rozłożystą i powiewną kitą. Ciemnolistne figi, lub palmy wysmukłej i poetycznej formy, strzelają cienkim pniem w górę, rozwijając się u szczytu bogatym zawojem ogromnych liści; konary potężne, misterne gałęzie wiążą się ciasnym i gęstym spletem w ciemną strzechę, co nie przebita słońca promieniem, wieczną pomrokę, rozścieła po lasu podłodze, a pnie drzew niby lekkie śmiałe kolumny podpierają borów strop. Tu nie ma próżnego miejsca; krzewy, trawy, kwiaty i ziół tysiące gęstwiną tłumną cisną się od ziemi, jedno drugie na wyścigi wyprzedzając. Tu zamożność przyrody, w całej mocy i uroku, cieszy się bogactwem i siłą młodego życia; wegetacya tak dzielna, iż zewsząd kipi hojnością swoją; nieprzebrane rośliny pnące ciżbą wiją się wężem około drzew, wstępują po pniach, gałęziach, a dostawszy ich wieńców najwyższych, przerzucają się z wierzchołów na wierzchoły, wiążą drzewo z drzewem jakby grubemi linami, a tak utwierdzają las, by dostał uraganom mającym tu ojczyznę swoją. Ciemny namiot boru lśni barwami tysiącznych kwiatów, a na każdym drzewie jest tych kwiatów bez liczby, różnych kształtów i różnej barwy; bo odmienne z natury swojej pnące rośliny, każda po swojemu kwitnąc, schodzą się w nadpowietrznych wysokościach i, wiążąc się w bukiety, tworzą ogrody wiszące niby czarem nad ziemią wzniesione. Scena ta cudownego powabu załudniona jest gromadami żywych mieszkańców, bo narody wrzaskliwych ptaków, zwłaszcza papug gadatliwych, goszczą po gałęziach, a farby ich skrzydeł i ciała tak jasne, tak świetne, jakby się skąpały w złotem świetle słońca, a

roje płocze różnogatunkowych małp swawolą i radzą pod gęstą strzechą drzew, lub chustając się po rozwieszanych sznurach, pnących się wiciowych roślinach, gniewnie patrzą się na ludzkiego przychodnia, wyszczerzając nań zęby, albo witają go pociskami gałęzi lub orzechow kokosowych; gdzieś znów z daleka, jak uderzeniem w kotły, bębni olbrzymia żaba. Potok nieprzebrany życia wylany jest na tę naturę, co tak ochocza, młoda, jak gdyby wczoraj wyszła z rąk Stworzyciela swojego. Tu życie jest wiecznym natury weselem. Lecz gdy uragany się rozszaleją, gdy burza grzmiąca zaryknie nad puszcza i ogniem błyskawicy zajmie się niebo i zajaśnieje pożarem siarczystym, puszcza uchwycona we wichru objęcie miota się z nim, pasuje i szarpie; wtedy chmury ciężkie, czarne, pękają z hukem nad ziemią, a ulewa rzeką lunie na las. Słychać szum głuchy, niby katarakt huk. W lesie kołysanym burzą — jeszcze sucho, jeszcze żadna kropla nie przeciekła przez ciasny splot liści potwornych; ale gdy tu i ówdzie uragan z korzeniem wysadzi pradziadowe jakie drzewo i otworzy nawalnicy okno, wtedy woda słupem ciężkim, gęstym, uderzy w las. Strach pada na mieszkańców boru, chowają się milczkiem pod gałęzie, uciekają drżąc do nor — powszechna trwoga, bo życie lęka się szafu żywiołów, a ślepe potęgi natury są zawsze wrogiem organicznej przyrody.

Tu, do tej czystej krynicy stworzenia, niechaj chodzą malarze i wieszcz, by odświeżyć ducha swego w tej naturze, co tak jeszcze młoda, hoża w pierwszym zaraniu żywota swojego. Tędy nie zawiał jeszcze oddech cywilizacji, tu sama natura sobie panią i gospodynią swoją, i sobie sama zostawiona, niewycieńczona

na siłach, bo jeszcze nie płaci ludziom haraczu życia swojego. Jedne drzew pokolenia, przeczekawszy wiek w spokojnej swobodzie, padają nareszcie nawożąc sobą ziemię dla przyszłych pokoleń; zagrzebują je jakby w grobie gęste i stare mchy, latorośle młode i ławy grube liści, długim lat szeregiem złożone. Gdziegdzie tylko sterczy z ziemi konar zuchwałém ramieniem, dając znać, iż w tej dzikięj i wolnej przyrodzie śmierć włada. Tu jednak śmierć odradza się żywotem tysięcznych postaci, roztula się przepychem kwiatów, przeobraża się w brzmiające pieśni śpiewakow skrzydlatych.

Ale tych cudów natury my tu w Europie nie znamy; u nas ona podeszła, zaledwie zachowała zarysy swęj dawnęj piękności, a nim cywilizacya rozłoży się w tych tam błogich stronach, już tej natury więcej nie będzie. Nim sztuki zatkną tu panowanie swoje, wprzód rolnik zaorze ziemię, a siekiera wyprzedzi pęzel. Natura niknie przed cywilizacyą, jako przed wyższą od siebie potęgą, świat fizyczny korząc się ustępuje duchowemu; wszak i ten ma swoje kwiaty, ale kwiaty co nie wędnieją nigdy, i wieńcem niezatartęj chwały stroją skronie człowieczego rodu: temi wiecznotrwałemi kwiatami są piękności dzieła. Tak natura, dotknięta śmiertelnym ciosem od ręki człowieka, jakby konając uczy go jeszcze, by z przybytków własnych piersi swoich dobył piękności wzorów: ona umierając uczy, by dzieła jego, nieśmiertelności przekazane, nie były wizerunkiem martwym jestestw, co same są marne i przemijające.

Czyliż cała przeszłość ziemi naszęj, cała historia jęj żywota nie jest dobitną i głośnieą nauką, iż natura w najsilniejszym ogromie swęj wielkości obojętną jest

na oko człowieka, i że ona podziwienia jego nigdy nie miała na względzie; bo właśnie gdy planeta nasz odprawił młody wiek swój i burzył się dzikich sił potęgą, sztuka piękna nie zaznała go jeszcze.

Słuchaj, co mówią geologowie o onych lat tysiącach co upłynęły niepowrotnie do wieczności łona; rzekłbyś, że ci plotką prawią, gdy na zasadach pewnych, na faktach niezaprzeczonych wysnuwają cały wątek przemian i wywrotów, jakie przecierpiała Ziemia, nim te części świata nasze, te twierdze lądów osiadły ostatecznie na węglach swych. I księgi święte nawet wspominają o powodziach ziemię trapiących, a tak jakby pieczęcią wiarygodności potwierdziły głębokie prace, bystre badania umiejętności czasu naszego. Zapuść się w głębiny ziemi, rozświeć te jej tajniki ukryte przed światłem dnia białego; odważ te warstwy skalne, co jakby wiekiem kamiennym późniejsze przywały stulecia; tu jakby w podziemnym grobowcu znajdziesz hieroglifami wypisane dawne dzieje świata: myśmy się już teraz nauczyli czytać hieroglify te. Zanurzając się w głębie ziemi patrz, jak te ławy i warstwy skalne jedne na drugich rozpostarte, niby karty kronik ziemskich, a znów po kilka lub po kilkanaście ich stanowią osobne grupy, oddziały, niby tomy oddzielne, z których każdy do innej wielkiej epoki czasu należy; wody je w długim i w bardzo długim przeciągu osadziły. Te ławy skalne atoli tu i ówdzie pękły, rozwarły się, zesunęły i podniosły się w górę; tam znów są pogruhotane, wykrecone, a sprawcami tych wywrotów i nieładu pokładów były masy roztopione ogniem podziemskim, co z głębin wykipiając gąszczem rozpalonym cisnęły się w górę, gruchocząc, podźwigując, rozrywając i przeginając ławy

dziełem wód będące. Te massy wrzące ostygły, stężały w ciągu wieków; są to bazalty, porfiry, gnejzy, granity sterczące grodami Alpów, Tatrów i gór olbrzymich Ziemi naszej, i stanowią jakby jej wzrąb i wiązanie. Tak, na rozkazanie Boże, ognie i wody były budownikami kształtów ziemskich, jako je dziś widzimy, a dzieje rodzenia się ziemi są pełne boleści, okupione śmiercią całego świata jestestw żyjących. Srożenie się dzisiejszych wulkanów, trzęsienie ziemi dające się uczuć po przez pół oceanów przestrzenie, i owe podnoszenie się lądu Szwedzkiego na ogromnej przestrzeni od Kalmaru do Torneo odbywające się do dziś dnia pod oczyma naszymi, toć wszystko jest niby drobiazgowe porównanie z gwałtami, jakich doznał niegdyś planeta nasz przez podźwiganie się onych skał ogniowych.

Przemiany te i wywroty wszystkich kształtów lądów ziemskich, przetwarzania takowe po kilka razy się powtarzały, a była ta tragedia świata z wielu — z wielu bardzo aktów złożona. Lądy, tracąc dno pod sobą, zapadały się w głębiach, a posada oceanów wyparta, wysadzona do góry, zalewała powodzią suchą ziemską; tak lądy stały się trzonem mór, a dna oceanów lądem i zniknęło wszystko, co było żywe. Ale gdy wody się rozbiegły, a ziemia powiewiem ciepłym wyschła, wtedy ustroiła się znów w łąki, knieje ciemne, trzciną i kwiatem dziwnego rodzaju, a na tej scenie nowi okazali się mieszkańcy nowego i dziwnego kształtu, a po grobowej ciszy natura zabrzmiała z całych piersi nową żywota pieśnią; aż gdy znowu na nią kolej przyszła, wszystko przepadło w żywiołów zamięcie, i znów mór padł na żywot wszystek, i znów dziki szum i grzmot rozhukanego morza zagłuszył wszelki żywota głos i

sobą pochłonał, a wszystko, co na suszy było, pomarło. Ale duch Boży unaszał się nad wodami, i zawarte są źródła przepaści i okna niebieskie, a zahamowany jest deszcz z Nieba i wróciły się wody z wierzchu ziemi idąc i wracając się. Nowe zaranie zajaśniało nad światem i obudziło umarłe życie, a natura znów przywołała jestestwa wszystkie do wielkiej żywota uczyty. A jaka musiała być ta natura i to życie, już łatwo zgadniesz przypatrując się onym zabytkom w puściźnie z dawnych lat nam zostawionym, bo ona stara kośnica, ziemia nasza, pełną jest szczątków i resztek zwierząt i roślin. W głębi, do tysiąca stóp poniżej posady morskiej, znajdujemy w kamień obrócone kości zwierząt ssących, a nawzajem na szczytach alpejskich, na kilka tysięcy stóp wysokich, złożone są zabytki muszli, ślimaków i innych jestestw morskich. Gdy w Irlandyi znachodzą róg jeleni na 5 łokci długi, a 300 funtów ważący, Pan Ehrenberg, professor berliński, znów dowiódł drobnowidzem, iż w jednym granie trypli znajduje się 187 milionów zwierzątek mikroskopowych, które niegdyś żyły. Tak tedy cała kula była życiem hożem i pełnem siły, z którym porównana dzisiejsza, choćby uważana w onych puszczech zwrótnikowych powyżej ci wspomnianych — jest martwą i głuchą. Ale téż pod wiecznymi lodowcami i nigdy nie topniejącymi śniegami podbiegunowej trupiej strefy, odkrywamy skamieniałe reszty organicznego świata, będące téj samej istoty, co dzisiejsze nasze zwrotnikowe, mogące się tedy udawać tylko wśród spieków i waru ciepła. W zimnej północy Europy i Azji znachodzimy kości krokodyłów, słońów i lwów, mających ojczynę swoją wśród skwarnej strefy, gdzie nigdy nie ma zimy.

Nie mówmy, iż te cząstki spławione zostały falą oceanów, boć sposób, w jakim one pogrzebane są, jawnie świadczy, że w tych samych miejscach zginęły, kędy je znajdujemy. Weź np. one reszty palm i paproci w sąsiedztwie bieguna północnego znalezionych, a obaczysz, iż wszystkie ich cząstki, nawet najmisterniejsze, jako kwiaty i kity, w całości zachowane są; coby przecież być nie mogło, gdyby były falą z pod równika aż pod biegun przeniesione. Z tego raczej rośnie pewność, iż cała kula ogrzana była skwarem, ciepłem pochodzącem właśnie od tych podziemnych ogniów, co z głębi przygrzewając roślinom i zwierzętom czyniły świat do szklarni podobnym, a wilgocią nasycona atmosfera, bujna i nowa ziemia, dodawały aż do zbytku siły i przesycały sokami świat żyjący. Natura zwłaszcza kochała się w płodach dziwacznych i igrała fantastycznemi, pełnemi swawoli kształtami. Nie tu miejsce, ani czas potemu, żebym się miał nad tym światem tak osobliwym rozszerzać, pozwolisz tylko, bym ci kilka tych jestestw jakby na próbkę przedstawił; będą dostateczne, by okazać biédotę naszój dzisiejszój Natury w porównaniu z pierwotną jój wielmożnością. Geologowie złożyli te zwierzęta doskonale z kości, jakby z mozaiki, a genialnie wysnuli wątek ich obyczajów i naturę.

Była epoka ziemi, mówią geologowie, osobliwie obfita w płazy, a były one olbrzymie, bo z kościotrupów znać, iż miały do 100 stóp długości. Czyliż ci wspomnieć o onym ichtyosaurusie długim do 30 stóp, co to był na poły rybą, na poły jaszczurem, a łączył w sobie kształty zupełnie różnych od siebie zwierząt, bo kręgi rybie, głowę jaszczurczą, płetwy wieloryba, ogon tęgi, ogromny, w paszczy 180 zębów krokodylich, oczy tak

wielkie, jak głowa męzka, a tak sztuczne, że mu do wszystkiego służyły. Gdy je ścisnął lub na wierzch wysadził, miał z nich wyborne mikroskopy i widział co najdrobniejszego, a gdy je roztworzył, zamieniał je na teleskopy i dostrzegał najodleglejszych przedmiotów? Wiész, że ten ichtyosaurus zjadał spółczesnego mu towarzysza wód plesiosaurusa, podobnego jemu dziwaka: ten miał 12 stóp długości, tułów i ogon jakby u zwierza ssącego, płetwy wieloryba, zęby krokodyle; nurek to był wyborny, bo miał płuca ogromne i silne, szyję długą jak wąż, legiwał sobie znać w trzcinie nad wodą, kędy strzelał głową na wszystkie strony za mniej silnemi zwierzętami; zaiste jednak nie dostał placu ichtyosaurusowi. Czyli może wolisz onego osobliwszego pterodaktyla, co to był pół ptaka, niby nietopérz, ale ogromnej wielkości, a miał w paszczy 60 zębów krokodylowych, a oczy nadzwyczajnej wielkości, bo zapewne w nocy polował, co mu to ze skrzydeł wychodziły niby palce, zakończone długimi szponami, nogi tylne tak silne, iż złożywszy skrzydła wygodniej na nich stać mógł, a u nóg między palcami były błony do pływania. Otóż o nim to Buckland, sławny geolog angielski, powiada, że miał wszystkie zalety szatana w Miltonie, bo mógł, gdy mu się podobało, latać po powietrzu i z niego spadać na zwierzęta, pływać po wodach i chodzić dowolnie po lądach. O tych ogromnych zółwiach, hienach, lwach, tygrysach, słoniach i t. d., z którymi porównane nasze dzisiejsze niktą i są drobną fraszką, ani ci już wspomnę.

Lecz Natura pierwotna nie tylko w kościach skamieniałych zostawiła nam po sobie dziedzictwo, ale obwijając swoje przedpotopowe muszki i robaczki bur-

sztynem, lub mroząc biegunowemu zimnem ciała potworów, udarowała nas niby pamiątkami dzieł swoich. Dawnóż to, jak przy ujściu sybirskiej rzeki Leny, kry przywiozły z pod bieguna zwłoki pierwotnego zwierza; trzy lata leżał sobie nietknięty, bo lody broniły przystępu, aż nareszcie zdobył go przecie naczelnik tam mieszkających Tunguzów. Był to mammut w całej zupełności, bo z ciałem, kośćmi i sierścią, jak gdyby przed kilku dniami zmarły. Tunguzom zdawało się, że najstosowniej uczczą ten stary ułomek zapomnianego świata, skoro jego mięsem nakarmią psiarnią. Coś się i stało. Tym sposobem owo zwierzę, świadek zaiste potopu, przechowany pod opieką wiecznych mrozów przez tyle tysięcy lat, skończył tak mizernie karierę swoją i dopełnił przeznaczenia swojego. Szczęściem szkielet prawie cały i szmaty skóry, uratowane na czas przez uczonego rossyjskiego, znajdują się dziś w muzeum petersburskiem. Ba! ale po cóż nam Leny, blisko nas, bliźniuténko znalazłbyś podobnych Tunguzów.

Jeżelim ci się może zbyt rozpiął o owych zwierzętach kopalnych i owych dziwolężnych potworach, alem sobie do takich zbroceń wyrobił przywilój u ciebie, a uczyniłem to zaiste nie dla tego, aby mogły być wzorem piękności, bo téj pretensyi nie mógł mieć zapewne ani on pterodaktylus lub plesiosaurus i towarzysze ich, ale miałem raczej na celu okazać bujność, siłę i fantastyczność nieprzebraną natury owéj. Ledwie najśmielsza wyobraźnia zdoła w myśli skreślić sobie, choćby słabym zarysem, on żywot, co wrzał na łonie pierwotnych epok czasu naszego. Również ogromne a nawet ogromniejsze i fantastyczniejsze jeszcze było państwo roślin, bujające w promieniu słońca a ocieplone dojmującym

skwarem własnego planety. A jeżeli świat zwierzęcy właśnie dla bujności tej natury porannej wypaczał się we formy dziwaczne, toć zaiste ta sama potężność sił przyrodzonych stwarzała świat roślinny najwyższej piękności; w niej, jak myślę, estetyczność przyrody pojawiała się w całym blasku zamożności swojej. I być inaczej nie mogło — naprzód zbudowały się góry, doliny, twierdze i morza i cała natura nieorganiczna; później wybijała przyroda państwem roślinnym, później świat zwierzęcy nabrał kształtów doskonalszych, a gdy już dom był gotowy, wtedy zjawił się dopiero sam pan tej natury — człowiek. O tej roślinności pierwotnego świata my już w dzisiejszej epoce wyobrażenia nie mamy, spóczesne nam lasy i bory chochy zwrotnikowe są słabym tylko odcieniem tej młodej potężnej natury. Dowodzą tego puszcze całe skamieniałe, w głębiach ziemskich zamknięte lub schowane na dnie morza, a nadewszystko one ogromne ławy i kopalnie węgla kamiennego, nie będącego niczém inném, jak przeobrażonemi zabytkami borów pierwotnych; a strojne i pełne kokieteryi kwiaty, kity, gałązki niby malowane, zdobią jakby pokojowe obicia paryzkie ściany kopalń węglowych, wysadzają ich stropy wieńcami i gałązkami prześlicznych i cudnych rysunków. Te puszcze zwęglone, to olbrzymie drzewa i bogactwo skamieniałych roślin są zwiędniętym wiankiem weselnym starzej matki ziemi naszej. Lecz czémże był człowiek w onych świata epokach? Otóż wśród tych zwłok, wśród stosów kości, co jakby cementarzem zasypały skorupę kuli naszej, dotychczas nigdzie a nigdzie nie znaleziono kości człowieczych. Czyliż wierzyć, mówi

Cuier, że człowiek nie patrzył jeszcze na te przeobrażenia się świata?

Nie wdając się w zaciekania pod tym względem, to przecież pewna, że tych epok nie zaznała historia człowieka, i że je t \acute{e} m mniej sztuka zaznać mogła. Natura w chwilach, gdy była olbrzymich sił i rozwijała całą potęgę panowania swojego, była zupełnie obc \acute{a} dla pamięci człowieczego rodu. Bo natura stroi się sobie i Bogu na cześć, ona obejdzie się bez człowieka, ona sama sobie jest celem i samolubnie w siebie się patrzy. Ale piękność sztuki jest rozmową duchów, jest uroczystości \acute{a} weseln \acute{a} , w któr \acute{e} j niebo i ziemia odprawują śluby swoje: a na to święto a wesele wezwani współbracia wszyscy, współbracia w duchu. Sztuka piękna, łącząc czarem sw \acute{e} j potęgi w jedno wielkie koło wszystkie jestestwa nieśmiertelności \acute{a} natchnione, jest hasłem i językiem wszystkich narodów i wieków. Część i zamilowanie piękności jest spóln \acute{e} m sercem świata, z ni \acute{e} j jakby krew rozdziela się ciepło i życie na wsze jestestwa rozumne i na stulecia wszystkie. Sztuki piękne samotne, bez współczucia, nie miałyby wagi: one s \acute{a} wspólnym udziałem świata całego; wszak, gdy zabrzmia srebrne struny jedn \acute{e} j liry wylewając się śpiewów potokiem, ju \acute{z} i milczące j \acute{e} y siostry zadrgają w sobie i z cicha szepecząc zawt \acute{o} rują wiekust \acute{e} j pieśni. Życie sztuki jest zupełnie duchowe, przybrane jedynie w materyi szaty i na wzajemności stoi. Natura zaś sama jest materialna tylko i obchodzi się bez wzajemności i współczucia.

Widzisz tedy, iż ze wszystkiego, com powyż \acute{e} j rzekł, wypływa głównie ta prawda, że człowiek, choćby nawet chciał, nie jest mocen naśladować na-

ture; wszak nawet mistrz, czyli raczėj kopista najskrupulatniejszy nie zdoła udać ani jednego listka tak dokładnie, aby już nie było różnicy między jego kopią a rzeczywistym listkiem; a w końcu pytamy, na coby nam się zdała sztuka cała, gdyby jēj chodziło jedynie o naśladowanie niewolnicze, o kopie tego, co już posiadamy rzeczywiście w naturze, w oryginale, bez wszelkiej pracy.

Zważ jeszcze, ta niemożność wiernego kopijowania natury sama już przez się okazuje, że sztuka inne ma powołanie, że ona nie powinna naśladować natury. Natura choć tak wielka, tak wspaniała, jest doczesności córą: na jēj jestestwa biją przypadki tutecznego świata, żadne z nich nie zdoła się rozwinąć z całą swobodą, z całą pięknoscią swoją; na każdym z tych jestestw ciąży jakby klątwa pierworodnego grzechu, niedostatek i bięda ziemska i śmierć. Nakoniec chciēj baczyc: każde jestestwo natury, choćby się jakimś szczęśliwym trafem rozwinęło swobodniēj, piękniej, przecież i w tym tak nadzwyczajnym razie będzie tylko wyobraźnikiem swojego rodzaju, swojego gatunku, a tēm samēm wyjawi tylko jedno ogniwo całego łańcucha natury, jeden jēj ułomek; dzieło zaś sztuki pięknej jest całoscią, a całoscią w najwyższēm znaczeniu, bo w niēm przebywa duch wiekuisty, nieskończony. I to jest różnicą najogromnięszą zachodzącą między dziełem sztuki a jestestwem przyrody, i to jest powodem, dla którego sztuka nie może i nie powinna być naśladowaniem natury. Do tēj prawdy jednak, tak ciężkiej wagi, często jeszcze powracać będę: co tutaj wyrzekłem, niechaj w tēj chwili nam wystarczy.

Lecz równie obaczmy na innēm miejscu dokła

dniej jeszcze ogromną wartość, jaką ma dla mistrza zapatrywanie się świeże, miłości pełne, na naturę; tutaj tylko powiemy, że gdy mistrz ma łączyć w jedność świat duchowy ze zmysłowym, więc z przyrodzonym, niechaj otworzy duszę swoją i serce zjawiskom zmysłowego świata, niechaj skąpie serce w źródłu wiecznie świeżym uroków natury, a wzmoże się uczuciem, a spotęguje się natchnieniem, i obroni się wszelkiej niemocy mogącej spaczyć myśl i zapatrywanie się jego na świat.

Miłość do natury i jej pojawów stanie się dla każdego człowieka, i mistrza i nie mistrza, jednym z aniołów stróżów, co go wiodą przez życie i świat, dodając otuchy i pociechy wśród chwil smętnych i opuszczonych na pielgrzymce jego żywota.

Wszak duch nasz i natura zarówno wyszły z twórczej dłoni Bożej; czyliż więc się temu dziwić, że te ciche tony mądrości, te mistrze wszech światów, brzmiące w jestestwach przyrody, budzą też w sercu naszym spokrewnione im muzyki. Duch nasz tedy znajduje w pojawach zmysłowej natury odpowiednią sobie symbolikę. Co w duchu jest myślą, uczuciem miłości, nadzieją i wiarą, to on widzi przed sobą w przestrzeni, w tej biednej martwej naturze, lub w senném życiu bezduchowego świata. Niechaj tedy młodzieniec każdy pozna tę naturę, niechaj wiedza jego spina się po wszystkich jej szczeblach, począwszy od atomku, co igra w eterach promienistych, począwszy od zawiązku błyszczącego kryształka, co buduje ścianki swoje około niewidomego punktu niby serca swojego, od żyjątko, co jest dopiero punktem drgającym; a niechaj się ta wiedza posuwa coraz wy-

zěj, na coraz wznioślejsze natury przyczoła, aż się nie zatrzyma przed postacią człowieka! — Gdy tu wiedza badawcza stanie, już ona nawyknąwszy do wznoszenia się od stopnia do stopnia, uzna że i ta postać doczesna człowieka, choć pełna uroków, choć ostatniem natury słowem, nie jest przecież ostatniem słowem Królestwa Bożego, a myśl, zdjęta tęsknotą nieskończoną, urosnie w skrzydła wiekuiste, rozepnie te skrzydła swoje, i jakby ptak wędrowny uniesie się w inne światy, w światy duchów, kędy już nie omdleją skrzydła, kędy nie umierają kwiaty, a serce nie zapłacze boleścią!

Gdy młodzieniec pokocha z całego ciepłego serca tę naturę, i zrozumie mowę martwych kamieni i skał, gdy pozna żywoty robaczek brzęczących po ziołach, i orłów tatrzańskich loty, gdy się nauczy mowy lasów ojczystych co mu prawią tajemnice w gaworze swoich drzew, — gdy się nauczy witać po imieniu te kwiaty, co mu rosną po łąkach ojczystych, i po mogiłach i grobach; gdy zdoła czytać w tych hieroglifach, co mu się jawią na niebie w rozlotnych kształtach obłoków, lub w mglistych postaciach gór na widnokregu; gdy młodzieniec całą naturę zamknie w sercu swoim, już ta natura odda mu stokrotnie te miłości jego; ona ostudzi palące biedy życia i ukoi zadane od ludzi sercu rany, ona mu będzie księgą do nabożeństwa, na której zamodli się duch jego Panu. Ta miłość do natury będzie młodzieńcowi obroną od myśli niedobrych i utwierdzeniem w cnocie. Szepty borów stron rodzinnych, kwiaty na grobach ojcowskich, co słuchały uczuć młodocianych, gdy w głębi duszy swojej zaślubił się zacności i prawdzie, będą mu talizmanem przez życie chroniącym serce od skazy.

Lecz znajomość natury i jej spraw ściśle spokrewniona z estetycznym zapatrywaniem się na naturę (ob. wyżej). Tajemnice przyrody, to jej życie ukryte, ciche, stanie się dla młodzieńca artystyczności zarodem. Bo miłość jego to tej przyrody bożej wleje w te jestestwa stworzone ducha, ożywi je ciepłem własnych uczuć, uczyni z nich piękności dzieła, bo przebaczy niedostatkom jestestw natury i uzupełni je, nadając im wdzięki własnej duszy swojej. Co biedne i ułomne w rzeczywistości, to on dojrzy jakby jasnowidzeniem wzniesione do uroków nadziemskich, a ciężkie, grube tuteczne zjawiska staną się przejrzyste, niby przeświecone własnym duchem, staną się lekkie, eteryczne, bo uskrzydłone lotem własnych uczuć jego. Tak każde jestestwo, co jest ułomkiem świata, w oczach człowieka z duszą ciepłą zmartwychwstanie wdziękiem i stanie się własnej jego wiekuistości prorokiem.

Prawda, że usposobienie różnych ludzi tak jest różne, że nie każdy zdoła równie snadno ubrać sobie świat promieniem i barwą własnej duszy, ale przecież każdy z nas winien, ile go stać, nawyknąć zawczasu do zapatrywania się estetycznego na naturę(*). Wszak dziś zwykle młodzież uczy się rysować; nie przecząc bynajmniej tym korzyściom, które powszednio przypisują tej nauce, myślę atoli, że najwyższa korzyść, która

(*) Niepomahału do tego celu pomogą studia estetyczne natury i wczesne zwrócenie uwagi choćby na najdrobniejsze szczegóły świata fizycznego, jak tego dokonał wielce znakomicie autor dzieła *Estetyka czyli Umnictwo Piękne* w Tomie II. Petersburg 1854 — obejmującym piękności natury we wszystkich pojawach. To dzieło uwalnia mnie od rozszerzania się nad tą osnową.

z niej płynie, jest zaiste ta, że ona przyucza młodzież, jak ma mieć oczy otwarte na ten piękny Boży świat, jakto widzieć wszystkie szczegóły i zrozumieć najcichsze mowy, któremi przemawia stworzenie każde. Mniejsza już, że później, gdy go życie obejmie grozą i powagą swoją, rzuci ołówki i pęzle swoje; wprawa nabyta do poglądu na naturę zostanie mu na zawsze, na życie całe, jemu będzie w koło natura prawić i śpiewać, on zrozumie jej mowy i pieśni, on dojrzy piękności, które nastreczy świat natury; te piękności płynąc będą tysięcznym strumieniem w duszę jego, tysięcznym zdrojem, co odświeży, odmłodzi uczucie jego. Natura będzie mu królestwem i państwem pełnym wesela i najczystszych rokoszy, a gdy tak spotężeje na duszy i sercu, wtedy się może stanie, że i na niego przyjdzie chwila zachwycenia i że z miłośnika natury dźwignie się w mistrza. Ale choćby kochanek przyrody i nie był artystycznej piękności wybrańcem, toć przecież dla siebie będzie mistrzem, i w naturze, w której się rozmiłował, obaczy postaci i obrazy ducha swojego, wśród świata materialnego obaczy własnej nieskończoności spojrzenie, wśród nizin tutecznych zajaśnieje mu błyskawicą wiekuistość!

Słuchaj — w tej chwili, gdy to kreśliłem, dzwony rozlegają się po nocy i głoszą światu, że sam Bóg zstąpił z Majestatu, stał się człowiekiem. Dziś wigilia Bożego Narodzenia, — a dzwony jakby muzyką rozplywają się falami po świecie chrześcijańskim, jedno drugim niosąc uroczystą wieść, że słowo, co było na

początku u Boga, stało się ciałem i zamieszkało między nami, a gwiazda, zwiastuna Boża, zaświeciła nad biedną strzechą człowieka. Świat zadrżał w sobie zbawienia hymnem i poznał, że materyi państwo doszło końca swojego, że nie ma więcej znaczenia i wagi, a ciało i natura jest tylko jeszcze naczyniem nieśmiertelnego ducha, co nie ginie na wieki.

LIST V.

Stosunek sztuki do zmysłów i do rozumu.

Powołanie zmysłów. — Wzrok i słuch są jedynie zmysłami będącymi w stosunku do sztuki pięknej. — Różnica ich od innych trzech zmysłów. — Przyjemność zmysłów nie jest celem sztuki. — Przeważanie strony zmysłowej w sztuce dowodzi jój poniżenia. — Czas malarzy *Huet* i *Boucher*. — Przecież bez zmysłów potęgi nie byłoby sztuki. — Wielkie znaczenie świata zmysłowego, Skon. — Czasy poniewierania światem zmysłowym nie są dla sztuki przyjazne. — Pierwsze czasy chrześcijaństwa. — Symboliczność. — W sztuce nie wyraża się pojmowanie rozumowe. — Allegorye — *Shakespeare* i *Leonardo da Vinci*. — Dzieła sztuki przed sądem zimnego rozumu. — Podział sztuki pięknej na różne jój rodzaje.

Słowem wiekuistém stworzenia całe natury państwo wywołane z nicestwa łona, by o Bogu świadectwo dało. Proszku atom, co drga i krąży wirem w słonecznym promieniu, i gwiazd wojska, co chodzą po rozpostarciu niebieskiem, niby wieczności zegar, odmierzając światu, jakby, minuty i godziny, upływające wieki całe i lat tysiące, i dębu przyszłego ogromność zwinęta jak w myśli twórczej w ciasnej łupinie żołędzi swój, i wszystka dusza żyjąca, którą ziemia wydawa, i wszystko, co jeszcze żywe w powietrzu, we wodach,

i na łądach, stworzone jest każde wedle rodzaju swego. Ale w środku wszechnicy jestestw postawiony człowiek, sam jeden stworzony na wyobrażenie Stworzyciela i Ojca na niebie, dla tego doskonałość i potęga wszystkich jestestw, gromadzi się w cielesności jego, niby w ognisku spólném; a jak słońce poranne świeci wspaniałością swoją w rosy kropelce drżącej na listku, tak w duchu człowieka świeci iskrą wielkość i majestat Boży.

Gdy Bóg stworzył świat i widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre, stworzył i człowieka; a w oblicze jego tchnął dech swój, by człowiek poznał i zrozumiał ten świat. Poczém sam przywiódł wszystkie jestestwa przed człowieka, aby obaczył jakoby je nazwać miał i panował nad nimi.

Otóż te są zrodzenia Niebios i Ziemi, tak pełne grozy i wielkości zarazem, objęte w Piśmie Ś., w onęj księdze wszystkich ksiąg, co po wieki wszystkie będzie prawdą. A tak więc z prosta i tak głęboko oznaczony już na zawsze stosunek człowieka do fizycznego świata. Prawo nadawania imion rzeczom stworzonym jest upoważnieniem rozumu naszego do zgłębiania dzieł stworzenia; a nadanie panowania nad światem zmysłowym dowodzi przewagi duchowej człowieka nad dziełami przyrody. Prace zaiste umiejętności przyrodzonych ten mają jedyny sobie cel, by pojąć i zgłębić istotę wszech stworzeń i podbić sobie naturę całą. Jest to przywilej człowieka, nadany mu od początku, a nikt mu go nie odbierze. Obeszłoby się tedy bez sofizmów i dowcipnych teoryi w tym względzie, i bez onych westchnień a pokornych lamentów, że człowiek pojąć nie zdoła tajemnic Natury; odsłoni on nie ochybnie te

wszystkie, na których mu tylko zależy może — *Sapere aude!*

Jestestwa zmysłowe są myślą twórczą powleczone, jakby skorupą, materią głuchą, a do tej skorupy przystęp mamy przez zmysły: one są tedy sługi duchowe, znoszą przed nas świat fizyczny, niby osnowę dla myśli, podają one nam rzeczy tak, jakieni się z wierzchu być wydają z całą ich plewą; rozum zaś dochodzi, czém one są w sobie i eo ich treść a istotę stanowi, w czém są do siebie podobne, lub w czém znów różne mimo pozornego podobieństwa lub różnicy ich. Dochodzi ich wewnętrznego połączenia i wzajemnego ich na siebie działania i téj pierwotnej myśli stworzeń, co jest dnem wszech rzeczy i, że tak rzekę, ich duszą, i co jakby iskra galwaniczna, ręką Boga puszczona, płynie i drga przez cały łańcuch jestestw aż do ostatniego ogniwa, którem jest człowiek. A ta też zawsze będzie różnica między pojmowaniem rzeczy ludzkim a zwierzęcym. Zwierzę bierze świat fizyczny li zmysłami samemi, dbając o to jedynie, czém rzecz jest dla niego; człowiek pojmuje rzeczy, czém one są same w sobie, i jak one się mają do siebie nawzajem. Dla tego też większa lub mniejsza bystrość zmysłów w pojmowaniu natury nie stanowi wcale, bo pod tym względem człowiek wielu zwierzętom ustąpić musi pierwszeństwa; ale też brak doskonałości zmysłów wynagradza narzędziami, które sobie wymyślił, a duszą swoją przenika wskróś ich istotę. Branie przeto jestestw przyrodzonych li ze samej ich zewnętrznej strony, ze samej ich formy zmysłowej jest bałwochwalstwem, jest światłobożenstwem, jest oddaniem czci fetyszom, kłanianiem się światu materialnemu.

Z drugiej strony atoli również jest prawdą, że gdyby umiejętność chciała naturę pojmować samą czystą myślą, samem gołem abstrakcyjnym rozumowaniem, gdyby sobie rościła lekkomyślnie prawo wyrokowania o zjawiskach przyrody zamkniętymi oczyma, niby na pamięć wedle widzimi się swojego, jużby przestała być umiejętnością, byłaby marzeniem pustem, bezważnem. Taka nauka zaiste niedobrałaby się nigdy wewnętrznego znaczenia jestestw stworzonych. Umiejętność winna pamiętać, że choć każde zjawisko przyrodzone jest tylko powłoką, łupiną myśli twórczej w niem zamkniętej, toć przecież właśnie ta myśl jest powodem, że to zjawisko się pojawiło, ona jest jego prawem, to zjawisko jest tedy odpowiednie tej myśli, w niej ukrytej wielmożnej choć cichęj. Dla tego te zjawiska, ta niby zewnętrzna łupina jest właśnie hieroglifem tej myśli wewnętrznej, jej wyrazem. Niechaj tedy umiejętność nauczy się czytać hieroglify takowe, niechaj przypatrzy się pojawom zewnętrznym a pilną, niezmęczoną pracą czyni spostrzeżenia a doświadczenia, niechaj pozbiera naprzód fakta, a wnet ten świat widomy, dotykalny, wypowieda nam duszę swoją i roztoczy jakby najskrytszą treść sumienia swojego.

Jeżeli zaś tak się rzecz ma z przedmiotami natury, jeżeli tutaj dwie są potęgi, bo zmysłowa jedna a nadzmysłowa druga, cóż dopiero rzec mamy o dziełach piękności! bo i w nich schodzą się również dwa światy, ale oba są spotęgowane, oba występują wolne od ułomności ziemskiej. Wszak rzekłem już w liście przeszłym że jestestwo rzeczywistej natury choćby szczęśliwym trafem rozwinęło się wyższą pięknnością nad inne tegoż samego rodzaju jestestwa, toć przecież ono będzie je-

dynie doskonalszym wyrazem tego rodzaju swojego, będzie tylko wyjawem myśli tego rodzaju, który atoli sam jest tylko ogniwką jednem w całości natury. Gdy jednak ten sam przedmiot będzie przez sztukę zrodzony, już wtedy on obejmie w sobie nieskończoność, a rodzaj, który się w nim wyrazi, stanie się tylko czémś podrzędnem, będzie tylko przyborem chwilowym, w którym się pojawia ducha naszego wiekuistość. Ta strona widoma, zmysłowa, będąc przybytkiem gościa z innego świata, wyjawi tę treść swoją wiekuistą, niebiańską, bo piękność nie z ziemi zrodzoną, — tak strona ziemską, widoma, materyalna, stanie się duchem widowym, a duch, będący treścią dzieła sztuki, uzmysłowi się w postaci.

A więc dzieło piękności, będąc ślubem między niebem i ziemią, duchem i materyą, ma dwie strony, które zarazem przemawiają i do zmysłów twoich i do wiekuistego ducha, a tęp samem wypływa, że wyłączna przewaga jednego z tych dwóch pierwiastków zrodzi i w samem dziele sztuki spaczenie, tudzież wykrzywi zapatrywanie się na te piękności dzieła.

Zaiste, stanowisko li zmysłowe w sztukach nie płaca: jest niestosowne, krzywe i bywa zawsze oznaką, jałowizny serca i dzikości lub zepsucia umysłu. A przecież znajdziesz takich czcicieli fetyszów na różnych stopniach społeczności towarzyskiej, a co więcej, zostawione są ich ślady liczne w historii sztuki. Są ludzie, dla których sztuki piękne o tyle wartości mają, o ile im zmysły głaszczą: architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka i poezya, są dla nich bawidłem zmysłów; pojmują isticie oni tak sztuki, jak pojmuje botanikę kózka objadająca rzadkie rośliny i kwiaty. Kto jest zdania,

iż sztuka dla zmysłów stworzona, znać, że nie ma ich spełna, bo zmysłów, jak wiadomo, jest pięć, a dwa z nich tylko, bo wzrok i słuch, mają styczność z dziełami sztuki pięknej. Gdyż inaczej, pan Jan Marya Farina w Kolonii, co od wieków wyrabia te swoje wódki wonne, lub jaki przesławny restaurator paryzki, albo jaki siodlarz doskonały, lub garncarz, byłiby również artystami, jak Bethowen, Canova lub Overbeck i Byron. Porównywając następnie one dwa zmysły, będące w stosunku ze sztuką, widzimy, iż one właśnie ze wszystkich są najszlachetniejsze, i są li teoretyczne, bo nie naruszają wcale ani zużywają przedmiotów swoich.

Na arcydzieła architektury, rzeźby i malarstwa patrzą się narody długim szeregiem wieków, a onych dzieł tém patrzeniem nie ubyło wcale, o ile ich żywioly nie pojadyły, albo świętokradzka ręka nie dotknęła. trwają na cześć rodowi człowieczemu i stoją na podziwienie wszystkich stuleciów, tak pełne jeszcze piękności i okazałości, jak w pierwszym dniu zrodzenia swojego. Od wieków lud krakowski oblega ołtarz maryacki, one arcydzieło naszego Wita Stwosza; od wieków to grono świętych postaci króluje w tym przybytku swym, a duch ich, jakby gość z innego świata, rozrzewnieniem spływa w serca wszystkich pokoleń, co jakby fale morskie tłumem przychodziły tu z kolei swój, by na tych stopniach krzyżem leżeć, modlić się i wyplakać żale swoje przed dziejami Matki dziewicy. Słodkie i wzniosłe duchem Haydena harmonie, poruszały już serc tysiące i zatętnią jeszcze w duszy tysięcy, i nie zaginą one, i nie braknie ich nigdy, jak nie braknie słońca, co ociepla i oświeca z każdym

zaraniem istot miliony. A jak na początku swojego stworzenia nieśmiertelne morze, tocząc z hukiem bałwany swe, grzmiało i grało niby organy w świątynicy Natury, tak Homerowe pieśni, wypłynąwszy ze strun lutni starego wieszczu, grzmią i grają jeszcze z dalekich lat, po przez burze wieków i państw zwaliska.

Dzieła sztuki pięknej, przyniesione do duszy słuchem i wzrokiem, są jakby światło i atmosfera; wszyscy się niemi cieszą, a przecież ich nie ubywa; każdy w nich rokosz znajduje, nie czyniąc tém uszczerbku drugim, choć je każdy całkowicie i w zupełności posiada. Gdy tżmczasem owe trzy inne grube zmysły nie lubią żadnej spólności, bo one z natury swęj trawią i zużywają przedmiot swój. A jak woń jest rozkładem ciała pachącego na atomy swoje, zatęm wietrzeniem, znikaniem jego, tak przedmiot miły smakowi rozplynać się pięrwęj musi i rozłożyć na cząstki. A jak i z obiadów nietrwała pociecha, a najmiłszy i najcieplejszy ogień kominkowy gaśnie i wypala się, tak tęż najdoskonalsze karło się zużywa. Zmysł albowiem smaku, powonienia i dotykania są szczęremi samolubami, bo poświęcają rzecz przedmiotem ich będącą, a to dla tego, iż wprost i bezpośrednio stykać się muszą z tym przedmiotem przemawiającym do smaku, powonienia, lub miłym w dotykaniu. Trzy tęż zmysły te nie mają żadnego stosunku z dziełami sztuki pięknej. Przeciwnie, wzrok i słuch przez pośredniki tylko są w związku z przedmiotami, a tymi pośrednikami jest światło i atmosfera. Atmosfera, ten płyn czysty, lekki niby oddech kuli ziemskiej, służy muzyce i mowie; dźwiękiem poruszone powietrze zadrgawszy w sobie jakby falami wody rozplyna się dalej i dalej, nim

nderzy w słuch. A światło, ono dziwne jestestwo, nieważkie, w mgnieniu oka zalewające niebiosy jasności oceanem, jest jakby krynicą życiodawczą natury i niby odblaskiem Bożego spojrzenia. Światło należy na poły do cielesnego, na poły do duchowego świata; dla tego też jest pośrednikiem między światem fizycznym a najzacniejszym zmysłem, boć oczy są nieśmiertelnego ducha ogniskiem i słońcem śmiertelnej powłoki naszej. Trafnie też powiedział ów Leibnitz, iż światło tylko dla człowieka istnieje, on je sam jeden widzieć zdoła, zwierzę widzi tylko oświecone przedmioty. Słuch i wzrok są zmysłami nieskończoności; wzrok rotacza się po ogromie gwiazd i światów wszechnicy, jak duch nurzy się w głębinach własnej swojej istoty; a słuchu potęga, do melodyi i muzyki zwrócona, słyszy w niej nieskończoności mowę, rozumie w niej westchnienia lat, które dawno już przeszły, pociechy i żale wieków, co się dopiero kiedyś zrodzić mają: bo muzyka jest kwiatem urosłym na przeszłości grobach, a wyjawiając zarazem co w sercach dnieje, staje się przyszłości wróżbą. Dwa tedy te zmysły, słuchu i wzroku, są jedynie godnemi pośrednicami między duchem człowieka a dziełami sztuki.

Gdyby nam jedynie o przyjemność zmysłową chodziło, sztuki piękne wcaleby były bezużyteczne i zupełnie niepotrzebne, boć rzeczywiste przedmioty silniej do zmysłów przemawiają, aniżeli wszystkie pięknej sztuki dzieła. Kobięta żywa, choćby tylko zwyczajnych powabów, więcejby miała uroków, niż owa Wenus Tycyana w Trybunie florenckiej; a choćby sam Franciszek Snyders wymalował pobitą zwierzynę, mniej-szejby była wartości, niż rzeczywiste zające i sarny, zwłaszcza rozłożone już na półmisku. Dla tego cześć

tym, co jawnie i pocziwie, bez obłądy, ogłaszają się wielbicielami roskoszy ziemskich, nie chowając smaków swoich pod pozory uczuć estetycznych. A znajdziesz wszędzie zwolenników zdania takowego, chociaż się ukazują pod różną formą. Gdy biedacy mieszkający pod biegunem uważają tran za szczyt ziemskiej szczęśliwości, mażą nim usta drewnianych swych bożyszcz; u nas w strefie nieco cieplejszej, a zatem oświecenszej, nie jeden w braku bałwanów struganych sam sobie tę cześć oddaje, zbierając wszystkie promienie swej myśli w ognisku kuchenném, i myśląc jedynie nad tém, jakby się tu najsmaczniej uraczyć, co przecież nierównie jest dowcipniejszém i zacniejszém niż ów śmieszny obyczaj ciemnych Grenlandczyków i Samojedów.

Rzecz jawna, iż bez zmysłów nie byłoby i sztuk pięknych, noc głucha, ciemna, niema, pokrywałaby świat do koła; mimo to jednak, słuch i wzrok nie są bynajmniej dostateczne, aby być mistrzem w sztukach pięknych, a nawet by w nich smakować. Piękność estetyczna, samemi zmysłami pojęta, jest to księga pisana w nieznanym nam języku i obcemi głoskami. Widzimy jedynie kręski czarne i znaki, ale niezdolamy zrozumieć słów, ani pojąć myśli autora. Niema nawet wątpliwości, iż gdyby ogień wyższy, niebiański, nadzmysłowy, przyświecający nam, wygasł, jużby człowiek, zostawszy szczerem jestestwem zmysłowém, zrównałby się ze zwierząt czeredą. Zaiste, właśnie ta wyższa natura człowieka uszlachetnia nawet i samą tę zmysłowość jego. Jakoż ślepy instynkt płciowy zwierząt uzacnia się w nas miłości płomieniem i dusz współczuciem; nawyknienie ich do legowiska i nor jest

u człowieka świętém kraju swojego miłowaniem; ta troskliwość samie dla młodych, przeniesiona w ludzką sferę, staje się macierzyńską miłością, co w dzieciach swych nie tylko krew krwi swęj widzi, ale nawet rosnącą nadzieję społeczności całej. Ta miłość matki, gromadząc się niby w dziecięciu swoim, wylewa się zarazem na cały ród człowieczy.

Sztuki piękne mają isticie stronę zmysłową swoją i nią są zwrócone do strony cielesnej człowieka. Część materyalna sztuki jest tedy jednym z dwóch koniecznych jej pierwiastków, jest ona jedną połową jej istoty, a drugą, jakeśmy już powtórzyli, jest jej żywioł duchowy. Jeżeli sztuka przerzuci się cała w stronę cielesną, służąc niskim chęciom człowieka i gorszej jego połowie, już też to będzie oznaką upadku społeczności i próchnienia podwalin towarzyskich. Szczęściem, w naszych czasach i w naszych tu stronach znajdziesz jedynie jeszcze na pokątnych śmieciach towarzyskich smak w beiecznych obrazkach, w wierutnych wierszach, powieściach lub wszetecznych tańcach; nie wznoszą się one nigdy w sferę poczciwego wychowania, ani się nie ośmielają nigdzie na jawie okazać. Nie zawsze atoli tak bywało, owszem całe wieki i wszystkie klasy ludzi kąpały się w kole rozbestwionych obyczajów. Świadkiem tego jest sama sztuka we Francyi w ciągu upłynionego stulecia. Już na czasy Ludwika XIV. jakaś wrzkoma wielkość padła jakby puchlina, blada, rozdęta, a w środku pusta i bez treści. Dymy kadzidel i pochlebstw jakby nad cnotą umarłą osłaniały nędzę i biędotę tak umysłową jak i materyalną, a bohaterzy ówczesnej historyi na szczudłach komedyanckiej wielkości lśniły kłamiwym szychem i

przystrojem teatralnym. I sztuka, przywdziawszy na się liberyą, poszła służyć zepsutej chuci, a dzieła jej stały się ornamentem i floresem zdobiącym czezość i próżność czasu; tak sztuka spadając coraz niżej a niżej, pod onemi paniami przeważnemi, a bezecnej pamięci, zewszeteczniała do szczętu. Voltaire dowcipem Mefistofelesa już teznął na świat. Ów Krzysztof Huet, Franciszek Boucher wrzkomy malarz gracyi, bezwstydnym pęzlem robili obrazy jakby dla bezmocnej straży serajowej, a pomagał im też później Parny wraz z kompani swymi, plugawiąc wielki talent wyuzdaną poezią. Aż nareszcie w końcu stulecia, przed samem rozpoczęciem najstraszniejszego dramatu historyi nowoczesnej, cała społeczność, jakby opojona ślepym zmysłów zapustem, rozszalała się zawrotnym tanem i chichotała nad własnym swym grobem. Byt to jakby ów obraz Holbeina, gdzie strojne panie, i kmiotek, i wojownik błyszczący, i starzy i młodzi, i bogacze i żebraki hasają kołem w tańcu ze śmiercią, mając w każdej parze ohydne szkielety. Ale powiów z cmentarza chuchnął na ich tany, a do drzwi i do okien onego festynu pukały i pchały się, jakby blade i trupie straszydła, zgrozy ostatnich lat 10ciu dogorywającego wieku, ciągnąc za sobą widma długoletnich wojen i pobojowisk krwią zboczonych, pokrywających kośćmi jakby całunem śmierci, ćwierć wieku i świat cały.

Mógłbym ci bez wielkiego mozołu wskazać, jak zawsze zepsucie obyczajów zradza wyradzanie się sztuki pięknej, bo piękność prawdziwą jedynie czyste serce i szlachetny wiek pojąć może, nie wstępuje ona nigdy do piersi występkiem znieważonych.

Tak, gdy człowiek znidzle z tronu zacności swój

i własnego majestatu się wyrzekając sponiewiera pochodzenie swoje, już samowolnie w materji ciężkie panowanie się oddaje. Pierworodny syn stworzenia teraz natury jeńcem, co jej panem być miał. Jak muszla biedna, w głębiach morskich do skały przykuta, i jedynie przez pomrokę wód oceanu oświecona słabym słońca promieniem, zradza w swém łonie drogich pereł skarby, nieświadoma sama ich wartości, tak człowiek w ciemnicach materji zamknięty, głuchy na głos wewnętrzny, co mu o wieczności przemawia, nie wie, że we własnych serca przybytkach nosi rodzące się całe światy i całe niebo gorejących gwiazd.

Ale w duchu jest prawdy pierwiastek, a prawdy na wieki trwanie i żywot jej tak silny i potężny, że choć chwilowo przyćmi płomieniem, przecież wnet znowu sam z siebie się rozpali, a duch, jakby z długiego snu przebudzony, zerwie się i znów zwróci oblicze ku wiekuistej ojczyźnie swój. Wszak niekiedy i zimne wichry i niewczesne śnieżnice opóźnić mogą powrót wiosny i życia w naturze, a ziarno powierzone ziemi, w sobie stulone, martwe i głuche drżmie długo w swym grobie pod skibą; ale gdy przecież słońce idzie niewstrzymane swym wiekuistym szlakiem po niebie, tedy wcześniej lub później do zmartwychwstania pobudzi ono ziarno, by ku słońcu się wzniosło i rozkwitło naturze na ozdobę i chwałę: — podobnież pokolenia i narody całe mogą przemarzyć długie lata żywota swojego we więzach materji i w niemoralności kale, ale nie zdołają nigdy na zawsze zetrzeć z siebie piętno nieśmiertelne swój zacności, bo wszechmocna jest siła, co człowieka wzgóre pędzi. Jak młode

orle, pisklęciem zamknięte w skorupie, instynktem parte przeczuwa już i skrzydła swoje i szczyty alpejskie i eterów wysokości, tak i dusza, ściśniona zmysłów powłoką, marzy o rajskich ogrodach, o obłokach złocistych, co żeglują po niebie, o śpiewach anielskich chorów, aż zerwie ciężkiej materji okowy, rozepnie skrzydła swęj potęgi, a unosząc się do ostatniej bladęj gwiazdy stworzenia w krainie wiekuistej piękności zdobędzie swe laury. Wtedy i sztuki się uszlachetnią i odrodzą się świeżością swych uroków, jak bogini miłości poczęta w przejrzystych błękitach morza.

Sztuki piękne, te posłannice Nieba, jakby dziewicze westalki, strzegą świętego ognia uczuć, co gorejąc płomieniem godności człowieka bronią by ród ludzki nie upadł w zapomnieniu siebie. A gdy zepsucie serca jak dzuma ziemię zaleje, gdy godność zniknie i pocziwy obyczaj wymrze w ludziach, a zimna noc myśli i uczuć zalegnie świat, wtedy jeszcze poczyna, jakby harfa eolska u gwiazd zawieszona, tknięta powiewem lepszych światów, zakwili pieśnią żałoby i tonami rzewnej harmonii nad upadkiem człowieka zapłacze, a tony jej płyną a płyną, coraz dalej, coraz wyżej, aż pod Boży tron, gdzie zmiłowanie znajdują.

Ale człowiek ma i inną stronę istoty swęj: w nim tkwi pierwiastek materyalny, jest on ziemskim jestestwem, a zmysłów hoża siła w nim robi i wre, i rzeskiem tętnem płynie mu żywota potok. Radość i uciechy uśmiechają się i płasają w koło, jakby swawolne grono zaczepnych rusalek, a z rajskich krain technie na ziemię życia wesele i rozdmuchuje, jakby kwiatów pączki, serca wszystkie roskoszy współczuciem; boć to

kwiatów dzieje są i serca dziejami. Kwiaty roztulają swe liście jakby miłości łożem, a w każdym kwiecie kołysze się śpiący geniuszek, a w każdym sercu drżemlą uczuć roje, niby skrzydlatych bożków drużyny. Powódź rokoszy zalewa sobą świat cały, gotując niby łaźnię ochłody wszech stworzeń strudzonym milionom. Opatrzna wiekuistości łaska przystroiła nam powabem przemijającą gospodę ziemską, a obok cierniów doczesnego świata, zasadziła drugie Edenu ogrody, co rodzą złote jabłka uciechy, a przybrała w wonne róże męczeńską palmę żywota. Skwary i spieki, i pracownia dnia każdego, kończą się poezją wieczora, co pocałowaniem swoim rozpalone czoło pielgrzyma chłodzi; a z niebieskich wysokości po promieniu księżycyca zstępuje gromada aniołów, co jakby kwiatami obsypuje łożę jego złotem marzeniem i uludą sennych obrazów, i śpiewają mu z cicha w duszy pieśnią pociechy, a głos ich tak słodki, jak słowicze pieśni.

Bóg stworzył życie i świat, tak piękne i jasne jakby dzień wiosenny, w serce zaś człowieka wlał miłość tych uciech ziemskich, a dając duchowi nieśmiertelnemu ciało i zmysły, zaślubił go docześnie ze światem tutecznym, z naturą, aby już rokosze, otaczające człowieka różno-kształtną postacią, znalazły drogę do serca jego i odgłos w przybytkach duszy, i aby nawzajem każde drganie wewnętrznych stron ducha, każdy z ich tonów miał w zewnętrznym świecie głosy wtórujące ich harmonii. Nie poniewieraj uciechą ziemską, co pełnym i kipiącym puharem natura ci na wzmocnienie podaje. Tkanka tysiącznych złoty nitek wiąże człowieka ze światem i doczesnością; dla tego też tak twardą, tak tęskną, jest ostatnia

chwila rozstania się z tym żywotem, z tym tak pięknym, tak jasnym światem; ztąd też skonanie jest arcydziełem człowieka. Posłuchaj opowiadania tych, co stojąc przy łożu umierających, uczyli się od śmierci mądrości, podsłuchując ostatnie pożegnalne akkordy ulatującego życia z ułomków zagadkowych wyrazów, i wypatrując wieczność z zarysów twarzy biednego pracownika. Na skinienie bladego śmierci anioła rozsuwają się jakby na przegład obrazy z przeszłego całego żywota; żywi i dawno zmarli, świeże i stare czasy splatają się w jeden wieniec, aż gdy światło w oku i duszy zgaśnie, gdy już nie dochodzą łkania otaczających przyjaciół, gdy wszystko ucichło, gdy płomień gromnicy nie oświeca więcej śmiertelnego łoża zlewając się tylko jeszcze w jeden punkt czerwony, gdy już łamie się doczesność z wiecznością, wtedy omdlewają i zmysły, ale zarazem najogromniejsze sceny natury, żegnając niby wędrowca idącego ku wieczności, roztaczają się w duszy jego. Zda się, iż oceanu nieskończoność śpiewa mu cześć piorunnym głosem swych fali, że skrzydła wichrowe unoszą go w tryumfie po przez bezdną przestrzeń bez końca i początku, że gwiazdy i słońce obiegają go w około, jakby świetny orszak ślubny odprowadzający oblubieńca wieczności do nowego mieszkania.

Nie poniewieraj uciechami ziemi, ani waz sobie lekko stronę materyalną człowieka, bo do niej właśnie przemawia pierwiastek cielesny dzieł piękności. Potęga zmysłów jest właśnie podwaliną uczuć naszych; skoro ona się dopali, już i uczuć siła więdnije, a człowiek zbliża się do podszłości swojej i wstępuje pod panowanie zimnego rozumu i siwego rozsądku.

Jest francuzkie przysłowie: „*si jeunesse savait, si*

vieillesse pouvait“, ale najgorzej podobno, jeżeli ani jednego ani drugiego nie będzie, jeżeli młodość przemija bez kwiatów, a jesień życia bez owoców. Gdy sie kilka lat żywota na jeden rok złoży, gdy zmysłowość dogoreje jak kaganiec, nie prócz skorupy glinianej nie zostawując, gdy cwałem przebieżone młodości życie, wtedy młody bankrut idzie na emeryturę, żeniąc się. Czyliż dziwno, iż zamiast rzeskiej życia ochoty znajdzie przesylenie i niesmak? nie zna, co rozczarowanie, bo nie zaznał uludy młodości, wszystko strupiało. Po ladażakiiej wiosnie życia idzie bezmózgła starość; świat w koło spłowiał, stracił barwy i ciepło swoje. Z takimi to w pokrewieństwie bywa, a nawet się z nich najczęściej rekrutuje owa druga klasa ludzi, co choćby młodzi jeszcze, na wszystko otrętwiali i niezdatni do pracy i do zabawy, co to ani do tańca ani do różańca. Sam zysk pieniężny, jakby galwaniczna iskra, pobudza jedynie ich duszę do automatycznych ruchów. Zgniłe sapiska — nie znają, co poświęcenie, co miłość i nienawiść, niezdolni do występów i cnoty, samoluby drobiazgowie. Oni na świecie nie dobrego, nie już i złego nie zrobią.

Dante powiada, iż gdy niegdyś piekło odwiedzał, spotkał tę gawieź zaraz na wstępie do podziemnego państwa. Odepchnęło ich Niebo, pogardziło piekło, bo ni miłosierdzia ni sądu nie warci. Jęczą straszliwie, pragną losu odmiany, lecz oni nadziei śmierci nie mają i zostawieni są przy tém ślepem ich życiu, tak pełnem nizezemności i podłoty. Szatany nawet nimi się brzydzą, nie chcą ich męczyć, szpetne muchy tylko, osy i plugawe robactwo pastwi się nad nimi — ale — *Non ragioniam di lor; ma guarda e passa!*

Brak spólcucia w rzeczach ziemskich zjawia się i inną wręcz odwrotną postacią; niekiedy bowiem, lubo już rzadziej, dusza, od doczesności odwrócona, ku rzeczom niebiańskim tęskni, wygnana z raj, nie dotknąwszy nawet owocu poznania ziemskich roskoszy; świat i wesołe koło jestestw jego nie ma dla niej powabu. Najczęściej nastrojenie takowe znajdziem u kobiet. — Twarz, jakby rzeźba z marmuru ukuta, nie zmienia się nigdy, zawsze ta sama, czyli na balu czyli w kościele, na herbacie lub przy konfesyjale, a świat cały i boleści jego i uciechy, czarne i jasne chwile przeszły po tém obliczu nie zostawując śladu swęj bytności, a spojrzenie patrzy gdzieś tam w nieskończoności dal. Zdarza się, iż nowe stosunki życia sprowadzają znów myśli na ziemię, a uczucia małżonki — matki zbliżają ją do rzeczywistości, ocieplą, rozświecą, samotne duszy ognisko; niekiedy zaś istota takowa jest wiecznie obca, wiecznie gościem na ziemi; dla niej na świecie nie ma sztuki pięknej; — ję życie jest długim konaniem.

Jeżelim powyżęj dawał ci na przykład czasy historyi, w których przeważał pierwiastek zmysłowy w sztuce, tak tęż i nie brak czasów, gdy znów połowa ję duchowa, zbyt górę biorąc, pomijała się z przeznaczeniem prawdziwem piękności. Spójrzyj na pierwsze dziejów chrześcijańskich koleje; — był to czas pełen okropności i zgrozy. Rzym wśród złotych pałaców swoich, postawionych na łzach i krwi całego ówczesnego świata, umiera śmiercią zbrodniarza. Jak wyrzuty gorączkowe sumienia, mszczące zabójstwo tyłu w około narodów i państw, trapiły go bunty żołniersstwa wyuzdanego, uliczne mordy, szalone fantazyje niecných cesarów, ze swór puszczone chucie, rozbestwie-

nie, głupota i okrucieństwo. A czego akta kryminalne pojedynczych złoczyńców dowodzą na małą stopę, owe roczniki krwawe Rzymu okazują jawnie i na wielką skalę, iż okrucieństwo krwi chciwe łączy się zawsze z przemyślną chucią i ochotą rozzwierżoną do lubieżności. Ale więcej niż wszystkie nieszczęścia domowe i publiczne, więcej niż wszystkie zbrodnie i strachy zewnętrzne, dojmowała światu owa nieszczęśliwość wewnętrzna, owa czezość okropna i głuchota gnieżdżąca się w sercach wszystkich. Nie było ufności ani w życie, ani w świat, ani w ludzi, ani w bogów, wszystko było głuchém i pustém; człowiek w samego siebie stracił wiarę, a mroźne, rozpaczy pełne powątpiewanie, rakiem wżarło się w życie społeczne. Nie było więcej bogów w sercu, a posągi ich w świątnicach były już beztreściwą ozdobą, głuchą formą. W Panteonie, w onęj wszechbożnicy, stały pstrém kołem greckie egipskie, perskie, rzymskie, azyatyckie i wszystkie narodów zabitych bogi, ale czeze i bez znaczenia, nikt w nie nie wierzył, były to teraz jakby martwe zwłoki umarłych ludów, z których uleciał duch. — Rozpacz powszechna rozlała się mrozem. Olimp cały skonał, a serce człowieka stało się pustym Olimpem, zgłiszczami zgorzałej świątnicy.

Przeszłość zapadła w wieczne zapomnienie, przyszłość była bez znaczenia, każdy dzień był osobną w sobie jednostką nieznaną, co to wczoraj, co jutro; zacność człowieka zatracona już była w języku, jak od dawna zapomniana w rzeczywistości. Zdawało się, iż słońce, opatrne oko Natury, wygasło, a czarne zmory północą spuściły się na ziemię. Niekiedy tylko w tej ciemnicy głuchej jakiś człowiek wyższy zaświe-

cił fosforycznym blaskiem, jakby błędne światełko nad grobem wszego życia i przeszłości całej, i znów zgasł niepoznany jak błędne światełko. — Ale wśród gruzów ogólnych i zwalisk szczupła drużyna, niezajoma światu, kopała fundamenta dla przyszłych pokoleń i dla wszystkich czasów: budowniki nowego świata, nie liczne grono chrześcijan odwróciło oczy od ziemskiej niedoli i bezceści ludzkiej, podniosło w górę źrenicę, kędy na obłocznych wysokościach zaświeciło godło krzyża; a duch pocieszyciel, zesłaniec wieczności, przyświecał zakładzinom nowej Historii. Wówczas to człek, własnej istoty zmysłowej i natury cielesnej się zapierając, a uważając królestwo swoje nie z tego świata, obrzydził sobie wszystko, co było pogańskiego, odrzucił precz od siebie zmysłowość, pogardził piękności formami. Piękne kształty sztuki, niby potępieńce, nie okazały się na jawie; taka to była cała sztuka ówczesna. Postać Zbawiciela nawet przedstawiała się w niepięknym zarysie; rozumiano, iż jój świętość znieważyc może piękność zmysłowa, zaniebdywano z umysłu cielesność wszelką. Chodziło tu nie o powłokę ale o wewnętrzne znaczenie; myśl, będąca jądrem i duszą rzeczy, sama tylko miała wartość; rozebrano ją ze wszelkich szat, ztąd też sztuka stała się symboliczną: krzyż, baranek, kotwica, palma zwycięstwa, gołabek, grona winne i winna macica, siedem świeczników zabrały miejsce sztuki. Później dopiero znaczenie takowe uzmysłowiło się więcej. Zbawiciel występował w postaci dobrego pastérza i w formach mających coraz więcej a więcej uzmysłowienia.

Ten charakter początkowej sztuki utrzymał się później w sztuce bizantyńskiej; jój piętno jest symetry-

czność architektoniczna, w której jedna strona obrazu odpowiada drugiej; każdy nawet fałd sukni, każdy jej załomek, każda gwiazdka zdobiąca szatę, każdy promień ma inny odpowiedni z drugiej strony twarzy; wizerunek składa się z dwóch połów zupełnie do siebie podobnych, jak tego przykład masz na wizerunku Najświętszej Panny Częstochowskiej. Tu, i w obrazach cerkiewnych greckiego wyznania, wyraźnie znać, iż zmysłowa natura wziętą została w karby przez świat duchowy; jest ona nie usamowolniona wcale, ale ściśniona i zmuszona, bo tu nie o nią chodzi, lecz o wewnętrzne znaczenie. — Jest to tedy sztuka, w której strona zewnętrzna materyalna jest zaniedbana.

Podobnie i architektura, przyciśniona posępnością czasu swojego, odrzucała wszystko coby przypominało zmysłów ułudy i wesołe wejrzenie świątyń pogańskich. Znajdziesz to piętno zwłaszcza w budownictwie bizantyńskim; tu znać, iż myśl chrześcijańska upodobała sobie kształty powagi pełne, działające na serce, a przypominające królestwo niebieskie. Tą myślą nacechowana jest i rzeźba ówczesna, okazująca się zwłaszcza w ozdobach strojących główne drzwi kościołów: znajdziesz figury przypominające żywot Maryi Panny i Zbawiciela i męki jego, połączone w dziwnym splocie z figurami fantastycznych zwierząt i poczwary niby w piekle wylęgłych; to wszystko ima się labiryntnym powiązaniem, a jednakże, razem wzięte, tworzy jedną harmonijną całość. Przecież okres ten miał i swoją odpowiednią poezją: wylewała się ona z wewnętrznych krynic serca, nie dbając na kształt powierzchowny; były to więrsze

długie, bez wyraźnej miary, bez rymu. Poniewieranie wszelką formą zewnętrzną, wszelką budową będącą jakby cielesną stroną poezyi, jest piętnem pieśni ówczesnych. Chowam się na później z bliższym rozbiorem wieków onych i ich sztuki, wszelakoż i ten powierzchowny rzut oka wystarczy, by poznać, iż treść wewnętrzna duchowa jest wszystkiem, że pierwiastek umysłowy przeważa nad stroną fizyczną sztuki.

Przewaga atoli pierwiastku duchowego, rozumowego, ukazuje się jeszcze pod innym trybem, zwłaszcza w sposobie sądzenia o dziełach sztuki. Ludzie, którym zmysłowość zgasła, przystępując do dzieł sztuki, uważają je tylko za płody czystego rozumu. Rozum jednak jest właśnie potęgą ustawodawczą w nas; jego pojmowanie, jego sposób brania rzeczy są ogólne, a jego właściwym sposobem wyrażania się jest mowa, jest język, nie zaś formy cielesne, będące zupełnie czémś szczegółowem, oznaczoną jako wąż istotą.

Kto tedy pojmowanie czysto rozumowe, zdania rozsądkowe w sztuce wprowadza, wtłacza je w zupełnie niewłaściwą formę, a rezultat podobnego postępowania nie będzie, ściśle mówiąc, ani do sztuki, ani do rozumu należeć, będzie to allegorya. Widzisz to w rzeźbie, to na medalach, to na malowidłach figury wyrażające Sprawiedliwość, Odwagę, Umiejętność, Zemstę i t. d. albo znów figury mające znaczenie kraju jakiego np. Francya, Bretania, Bawarya i t. d. wszystko to jest pojęciem ogólnem. Jakoż nawet i poeci w wieku przyszłym wprowadzali uosobienie namiętności, używając ich zwłaszcza za sprężyny po-

ruszające epopeją: tak np. *Voltaire*, wodzący na on czas rój w całej Europie, wprowadza to Niezgodę, to Jędze, to inne pojęcia rozumowe w swoje poezye, a za nim poszli inni, a nawet i u nas pełno tego jest przykładów. Przecież figury takowe zawsze są czémś zbyt ogólném, a zatem głuche w sobie, czeze i zimne, ani do rozumu, ani do uczuć nie przemawiają. W podobnych tedy rzeźbach, medalach, trudno niekiedy zgadnąć, co one znaczyć mają, bo niewiedziéć czém się różnić ma figura Francyi od osoby wystawiającej Bretanią, jaki wyraz twarzy ma je różnić od siebie; ratuje się tedy godłami symbolicznemi, jakie są: waga, miecz, zawiązane oczy, kotwica, statek, róg obfitości i t. d., ale to wszystko jest niedostateczne, trzeba koniecznie, jak pod rysunkami dzieci, podpisywać co jakie ma mieć znaczenie.

Właśnie téż ta jest różnica między poetycznością i allegoryą, iż jak allegorya zaczyna od myśli ogólnej czyli rozumowej i dla niej szuka kształtu szczegółowego odpowiedniego, tak odwrotnie poczya tworzy sobie kształty rzeczywiste, a skoro te już są utworzone i staną, wtedy z nich wyczytać można myśl ogólną. Patrz, figury jakimi są np. *Macbeth* i lady *Macbeth*, *Romeo* i *Julia*, *Hamlet*, są rzeczywistemi ludźmi, pełne prawdy, krwi i życia w sobie; zdaje się, iż widzisz lub czytasz los dziejów prawdziwych, które się rzeczywiście stały, a przecież z nich wyprowadzić możesz teorią mądrości, pełną myśli ogólnych, roztwierających ci całą otchłań serca człowieczego i malujących barwami żywemi nie tylko tajniki duszy *Macbetha*, *Hamleta*, *Julii* i t. d., ale w ogólności tajniki duszy ludzkiej. A zaiste *Shakspeare*, tworząc

w duchu te figury, nie myślał może nawet o ogólnem i filozoficznem ich znaczeniu; kręślił zapewne tylko *Macbetha*, *Julią*, *Hamleta*, a tu bez wiedzy jego, z ducha tego wypłynęła głęboka mądrość, myśli ogólne, będące prawdą po wszystkie wieki. I dla tego *Shakspeare* nie jest wyłącznie poetą angielskim, on jest własnością kuli ziemskiej i chwałą wszystkich ludzi i wieków. Albo patrz na Wieczercę *Leonarda da Vinci*, tak jak ją pojął i wyrytował *Morghen* w trzechetletniej pracy życia swojego: ugrupowanie figur, położenie ich rąk, wyraz każdej twarzy mógłby być treścią całej książki filozoficznej; — a więcej tam isticie złożonych jest prawd wziętych z historii duszy człowieka, niż w niejednej psychologii. Figury, stworzone przez *Leonarda*, a pojęte przez *Morghena*, są rzeczywistemi ludźmi, ale z nich wypływają myśli ogólne, pojęcia dające się zastosować do całego rodzaju człowieczego, do całej gry tajemnej serca jego. Tacy niechaj się święcą malarze i poeci!

Ze pojęcia rozumowe i myśli ogólne nie mogą być przedmiotem sztuki, okazuje się najtrafniej z przecucia całych narodów. Patrz, ani Żydzi, ani Turcy nie mają obrazów; przyczyna prosta, bo Bóg, w którego oni wierzą, nie uwidomił się im nigdy, jest Bogiem niewcielonym, niewidomym, jest pojęciem ogólnem, myślą czysto rozumową, nie mogącą być oddaną w cielesnej postaci sztuce właściwej.

Kto jedynie zdolen samym czystym rozumem rzeczy pojmować i na pojęcia, na rozumowanie sobie tłumaczyć, niechaj ćwiczy się w matematyce; wszak w algebraicznym rachunku znaki alfabetyczne jakakolwiek wielkość znaczyć mogą, treść ich szczegółowa

jest zupełnie obojętna, wypadkiem jest zawsze jedna i taż sama formuła. Tu rzecz sama i pojmowanie jęj jest zupełnie umysłowe. Ani tęż przeczę, iż śródkie takie, jak znajomość perspektywy, rozmiarów, oświecenia, anatomia, techniczność wykonania, wiadomości archeologiczne, znajomość indywidualności mistrzów, ich żywota, czasu, w którym żyli, historia sztuki, są ważną pomocą, a nawet pierwszą zasadą oceniania wartości jakiego dzieła sztuki, ale przecież same jedne nie wystarczają.

Kto z innym rozbierającym rozsądkiem przystępuje do dzieła sztuki, bez wyższego natchnienia, rozkrawając jak umarłego najwyższe dzieła ducha, kto na miejsce wrzącego serca przyniesie zimny jedynie rozsądek, już podobny jest do owego, co widząc piękność kobięcą w całym swym uroku i czarach, rozbierze sobie jęj powaby anatomicznie i chemicznie. Będiesz się unosił nad urokiem jęj kształtów i harmonią jęj ciała, nad „śnieżną bielą ramion i łabędzią szyją“, lub zachwycony staniesz patrząc w te oczy tonące, „niby w wilgotnym ogniu“, toć on powie nam, iż kształtna kibić jęj pochodzi od normalnego kształtu jęj szkieletu i kości, które jak u każdego człowieka składają się z 33,17 materji chrząstkowej, 53,14 fosforanu wapna, z resztą jest w nich trocha glinki, trocha soli kuchennój i t. d. A to piękne ciało, toć jest połączeniem włókna mięsnego, białka, pierwiastku ekstraktowego i t. d.; a owa białość i delikatność skóry pochodzi po prostu z tego, iż mięsne są rzadziej utkane i mają trochę więcej białka w sobie, resztą na 100 części jest tam przeszło 50 części wody, drugie 50 znów zajmują inne pierwiastki, które ci

najsumienniej wyliczy; a krew, co, jakby tchem ducha, rumieńcem na twarzy wykwita, o tajnikach serca przemawiając, jest taka sama zupełnie jak nasza męzka, z tą tylko różnicą, że u kobiet na 100 części jest 2 części więcej wody, a 2 części mniej kuleczek krwistych; a owe bogate kędziory, któremi „Sylfidy igrają“, ha! toć to jest niedokwas żelaza, mangan, siarkan wapna, krzemionka; a czyli te włosy są płowe, czarne, ciemne, toć to tylko zależy od większej, lub mniejszej ilości niedokwasu żelaza. Tak ci w tygielku rozbierze wszystkie uroki, wszystkie powaby, co cię czarują; rozsmąży i rozłoży na drobne pierwiastki, złożyć ich tylko nie umie, co za szkoda!

Kto z myślą zimną rozbierając niby chemicznie przystąpi do pojmwania piękności w dziełach sztuki, nigdy jej nie obaczy; z przed oczu świętokradzkich mu uleci w inne światy, w inne krainy, kędy ją godniej czcić i kochać umięją.

Widzisz przeto, że gdy dzieło piękności jest ześlubieniem się dwóch światów, bo ducha a materji, idealnej a zmysłowej natury człowieka — nieba a ziemi — więc też sztuki piękne przemawiają do dwoistej istoty człowieka tak dziwnym, tak nadświatnym urokiem więżą i czarują serce jego; ono jeszcze na ziemi a widzi w piękności świat nadziemski rozwarty; to serce biedne człowieka jeszcze się trawi, jeszcze się pasuje z doczesności mocami a w dziełach sztuki woła na niego głos z nadniebnej ojczyzny. Przecież widziałeś równie powyżej, że właśnie dla dwóch tych pierwiastków, żyjących równem pełnem życiem w sztuce, już żaden z nich nie powinien sobie rościć prawa do

wyłącznego panowania ani w sercu widza, ani w samém dziele piękności.

Wszak tutaj już zapewne sama ci się nasuwa myśl, że gdy z jednej strony zmysły nasze są różne, więc i z drugiej strony różnie do zmysłów naszych mają się przedmioty zewnętrzne, materyalne, a tém samém znowu widzisz, że same dzieła sztuki różnie działać będą na zmysły nasze, a zatém różnie przemówią do duszy człowieka; one wprawdzie wszystkie proroczyć będą o wiekuistości naszej, ale każda niby właściwym sobie językiem. To prawda! Właśnie atoli téż w téj różnaitości tkwi zarazem różnaitość rodzajów sztuki. Zdaje mi się, że tu przeto będzie na porze wspomnieć ci choć przelotem o tych jęj rodzajach, zatém o jęj podziale, a tém samém o wzajemném zachowaniu się tych różnych sztuk do siebie. A radbym téż rzecz tę całą wesprzeć właśnie na tém, com wyżej powiedział.

Rzekliśmy sobie bowiem dopiéro, że sztuki piękne nie odnoszą się bynajmniej do wszystkich zmysłów naszych, ale że tylko dwa zmysły, bo wzrok i słuch mają przystęp do dziedziny sztuki, a zatém same przez się nam wypłyną dwa główne rodzaje piękności, z których jeden przemówi do wzroku a drugi do słuchu. Może się atoli na taki podział nie od razu zgodzisz, mówiąc, że on oparty jest li na naszym organizmie, więc na usposobieniu samego tylko człowieka, a że przecież człowiek, patrzący na dzieła sztuki, jest tylko jedną stroną, a drugą stroną jest natura, jest świat rzeczywisty, z którego mistrz bierze osnowę dla dzieł swoich. Wymagasz tedy, by nasz podział sztuki na

różne jej rodzaje był wzięty raczêj z istoty samej têtj rzeczywiŝtoŝci zewnêtrznej.

Chciêj atoli zwaŝyć: gdy człowiek jest ostatniêm słowem stworzenia i najwyŝszym szczytem rzeczywiŝtoŝci, wiêc juŝ jest prawdà, co tyle razy powiedziano, ŝe w nim zbierajà siê wszystkie promienie stworzenia, ŝe on jest sam małym ŝwiatkiem dla siebie, a z tego wypływa, ŝe byleŝ jego istotê rozwinàł, znajdziesz w niêj wszechstworzenie, wiêc i owà rzeczywiŝtoŝć zewnêtrznà. Z tego znać, ŝe co jest prawdà dla jego istoty, bêtjê têtj prawdà dla têtj rzeczywiŝtoŝci. Inaczêj têtj być nie moŝe. Ten sam Ojciec niebiański, który stworzył ŝwiat, stworzył têtj człowieka; wiêc człowiek i duch jego z jednêj strony a ten ŝwiat rzeczywisty, z drugiêj, choć różne od siebie, nie mogà być różnorodne. Ale z tego wszystkiego wynika, jak widzisz, ŝe podział sztuki piêknêj, oparty na różnicy wzroku i słuchu, wiêc na organizmie człowieka, znajdzie têtj zastosowanie swoje i w rzeczywiŝtoŝci zewnêtrznej.

I tak w istocie jest.

Jakoŝ chciêj zwaŝyć — cała natura zmysłowa, cały rzeczywisty ŝwiat ulega dwojakiêj ustawie, bo albo zjawiska jego istniejà w przestrzeni, i w niêj zajmujà pewne miejsce, pewne rozmiary, majà zatêm swoje ograniczenie w przestrzeni, i swój koniec i poczàtek; albo têtj te jestestwa uwaŝane być mogà jako istniejàce w pewnym czasie, jako majàce tedy swoje granice, bo swój poczàtek i swój koniec w czasie. Tak samo dziać siê winno i z dziełami sztuki, które istniejà w rzeczywiŝtoŝci; jedne z nich istniejà w przestrzeni a drugie przemijajà w czasie. Otôŝ widzisz —

te, które istnieją w przestrzeni, odnoszą się zarazem do wzroku, bo przestrzeń jest państwem zmysłu tego — a te, które mają istnienie swoje w czasie odnoszą się do słuchu. Widzisz tedy, iż zasada naszego podziału odnosi się również do człowieka i do rzeczy samej. Jeżeli tedy zgadzasz się już na taki pogląd, chciej jeszcze bliżej zemną rozpatrzeć rzecz całą.

Bacmy — każde dzieło sztuki, które widzimy mocą światłości, które tedy istnieje w przestrzeni, ma swoje wymiary jak przestrzeń sama, ma przeto długość, szerokość i wysokość, ma ciężkość jako materya istniejąca w tej przestrzeni, jest tedy czémś materyalném i istniejącém jakby zewnątrz naszego ducha. Odwrotnie dzieło sztuki, odnoszące się do słuchu, istniejące w czasie, traci niby materyalność swoją; bo jest rzeczą niepodobną dojrzyć takiego dzieła lub się go domierzyć lub dowążyć; więc ono istnieje już jakby w duchu naszym, niby wewnątrz nas, boć i nasze uczucia, myśli, wyobrażenia także odbywają się w nas następstwem czasu. Znać zatem, że dzieło sztuki, płynące w słuch nasz, jest czémś wewnętrzném, gra i drga w duchu naszym.

Jest przeto jakiś dualizm w świecie piękności; ale choć dualizm każdy jest zawsze życiem i podniętą, działaniem i oddziaływaniem, toć przecież każdy winien się zawsze zestroić harmonią w jedność; z tego zaś właśnie wróżyć sobie można, że się znajdzie trzeci rodzaj piękności, w którym spłyną sztuki przestrzeni, to jest odnoszące się do wzroku i światła z jednej strony, a sztuki słuchu czyli czasu z drugiej strony — będzie to przeto nowy rodzaj sztuki, w którym poślubi się miłością zewnętrzny i wewnętrzny świat.

Zanim jednak obaczymy, jak się nam ziszcza te wróżby o tym trzecim rodzaju sztuki, obaczmy najprzód rozwój tego rodzaju sztuk, które do wzroku i przestrzeni należą, a następnie dzielnice tej sztuki, która się do czasu, do słuchu odnosi.

Rzecz jasna, że tutaj stanie na reju ten rodzaj sztuki, który nietylko w przestrzeni istnieje ale nawet ze samej przestrzeni się rodzi, a który właśnie jak przestrzeń sama ma za osnowę materią. Pytamy, cóż się rodzi ze samej przestrzeni? To wiemy już z matematyki, z geometrii, których dzielnicą jest właśnie przestrzeń. Z przestrzeni powstaje punkt, linia, płaszczyzna prosta i krzywa, figury więc różne: trójkąty, prostokąt, koła, łuki, elipsy, sześciąty, kule, piramidy i t. d. Zgadujesz przeto już że sztuką tą rodzącą się z przestrzeni jest Architektura; nadto Architektura, równie jak przestrzeń, ma do czynienia z masą ciężką materii.

Przecież znowu właśnie dla tego że Architektura z przestrzeni się rodzi, więc i ona stwarza sobie własną przestrzeń artystyczną, ona buduje sobie świat osobny, w sobie zamknięty. Wszak i przestrzeń natury, ta przestrzeń Boża, jest dziełem Bożej architektury, w niej święci się budowanie i matematyka aniołów, co wodzą światy i słońca i księżycy. Przestrzeń wszech światów, toć jest dom widzialny dla duchów, który sobie wystawił Pan. Ale dla jestestw zmysłowych, dla oka zmysłowego, doczesnego, ten dom a przybytek Pański nie jest ogarniony; my tylko widzimy tysiące gwiazd, tysiączne ich roje, co świecą w tym domu; a choć te światy wszystkie przez nas widziane są tylko może jakimś zakąciem przybytku

Pańskiego, toć i one przecież są dla naszej biednej myśli istnym zawrotem. Spójrzyj przez teleskop choćby na planety, jak one wędrują zdobne w księżyce, w pierścieniu, po przez bezdenne, ciemne przestworza Boże, a lęki i trwogi padną na serce twoje. Stąd człek architektoniczną sztuką buduje sobie całość, którą może ogarnąć, buduje po swojemu przybytek, odgradzając go od zewnętrznego istnienia, a tak stwarza świat osobny dla siebie. Osnowa zaś surowa, którą mu dostarczą natury ciosy i belki, metal i marmury, jest mu tutaj materyą; on przezwycięża jęj nieużytość i ciężkość. Materya surowa krystalizuje się w dzieła człowieka.

Stanął tedy już przybytek, — kolumny i łuki, sklepienia i strop patrzą się na człowieka świętecznie, uroczysto: ale przybytki puste, głuche, brak im mieszkańca, coby równie jak przybytek był zrodzony w niebie piękności. I stanął na podnożu gość olimpijski, stanął w cudnej postaci marmurową bielą odziany; on cichy, niemy, a przecież z niego przemawiają głębie duchowe! Tego gościa z nadgwiżdżnej wysokości sprowadziła skulptura na ziemię, by zamieszkał w piękności swojej dom, co mu przygotowała architektura jęj siostra.

Lecz gdy architektura z cyrklem w ręku mierzy i waży i liczy, gdy się posługuje, jakby czeladzią, matematyką i jeometrią, rzeźba nie zna, co cyrkiel, co matematyka, tych powierzchni na jęj posągu nie obrachuje już żadna matematyka, tutaj nie pomoże żadna jeometria! Gdy architektura liniami swojemi, grą swoich powierzchni, harmonią swoich linii, jest dopiero przeczuciem, symboliką treści głębokich a nie przebu-

dzonych w duchu, w rzeźbionym posągu już nie przecucie ducha, już nie symbolika jego ale on sam, sam duch osobiście wstępuje, choć odziany ciałem, to przecież ciało nie jest ciałem od doczesności pożyczonem, ale samo jest uwidomionym duchem; tutaj ducha niby dotknąć się możesz. Gdy oko nasze, patrząc na arcydzieła architektoniczne, mierzy jego stosunki, i liczy, patrząc się zaś na posąg dotyka się go niby wzrokiem; czucie, zmysł dotykania przenosił się w źrenice. Gdy architektura mocuje się z ciężkością materji, podpierając jęj brzemie, w rzeźbie postać sama na sobie ciąży, sama się na swoich członkach podpira. Gdy architektura buduje w sobie zamknięty świat, niby artystyczną Przyrodę, artystyczne otoczenie, w rzeźbie już duch jest usamowolniony od natury, posąg ze wszystkich stron obrobiony stanął samodzielnie, jest wyobrażeniem wyzwolenia z pod potęg przyrodzonych. Dla tego płasko-rzeźba, nie oderwawszy się od tła swojego, patrzy na nas jako jedynie ozdoba architektury, jakoby jęj przystrój. Bo właśnie rzeźby powołaniem jest aby wymiary, aby formy rzeczywiście istniejące w naturze znalazły się równie doprawdy i w dziele rzeźbionem, lubo już uduchowione pięknnością nadziemską. To powołanie skulptury jest zarazem jęj szczęśliwym światem a zarazem jęj kółkiem zakłętym, z którego już ona wystąpić nie zdoła. Ale właśnie dla tego pojawia się na ziemi nowa sztuka, która już tych form i wymiarów rzeczywistego świata nie przenosi naprawdę w dzieło swoje, ale wdzięczną uludą mami wzrok; sztuka, która, będąc ukochaną córą państwa idealnego, zmyśla świat czarodziejski, w nim udając wrzekome wymiary, oddalenia, formy wklęsłe i wypukłe, cienie i światła, sło-

wem udaje to wszystko magią swoją, co jest w rzeźbie rzeczywistością rzetelną. Wszak ta sztuka dla tego właśnie, że tak cudnie zmyśla i ludzi, pozwala sobie udawać też oddalenia kilkomiłowe i wymiary tak ogromne, że te przestrzenie jęj już są nieprzystępne dla rzeźby, co jest tak prawdomowną, szczerą i rzetelną. Domyślasz się że tą sztuką nową jest malarstwo. Właśnie to ona przemogła przestrzeń, bo jęj prawdziwa przestrzeń jest płaszczyzna, a jęj wymiarem jest tylko sama długość i wysokość obrazu, a przecież tu są wszystkie wymiary rzeźby, co więcej, jak rzekłem, ona zmyślając perspektywę, majaczy i mami i ludzi. A jęj różczką czarnoksięską jest pęzel, a geniuszki, co jęj służą, zaklęte są w jęj farbach na palecie; sztuka malowania przemogła przestrzeń, przemogła więc i ciężkość i materią samą. Patrzysz na jęj postaci urocze, widzisz — to Olimpy rozwinięte, to bitwy i krocie wojowników, to miasta i grody i skały, to niebo, obłoki i morza i puszcze. Ona, gdy nierada tobie, zwinie te światy swoje; zamknie w swojej tece i zastępy wojenne, i skały i morza, puszcze i kraje wielomilowe. Sztuka malarska majactwem lubém tak sobie poczęła, iż co widzisz w jęj dziele, to nie jest rzeczywistością, to nie jest materią zewnątrz istniejącą, ona raczej przebywa w tobie, we wnętrzu twojém, we widzu; ty patrząc na jęj dzieła patrzysz oczyma ducha twojego, patrzysz idealnie! Ale z drugiejj strony potrzeba ci przecież i oczu zmysłowych, potrzeba aby obraz malowany istniał obok ciebie, przed tobą; potrzeba, aby ten obraz istniał w przestrzeni. Te jęj przestrzenie malowane choć uludne nie są tedy jeszcze ostatniem przemożeniem przestrzeni. Wtedy geniusz piękności natęży siły swoje by przewy-

ciężyc i te ostatki przestrzeni, by zwalczyć te ostatki zewnętrznego świata; on cofa się w siebie, zatęskni za nadzwyczajnym światem, za ojczyzną swoją, i w tęsknocie anielskiej przemówi muzyką — muzyką, której barwy, której cienie i światła są tony, akkordy, melodye i harmonie! Cóż zostało teraz z przestrzeni? — drganie struny, narzędzia muzycznego, drganie, co jest drzeniem w przestrzeni, odbywającym się w czasie. Tutaj oczy zmysłowe przygasły, słuch stanął na ich miejscu, tutaj przestrzeń, owa rzeczy materialnych macierz, starta! A tak muzyka jest drugim rodzajem sztuki pięknej; ona buduje sobie światy we wnętrzu duchowym, ona buduje sobie własne światy, własne przybytki z promieni swoich dźwięków, ona z akkordów stwarza postaci rzeźbione, ona maluje melodyą. Posłuchaj jej mowy, mowy muzyki, a z końnicy historii wystąpią dzieje umarłych ludów i przesuną się orszakiem tryumfów przed oczami serca twojego, a ujrzysz jako dźwigną się góry nieba sięgające, i zaszumią puszcze prorocstwem dalekich jeszcze lat, morza zaśpiewają hymny a gwiazdy tanem światlistym zawtórują ziemskim śpiewom, akkordem nieskończonym. Toć wszystko obaczysz, gdy fale muzyki pełnym nurtem wpłyną w duszę i przyniosą ci wieści z innych światów.

Muzyka cała jest sztuką wewnętrzną, jej domem rodzinnym jest uczucie serca; serce wróży muzyką, ona tedy równie jak architektura jest sztuką symboliczną, jej ciosami są tony, jej budowaniem harmonie i melodye. Muzyka wprost wpływa w serce, ona nie przechodzi przez myśl, jej wdzięki nie ubierają się w słowa, w wyrazy; co muzyka szepnie nieśmiertelnemu duchowi, tego już nie wypowiesz mową wyraźną, jasną; muzyka

jest świata zagadką, wyrocznią, w której przemawia Pan; jej tajemne orzeczenia serce tylko słyszy, a wytłumaczyć je tylko zdoła sama jedna Poezya. Co w muzyce jest senném jasnowidzeniem, to w poezyi staje się jawem.

Jak poezya łączy się z muzyką i płynie jej tonami, tak też ona, występując samodzielnie, jest sztuką istną o sobie. Bo samo przez się poezya jest muzyką, jej rytmy i rymy są harmonią i melodyą, ale jej treść już nie jest więcej zagadką symboliczną, bo duch, innych światów syn, sam tutaj przemawia wprost o sobie, więc też wątkiem jego, osnową jego są już nie ciosy budowne, nie marmury rzeźb, ani farby lub światła, ani tony lub dźwięki; jego osnową i wątkiem a narzędziem jest mowa. A przecież poezya maluje i stawia ci przed oczy i bohaterów i bogów posągiem rzeźbionym, ale te jej posągi mówią, ruszają się życiem i krwią; ona rozwija jakby dla wzroku obrazy natury, i śpiewa i weseli się i płacze w sercu muzyką swoją. Ona ogarnia też przestrzeń światłem promienném oblaną, ona drga w sercu niewidomie niby podziemny nurt, wiekuistości zdroj; ona objęła miłością zewnętrzne i wewnętrzne światy. Słowem, ona w harmonią zestrąja wszelki ów dualizm sztuki, o którym powyżej mówiłem, bo ześlubia te jej rodzaje z sobą, które do przestrzeni, więc do oczu się odnoszą, ze sztuką, która jest córą czasu, i dla słuchu stworzoną. Ona tedy jest trzecim rodzajem sztuki.

Przecież właśnie znowu dla tego, że Poezya jednoczy w sobie oba poprzednie rodzaje sztuk, stąd już wypłyne, że ona sama rozdzieli się w sobie na rodzaje różne, z których jeden będzie wyobraźnikiem onych

sztuk światła i wzroku, stwarzających zewnątrz siebie, bo w przestrzeni, dzieła swoje, a drugi rodzaj poezyi odniesie się przeważniej do wewnętrznych przybytków duchowych; trzeci zaś, jak przewidujesz, będzie sam powiązaniem obu pierwszych rodzajów poezyi.

Zgadujesz zapewne, że wedle tego, com dopiero rzekł, naprzód pojawi się tu poezya niby plastyczna, malownicza, która zwróciwszy źrenicę duchową na zewnątrz, widzi Boże i światowe dzieje, patrzy na sprawy natury i historyi człowieka. Jest to epopeja, sielanka, powieść i tak następnie, a gdy ona wyśpiewa te zewnętrzne światy, gdy głos jój rozbiegnie się po pokoleniach i stuleciach, wtedy duch piękności zwróci oko swoje na wewnątrz, i co potęg, co mocy żyje w piersiach człowieka, to wypłynie strumieniem, potokiem, rzeką lirycznój poezyi, i zagrmi Hymnem, Psalmem Bogu, i uwielbi Odą wielkie czyny wielkich ludzi na ziemi. Albo nakoniec poezya stanie się dramaturgią. Tu jak w epopei widzisz postaci przed sobą, widzisz ich dzieje na ziemi; ale co one mówią, to jest wylewem ich duszy, co czynią i działają, toć jest wyrazem onych mocy tajemniczych, co pracują w ich wewnętrznych przybytkach, tych mocy, co prą i robią w piersiach ich do działania porywając.

Tak tedy zlekka rzuciłem ci zarysy podziału sztuk pięknych; prawda, że te zarysy są zbyt lekkie, prawda, że możnaby innym jeszcze trybem uszykować cały poczet tych cór olimpijskich; wyznaję, że w tej chwili nie wiem nawet, czylibym się tego samego trzymał szyku, gdyby mi kiedyś wypadło w przyszłym jakim szeregu listów moich przypatrzeć się z osobna każdemu z tych rodzajów sztuk — ale w takim razie przyszłoby

nam też ściślej ugruntować podział cały. Wszak dotychczas estetycy nie mogą się zgodzić w tej mierze! Myślę atoli, że podział i systematyzowanie wzajemne sztuk pięknych trybem, jak to uczyniłem powyżej, zupełnie nam nateraz wystarczy, a to tém więcej, że jest i łatwy i zrozumiały. Trzymając się naszej myśli, która w nim przewodniczy, zdołasz bez trudności każdy z tych rodzajów sztuk rozdzielić znów na podrzędne rodzaje; co więcej, bez mozołu poznasz, jako w tym systemacie wypadnie umieścić i inne powawy, które równie do dziedziny sztuki i bardzo słusznie policzone bywają. Tak np. zważ taniec, — rozumie się, że nie ten, który w życiu powszedniem tak się zwykł nazywać, ani ów co zwykle w baletach trąci sztuką łamaną — a wyznasz, że taniec w najszlachetniejszym znaczeniu uważany, znajdzie i w naszym systemacie łatwo umieszczenie swoje. Bo taniec jest wcieleniem piękności linii w ruchu ciała, a te właśnie odbywają się zarazem w przestrzeni i w czasie (takt, rytm). Tak tedy taniec jest jakoby przejściem ze sztuk istniejących w przestrzeni do sztuki żyjącej w czasie, bo do muzyki; on równie przejmuje wewnątrz człowieka jako też jest zewnętrznym powawem; on jest rzeźbą żywą i muzyką widomą, harmonią niemą a symboliką wymowną uczuć człowieka. Albo sztuka ogrodnicza! O ile takowa zasadza się na udaniu natury, jej dolin i strumieni, jej gajów, i tak o ile ona niby stwarza naturę wolną a przecież pełną wdzięku, o tyle graniczy z malowaniem pejzażów; o ile zaś buduje szpalery i strzyże, o tyle zaiste staje się pokrewną Architekturze: rzekłbym, że w pierwszym razie jest natura sztuczną, w drugim sztuka naturalną. A cóż dopiero powiedzieć o sztuce dramatycznej! po-

dobno łątwo by nam przyszło okazać, jak to ona jest wykwittem całego grona sztuk pięknych. Miłoby mi było, gdybym ci kiedyś mógł wyłożyć ogromne znaczenie tój sztuki i pierwsze choć najogólniejsze jój zasady. Ale tutaj niema ani miejsca ani czasu po temu.

Zwróć tylko uwagę na całą osnowę przebieżoną w liście niniejszym. Okazało ci się jawnie, jako mnie mam, że dwa pierwiastki wręcz odwrotne, bo świat duchowy i zmysłowy spływają w jedność w sztuce pięknej, a tём samém że przewaga jednego z tych pierwiastków paczy zawsze cudne piękności formy. Tak tedy wyjawiała się nam naprzód prawda, że same zmysły nie wystarczą, by ująć piękność w całym niebiańskim jój znaczeniu, i że z drugiej strony sama myśl, wyrzekająca się doczesności, spinająca się po wierzchołkach hardych lecz zimnych i lodowych, wysoko wzniesionych nad życie ciepłe, pełne krwi i tętna, wyrzeka się dobrowolnie rozkoszy płynącej dla ducha z piękności artystycznej.

Tym prawdom przypatrzyliśmy się z przeróżnych względów, a nakoniec widzieliśmy, jak ten właściwy stosunek świata materyalnego i duchowego w sztuce, staje się samą zasadą podziału sztuki na różne jój rodzaje. A wszędzie pojawiła się nam prawda, że sztuka piękna zaiste jest zjednoczeniem dwóch światów, bo doczesności i wiekuistej prawdy, zmysłów i ducha.

Dusza, Psyche, o motylach skrzydłach, słonecznego bóstwa córka, jaśnieje w swój piękności nadziemskiej, ale świat tylko cześć niebiance oddawać umie, a nikt ze śmiertelnych nie ośmiela się jój kochać rzewną miłością. A smutnie i tęskno płyną godziny samotnej Psychy; ale Amor, ziemskiego kochania i najwyższych

uroków bóg, sam miłością ku niej goreje i dla oblubienicy nieśmiertelność od Pana Olimpu wyprosił, a cały Olimp zstąpił na ziemię i uwieńczył zaślubiny niebiańskiej ze ziemską miłością. Sztuka jest tą historią miłości Amora i Psychy, zlaniem się w jedność zmysłowego i duchowego świata.

LIST VI.

Stosunek sztuki do uczuć.

Niezawisłość uczuć od woli naszej. — Uczucia nie mogą być prawidłem sądzenia o rzeczach, ani skazówką postępowania naszego. — Nie mogą tedy stanowić prawdy w sądzeniu o dziełach sztuki. — Uczucia są właściwym sądem w sprawach zupełnie osobistych. — Sztuka nie ma celu wzbudzania uczuć religijnych, ani moralnych. — Uczucie piękności czyli smak nie jest dostatecznym sędzią, ani twórcą dzieł sztuk pięknych. — Pojmowanie piękności przez Platona. — Właściwy okres dla smaku, w znaczeniu zwykłym uważanego. — Smak estetyczny — styl.

Chwile przemagających uczuć są zupełnie przeciwne sztuce. — Uczucia są atoli wyborną treścią dla sztuki. — Indyana Pani Sand. — Stanowisko dzisiejszych romansów francuzkich. — Powołanie rzeczywiste piękności. — Harmonia rozumu i uczuć.

Gdy Dante przy grzmiącym głosie swój lutni pieśnią potężną zaśpiewał o piekle, czyscu i niebie, o aniołach i szatanach, już, jakby na pobudkę ostatecznego sądu, zerwały się Włochy, złożone jeszcze barbarzyństwa snem a roztwierając nagle oczy, ujrzały zarazem purpurowy świt swój sztuki w malowanych Giotta obra-

zach. Poranie nowego życia rozlało się po niwach i gajach Italii. Wtedy i promyk jeden świeżej jutrzenki padł na skromny domek w Arezzo, kędy się chował młody *Spinello*. Zawrzała w nim dusza, zakipiała namiętnością: — był to Włoch w całym znaczeniu; co w sercu zatliło, rozgorzało płomieniem ponurym i buchło na jaw, odbijając się, niby w duszy zwierciadle, w zuchwałych i pełnych grozy figurach pęzła jego. Wnet rozbiegła się sława młodego malarza, a starzy i pacholeta, kobiety i mężczyźni rozprawiali o jego dziełach, podziwiając te śmiałe, butne i namiętne kształty jego; a dziwna też w tych postaciach żyła potęga i dziwne też o nich chodziły wieści. Czyliż on może puścił się w tropy Dantego ku progom Lucyfera, podpatrzył piekielnego gospodarza i z pod boku jego wyniósł sobie na świat wzory dla swych figur? — Bądź jak bądź, zawsze jakaś siła tajemnicza w nim parła i do pośpiechu napędzała, bo choć pęzel jego lotem błyskawicy ścigał myśli i uczucia mistrza, nie mógł im dostać, ani wystarczyć gwałtownemu pochodowi duszy jego. A lubo z równą szybkością wypadały z pod ręki Spinelli i mnichy i światowe damy, święci, cesarze i papieżę, i choć wszystko już stawało się obrazem, o czém zaledwie pomyślał; przecież z głębokiej otchłani gorącej wyobraźni jego coraz nowe a nowe wylatywały kształty; zaczęte, na pół dokończone rzucał, chwytając następne, bo nie miał pokoju w sobie, i coś, jak powiadano, w nim paliło. Ale w końcu Spinello, pragnąc by przecież w mieście rodzinném zostawił ślady żywota swojego, zabrał się do wielkiej roboty w kościele *S. Maria degli Angioli*: upadek i strącenie aniołów pysznych było treścią tój pracy. —

Łatwo sobie wystawić możesz gromadę złych duchów, co urosła z pęzła jego. Główną atoli figurą obrazu, i słusznie, był sam szatan robiący niby honory piekła; a zawział się też na tego wroga naszego rodu Spinello, i w taką brzydotę go przystroił, jak tego jest godzien. I udało mu się — ba, obaczysz, iż mu się udało na jego biedę aż nadto: posłuchaj tylko cierpliwie.

Zbiegała się tłumem cała okolica, by tę sławną szpetność podziwiać, a strach brał patrząc na nią; i nikt już w obecności tego obrazu nie śmiał głośno przemówić, by licha nie budził; — kto spojrział, to i truchlał. A panie wszystkie przyznawały, iżby nigdy się nie spodziewały, by zwodziciel mógł być do tego stopnia brzydkim; a może też nie jedna i nie jeden pocieszał się myślą, iż znów djabeł nie tak straszny jak go malują. Rzecz cała byłaby się może na tém skończyła, i z samym djablem byliby się może oswoili, bo najtrudniej zacząć, a już resztę jakby znalazł. Boć i sami panowie Francuzi nas uczą: *Ce n'est que le premier pas qui coûte*. Ale cóż się stało? — tak wiele o tym djable gadano, rozprawiano, szeptano, iż jakoś wieść o malowidle Spinelli doszła komerażem do piekła i ubodła do żywego stronę interesowaną. Niewiedzieć, czyli djabeł był istotnie na starość w jakichś jeszcze pretensjach, czyli się obawiał wyraźnej straty i bankructwa na kredycie, i mądrze u siebie zważył, iż zwodziciel, o którym wszyscy wiedzą że szpetny, i licha nie wart: o to wszystko nie pytaj, ja o tém wiedzieć nie mogę, ani chcę wiedzieć, bo zresztą nie lubię się w takie tam rzeczy mieszać. Koniec końców, wszystko się skrupiło na biednym Spinellu. Słuchaj.

Jednej nocy, gdy księżyc, niezmordowany od wieków kochanek i towarzyszy Ziemi naszej, po swojemu ją kółkiem obiegał, i tak służąc pani swojej dowodził, że miłość na starość nie rdzewieje; gdy przy poetycznym świetle jego Italia kąpała się w srebrnych toniach obu mórz swoich, co niby dwaj cavaliere servente z obu stron grą swych fali śpiewały jej serenady swoje, a ona wiecznie młoda, wiecznie cuda, ustrojona wiankiem gajów i kwiatów, teńnęła pod ciche gwiazdy woń swoją, oddając niebu, co od nieba wzięła; Spinello — gdy się to wszystko działo, spał sobie snem prawego, o niczem złem nie myśląc. Aż tu nagle staje przed łóżkiem jego osobiście djabeł, od stóp do głów w tej samej postaci, w której go był odmalował Spinello w kościele degli Angioli; miał kubek w kubek ten sam wyraz fizynomii, te same maniery, ułożenie i t. d. słowem, oryginał był, jak to mówią, z miny i czupryny tak podobny do owjej swjej kopii, jak dwie krople wody. A nuż tedy żale i chryje, nuż wyrzuty; a tyś taki, a ty owaki, gdzieś ty mnie tak szpetnym widział, co ja tobie winien, po co ty mnie na despet malował, co ja ci kiedy złego zrobił, ty mi psujesz reputacyą i t. d. i t. d. i t. d. do widzenia się! Przebudził się Spinello kąpiąc się w mroźnych potach, a w mózgu kipiło; czoło miał zimne, a głowę w płomieniach — ot, dostał pomieszania zmysłów, nie długo umarł, i na tém się skończyło.

Otóż widzisz, drogi mój bracie, czém dla tego nieboraka był djabeł, tém zupełnie dla nas pospolitych ludzi są najczęściej własne serca *uczucia*; kto się na baczności nie ma, kto ich potędze rość w sobie pozwoli, kto je w sobie na oślep wychowa, toć wnet ich

będzie miał własnymi wrogami, stanie się ich ofiarą i będzie zabity od nich, lub przynajmniej zaszwankuje na rozumie. Uczucia własne dźwigają się często w obrzymie złowrogie demony, które się stają naszej zguby przyczyną; co się w sercu zrodziło wywołuje moce w świecie zewnętrznym, a te moce biją na nas i karzą za to, żeśmy pominęli ogólny Boży zakon władający światem i gruntowali sprawy nasze wyłącznie na własnego serca natchnieniu kłamliwem.

A istotnie rzecz dziwnie się ma i z uczuciami i z tém powszedniem odwoływaniem się do nich. Zwyczajnie własne uczucia na świadectwo biorą w rzeczach, do których je najmniej zastosować można; a znowu tam, gdzieby wypadało sięgnąć do przybytku własnego serca i zapytać li samego głosu uczuć, tam najczęściej radzą się zimnego rozsądku: paczą tedy i rozsądek, i znieważają uczuć świętość. Gdy zaś najpospoliciej przy sztukach pięknych zwykło się wiele i suto rozprawiać o uczuciach, racz tedy ze mną trochę bliżej ich istotę rozebrać, mając atoli zawsze na pamięci, że ja tu mówić będę o uczuciach samych przez się, a nie będących pod wpływem wyższych władz i ukształconej woli. Dla uniknienia wszelkiego nieporozumienia wolę ci już z początku oświadczyć, czego przy końcu listu tego dowiodę, że jak człowiek bez uczuć jest głuchą, bezjędrną łupiną w świecie moralnym, tak też przynaję, iż w świecie estetycznym uczucia są głównym pierwiastkiem; bo gdzie nie ma uczuć, tam nie ma mistrza, tam nie ma sędziego sztuk pięknych, tam nie ma sztuki wcale.

A wyznaj, że też trudno znaleźć coś tak zmien-
nego, tak przemijającego jak uczucia same, jeżeli one

nie staną pod rządem rozumu i nie poddadzą się zasadom prawdy. Rodzą się one w nas ciągle, i ciągle się przeobrażają, przychodzą nam z nienacka, niewołane, i niespodziewanie występują z ziemi, jakby z pod podłogi teatralnej widziadła i strachy; lęgną się w nas mimowolnie, bez najmniejszego wpływu naszego; jedna chwila bywa tu stanowczą. Ten lub ów, co wstał sobie spokojnie z rana, kładzie się wieczorem mając nienawiść, troskę, lub miłość w sercu: a co gorsza, przez nie, jakby przez żółte, bure, lub różowe szkielełka na świat spoziéra. Uczucia tak mało od nas zależą, jak rumieniec na licu, jak iskra w oku, jak łza boleści, lub barwa włosów, jak sen i marzenia nocne, jak łagodniejsze lub mocniejsze pulsu bicie — serce nie sługa.

Czyli się kto z tkliwszém lub twardszém sercem rodzi, to ani jego zasługą, ani winą; ani téż o to chodzi, jakim się kto rodzi, ale jakim się własną pracą uczyni. Nie ma ludzi lichszych jak ci, których cała pochwała, że mają dobre serce: bo najczęściej to dobre serce znajdzie się i przy braku charakteru, honoru i ścisłego dopełnienia powinności swoich, i przy słabój głowie, rozwiązłości i złych obyczajach. Ludzie tacy nie dają żadnej rękojmi swojego postępowania, a najczęściej i sobie i innym stają się zguby przyczyną. Najwyższym dowodem wartości człowieka jest walka z wadami przyrodzonymi serca, aby na miejscu przemiennych uczuć zbudować w sobie charakter. Ludzi bezmózgłych najczęściej tém bronimy, iż mimo tego i owego, co uczynili, mają przecież dobre serce. Podobnie téż ludzie wskroś sentymentalni nigdy nie zdobędą się na dzielne i potężne czyny; dusza ich pełna

woni, niby fiolek w zaciszy, wyzienie zapachem swe życie niezaznane, ciche i wiotkie. Jest to wielka różnica między człowiekiem sentymentalnym a człowiekiem, jak to mówią, mającym sentymenta.

Uczucia, mieszczące się w piersiach naszych, są skutkiem i ostatecznym wypadkiem nieprzeliczonych wpływów. Cały przeszły żywot nasz, towarzystwo, rodzaj wychowania, miejsce kędy kolébka nasza stała, obrazy rozwieszane na ścianach ojczystego domu, czarne i jasne chwile dziecięctwa naszego i cała ta nasza młodość brzmi głosem przeciągłym, długim, aż w późne lata życia. Nawet bieg szybszy lub powolniejszy krwi, różny temperament, wszystko, czegośmy sami się wyuczili, albo czego nas świat nauczył przedewszystkiem usposobienie psychiczne od natury wzięte... słowem, summa nieskończonej liczby przypadłości, które bynajmniej od nas nie zależały, stworzyły te uczucia, które się w piersiach naszych mieszczą. Muszą tedy uczucia być tak przypadkowe, jak i okoliczności, które je zrodziły. A ponieważ wypadki i wydarzenia takowe w każdym człowieku są inne a inne, więc też każdy człowiek ma inne uczucia i inne nastroje serca swego. Ale co więcej, w jednym i tym samym człowieku nawet one ciągle się mieniają, wiecznie przeobrażają. Spójrzj w serca własnego cienne otchłanie, w ten świat dziwny, niezgłębiony, w to gniazdo bezokich marzeń, zagadkowych potęg; ztamtąd, jakby z zamglonego oceanu, wznoszą się w różno-kształtnych fantastycznych formach, niby widma wywołane czarno-księżnika słowy, tłumy uczuć różnego języka, różnej twarzy, a każde w imieniu innej namiętności przemawia, każde inną wprowadza sprawę przed sąd rozumu,

każde ku swęj stronie kieruje życiem naszém: a rozum, wśród tęg. wrzawy niesfornęj, przeszłszy niekiedy i słusności głosu. Uważ iż nawet nigdy jedno uczucie samo w nas się nie odezwie; owszem, gdy jedno w serce uderzy, budzi całe akkordy spokrewnionych z sobą uczuć, podobnie gdy się dotkniesz jednęj struny w muzyczném narzędziu, już dźwięk jej obudzi inne, posłyszysz jej tercyę, kwintę i oktawę.

Nieustannie coś w sercu naszém się zradza, porusza, mówi, a lada zdarzenie, lada zjawisko na nas działać może; spadający listek wieczorem jesiennym, umiérający kwiat, pięknych oczu spojrzenie, niebo jasne, promienne lub szare i smutne, pieśń z dawnych lat, miejsce niegdyś widywane i ukochane, niebo w gwiazdy strojne, gawory dzwonów znane z lat dziecięcych — i tysiące nieprzewidzianych małych i wielkich wypadków przestrajają w mgnieniu oka duszę naszą.

Sama wieku różnica, rozmaitość pory dziennęj lub rocznęj, przeszłość, przyszłość i terażniejsze chwile w innych barwach zjawiają się oczom duszy naszęj i inne w nas budzą uczucia. Lata, co jeszcze drzemią w przyszłości łonie, podobne do młodości i wiosennego zarania, gdy wschód purpurowy goreje gromadą obłoków złocistych, a w każdęj rosy kropelce żwierciedli się niebo, błyszcząc nam jakby tysiączną nadzieją; przeszłość zaś jest znów jakby wieczorem jesiennym, niby podeszłością wieku naszego: przedmioty rzucają długie cienie na obraz świata; smutne, zimne mgły pokrywają życie ziemskie, aż gdy księżyc powodzią drżącego światła zaleje doliny, już też drzewa, góry, krzewy i skały tracą barwy swoje, i są tylko jakby widmami siebie samych. Południe życia, strzelając

z góry promieniem swoim, dojmuje upałem pracownika tej ziemi; człowiek w znojn wieku średniego trzodzi się z chwilą terażniejszą i pasuje się z nią i walczy, zapomniawszy na życia swojego wschód, a często nie pomni, że słońce żywota ku zachodowi się skłania. Tak uczucia nasze coraz inne przybierają kształty, a serce ciągłym niby jest kalejdoskopem, za każdym poruszeniem w inne się przemienia postaci.

A już teraz myślę, iż mi przyznasz że uczucia, powstając w nas i niknąc bez woli naszej i przyczynienia się naszego, muszą też być w każdym człowieku inne, i nawet w każdym znów, wedle różnej chwili, wedle trafu, różne; a z tego znów zrozumieć możemy, iż one są rozmaite: złe i dobre, zacne i nizezemne, że nas tak do wielkich i szlachetnych czynów prowadzą, jak hańby i zbrodni stają się przyczyną. Przyjaźń, miłość, poświęcenie za prawdę, bojaźń Boża, obyczaj pocziwy, również mają w sercu ojczyznę swoją, i również z uczuć pochodzą, jak zdrada, nienawiść, mordy, cudzołostwo, kradzież, zazdrość, kaziroduztwo i wszetečność wszelka, o tém i Pismo Ś. świadczy. Wstąp-no do więzień karnych, kędy mieszka występki i rozpacz, a najczęściój znajdziesz, iż zarodem złego, owym ciemnym aniołem, co zwraca człeka od drogi prawego żywota i wabi ku złemu, były złe pilnowane serca uczucia.

Uczucia są to owe czarownice, co na głuchych i pustych wrzosach, wśród wichru, burzy i bitwy spotykają Makbeta i w serce jego, nadpuste pychą odniesionego zwycięztwa, niby jadu krople wpuszczając, pochlebną i zdradliwą przepowiednią wznecają w nim żądze panowania i cheiwość korony: a droga to tronu wiedzie go przez mordy i zdrady. Puginał-widmo

wabi Makbeta po przez noc do komnaty śpiącego Dunkana, a sam morderca siebie pyta, czyli krwawe zabójstwa narzędzie jest piekła widziałem, lub dziełem podstępnych zmysłów? Shakspeare jest mistrzem w malowaniu uczuć stojących na zdradzie człowiekowi. Dla Otella znów zazdrość serca w postaci Jaga staje się szatanem Jego. Uczucia złe dojrzwając bowiem w piersiach przybierają te lub owe kształty, kuszą i do grzechu pociągają. Wié o tem Hamlet; głucho i pusto w sercu jego, rozpacza o ludziach, o sobie, o wieczności; patrzy na świat niby na wielki grób, a w serce własne jak w cmentarz, kędy pochował i miłość, i nadzieję, i ufność i wiarę swoją; skrzepnął w sobie, bo powątpił nawet o matce własnej. W tém duszy nastrojeniu podejrzenie ostatnie, najwyższe, zjawia mu się w bladém widmie ojca: ale Hamlet i jemu nie dowierza i sam sobie powiada, że duch ten może być zawodnym piekła posłannikiem, by go ułudą zwieść i wtrącić do zbrodni.

Jeżeli tedy zaprzeczyć nie możesz, iż uczucia są czémś niepewnym, przypadkowym, a często złego powodem, toć już widzisz, iż one nie mogą być sędziami spraw naszych, owszem, iż one same należą pod sąd rozumu. A jak tedy niebezpiecznie jest zaufać im, tak jest ubliżeniem godności człowieka uważać to za prawdę, co nam, jak uczucia, zniemacka i niewiedzieć z kąd przychodzi. — Człowiek, by bez krzywdy swęj wiekuistęj istoty cokolwiek za prawdę mógł uważać, winien być przy zakładzinach jęj i znać jęj fundamenta.

Nie rozumiem tedy, jakim prawem w rzeczach pełnych grozy i powagi, w sprawach ogromnego dla wszystkich ludzi znaczenia, można się do uczucia swo-

jego odwoływać; a jednak tak się dzieć zwykło. Bo czy to jest mowa o wydarzeniach historycznych, o wielkich figurach w życiu rodu ludzkiego, lub o prawie, stosunkach towarzyskich, sztuce pięknej i podobnych sprawach, toć najczęściej słyszymy, iż ktoś sobie uczucia własne za sędziów bierze, i z nich tworzy sobie zdania. Ale rzecz jasna, iż zdanie takowe jest li ważnem dla niego samego, dla innych nie ma żadnej wartości. Tu na nie się nie przyda, choć kto, kładąc rękę na sercu, sentymentalnie zawoła: „ja tak czuję!“ bo choćby tém nawet jakiś efekt sprawił, nikogo przecież nie przekona: a wykrzykniki takowe są nierównie łatwiejsze, niż dowody na rozumowych zasadach oparte.

Człowiek, gruntujący zdanie swoje na własnych tylko uczuciach, opiera się tylko na powodach zupełnie osobistych, więc przypadkowych które innych ludzi nie obchodzą wcale; a gdy czerpie li z siebie samego zdanie, nie z rzeczy, o której sądzi, więc też to jego zdanie będzie prawdą osobistą tylko, a nie rzeczywistą: bo, czyniąc uczucia swoje najwyższym sędzią o rzeczy, nie pyta czém ona jest sama w sobie, a zatem czém być winna dla innych, tylko czém ona jest dla niego. Nie przypuszcza żadnej dyskusji, żadnego dowodzenia, ani za, ani przeciw: bo gdzie dyskusja i dowody, tam i rozumowanie, a uczucie nie wdaje się w rozumowanie; jest, bo jest. Kto tylko w uczucia wierzy, żąda tedy ślepej wiary, bezwarunkowej ufności, ma pretensją, aby to, co wyrzecze, miało dogmatów wagę; a przecież zdania takowe mają tylko piętno urywkowych prawideł, nie mogących się nigdy związać w systematyczną całość, bo do tej potrzeba zasady rozwiniętej

z rozumowania. Estetyk, wierzący tylko w uczucia własne, na świat patrzy się z piętra, i radby mieć w swoim kraju niby propinacyą wyłączną na zdania i sąd o rzeczach i ludziach.

Są zaiste stosunki ludzkie, w których każdy samego jedynie uczucia radzić się musi i powinien, w których samo serce rozstrzyga. Zakochał się kto i żeni się, toć już słucha samego swojego uczucia, boć to jest jego własna sprawa, i zupełnie ma słuszość nie dbać o zdanie i perswazyę innych. Lecz byłby człowiekiem nieznośnym i śmieszny, gdyby nas zniewolić chciał, byśmy i my te wszystkie owe zalety, przymioty i powaby w jego oblubienicy widzieli, które on w niej spostrzegł. Któż bierze za złe rodzicom, gdy w swych dzieciach widzą dowcip, rozsądek i urodę, i jakieś nadzwyczajne upatrują zdolności, których się inni ludzie w nich, choć przy najlepszej woli, dopatrzeć nie mogą. Dla ciebie ów ogromny dąb, pod którym siadywał dziad twój i ojciec, jest księgą świętą nieprzebranych marzeń słodkich i wspomnień drogich — gdy tymczasem obcy człowiek w myśli oblicza, ileby z onego dębu było fosztów, i po czemuby ich łokieć sprzedać można. Z tego też powodu uczucia zwykliśmy zamykać w cichych tajnikach duszy, rzadko je komu otwierając, by świętokradzką ręką nie znieważono tej świętej kaplicy w piersiach naszych, by zimnem dotknięciem nie zmrożono nam ciepłego drgania serca. Nie dziw tedy, że też miłość lub przyjaźń zdradzona tak pali i boli.

W sprawach przeto zupełnie osobistych, zupełnie do nas należących, uczucia są właściwym sądem; wyprowadzone zaś z tego koła nie znajdują się więcej na miejscu swoim. Przewaga bowiem jakiego uczu-

cia w człowieku tak miesza i mąci wyobrażenia o rzeczach, tak je mający, iż jest w niższym stopniu zupełnie tęp, czém obłąkanie umysłu. Dla tej też przyczyny górowanie uczucia jakiego najczęściej do obłąkania prowadzi. W stanie takowym umysł zwrócony przedewszystkiem ku jednemu przedmiotowi, (fiksacya), nie zdoła uporządkować wyobrażeń swoich, ani naznaczyć każdemu właściwego miejsca, wszystkie z sobą miesza; dla tego choroby umysłowe słusznie pomieszaniem się nazywają. Rzeczy dla duszy w tym stanie będącej nie są istotnie tęp, czém są rzeczywiście, ale czém się umysłowi schorzałemu być wydają. Najtrafniejszém też leczeniem jest staranie, by człowieka z tego osobistego stanowiska jego, niby z kółka zaczarowanego, wyprowadzić a wystawić go na działanie świata zewnętrznego, rzeczywistego, czyli, jak powiadają, by go rozerwać, zająć rzeczami istotnemi.

Bo też świat zewnętrzny, zwłaszcza natura, jest właśnie tą prozą, toczącą się zawsze i wszędzie drogą rozumu; i świat nie pyta się wcale, czém on się temu lub owemu człowiekowi wydać może, ale uczy rozumu każdego, kto się do niego nie stosuje, bo uczy, aby zapatrywanie się osobiste swoje zamienił na zdanie z rzeczy pochodzące, a pojmowanie rzeczywiste. Otóż patrz, szanowny pan Don Quichot z Manchy, choć sam mięwał zajęczki, wiedział przecież, jakby je leczyć w drugich. Gdy piękna panna Altisidora, niby rozgorzała ku niemu nieukojoną miłością, zuchwały rycerz z Manchy nie zdołał płacić wdzięcznością i wzajemnością uczuć, bo siebie na wieki był oddał nieporównanej Dulcinei z Tobozy. Przyjęty jednak listością, rad był sentymentalnej Altisidorze podać niezawodne lekar-

stwo na ową serca chorobę. Jednego tedy wieczora, gdy, wróciwszy od księztwa do komnaty swój, usłyszał głosy niewieście w ogrodzie zamkowym pod oknami swemi, dorozumiał się w okamgnieniu, że to ona nieszczęśliwa ofiara: bierze tedy gitarę i, wedle świadectwa biografu swojego, trochę chrapliwym ale wcale nie przykrym głosem zaśpiewał pieśń, którą sam był na ten przypadek ułożył, choć nie wiem czyli dość grzeczną dla owjej damy. Dość na tém, że jej radzi, by się zatrudniała jak najwięcej, unikała próżniactwa, żeby doziérała kuchni, patrzyła gospodarstwa, i zapewnia że szycie, hafty, dzięrgania, druty, doglądanie ogrodu, ciągła czynność, są wybornemi środkami na miłość zbyteczną. Pamiętasz może, że po tej radzie, tak niby rozsądnej, sam biedny rycerz nasz odbywa walkę z kotami, które mieni być złośliwemi czarownikami. Bo tak bywa wśród nocy przyćmionej duszy; niekiedy myśl strzeli, jakby błyskawicą, dawną potęgą swoją, by potem znów zapaść w sen i w marzenia na jawie. Tak masz, na wstępie do domu obłąkanych w mieście naszym, napisane węglem na ścianie tąż samą nieszczęśliwą ręką i tuż przy sobie: *Deus est ens musicale, mléko piétko papa.*

Mimo tego, iż tak mało na samych uczuciach fundować się można, przecież jest zdanie powszechnie prawie, iż sztuki piękne jak z jednej strony ze samego uczucia mistrza płyną, tak też znowu w same tylko uczucia widza i słuchacza uderzać winny: że zatem ich głównym celem jest wzruszanie serca, pobudzanie uczuć, wzniecanie namiętności, a z tego znów, iż uczucia są właściwymi sędziami sztuk, i że wedle nich wyrokować można o dziełach piękności; bo jeżeli

sztuki piękne dla uczuć pracują, więc też uczucia najtrafniejsze zdanie o nich mieć zdołają. Tutaj zaraz z góry możnaby uczynić tę uwagę, iż ze wszystkich sztuk pięknych właśnie muzyka jest tą, która zdaje się być najwięcej uczuciową, bo istotnie najwięcej ze wszystkich do uczuć przemawia — a przecież, pytam się, słysząc naprzykład kompozytorkę jaką muzykalną, czyliż tylko samego uczucia mistrza w niej szukać będziemy, i czyliż dość jest, aby słuchający miał tylko uczucie samo, a nie więcej? Cóż dopiero rzec o malarstwie, architekturze, o rzeźbie lub poezji? Nie ma nic łatwiejszego jak wołać, że sztuki powinny nas poruszać, wzbudzać uczucia, rozgrzać je sobą i t. d. Ta rada atoli jest tak ciemna i niezrozumiała jak uczucia same. A zresztą jakież to uczucia one wzruszać powinny? Dajmy na to, iż nam naprzykład odpowiedzą: że sztuki mają wzniecić uczucia religijne, zamiłowanie cnoty, pogardę występku, słowem, że podnieść i uszlachetnić winny uczucia moralne. Takie wyjaśnienie rzeczy nie wystarcza wcale, bo nam miesza cel religii i moralności z celem sztuki pięknej, a tu właśnie wszystko na tém zależy, by oznaczyć, czém jest sztuka, co ona ma właściwego sobie, żeby ją odgraniczyć od uczuć religijnych i moralnych. Taka definicya przenosi zupełnie sztuki na grunt im wcale obcy.

A jak zaprzeczyć nie możesz, iż religia i moralność sama w sobie jest prawdą i sama o sobie stoi, nie potrzebując od nikogo pomocy, obejść się zatóm może i bez sztuk pięknych, — tak z drugiej strony zechcesz przypomnieć sobie, żeśmy już w drugim liście zgodzili się na to, iż sztuki piękne nikomu nie służą, nie mają obcych celów, i same sobie są celem: nie służą tedy i

moralności. Nie ma płytszego sądu o sztukach pięknych, jak zdanie powtarzane aż do znudzenia często: iż ten lub ów obraz, posąg, poezya, romans nie jest niby moralnym. Sąd taki jest czezy. Ludzie, którym brakuje podnięty wewnętrznej do uczuć moralnych, niechaj nie narzekają na sztuki piękne, ale na wychowanie, jakie odebrali. Dzieła sztuki pięknej wcale nie mają powołania, by zastąpiły naukę wiary lub zasady poczciwe, skoro w sercu nie ma ani wiary, ani zacności. Sztuki wcale nie mają celu, by pomagały rozszerzeniu moralności w świecie, to do nich wcale nie należy. Powieść, malująca ohydną barwę zbrodni w celu jedynie by była odstrachem od złego, chybia powołania swojego, zbacza ze swój drogi, bo jej cel jest jedynie artystyczny. Po architekturze, po muzyce, po rzeźbie nawet nikt nie wymaga, by miały cel moralny; jedna tylko poezya budująca, grająca, malująca wyrazami, ma mieć jeszcze cel dobrego obyczaju, choć ona ani mniej ani więcej nie jest sztuką jak architektura lub muzyka. Powieści pisane dla dzieci mają zaiste głównie na bacności kształcenie sere młodych; ale też powieści takowe nie należą do sztuki pięknej, lecz do pedagogiki, do liczby książek wychowaniu poświęconych. Jest rzeczą nawet dość komiczną, jeżeli ludzie późniejszego wieku chcą się jeszcze budować i polepszać z dzieł, które dla rozerwania swojego czytają; wszak już oni dawno powinni byli skończyć sprawę ze sercem i rozumem swoim i wiedzieć stosunki swoje do Boga, bliźniego i siebie samych. Rozprawiania o moralności dzieł sztuki pochodzi z pomieszania wyobrażeń o rzeczach zupełnie różnych. Czyliż sztuki piękne mają być rozprawą o moralności, czyliż one mają mieć

w końcu dodany sens moralny jak bajeczki Krasickiego? — a zresztą, któż z nich tę moralność wytłumaczy? — czyli tu nie wszystko zależy od sposobu uważania tego, który je tłumaczy? — W jedném i témże samém dziele, wedle stanowiska różnego, wiele dobrego i wiele złego widzieć można. Posłuchaj, co w towarzystwie mówią, gdy przy herbacie rozprawiają o moralności jakiego romansu lub dramatu; rzadko znajdziesz dwa zdania zgodne w tym względzie.

Nie przeczę iż dzieło sztuki każde, byleby było doskonałe, na wartość też wewnętrznego człowieka wywrze wpływ swój potężny i zagrzeje miłością tego, co jest moralnem, wielkiem, prawem i świętém. Bo sztuki tak są prawdą i tak z zacności człowieka płyną, jak moralność, cnota i wiara; nie mogą one być tedy im przeciwne, ani w sprzeczności z sobą: są to ściany jednego i tego samego brylantu, gorejącego tylko różnemi barwami ognia swojego. Co innego atoli jest powiedzieć, iż z dzieł sztuk pięknych wypływa moralność i zacność, a co innego, iż one tylko dla tej moralności i cnoty bytność swoją mają, i że one dla moralności są środkiem tylko. Przypuszczam iż istotnie sztuki piękne winny mieć na celu obudzenie uczuć szlachetnych, wielkich i zacnych; czyliby na tém moralność tak wiele zyskała? — mniemam, że nie wiele: bo moralność nie stoi na uczuciach, nie na zapałach tylko, ale raczej na przekonaniu, na jasnejwiedzy i powinności świętych człowieka, na łamaniu się z sobą, jeżeli potrzeba, a nawet na zmuszeniu swych uczuć, by się zastosowały do tego, cośmy w sobie za prawdziwe i godne nas uznali.

Zaiste sztuki piękne nie służą żadnemu celowi obcemu za środek; ich celem jest właśnie piękność

sama. Ich celem nie jest ani rozbudzenie uczuć religijnych ani moralnych, ich celem też nie może być nauczanie ani wiedza żadna; sztuki piękne są wolnemi córami potęgi niebiańskiej, która zamieszkała w sercu człowieka.

Rzekłem już w inném miejscu, że człowiek w sztuce uzmysławia wiekuisty pierwiastek ducha swojego; ten pierwiastek w nim robi i prze, niewoli to do własnej twórczości artystycznej, to do podziwiania dzieł mistrzów i skąpania ducha swojego w źródle piękności. Człowiek nie może nie mieć sztuki, ona jest najwyższym wykwitem ducha jego; sztuka jest zarazem i rękojmą i wypływem nieśmiertelnej jego istoty. Dla tego też właśnie sztuki piękne pojawieniem swoim uszlachetniają, uzacniają uczucia człowieka; dla tego właśnie stały obok cnoty, obok religii jako zacne jej sprzymierzeńce. Atoli to uszlachetnienie, to wzniesienie ducha ludzkiego przez sztuki piękne jest ich skutkiem, ale nie jest ich powodem ani celem.

Widzisz tedy że cel, narzucony sztukom pięknym, jest świętokradztwem na nich dokonaniem, więc dla tego sztuka, uczyniona służebnicą obcych jej celów, mścić się będzie na mistrzach zniewagi swojej, skręcając i pacząc ich dzieła, jakby na urągowisko ich talentów.

Patrz jak mdle najczęściej są np. wszelkie poezye mające na celu nauczanie; poemata dydaktyczne nie są nigdy ani prawdziwą nauką, a rzadko bardzo prawdziwą poezyą. Wszak dążności „praktyczne“ Rzymian, mające we wszystkim cel utilitarny na oku, stały się klątwą ciężącą na ich sztuce; wszak ta praktyczność ich przedewszystkiem stworzyła ową poezyą rzymską dydaktyczną, co świeci i błyszczy, migoce się jakby

wysadzona w drogę kamienie: w niej znać pilne, wytrwale wykonanie, ale najczęściej brak im natchnienia. Bo też inaczej być nie może! Wszelkie dzieło sztuki, do którego się zabiera mistrz zamiarem osiągnięcia jakiegoś celu ubocznego dla piękności, wszelkie dzieło sztuki, przedsięwzięte z zamiarem rozszerzenia jakiejś dążności ubocznej między ludźmi, nie będzie nigdy arcydziełem piękności. Bo gdy mistrz ma na oku cel jakowyś, już tём samém dobierać winien środki stosowne do osiągnięcia zamierzonego celu, i wiąże te środki i kombinuje je z sobą, i waży je i mierzy i stosuje. Takie postępowanie atoli jest już sprawą chłodnej rozważki, rozumowania, rozsądku: lecz rozum, rozważka chłodna nie stworzy nigdy dzieła sztuki, z głowy samej nie zrodzi się nigdy piękność; takowe dzieło nie będzie żywym kwiatem, ale kwiatem trupim, robionym. Przypatrz się dobrze tym poezjom, romanansom tak zwanym „tendencyjnym“, a zgodzisz się zemną, że prace takowe, mimo ogromnego talentu pisarzy, nie będą przecież dziełem prawdziwie estetycznym, artystycznym. Bo dwóm panom służyć nie można. Kto jest kapłanem piękności, niechaj się już nie kłania obcym jej bogom. Połowiczność zawsze i w tём odnosi karę, że takowe dzieła wnet idą w niepamięć: świat zwróci się do innej dążności i odrzuci precz od siebie dzieła, które niedawno uwielbiał. Piękność artystyczna w całym majestacie swoim zasiadła na stolicy; garnijcie się do niej i oddajcie jej hołdy; ale biada jej i wam, gdy ona, zapomniawszy godność a zacność swoją, zestąpi z swojego tronu i, mizdrząc się do lada zachętki swojego czasu, ofiaruje się każdemu co jej przysługi po swojemu użyć zechce.

Rozumiem że mi nie zarzucisz tutaj, iż najwyższe arcydzieła sztuki, że pieśni wielkich mistrzów, porywając, zagrzewając serc tysiące, wlewając w duszę dążności wielkie, szlachetne, olbrzymie i unoszą widza, słuchacza nad siebie samego; nie spodziewam się zarzutu takowego, bo rzecz jasna, że gdy każde dzieło sztuki, każda pieśń ma pewną treść swoją, już tém samém obudza w sercu ludzi dźwięki pokrewne, wskrzesza uczucia a tém samém i dążności, które wtórować będą tonami swojemi téj treści, tym uczuciom mistrza samego. Tego przecież nikt zaprzeczyć nie zdoła. Nie mniej jest rzeczą pewną, że ta duchowładna tajemna potęga mistrza właśnie w tém tkwi, że on te uczucia, te zapęły w sercach ludzi zbudził sztuką ale nie sztucznością; że tych dzieł nie robił jakoby na obstalunek, że sam mistrz wieszcz był przenikniony wskrós jakąś prawdą wielką, prawdą głęboką, która przeszła jakby w krew jego duszy, w tętno jego serca, wrzała w nim i kipiała i parła do dzieła! i on wyśpiewał tę prawdę w swojej pieśni, odział ją w postać dzieła swojego, a ta pieśń, to dzieło uderzyło gromem widzów, słuchaczy i rozpałiło ich ogniem zacnym i szlachetnym. Prawda, która się stała panią wieszczą i duszą jego duszy, sama przez się z własnej mocy swojej żyć będzie w dziele jego, i nie będzie bynajmniej potrzeba aby mistrz założył ją sobie z góry za cel swojego dzieła; w tém dziele będzie dążność, ale ona sama się w nim zrodzi bez umyślnego powziętego zamiaru. Lecz właśnie dla tego głównie chodzi o to, aby treść, przejmująca duszę mistrza, była rzeczywiście prawdą, bo wtedy i natchnienie jego będzie istic prawdziwém, wtedy to zachwycenie twórcze nie tylko z imienia ale z istoty

swojej będzie aniołem wiekuistości, zesłanym od bożego tronu, wtedy jedynie to zachwycenie nie będzie kłamliwem, zawodnym demonem, co się zrodzi z próżności osobistej i zachcianki drobnej ciasnego serca.

Ale rzekną nam, że smak jest zaiste najwyższym krytykiem dzieł sztuk pięknych; aleć, proszę, czémże jest smak, jeżeli nie uczuciem piękności? Co tedy powyżej o uczuciach w ogólności powiedziałem zupełnie stosuje się i do uczucia piękności, do smaku. Lecz co więcej, ze wszystkich uczuć właśnie uczucie piękności, ów smak jest najniestalszy, najrozmaitszy; każdy wiek, każdy człowiek ma inny, każdy rok inne smaki rodzi. Myślę iż nasze damy za wszystkie skarby świata nie ustroiłyby się w mody, będące najwyższym dowodem wykwintnego smaku lat temu 30; ba, i tak dawnego czasu nie potrzeba wcale. Byłoby szczerym zbytkiem dowodzić tego, a nie ma też oklepańszego i prawdziwszego przysłowia: *de gustibus non est disputandum*.

Powiadają, smaku dorobić się można wpatrywaniem się pilnem w dzieła sztuk pięknych, zostawionych nam w puściźnie po wielkich mistrzach przeszłości. Wołają zewsząd: czytaj tylko pilnie dzieła wzorowe, odznaczające się wytwornością, nabywaj uczucia piękności w galeryach obrazów, rozbiéraj celujące pomniki architektury, zrozumiejj czarodziejstwo muzyki po koncertach, operach, kościołach, utop się myślą w posągach świecących po glyptotekach europejskich, a widząc i słysząc te skarby sztuki, wyprawisz smak swój i będziesz już mógł sądzić o wartości dzieł.

Gdyby samo widzenie zgoła miało być dostatecznem, więc nie wiedzieć czém się dzieje, że pomimo onych gęstych a częstych podróży, znajdziesz owo dziwacze-

nie się, zwłaszcza pod względem architektury. Spójrzysz na browar, rzekłbyś, że to kościół; na owczarnią, że to ratusz; obaczysz karczmę podobną do galeryi obrazów, a dwór do obory. Lada gdzie usadzą pękata basztę, wlepią ci drzwi i okienka spieczaste, i powiadają że to styl gotycki. I takie to całe wyobrażenie o smaku i piękności. Bo już nikt nie żąda, by kto innemi sprawami życia zatrudniony znalazł się na sztuce, ale chodzi o to, aby wiedział na co go stać, a na co nie. A zkądże to wszystko się bierze? — zaiste ztąd, że choć owa rada nabierania smaku przez przypatrywanie się rzeczom prawdziwie pięknym ma wiele prawdy, przecież w niej jest jedna niedogodność: trzeba bowiem już naprzód i z góry wiedzieć, co jest pięknem i czemu się przypatrywać potrzeba, by smaku nabyć; lecz kto to wie, już ma smak i już go nabywać przypatrywaniem się nie potrzebuje wcale; już taki ma to uczucie piękności, o które właśnie mu chodzi. A jeżeli go nie ma w sobie, jakże poznać zdoła, co piękne a co niepiękne w dziełach sztuki? a jakim sposobem ma znaleźć tę piękność, czyli za pomocą przewodnika, coby mu wskazał te piękności wszystkie? — Zapewne. Ale zkądże znów ta pewność, że ten sam przewodnik ma smak dostateczny — i zkądże znowu ów przewodnik nauczył się tego smaku? zapewne także musiał mieć przewodnika swojego, a ten znów innego; a tak niewiedzieć gdzie się ten łańcuch przewodników kończy. Ale może sława Rafaela, Correggia, Thorwaldsena, Homera, Praxytelesza wystarczy, by wiedzieć, iż ich dzieła są wzorami piękności i że się im przypatrzeć należy. Zaiste, jest to zawsze czémś: pytam się jednak, cóż im tę sławę sprawiło,

czyli smak współczesnych i potomnych? a ci znów z kąd tego smaku nabyli, jako też prawa ustalenia sławy mistrzów onych?

Mamy więc podziwiać Zbawiciela w katedrze naszej nie dla tego, że jest dziełem najwyższej piękności, ale dla tego że jest dziełem Thorwaldsena, który jest *bardzo sławnym rzeźbiarzem?* więc tedy nie mistrz ma brać sławę z dzieł swoich, lecz dzieła z mistrza?

Dziwna rzecz iż po tylu pracach, po tyłowiecznych trudach jeszcze się nie upowszechniła jasna i przezroczysta wiedza o wiekuistej istocie piękności, gdy tymczasem Plato przed dwoma tysiącami lat uchwycił ją z najwyższego szczytu geniuszu swojego. Skracam słowa jego dając im zakrój zbliżony nieco do naszego pojmowania rzeczy. „Gdy dusza — mówi Plato — ujrzy piękność na Ziemi, przejmuje się dreszczem tajemniczym, bo przypomina sobie własnego żywota dzieje przed lat tysiącem upłynione, gdy jeszcze mieszkała na gwiazdzistej nieba stolicy, i nim spadła w zimne padole doczesnego życia. Gdy bowiem tutaj w tych poniżach ziemskich piękność przed duszą stanie, wtedy dusza rozgoreje pamięcią zapomnianej szczęśliwości: rozwija się przed nią jasny obraz onęj chwili wielkiej, gdyśmy wszyscy, jedni w orszaku Jowisza króla Olimpu, inni chorem idąc za innymi bogami, obchodzili uroczystość najwyższej Piękności, oddając wraz z niebianami tej wspólnej wszystkim pani pokłon i cześć. Dusza tym widokiem jasnym rozplywała się w morzu wesela bez granic, bo ona była jeszcze bez skazy, pełna czystej roskoszy, niedotknięta jeszcze biedami, które na ziemi na nią czekały, ani obleczona jeszcze ciałem cisnącém ją jak skorupa ślimacza. Dla

tęgo dusza tak do niej tęsknotą drga, gdy ją tu pełną blasku, świecąca, w postaci ciężkiej materji obaczy; a jęj tęż urok jasny oczyma, owym jasnym zmysłem, do duszy płynie.“

„Wzrokiem zaiste piękność oglądać człowiek zdoła, ale mądrości nie ujrzy oczyma; bo gdyby dusza obaczyła mądrość zmysłami swojemi, tak silną ku niej rozgorzałaby miłością, iżby już nie podołała tęg tęsknocie swojęg; dla tego wzrokiem człowiekowi samą tylko piękność oglądać dozwolono jest.“

„Kto już zatracił w sobie przypomnienie onęg piękności wiekuistęg, w niebie widzianęg, lub kto zepsuty spróchniał w sobie, to i kochania prawdziwego tęg piękności nie pojmie; w dzikości swęg natury rozkołysze się ku niej zmysłową namiętnością i grubych zapragnie roskoszy. Kto zaś w piersiach dochował świętość pamięci onęg niebianki, już na widok materji, uduchowionęg pięknością, zadrży w sobie jakąś trwogą wewnętrzną, a lęk z onych czasów spłynie na niego uwielbieniem; upadnie przed nią, będzie się modlił do niej i patrzył na nią niby na Boga, lub na kochankę swoję; radby jęg poświęcić wszystko i palić ofiary, jak się to bogom najwyższym czyni, gdyby znów nie bojaźń, żeby go ludzie za obłąkanego nie mieli. A gdy się w tęg piękność dusza wpatrywać będzie, rokosz tęskna jakimś ciepłem rozleje się po całej jęg istocie, i ona poczuje jakąś boleść po sobie; bo wśród ciepła i tych bólów wykluwają jęg się dawne niebiańskie pióra, dawne skrzydła; a dusza, jak niegdys w niebie, rozwinie te swoje pióra, te loty i skrzydła, i znów się wzniesie do górnego Olimpu, ojczyzny swęg. (Phaedrus).“

Powiedz, czyli może być głębsza filozofia jak ta poezya, i czyli może być wyższa poezya jak ta filozofia Platona? I jak przy tym sposobie zapatrywania się jego wydaje się zdanie, iż smak jest najwyższym sędzią sztuk, iż to one ku niemu się mają i że wszystko jest piękne, co trafia w smak społeczny?

Ośmielam się twierdzić, iż może korzystniejsza jest całość, teoria zbudowana choćby na mylnych zasadach, niż gołe odwoływanie się do smaku choćby najwyborniejszego; albowiem smak nigdy ogólnej teorii nie złoży, bo jest uczuciem, a zatem nie rozumuje wcale; do teorii zaś rozumowania potrzeba. Objawić się tedy smak może li we formie recenzyi, krytyki jakiegóś już utworzonego dzieła sztuki.

Powiadają iż dzieła, które są najwyższą pięknoscią dla jednego wieku lub narodu, są szpetne i obrzydliwe dla innego czasu lub kraju; zatem nie stałego, nie trwałego o piękności i sztuce powiedzieć nie można, zatem też żadna teoria sztuki utworzyć się nie da. Zkądże urosło takie wyobrażenie o rzeczy? Właśnie ztąd, iż w sztukach li samego smaku się trzymają, a właśnie smak, jest zmienny, więc się zdaje, że i piękność sama jest zmienna i że każda teoria sztuki jest pustym zachodem. Rozumowanie takowe krąży kółkiem; bo gdy sztuki są niby dziełem smaku, — więc smak o nich sądzić powinien — a smak o nich sądzi, bo one są dziełem smaku i t. d. I smak ma swoje dzielnice, w których jest samowładnym choć zmiennym panem. Do niego należy ubrać pokoje, wybrać sprzęty, ustawić je, zarządzić obiadem, balem, zastawić stół, — kreślić nowe rysunki na obicia pokojowe, stwarzać kardynałki, burnusy,

wymyślać nowe mantylki, kryspinki, wiktorynki, bibi i. t. d. i t. d. Radbym atoli abyśmy się dobrze zrozumieli. Powyżej mówiłem o smaku w znaczeniu przyjętém zwykle w życiu powszedniem; nie przeczę jednak bynajmniej, że gdy się znajdzie człowiek z duszą estetycznie wykształconą i tkliwą na to wszystko, co szlachetne i zacne na świecie, gdy do uczucia piękności, wziętego z natury a wyrobionego zapatrywaniem się na arcydzieła sztuki, przystąpi jeszcze umiejętność wyrozumowana prawideł artystycznych, wtedy zaiste takie uczucie, taki smak może być sędzią niezawodnym dzieł piękności.

Zrozumiesz, że gdy tu mówię o umiejętności prawideł estetycznych, nie obstaję bynajmniej za pedantkiem szkolnictwem; mniemam jedynie, iż jak mistrz nie obejdzie się bez wiadomości o prawidłach swojej sztuki, tak też i sędzia dzieł jego znać je powinien; ta teorya będzie dla niego samego nawet rękojmnią, że zdanie jego nie płynie li z osobistego usposobienia, ale wynika zarazem i ze samej istoty rzeczy. Zważ równie, iż tu wcale nie chodzi o to, aby, dając zdanie o dziełach sztuki z całym rozsądkiem chłodnym, sobie obecnym, przymierzał do dzieł takowych prawidła estetyczne; bo im więcej on sam przejmie się temi prawidłami, im więcej je zleje z własną istotą swoją, im ściślej je sobie przyswoi, tem one też ściślej przejdą w uczucie jego, staną się, że tak powiem, jego estetycznym sumieniem i instynktem, przejdą w jego smak i uczynią go właśnie smakiem prawdziwym. Mówiłem w tej chwili o sumieniu estetycznym. Widzisz, ów smak osobisty, przypadkowy, niepewny, zawodny, słowem ów smak w znaczeniu, jak go zwykle w życiu

codziennem bierzemy, tak się ma do smaku prawdziwie estetycznego, o którymśmy tutaj dopiero mówili, jak sumienie w znaczeniu nieprawdziwem do sumienia istotnego, rozświeconego prawidłami wiary i nauki moralnej.

Czyliż się to nam rzadko zdarza, że ten lub ów najgorszy człowiek o miedzianem czole, uważa to być sumieniem swoim, co zaiste jest tylko żądzą poziomą, namiętnością niekzemną, która mu wciekła w duszę jego. Kto zaś nauczył się mierzyć sumienie swoje wedle prawd religii i etyki, kto stanął własnemu sumieniu na straży, ten odgarnął od sumienia prawdziwego, od tego głosu bożego, demoniczne i złe uczucia, ten już bez chyby a zawodu, gdy do działania przyjdzie, postąpi sobie zacie i uczciwie, nie przypominając nawet sobie prawideł i ustaw moralnych. Te prawidła staną się już same przez się, jak powyżej rzekłem, krwią jego duszy, tętnem jego serca. Podobnie np. kto nauczył się wedle prawideł wyrozumowanych układu palców, już grając zachowa te prawidła w dotykaniu klawiszów, i nie pomyśli nawet w tej chwili o prawidłach owych.

Zważ atoli jeszcze, że gdy smak ów, w zwyczajnem znaczeniu wzięty, trzyma się w wykonywaniu dzieł sztuki raczej osobistego zapatrywania swojego niż istoty rzeczy, niż istoty przedmiotu i zasad ogólnych piękności, wynika stąd, że smak taki wyradza się najczęściej w wypaczenia, które zwykle „manierą“ zowią, ale manierą w złem znaczeniu. Ona to jest wykonywaniem dzieł sztuki niby na pamięć, wedle pewnych formulek raz na zawsze przyjętych, wedle pewnych sposobków, których się wrzekomy mistrz na pamięć nauczył. Maniera też bardzo często chwytą się ucznia miernych

talentów, chcącego naśladować wielkiego mistrza. Co innego jest styl. Styl jest skutkiem przejęcia wskroś istoty samego przedmiotu, wypływa tedy nie z osobistej dążności ani z własnych kaprysów, ale raczej z rzeczy samej i z zasad sztuki. Buffon niegdyś rzekł: *le style c'est l'homme*; trudnoby nam przyszło zgodzić się z tém orzeczeniem, gdybyśmy je brać mieli co do litery; zdaje mi się atoli, że słowa wielkiego pisarza powinny być wzięte w tém znaczeniu, że ze stylu poznać można o ile mistrz zdołał ująć całą głębię przedmiotu swojego, a tém samém o ile przedstawienie jego artystyczne odpowiada przedmiotowi temu. W tém znaczeniu iście powiedziećby można, że styl jest człowiekiem. Duch mistrza nurkiem zgłębia topiele myśli Bożych, zamkniętych w przedmiocie, i wynosi je na świat przedstawiając je ludziom w szacie właściwej, we właściwym stylu. Atoli wielu arcy-mistrzów z równą genialnością mogą przeniknąć jeden i ten sam przedmiot; każdy przedstawi go w prawdzie wiekuistej jego, w sposób właściwy przedmiotowi, a każdy przecież przedstawi go po swojemu, w sposób jemu tylko właściwy; tak tedy każdy z nich będzie miał styl sobie właściwy. W tém znaczeniu możemy mówić o stylu Michała Anioła, Rafaela, Overbecka i t. d. — z których każdy, choć się zabierze do tego samego przedmiotu, odda go po swojemu. Lecz o stylu i manierze wypadnie mi może jeszcze i na inném miejscu pomówić.

Przecież widzę, iż list mój niepohamowanie rośnie, bo postrzegam, iż zaledwie do połowy wyczerpałem przedmiot dla niego przeznaczony. Wypadałoby mi

może ukończyć terażniejszy list mój zachowując sobie na raz następny ciąg dalszy jego: ale znów z drugiej strony nie radbym na dwa listy rozwlekać tej samej treści; dla tego przebacz, iż rzecz moją za jednym zawodem do końca poprowadzę, i tak też na przyszłość czynić będę.

Zechcesz sobie przypomnieć, iż dopiero co przytoczyłem ci zdanie, jakoby uczucia były główną i jedyną nawet podstawą sztuk pięknych, i że zdanie to rozumiane być powinno pod dwojakim względem: raz, iż sztuki na uczucia widza lub słuchacza działać mają, drugi raz, iż sam mistrz, jako twórca dzieła pięknego, li samego uczucia słuchać powinien. Tak dawniej, bo w liście trzecim, wspominałem choć zdaleka, iż samo uczucie, i samo nawet natchnienie w mistrzu, nie jest dostatecznym środkiem do stworzenia dzieła sztuki. Tutaj więc kilku słowami reszty dopowiem.

Będziesz zaiste dość często w tych listach spostrzeżał, iż niektóre przedmioty za dwoma lub więcej jeszcze zawodami rozbięram; nie zechcesz zaiste postępowania tego przypisywać niebacznemu powtarzaniu się lub błędnemu rozkładowi osnowy, czynię ja to z umysłu, albowiem jestem zdania, iż jasność rzeczy i wzajemne zrozumienie się na tém zyskuje, jeżeli ważniejsze rzeczy przy różnych sposobnościach i z różnej strony swojej wyjaśniane bywają; upraszam cię, żebyś to usprawiedliwienie się moje raz na zawsze miał na oku.

Jeżeli mistrz samém jedynie uczuciem powodować się będzie, toć nie zdoła wyjawić, co się wewnątrz serca jego dzieje. Wiemy wszyscy, iż w chwilach, w których uczucie zupełnie nad nami górę bierze, zdobyć się

jedynie możemy na wykrzykniki nie mające żadnego znaczenia, nie zawierające żadnej myśli w sobie: — są to puste głosy i dźwięki urwane. Im zaś duch więcej ochłonie, stanie się przytomnym sobie i nawraca do siebie, tém już jaśniej zaczynają się wiązać z sobą słowa, tém mocniej łączą się w zdania; a gdy myśl zupełnie przyjdzie do siebie i sama już jasno siebie obejmie, wtedy mowa płynie jasna i przejrzysta z duszy wnętrza jakby potok czysty, wypadający ze skalistej Tatrów piersi: bo afekt gwałtowny, bo rozrukane fale uczuć gładzą ducha przytomność, a on w tej burzy serca i własnego nie dosłyszysz głosu.

Co powyżej rzekłem stosuje się prawie do każdego z nas ludzi zwyczajnych; w innych listach zaś będziemy szeroko rozprawiali o usposobieniu właściwem, które znów mistrze mieć winni; obaczymy że lubo uczucie gorące, tkliwe, jest głównym warunkiem wszelkiej twórczości, tedy, z drugiej strony, to samo uczucie, choćby najgłębsze, nie uczyni jeszcze nikogo mistrzem. Obaczymy, że chwila natchnienia, więc chwila mistrzowskich zrodzeń jest właśnie stanem, w której dwie moce pasują się z sobą o władztwo nad duchem jego; bo on, jakby oczyniony obcą potęgą, porwany gieniuszem traci siebie i świat otaczający go w koło, a zarazem znów nad tym zmrokiem ciemnym ducha dnieje świtem przytomność siebie, świadomość rozumowa, tak iż myśl prawie już zupełnie trzeźwa zdoła wybrać w pośród tych obrazów zrodzonych w natchnieniu właśnie te, które się najwięcej nadają, zdoła je uporządkować i uszykować. Lecz o tém wszystkiem, jak rzekłem. pomówimy jeszcze na innem miejscu. Tutaj tylko zważ, że uczucia gwałtowne, bijące na serce człowieka, nie

stworzą nigdy dzieła sztuki, i że zasada Horacyusza *si vis me flere, dolendum est primum ipsi tibi*, winna być brana w zupełnie innym sensie. Czyliby malarz, poeta, rzeźbiarz, muzyk, mógł stworzyć dzieło swoje, gdyby sam w chwili tworzenia był miotany namiętnościami i falą tych uczuć, które chce uzmysłowieć w dziele swoim? — czyliby artysta dramatyczny, sam będąc przejęty afektem, który na scenie wydać zechce, mógł wywiązać się ze swój roli? Bynajmniej: — bo gdzie afekt, tam nie ma przytomności umysłu, nie ma wtedy sztuki wcale. W sztuce właśnie chodzi, aby nie uczucie ogarnęło myśl, ale aby przeciwnie myśl była panią namiętności, a wtedy ona wypłynie mową pełną patetyczności. Myśl przytomna i ciepłe uczucie, razem wzięte, są tém najwyższem Pathos sztuki.

Jeżeli jest prawdą niezaprzeczoną, iż wszystko co w człowieku żyje, i co jedno go obchodzić może, co ducha i jego serce napelnia treścią, zdoła być przedmiotem dla sztuki, więc autor ma słuszość, gdy w dramacie, romansie lub inném dziele, rozwinie ten cały świat nierozdzierniony serca, ciemny i zagadkowy; lecz niechaj też maluje, jak uczucia ogarnąwszy ducha człowieka, porywają go do czynów, do walki, do pasowania ze światem, i jak nareszcie, uchwycony burzą namiętności własnych, rozbija się i tonie, rzucony o opoki rzeczywistości i towarzyskiego porządku: toć to isticie będzie przedmiotem dla sztuki. Ale mistrz niechaj sam nie będzie pod panowaniem tego uczucia, niechaj sam mu nie przyznaje słuszości, niechaj nie staje w obronie jego; bo uczucia te szczegółowe nie są prawdami, one do pomyłki wiodą, a człek płaci za tę swoją pomyłkę utratą spokojności, szczęściem żywota

całego, lub śmiercią. Bo nie uczucie, co goreje w piersiach jego, ma wagę i znaczenie, ale ten porządek powszechnego obyczaju, to ogólne przekonanie spoczywające, jakby na podwalinie swęj, na woli wszystkich i prawdzie wiekuistęj; — ona to jest tą opoką, o którą się nie tylko gruchocze, jak powiedziałem, słaba łódź nezuć miotana namiętności burzą, lecz gruchotać się koniecznie powinna, bo one li są osobiste, a tu prawda powszechna jedynie ma wagę.

Pani Sand w przedmowie do *Indyany*, tłumacząc się z ducha tęg książki, powiada: „Le narrateur espère „qu'après avoir écouté son conte jusqu'au bout, peu „d'auditeurs nieront la moralité, qui ressort de ses faits „et qui triomphe là, comme dans toutes les choses „humaines.“ Ale już wyżęj powiedzieliśmy, iż jak z dzieła doskonałego sztuki nie wypłynie niemoralność, tak zaiste moralność nie może znów być uważana za cel jego. Jeżeli zaś autorka istotnie wzięła sobie w swém dziele moralność do serca, nie wystarcza znów, jak myślę, jęg sposób widzenia rzeczy, wyrażony w następujących słowach: „Indiana, c'est la femme, l'être „faible, chargé de représenter les passions opprimées, „ou, si vous l'aimez mieux, reprimées par les lois; c'est „la volonté aux prises avec la nécessité, c'est l'amour „heurtant son front aveugle à tous les obstacles de la „civilisation. — Mais le serpent use et brise ses dents „à vouloir ronger une lime, le forces de l'ame s'épuient „à vouloir lutter contre le positif de la vie.“ Te słowa są prawdy pełne, ale nie obejmują sobą całej prawdy, bo wypadało dodać: iż nie tylko tak bywa, jak autorka powiada, ale że tak koniecznie być powinno. Można nie rzucać kamieniem na kobietę taką

jak Indyana, wiedzmy atoli, iż cios, który przez jej postępowanie na jej głowę spada, jest koniecznością, jest to z grobu wstały Komtur w Don Juanie, mszczący się uściśnieniem śmiertelném marmurowém za znieważenie praw i poczciwego obyczaju.

Ta konieczność, ta ustawa, ta proza życia, co dławi i zabija uczucia, ma słuszną, ona jest w prawie swém, ona to wymierza wieczną sprawiedliwość, ona jest wiekiustym rozumem, któremu nie o osoby, ale o rzeczy chodzi. Kto się nie zgadza z obyczajem ogólnym, sam sobie pisze wyrok swój; kto zrywa z zakonem powszechnie uznanym, z tym i zakon zrywa. Gwiazdy, one pierwotne stworzenia córy, idą po niebie grzmiącym szlakiem swym, który im Bóg od wieczności na przestrzeni bez końca zakreślił, a żadna nie zbacza z swój jasnej, drogi, żadna nie buntuje się wiecznej harmonii. Jak atoli uczucia mocne, głębokie nie są zakonem w porządku świata moralnego, jak one bynajmniej nie są wyłącznym warunkiem twórczości mistrza, tak też mistrz chybi powołaniu swojemu, jeżeli mniema, że rozkołysanie do najwyższej potęgi uczuć w duszy czytelnika lub widza jest najwyższym sztuki jego tryumfem. Temu mniemaniu przypisać należy pojawienie się w czasach naszych owych romansów tak wprawdzie efektowych, które atoli są jawnym dowodem gwałtów dokonanych przez mistrza na własnych talentach. Czytając te sceny okropności pełne, zdaje się że one są złym snem, co cię trapi na jawie; wszystkie uczucia, wszystkie, że tak powiem, nerwy duszy są poszarpane, zbolełe jakby przecierpiały męki katarskie, a w tych utworach występują szatany z błota zrodzone, popisujące się wykwinem łotrowstwa.

Czyliż tedy dziwno, że gdy młodzież obczyta się w takich dziełach, już osobliwszych nabierze pretensyi do życia i świata, że rościć sobie będzie niestworzone prawa do przyszłości swojej, że to życie ciche i pocziwe, że dopełnienie powinności codziennych wyda mu się dobroduszością mdłą i pogardliwą, że nakoniec w najszcześniejszym razie zbankrutuje na uczuciach prawdziwych, a serce zestarzeje się za młodu. (*)

(*) W pierwszym wydaniu tych listów, mówiąc w tém miejscu o romansach mających ówczesnie ogromną przewagę, wyraziliśmy się w sposób następujący:

„Panowie autorzy we Francyi zapewne uważają sobie za zaszczyt doskonałości, aby czytelników swoich od pierwszej do ostatniej karty puszczać niby przez różgi. Jeden pokazuje ci panią rozkochaną do szaleństwa w prostym złodzieju, wierutnym oszuście, w bezczelnym zbrodniarzu, co jój poświęcenie i miłość płaci zdradą, głodem, biciem, a nakoniec za pieniądze sprzedaje podobnemu sobie przyjacielowi; — a ona? ona, rzecz jasna, kocha go za to stale, ciągle i tém goręcej jeszcze. To wszystko znajdziesz cudnym językiem odmalowane w *Leon-Leoni*, pani Sand, będącej nieochybnie jednym z najświetniejszych talentów dzisiejszej Europy. Chcesz może rozrzewnić się, być sentymentalnym, czytaj pana *E. Sue*: przez siedm długich tomów każe on swój heroinie tańcować jakby na linie, na powinnościach swoich; niekiedy dla rozrzewnienia publiczności serce *Matyldy* odprawia jakieś sztuki łamane, lub popisuje się z jakimś *salto mortale*, a to wszystko ku zbudowaniu i użytkowi dusz i zachęceniu do cnoty. Jest to ten sam pan *Eugène Sue*, co wprowadza w jeden z późniejszych romansów scenę, w której córka stariej obłąkaniej matki woła w nocy na męża: „*Mon Dieu! tu sais bien que tu n'en finiras pas avec elle (t. j. avec ma mère), si tu ne lui fais pas peur avec le fouet — il n'y a que ce moyen là de la faire rester tranquille.*“ Lubisz oryginalność pomysłu, i tém się możesz uraczyć, czytaj tylko powieści o oniej pannie, czyli o dwóch pannach zrosłych

Przecież z drugiej strony i to jest prawdą, iżby świat nie był obaczył tych romansów, gdyby nie był chciwy podobnych książek. Bo jeżeli prawda, że literatura tworzy sobie publiczność swoją, toć z większym jeszcze prawem powiedzieć można, że publiczność tworzy sobie literaturę odpowiedną; bo przecież, prócz piśmiennictwa, inne jeszcze a również potężne moce wyrabiają duszę narodową np. Historia, Religia i t. d.

z sobą, z których jedna prześliczna brunetka, — druga prześliczna blondynka, a składają jedną osobę, czyli dwie, gdyż tego z pewnością wiedzieć nie można, bo nawet mają i uczucia te same, a przecież uczucia różne. Najpewniej, są to dwie panny w jednej paninie, albowiem jedna panna w dwóch pannach — słowem, jak zapewnia autor, jestto cudnej piękności całość. — Świecą one na pierwszych salonach paryzkich, ubrane zawsze z wielką elegancją, wedle *le petit courrier des Dames* — zwracają wszystkim głowy: jedni szalenie się kochają w brunetce, a drudzy w blondynce. Wszystko to jasno wyłożone znajdziesz w powieści: *Un coeur pour deux amours*. Jeżeliś przyjacielem wielkiej energii, hartu duszy, tęgłości charakteru, i tym ci służyć mogę. Znajdziesz ojcobójstwo, kazirodztwo, mordy, synobójstwo i wszeteczność wszelką w *Tour de Nesle*, pana *A. Dumas*. Lubisz komedye, czytaj Repertorium teatru francuzkiego: obaczysz, jak tam autorowie umieją zjednać sympatją publiczności dla swych bohaterów, ludzi tego rodzaju, iż gdyby jeden z nich w rzeczywistości u nas się pojawił, żaden poczciwy człowiek rękiby mu nie podał i nie przepuścił przez próg domu swojego. Jesteś mniej czuły, twardego serca i nie łatwy do poruszenia, czytaj romanse i trajedye prawdziwie genialnego *Victora Hugo*. Olbrzymi talent ten napisał kilka dzieł, które zaiste staną się bogactwem literatury, i nie utoną w tej gawiedzi współczesnych im książek; ale on trafił na czas kłamstwa, na czas apoteozy okropności, i oszargał się czasem. *Victor Hugo* na pamięć zna anatomię i fizyologią serca ludzkiego, zna każdy nerw jego, wszystkie miejsca bolejące, wie jak i

Cóż tedy dziwnego, że ci autorowie starali się trafić w rym tym czytelnikom swoim, stosując się ile mogą do nich, a wiedząc, że to są po większej części ludzie wielce realni a praktyczni, zaczynają wszystkie prawie powieści i romanse od budżetu swoich bohaterów i bohaterek, jak gdyby jaki pisarz prowentowy; wyszczególniają sumiennie ile tysięcy franków wzięli po rodzicach, ile po wuju, ile się jeszcze spodziewać mogą po ciotce; ile już stracili, ile tysięcy franków rocznego dochodu im pozostało, i gdzie te dochody są ulokowane, słowem, wszystko przerachowane jak najdokładniej. A co do uczuć swęj publiczności, jęli się postępowania lekarzy z ciałem na poły umarłym; szli stopniowo sobie: naprzód pochlustywali swoich

kiedy się dotknąć i zranić; aby zranić do żywego duszę, wydobywa wszystkie tony boleści i serce czytelnika w koło wplata.

Po przeczytaniu dzieł tego rodzaju gdy spojrzysz w siebie, rzekłbyś, iż dusza podobną się stała do świątynicy zrabowanej i znieważonej od hordy złodziejów: ołtarze obdarte, świecznik duszy wywrócony, naczynia święte porozrzucane, rozszarpane obrazy, co drogie sercu, to albo skradzione albo zdeptane i sponiewierane. A jak niepodobna zaprzeczyć tym autorom świętych zdolności, dziwnego powabu stylu, mistrzowskiego władania piórem, tak znów wyznać należy, iż to wszystko razem jest kałużą krwi i błota, co wylewając się na Europę, szerokim też upływem do nas się przewala, by miały w czém kąpać się i walać umysły młodych pań naszych.

Nie rozumiej atoli, że we Francyi na tę literaturę nie powstają i nią się nie gorszą? We wszystkich prawie Feuilletonach sam pan *Jules Janin* wygaduje na nią, utyskuje na niemoralność i bezrozum tych romansów, i powiedział nawet raz, i bardzo trafnie, iż najstosowniejszém rozwiązaniem węzła takiego rodzaju dramatów lub romansów byłby kommissarz policyi, aresztujący tych bohaterów i te heroiny. Ale szkoda tylko,

czytelników zimną wodą, dalej cucili anodyną, octem, wódką kolońską, eterem, amonią — potem wzięli się do synapizmów, wezykatoryi, palili bawełnę i spirytusy na sercu, a w końcu już piekli rozpaloném żelazem; — coby już dalej robili — nie wiem.

Wyznaj, że nam wcale nie do twarzy z tą literaturą i trudnoby powiedzieć, co ona u nas ma za sprawę? Czyliż my także gwałtownych poruszeń szukamy? Skądże u nas to upodobanie przebierania w cudzych śmieciach i brudach? Dla tego dzięki niechaj będą tym wysokim a zacnym talentom, które, pojawiawszy się u nas jakby na jutrznią nowėj epoki, owocami własnej ziemi zastąpili exotyczne wymysły nie dla nas stworzone; dzięki niechaj będą Kraszew-

że on sam nie lepszy, bo owe *le Coeur pour deux amours* jest jego własnoręcznej roboty. Przypomina on koncept urwisa, co uciekając sam woła: „chwytajcie złodzieja! by tém samém gładko umknął i gdzieś się schował.“

Ten ustęp cały był w piérwszém wydaniu umieszczony w ciągu samego listu, bo odnosił się do piśmiennictwa, które przed 10 laty jeszcze całą potęgą uderzało umysł publiczności. Dziś atoli ta hałaśna sława tych romansów przebrzmiała, więc też ten ustęp cały dotyczący się rzeczy przedawnionych, nie byłby już na swoim miejscu, gdybym go zostawił w liście, z drugiej strony zaś właśnie to skonanie owėj literatury jest dla nas wielce uczacém, i może być nielada poparciem naszego powyższego rozumowania i dla tego umieściłem ustęp rzeczony w odsyłaczu.

Kto dziś jeszcze weźmie do ręki np. Tajemnice Paryża lub Żyda Tułacza? te romanse jako liść zżółkły spadły z drzewa literatury — one poszły w zapomnienie mimo prawdziwie olbrzymiego talentu autorów. Dla czego? Bo stały na fałszywej zasadzie, bo były obrachowane na efekt, na rozkołysanie uczuć, bo miały uboczne, z góry powzięte, dążności i cele.

skiemu, który prawie pierwszy dał hasło do własnej i swojskiej powieści, dzięki Korzeniowskiemu, M. Grabowskiemu, dziełom: jak *Pamiętki starego szlachcica*; wszak te prace były wołaniem nowego czasu, a wnet szereg świetnych i młodszych talentów wstąpił w literaturę. Jakoż te zjawiska tak radośne dla literatury polskiej są właśnie dowodem, że byle mistrz osiągnął warunków piękności, byleby pisał do czego go prze własne uczucie, już z pracy ducha jego spłynie, błogosławieństwem korzyść nieskończona, spłynie, choć jej sobie autor nie zakładał jako cel poświęceń swoich.

Ale wróćmy do naszego przedmiotu i kończmy rzecz kilku słowami.

Gdyby sztuki piękne miały za cel jedyny rozkołysanie uczucia naszego, jużby się i bez nich wcale obeszło, obesłoby się bez dramatów tych i romansów; każdy w domu swoim ma te biedy, a ma je taniej i wyraźniej: a zresztą mocnych poruszeń szukać nie potrzeba po książkach, znajdziesz je w tych chatach obdartych, dymnych, samotnych, po naszych tu przedmieściach Krakowa, tu widzieć można moralną i fizyczną nędzę, poniżenie i sromotę; każda niska izba mogłaby podać osnowę do powieści tęsknej, pełnej łez i boleści: a komu to nie wystarcza do wzniecenia uczuć, toć niechaj odwiedza inkwizycye kryminalne, szpitale i sale amputacyjne. Jeżeli autor tylko w same uczucia mierzy, mając jedynie samo czytelnika serce za cel swój, cóż dziwnego, iż napłodzi mnóstwo charakterów nieprawdziwych, kłamliwych, będących i w złem i dobrem karykaturą rzeczywistości; są to upiory fantastyczne, bez serca i duszy, automaty poruszające się wedle kaprysu autora, nie umiejące ani radować się

po ludzku, ani cierpieć z godnością, żyjąc albo umi-
 rając zawsze pogardy warte. Właśnie atoli powoła-
 niem sztuki jest, ażeby wskazać wyższą naturę czło-
 wieka, nieginącą choć w najgłębszém i najsromotniej-
 szém poniżeniu jego; duch człowieka, jak płomień go-
 rejący, choć w brudnych i ciężkich dymach doczesno-
 ści, zawsze wzgóre się ma. I piękność jest niebios
 córą, ją tylko z wierzchu dotknąć mogą cierpienia
 doczesnego żywota, ale jój istoty wieknistęp skazić nie
 zdołają; i sztuki piękne płaczą, ale po przez łzy bo-
 leści ich uśmiecha się nieśmiertelne ducha wesele.
 Uczmy się od Greków, wpatrzmy się w ten majestat
 Nioby, w tę otchłań boleści Laokoonu, w patetyczność
 bohaterów Sofoklesa — ba, niechaj się figury autorów
 onych uczą umierać od prostych Gładiatorów rzymskich,
 co z raną śmiertelną w piersiach konali na krwawej
 arenie: gdy w gasnącej źrenicy zakolysało się niebo,
 i amfiteatr z tysiącami widzów obracał się niby wirem
 zawrotnym, wtedy wzgardzony ten Gładiator przypo-
 mina sobie, iż to lud rzymski na niego patrzy; z
 ogromnym mozołem i z pełnym boleści trudem układa
 ciało swoje, nadaje mu postawę godną, estetyczną, by
 w obecności tego ludu, co był świata królem, legnąć
 z zacnością zdołał. A tak żywota swojego poniżenie
 kończył, równając się z Cezarem, boć i ten hardy
 olbrzym starożytności, upadając w krwi swojej, zakrywa
 togą swoje oblicze, by świat nie obaczył rysów, znie-
 ważonych może ostatnim wyrazem fizycznej boleści.
 Rzymianie w ogólności nie wiele umieli, ale umierania
 sztukę znali, jak żaden naród.

Sztuka, kędy się dotknie, uzaenia przedmiot, uszla-
 chetnia go i podnosi do wzniosłości ideału. — W ni-

zkie nasze życie, w oną chatkę ziemską, spada promień wiekuistej piękności i oświeca ją jasnością niebiańską. Pod ręką wielkiego mistrza i treść, nawet mniej nadająca się do piękności, odziewa się nadziemskim urokiem. — Odwiędz np., jak będziesz w Krakowie, kościół Ś. Floryana na Kleparzu, zobaczysz tam obrazy wielkiej wartości, pochodzące, jak się zdaje, z końca XV wieku; połączona w nich rzewna prostota starej szkoły niemieckiej z powabem czarodziejskim Włochów. Jeden z nich wystawia chwilę męczeństwa S. Jana w Oleju: zda się myśl niby pospolita, przedmiot nie estetyczny, ale zważ co z niego uczynił mistrz. Ta cała scena ułożeniem uszlachetniona, uzacniona: — Ś. Jan duchem w niebie utkwiony, wśród mąk ciała swojego słucha słodkich pieśni niebłańskich zastępów, a nadziemska piękność wylana na całą postać jego.

Zaprawdę, Bóg nie daremnie wlał w duszę naszą uczuć potęgę, ocieplającą swym płomieniem chłodne życie rozumu i rzeczywistości. Uczucie i myśl, czyli, jak to zwyczajnie mówią, serce i głowa, są to isticie dwa przeciwniki działające ciągle na siebie, a często nawet stojące w otwartym z sobą boju; jest to pełna cierpień wojna domowa w piersiach człowieka, a w niej zwycięstwo na zawsze przy prawdzie i słusności. Ta niezgoda i waśń w umyśle, jakby dźwiękiem fałszywym, wdziera się w harmonię naszego jestestwa, burzy spokójność i zatruwa dni nasze. Dla tego też najwyższym celem życia człowieka, ostatnim końcem wychowania, jest właśnie pogodzenie tych dwóch sił, co jakby dwa wrogie sobie bliźnięta z nami się rodzą, żyją i umierają. Ale chodzi o pogodzenie, a bynajmniej nie przytłumienie jednej z tych potęg; bo jak

poniewieranie rozumem i oddanie go na oślepie pod przemoc uczuć do zguby wiedzy, tak przygnębienie uczuć i samowładztwo rozumu odejmuje treść duszy, gasi ciepło i barwy świata, i czyni życie nasze podobnym do owęj pełnej wspaniałości natury podbiegunowych mrozów, co wiecznie dziewicza, i wiecznie martwa, i samotna i głucha, bez ciepła i głosu, bez radości i smutku, bez uczuć i serca, zasiadła w szacie wiecznych śniegów jakby na stolicy śmierci, na hardym majestacie grodów lodowych, co zuchwałe, fantastyczne, jakby nieme i głuche upiory natury, świecą nad tym niemym i głuchym światem, co zawsze jeden, zawsze ten sam. Od czasu do czasu tylko zapala się pod gwiazdą biegunową ognistym blaskiem pierścienia zorzy północnej, onęj córki mrozów bez końca, co sycząc strzela promieniem niewypowiedzianej jasności po sklepieniu niebieskim, ale, w sobie mroźna, jest tylko światłem bez ciepła, pokrywa świat lodów purpurową ale zimną łuną.

I jak dotychczas starałem się dowieść, iż uczucia przez się wzięte nie zdołają same stworzyć mistrza, i że do samego uczucia widza lub słuchacza mierzyi nie powinny, tak jest rzeczą niemniej pewną, iż bez uczuć nie byłoby ani mistrza, ani sędziego, ani sztuki pięknej; a dzieło, nierozgrzewające sobą serc ludzkich umiających czuć, zaiste nie będzie dziełem sztuki. Człowiek z rozumem bez uczuć jest już za życia zmarłym upiorem bez serca. Jak ze światem materyalnym przez zmysły jesteśmy w związku, tak ogniwa, łączące myśl naszą ze światem duchowym, są uczucia; one to podają rozumowi treść, by ją w sobie strawił, uporządkował, precedził, ocenił, a tak zamienił ją na pojęcia rozumowe, na myśli. Najczęściej prawdy wielkie wprzód

nam okazują się w postaci uczuć, niż myślą zostaną. Nim prawodawca popisał ustaw księgi, uczucie sprawiedliwości i prawa zjawiło się w sereu człowieka, przemawiając do niego, jak Bóg w krzaku gorejącym. Nim matka w swój młodości uroku wytłumaczy sobie miłość swoją, dla dziecięcia z porządku fizycznego i moralnego świata, wprzód ta jej miłość dla niemowlęcia żyła w jej marzeniach nocnych, i we śnie rumieńcem cichego szczęścia zapłonęła na licu. Nim człowiek głęboką myślą zanurzył się w tajnikach świata i ze stworzeń wszechnicy wypatrzył mądrość Bożą, wprzód o Bogu rozmawiał z gwiazdami na niebie, i z robaczkiem świecącym na listku, i słyszał bytność jego w huku oceanu i pieśniach ptaków. Z uczuć rodzą się myśli, jak z kwiatów żyjących barwy, woń i owoce; gdy myśl się rodzi, wędnieją uczucia, gdy owoc zaświeci, już pomarły kwiaty. Cokolwiek w nas jest jako myśl, po większej części było dawniej uczuciem; ztąd uczucia, o ile są prawdziwe, wytłumaczone być mogą drogą rozumową. Tak instyktowe garnienie się ludzi pod spólną praw obronę, choć pochodzi z uczucia słuszności, pojęte być przecie może z samej istoty człowieka. Podobnie macierzyńska miłość, będąca uczuciem mimowolnym, ma potwierdzenie swoje w obliczu mądrości, i pojęta rozumem okazuje się nam jako święty ołtarz cnoty domowej i podwalina rodzinnego życia, będącego znów podstawą życia towarzyskiego i cnót obywatelskich. Podobnie głos, przemawiający w sereu o Bogu, jest początkiem mądrości człowieka i prowadzi do poznania rozumowego najwyższego jestestwa, będącego Alfą i Omegą wieczności i tego wszystkiego, co jest. Tak uczucia ciągle dostarczają osnowy rozumowi:

on ją sądzi, rozbięra, czyści, i przyswaja sobie jej treść. Na tém też stoi potęga człowieka, by uczucia na myśl przemieniał, by tę poezją uczuć przetłumaczył sobie na prozę rozumu, by ją zamienił na prawdy rozumowe, zgodne z całością świata, a uznał każde uczucie za mylne i za złe, które przeciwne będąc ogólnej harmonii, trwającej w świecie, nie zgadza się z rozumem.

Lecz rzekniesz może, że i rozum podlega błędom, i odwołując się do prostego przysłowia powiesz: co głowa, to rozum; niechaj nam atoli nie chodzi o słowa. Ja tutaj nie biorę rozumu w znaczeniu potoczném, ale właśnie za promień onęj wiekuistej mądrości, którym Bóg oświecił ducha naszego w tej życia ciemnicy; promień ten łączy nas z Bogiem i wiecznością: ten zawsze jest jeden i ten sam we wszystkich ludziach, w każdym wieku i godzinie.

Rozumiem, że nie będziesz wymagał obszernego dowodu tej prawdy, należałby on do systematu filozofii, a nie do szczupłego obrębu listów tych. Zaiste — nikt nie zaprzeczy, iż rozum jest środkiem poznania prawdy, kto jeno wierzy w zacność natury ludzkiej, kto wie, że Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje dając mu rozum, by poznał dzieła jego i w nich doczytał się jego wszechmocności, wiekuistej mądrości i uszlachetnienia własnej istoty człowieczej.

Dla tego też rozum jest pierwszym warunkiem wiary: niemowlęta, obłąkani i zwierzęta nie mają wiary, bo nie mają rozumu. Co myli nasze zdanie o rzeczach, bynajmniej nie jest rozum, ale uczucia, ale zmysły, ale inne potęgi, które nas łudzą. Uczucia działają na serce nasze, i nim rozum się upamięta, już serce sąd swój wyrzekło, a sąd osobisty — zdanie. Zkądże matematyka

zawiera w sobie prawdy ogólne i dla wszystkich prawdą będące? — Odpowiedź łatwa, bo jej liczby, jej linie i bryły nie działają ani na zmysły, ani na uczucia; tu sam rozum na placu zostaje, więc sam bez mieszania się zmysłów i uczuć o prawdzie orzeka, a orzeka niemylnie.

Jak przyznać powinniśmy, iż z jednej strony uczucia przed potęgą rozumu korzyć się winny, tak też z drugiej niemniej prawdą jest, iż bez uczuć nie byłoby i cnoty prawdziwej. Bo gdy człowiek serce swoje ma na baczności, gdy się uczucia nałożą chodzić drogami rozumu, gdy tej dojdzie doskonałości, iż uczucia jego nigdy nie będą sprzeczne z rozumem, a gdy nawzajem wszystko, co jest prawdą, rozumne znajdzie potwierdzenie w sercu człowieka, — wtedy też sam człowiek będzie z sobą w zgodzie, i śmiało w swoim postępowaniu i w żądzach swoich będzie się mógł uczuć swych radzić, a nim rozum przez rozbiór, myślenie, zastanowienie swoje pokaże mu drogę i sprostuje postępowanie, już ją uczucia instynktem zgadną, a zgadną bez zwłoki, bez długiego rozbioru; nauczą w tej chwili, co jest w moralności zacne, co pocziwe, i co w sztukach piękne i prawdziwie estetyczne. Rzecz tak się zupełnie mieć będzie, jak z mechaniczną wprawą; kto już wyćwiczonym pianistą, już grając nie myśli o układzie palców, ani szukać już będzie klawiszów oczami; palce mechanicznie pójdą za jego wolą, gdzie uderzy, uderzy zawsze trafnie i bez pomyłki. Tak też kto zkądinąd pojął, co prawdziwie pięknem i zastosował uczucia do tego pojmowania swojego, już radząc się uczuć swoich dorazu piękność spostrzeże; ale sąd ten będzie mógł usprawiedliwić z zasad ogólnych sztuki

pięknej, zdoła tedy nim i drugich przekonać; dla tego też sąd takowy choć z uczuć wypłynie, tém się różni od onych sądów ze samego uczucia pochodzących, o których wyżej wspomnieliśmy, iż tamte nie mają ogólnej wartości rozumowej, i dla tej przyczyny nikomu do przekonania nie przypadną.

Ze zléwu w jedność rozumu i uczuć, z tej zgody świata rzeczywistego i serca, rodzi się najwyższa myśl szczęśliwości człowieczej. Uczucia im szlachetniejsze, tém mniej są osobiste, i występują z ciasnego przybytku serca, i obejmują sobą wielkie jestestw koło. — Tak szczytem wszystkich uczuć jest miłość. Miłość ogólna, powszechna, podobna do mądrości, bo, jak i ona, w innych siebie widzi i wyléwa się na świat cały. Ta miłość ogólna nie jest córą z ziemi zrodzoną, jest posłannicą innych światów, wstępująca w serca wszystkich wieków i narodów. — Słuchaj np. pieśni mądrości pełnych, co nam jakby woń przyniosły powiewy z dalekiego Wschodu:

Ucz się od komara miłości, co rozkochany
W świetle płomienia, w niém przepada i ginie.

A znów w inném miejscu:

Ja ci powiadam, jak z ziemi człowiek stworzon jest;
Bo Bóg tchnął w ziemię miłości dech.

Ja ci powiadam, czemu wiecznym kołowrotem bieżą nieba;
Bieżą one wiecznie, bo je napełnia miłości blaskiem Boży tron.

Ja ci powiadam, dokąd tchną zarania powiewy;
Tchną one w miłości gaj, by roztulić liście róż.

Ja ci powiadam, dla czego noc pokrywa świat oponą;
Obsłania ona świat, by go uświęcić na miłości namiot.

Ja ci rozwiązę zagadnienia wszech stworzeń wszystkie;
Bo zagadnień wszystkich rozwiązaniem, miłość jest.

Albo miejsce następujące:

Kończy zaprawdę skon życia trudy,
Jednak dreszczem trwogi dla życia jest skon,
A dla serca trwogą jest miłości dreszcz,
Trwoży się serce miłością, jak gdyby groził mu skon.

Bo gdy miłość w sercu się budzi,
Umięra w tobie samolub, ciemiężca ponury;
Niechaj ci zamrze w nocnym państwie swém,
A ty odetchniej swobodą w zarania łunie!

LIST VII.

Istota sztuki. — Różne rodzaje piękności.

Wielki piątek. 25 Marca 1842 r.

Oniemiały dzwony krakowskie, — całe miasto przybrało na się postać uroczystą, świąteczną; ulice spokojne i ciche, choć lud cały jakby wypuszczony z objęcia zimy, głęboko odetchnąwszy, wyroił się na świat otwarty, rozlewając się po świątyniach naszych, — by po staremu cześć dał w grobie złożonemu Bogu. Słońce przetarło oczy swoje, i jasnym spojrzeniem rozpłynęło po niebie, budząc ze snu twardego ziemię a w serce ludzi nadzieją świećąc.

Bóg umarł — a potęga przyrodzenia uspiąca jak w trumnie; ale wnet z grobu anioł w bieli kamień odwali, a nad światem pieśń skowronka, niby dzwonek poranny natury, ogłosi mu przebudzenie i świt. Bóg umarł, i duch nasz nieśmiertelny tęskni sobie w tym ziemskim żywocie, a doczesność ciśnie go ciężej od kamienia grobowego; ciemno, chłodno mu w cielesno-

ści świecie — póki też na niego nie przyjdzie zbawienia chwila, w której i jemu anioł w bieli ciemnicę otworzy, a wtedy spadną z niego i uciechy tej ziemi, i jej biedy, i jej płacze, i będą zwinięte i na boku złożone, jak te chusty grobowe w onęj wielkiej zmarłychwstania nocy.

Wielkie i święte rocznice, jakby gościami drogim z dawnych czasów, odwiedzają każdy rok naszego żywota, i jakby Bożem imieniem pukają rokrocznie do wnętrza serca naszego, cucąc w niem tęskne obrazy upłynionej młodości, a zarazem zwracając myśl do głębin własnej naszej istoty. Są one jakby słupce milowe ziemskiej pielgrzymki człowieka; wzywają go, by się policzył z życiem, ze światem i z sobą, by się obaczył, ile mu znów kwiatów zmarło na smętnej życia ściężce, ile znowu zwiędło w sercu nadziei, ile ulud złocistych zgasło. Ale im samotniej, im smętniej i ciszej w duszy, im więcej traci wagi doczesność, tém jaśniej wiekuistość zazięra we wnętrze człowieka i rozświeca je swym promieniem. Wtedy pokój głęboki, jakby harmonią niebiańską, wpływa w tajne piersi przybytki; ziemskie gwary, śmiechy i boleści milkną — a w sercu świątecznie, uroczysto; jakby na ołtarzu Bożym zapali się w niem płomień nieskończonej miłości, i jakby organy zagrzmie samotne duszy nabożeństwo. W takich chwilach świat zewnętrzny i rozkosze jego, i trudy, i wszystkie nocne widziadła doczesności naszej, ulatują niby ptaków płoche stada, a uczucia ziemskie, i cała część człowiecza do grobu się kładzie. Jakby na zesłanie ducha Bożego, jakieś jasnowiedzenie rozświeca myśl; wtedy już świat jego, i pstry jego orszak, i dzieje człowieczego rodu, i własne

serca bicie nie ma więcej dla nas tajemnicy, rozwiązują się zagadki wszystkie. W takich chwilach świętych duch występuje z cielesności grobu, wstaje z martwych, rośnie z siebie, dźwiga się olbrzymem, ogarnia nieskończoność swém objęciem, zna że wiekuistość bez granic, czasu i przestrzeni, jest ojcowizną jego, a nieśmiertelność domem.

Ta istota nieśmiertelna a wiekuista, którą Bóg tchnął w człowieka od początku, jest właśnie tą potęgą, co jak złota nić jest wpleciona w całą tkaninę historii rodu ludzkiego, i we wszystkie stosunki i czynności każdego człowieka, a choć ona rzadko widzialna, wszędzie przecież jest obecną, nie zerwana nigdy, i sama zostaje i trwa; choć cała owa tkanina doczesna się pada, i wszystkie inne jej nitki pruchnieją, właśnie wtedy ona sama nietknięta zostaje i wystąpi na jaw jaśniejąc swém złotem.

Patrz na wszystkie człowiecze sprawy od kolébki aż do ostatka żywota, na jego wszystką robotę, i na trudy jego, marzenia, sny, troski i uciechy, a wszędzie obaczysz, iż siła, co nawet jemu bezwiadomie w nim prze i w nim robi, rodzi się z nieśmiertelności ducha jego. Potocz okiem na pasowanie się całej historii człowieka, zacząwszy od owęj wielkiej chwili, gdy się dotknął poznania owocu tracąc niewinności raj, podsłuchaj tajemną robotę stóleciów, co jak uderzenie pulsu, wybijają światu ulatujący do wieczności żywot jego, a wszędzie, i zawsze i ciągle, znajdziesz pod oponą przypadkową i marną, pod postaciami wielkich wydarzeń historii, nieskończoność istoty człowieka. Bez niej ród nasz nie miałby dziejów, ni postępu, byłby zawsze jeden i zawsze ten sam, należałby do poziomego zwi-

rząt koła, dzieje jego przekazaneby były historii przyrodzenia. Jak w różnobarwnym tłumie wypływają na widok figury latarni magicznej, przesuwiają się po nieruchomej ścianie, przemykają się coraz inne a inne, a prześwieca je wszystkie lampy płomień, co w ciemnym pokoju gore niewidomie, tak przemykają się lat tysiące, i narody, i wielkie imiona w historii na nieruchomém wieczności tle; ale lampa, co je przyświeca, jest zawsze jedna i taż sama, jestto płomień nieśmiertelnego ducha, co wiecznie goreje, choć ukryty w ciemnościach doczesnego życia i niedojrzany cielesnemi oczyma człowieka. Ta nieskończoność, którą Bóg człowieka uposażył, by miał godnego sługę i towarzysza wiekuistości swój, jest ową wielką sprężyną, co ród nasz porusza i do działania porywa. Ona jest światłem i słońcem wywołującym, jakby z kwiatu pączków, wielkie epoki i wielkie czyny w historii, i wszystko co w życiu ludzi na jaw występuje, i co jest treścią jego; ona mu gra w duszy, i najawie i we śnie, ona wznosi się w pacierzu dziecięcia i w hymnach narodów, ona dźwiga mu piramidy, śle go po śmierć na bitew pole, uczy go biegu gwiazd i tajemnic własnego ducha, odkrywa mu nowe światy i roztwiera tajemnicze ziemie, waży słońce i planet brzemię, roztwiera księgę przeszłości i przemawia wyroczni ustami.

Człowiek jest nieśmiertelną istotą i nieskończoną, bo jest rozumną istotą. Tu szukaj źródła onych najważniejszych praw jego, bo Religii, Filozofii i Sztuki pięknej. Sztuki piękne płyną z nieskończoności ducha człowieka, i już nie pytaj, z kąd się one biorą. Człowiek z nieskończonością zarazem odebrał i sztuki piękne, i mądrość i Religiją; nie utyskuj tedy nad zni-

komością rzeczy ziemskich. Wszak Bóg sam umarł dla prawdy, która nie ginie na wieki; robak wprzód zasklepia się w swym grobie, nim przerodzony w lekkiego motyla uniesie się, złotem jaśniejąc skrzydłem: a przekonanie o nieskończoności istoty naszej wykwita z uważania skończoności. Bo zważ — dęby długowieczne tak przemijają jak ich liście, a skały granitowe tak się rozplywają w powietrzu, jak przejrzyste obłoki koczujące po niebie. Jak ciągle przelévające się fale oceanu błyszczą znikomie iskrami w słońca promieniu, tak przelewa się falami wieczny ocean rzeczy zmysłowych; a kędy nań spójrzy jasne Opatrzności oko, zapalają się iskrami jestestw miliony, a za każdą nową falą inne a inne zabłysną jestestwa i giną — zamigocą się i gasną. Więcej jeszcze cierpu ma ta marność i znikomość rzeczy ziemskich, skoro staniesz nad ową ogromną rzeką historyi rodu człowieczego, co płynie gdzieś tam z górnych nieznaných światów zamglonej przeszłości; płynie ona rzeka całe stulecia, płynie przez lat tysiące, i spławia nam kości nieznaných zwierząt ze starych lat, toczy jakieś gruzы dawnych świątnic, pomników ułomy, i, jakby liście pobrzeżnych krzewów, niesie imiona królestw, światowładnych państw i zgruchotane włócznie ludoburzców krwawych — a gdzieniegdzie unoszą się na jej falach, jakby kwiaty, jakieś pieśni stare, strzaskanéj lutni reszty i laurowe wieńce; a przecież po obu stronach onego biegu historyi, a z daleka od jej brzegów, rozlegały się zaiste ludy liczne jak piasek pustyni, i grody, i miasta potężne i państwa; o nich historia milczy, nawet ich imion nie doniosła naszym czasom. Utonęły te narody i państwa w wiecznej otchłani zapomnienia,

jak tonie rozbitek na otwartém i głuchém morzu; gwiazdy tylko widzą śmiertelny trud jego, a Bóg tylko sam słyszy ostatnie wołanie jego skonu. Lecz dokądże płynie owa rzeka, w jakąż nieznaną dal przebiegają się jej wody? by z znów kolei późniejszym lat tysiącom zanieść, jakby bajeczną wieść, prace i trudy naszych stuleciów; kędyż jest ujście tej rzeki? gdzie jest on ocean wiekuisty, co ją w swoje objęcia pochłonie sobą?

A jeżeli już rzeczy zmysłowe, jeżeli dzieje historyi są znikomości obrazem, témci więcej wewnątrz istoty naszej jest piętnem ciągłego tworzenia i niweczenia się uczuć i myśli; wszak o tém wspominaliśmy już wyżej. Lecz nie utyskuj nad tą skończonością rzeczy ziemskich, boć właśnie jej poznanie prowadzi do pojęcia nieskończoności istoty naszej. Bo zważ — czylibyśmy utyskiwali nad skończonością wszystkiego, co doczesne, gdybyśmy zarazem w sobie nie mieli wyobrażenia o nieskończoności? zkądżeby się rodziło w nas poznanie znikomości tego, co nas otacza, gdybyśmy zarazem przy tém nie myśleli o jakimś istnieniu, co nie ginie nigdy? zkądżeby nam przychodziła owa tęsknota patrząc się na przemienność, gdyby nam się przed myśl nie stawiało jakieś istnienie, co trwa na wieki? Zawsze, gdy o skończoności pomyślimy, nasuwa się duchowi naszemu nieskończoność. Te dwa pojęcia, odwrotne sobie, zawsze razem chodzą; jak ten nie zna okropności ślepoty, kto sam dnia jasnego nie widział, jak kto wie, co linia krzywa, musi wiedzieć co linia prosta, tak też wiadomość skończoności dowodzi poznania nieskończoności. Nieskończoność tedy isticie w naszej myśli mieszka. — Prawda ta jest prawdą wszystkich prawd, bo właśnie dla tego, iż człowiek

o nieskończoności myśleć może, jest dowodem, iż sam jest nieskończonym. Bo co jest skończonym, nie obejmie sobą nieskończoności; co jest bez granic, tam tylko pomieścić się może, gdzie także granic nie ma; bo większe w mniejszym objęte być nie może. Tak jak potrzeba być samemu uczuć tkliwych, by zrozumieć obcego serca drganie i te wszystkie tony ciche szepczące we wnętrzu duszy, jak potrzeba samemu być rozumnym, by pojąć rozumu potęgę, jak ten jedynie ocenić zdoła cnoty majestat, kto sam pełen jest zacności, tak też tylko jestestwo nieskończone pojąć zdoła nieskończoność i do niej tęsknić. Posłuchaj treści starzej perskiej pieśni:

Słowik zakochał się w róży; rzewną miłością płynęła pieśń jego, brzmiały po gajach tęskne drżące śpiewy skrzydlatego kochanka, brzmiały boleśnie, samotno i radośnie przez noce całe, wieczory i ranki; a gdy słońce zaświeciło nad ziemią ciepłem pieszcząc naturę, ustawały słowicze pieśni, i wieszcz maluchny milcząc ginął pod liści splotem; — skoro atoli dzień jasny z gajów ulatywał, zapalając kagańce na niebie, znów z drgających piersi zakochanego śpiewaka rozpływały się harmonie pełne miłości i żalu. Słuchały tych pieśni i krzewy, i gaje, i strumienie i dąbrowy, przecie nikt tego kochania słowika dla róży zrozumieć nie zdołał. Lecz znał kochanie swoje słowik, bo nie różę on miłował, nie do jej rumieńca, nie do jej woni on tęsknił, bo — na różę spadała co wieczór, co rano, rosy kryształowa kropelka, i w niej to, jakby w jasnym z nieba spłynionym zwierciadle, siebie widywał słowik, i sam pokochał siebie — zakochał się. Atoli obraz, który widywał, który miłował, nie był

tylko samym wizerunkiem doczesnej jego postaci; widywał tę postać rozjaśnioną, promieniejącą światłem niebiańskim słońca, i do niej to słowik tak tęsknił sobie. Nie dziw już tedy, iż gdy skwarem dziennym owa rosy kropelka rozplynęła i uleciała, i obraz ten, owo niebiańskie widziadło, znikł, a słowik tęskny w boleści oniemiał.

Rozumiemy tedy już tęsknotę naszą ku nieskończoności; wszak i ona jest tylko obrazem naszej własnej istoty, rozjaśnionej wiekuistym światłem.

Jeżeli tedy nieskończoność stanowi konieczną istotę człowieka, więc zradza się pytanie, jakim trybem objawia się w nim ta nieskończoność, jaki ona wpływ widomy na niego wywiera? Pierwszym i koniecznym wypadkiem nieskończoności, którą Bóg człowieka wyposażył, jest instynktowa tęsknota, by wszędzie upatrzeć nieskończoność, radby ją znaleźć we wszystkim, co jeno być może przedmiotem myśli jego, radby widzieć i znaleźć wszędzie jej wizerunek i obraz. Ta dążność jest koniecznym skutkiem jego natury: bo zważ pilnie, iż cokolwiek jest prawdą, to nie tylko bywa w nas, w duchu naszym, ale również znaleźć się winno i na zewnątrz ducha naszego, bo inaczej nie byłoby prawdą. Bo wszystko, co mieszka we wnętrzu ducha naszego, byłoby tylko ułudą; a nie prawdą, jeżeliby nie znalazło i w świecie potwierdzenia swojego. Otóż dla porozumienia się łatwiejszego podam ci kilka przykładów.

Czyliż dosyć jest aby moralność, aby cnota w sercu tylko mieszkała? czyliż nie potrzeba, aby wystąpiła na jaw i okazała się czynami w rzeczywistości? Moralność we wnętrzu li naszym przemieszkująca nie jest moralnością? aby nią była, potrzeba aby koniecznie

okupiła się walką własną, wyjawiała się czynem; albo — czyliż mogłaby powstać w duszy człowieka miłość, gdyby nie było zarazem w świecie rzeczywistym przedmiotu będącego celem tej miłości? Czyliż każda teorya prawa jest czém więcej niż uludą, jeżeli nie może być wprowadzona w świat? Otóż zważ, iż dla wewnętrznej naszej istoty, ten świat zewnętrzny, rzeczywisty, jest zawsze z początku czémś obcém, czémś jej przeciwném, i póty my wewnętrznych prawd naszych nie uważamy za zupełne, póki ich w rzeczywistość nie wprowadzimy, albo ich już tam nie znajdziemy. I dla tego to właśnie, mając przekonanie o czém silne, gruntowne, czujemy w sobie niepokój, póki nie obaczymy, iż prawda, którą przejęci jesteśmy, i od świata przyjęta nie zostanie. Bo świat nasz wewnętrzny, one prawdy, które w duchu naszym żyją, i świat zewnętrzny, rzeczywisty — czyli teorya i praktyka, do siebie należą i jedną składają całość, i nawzajem na sobie się opierają, choć zdają się czémś zupełnie różnym od siebie, a nawet przeciwném sobie. Są to dwa bieguny igielki magnesowej, które, choć różne, przecież do siebie należą, tak jak znak minus (—) i plus (+) w matematyce, choć niby zupełnie sobie odwrotne, przecież do siebie się ściągają, i tak dalece jedną składają całość, iż żaden z nich, z osobna uważany, nie będzie miał znaczenia, ani zrozumiany być nie może. Tak i światło dopiero światłem jest, gdy je z ciemnością razem weźmiemy.

Tak się téż rzecz ma z nieskończonością, która wewnątrz nas tkwi; nią to party człowiek tęskni, by ją koniecznie ujrzał i w zewnętrznym świecie, pragnie, jak słowik ów, obaczyć w nim własny swój obraz. Roz-

ważmy atoli, czyli pragnienie to swoje zadowolić zdoła; czyli on znaleźć zdoła wizerunek i odblask tej nieskończoności, która w nim tkwi.

Naprzód natura fizyczna, rzeczy zmysłowe, uderzają umysł nasz, bo on je najłatwiej pojmuje, gdyż one są zmysłowe; a człowiek sam, mając stronę zmysłową, rychlej rozumie, co oczyma, słuchem, dotykaniem i innymi zmysłami dostrzega, niż to, czego dopiero rozumem dochodzić powinien; więc też natura jest pierwszym polem jego poznania. W niej tedy przedewszystkiem pragnie dostrzedz nieskończoności; — ale zjawiska natury są jedynie ułomkami wielkiej całości, pojedynczemi tonami wiekuistej harmonii, którą Bóg wlał w wszechnicę stworzeń. Żadne atoli pojedyncze jestestwo natury samo z siebie, i wzięte z osobna, nie wyraża całkowitej myśli, ale jest jedynie ułomkiem myśli; a co jest ułomkiem czegoś, należy do czegoś i zależy od czegoś; jest ograniczonem w sobie, nie może być tedy nieskończonem.

Wzniesć oczy ku niebu, patrz — planety, słońca, księżyce, są rozosobnionemi jednostkami; każde ciało niebieskie, choć należy do swego systematu słonecznego i z nim składa całość, wszakże, samo wzięte, jest tylko jednostką osobną, a system słoneczny nie jest jednym jestestwem, ale składa się z mnóstwa jestestw, bo z mnóstwa gwiazd osobnych. Widzisz tedy, iż całość tutaj rozbita jest na wiele rozpojedyńczonych szczegółów, na wiele ciał niebieskich. Możesz wprawdzie gwiazdy należące do systematu uważać za jedność, ale to połączenie ich jest robotą twojej myśli, twojego przyłożenia się; to połączenie jest li rozumowe, świat fizyczny nie okazuje tej jedności zmysłom, ale przed-

stawia rozosobnione gwiazdy, z których każda jest tylko kawałkiem osobnym jedności systematu. Podobny każdy system słoneczny z całym gronem planet, księżyców do niego należących, zaiste znów jest częstką drobną innego ogromnego systematu. A tak myśl Boża, myśl nieskończona, wlana w ciała niebieskie, roztrzelila się oceanem rozpojedyńczonych gwiazd, z których atoli żadna, z osobna wzięta, nie jest obrazem onej myśli nieskończonej, a co jest ułomkiem, jest czemś skończonem i przemijającym. Spójrzyj teraz w około siebie, w te zjawiska, które ci rzeczy, otaczające nas, przedstawiają, i tu spostrzeżesz iż zjawiska są jedynie ułomkami całości, i nigdzie nie znajdziesz jestestwa będącego wizerunkiem nieskończoności. W zjawiskach mechanicznych, naprzykład, potrzeba zawsze najmniej dwóch ciał na siebie działających. Jedno z najprostszych zjawisk, które tu widzimy, ciężkość, okazująca się w spadaniu ciał, wymaga przedewszystkiem dwóch jestestw: bo ciała, które spada, i ziemi, na którą spada. Póki ciało spada, to jest, póki się to zjawisko okazuje, póty też i ciało spadające i ziemia są w rozłączeniu; skoro zaś rozłączenie ustaje, i ciało i ziemia się dotyka, przez to już staje się jednością, już i zjawisko spadania samo ustaje. Widzisz tedy iż tutaj każde jestestwo z osobna wzięte jest jedynie ułomkiem.

Podobnież w fenomenach magnetycznych, elektrycznych, galwanicznych i t. d. potrzeba dwóch biegunów, z których jeden jest dodatni a drugi ujemny. W zjawiskach optycznych, znów najmniej dwóch ciał potrzeba, bo promienia światła, i ciała oświeconego; tak i tu obaczysz, iż jedno jestestwo w naturze nie

jest czémś zupełnem, potrzeba najmniej dwóch lub więcej, by złożyć całość. Tak się rzecz ma i ze zjawiskami chemicznymi i z powinowactwem ciał. Ale powiesz mi może, iż w jestestwach organicznych dzieje się inaczej bo ciało zwierzęce a zwłaszcza człowiecze jest całością w sobie, a zatem już wizerunkiem doskonałości; ręce, głowa, nogi i wszystkie członki, tak różne od siebie, składają jedną całość doskonałą, wszystkie one do siebie należą, jedną składają harmonią. Prawda, ale dla tego też właśnie ciało ludzkie jest szczytem wszystkich dzieł natury, najwyższym wieńcem rzeczy stworzonych, i dla tego właśnie jest stolicą nieśmiertelnego ducha.

Zważ przecież, iż i tutaj jeszcze niedoskonałość jestestw natury uczuć się daje. Człowiek właśnie w życiu swém ziemskim do dwóch światów należy: jest napróżnikiem między państwem wiekuistém, duchowym, a państwem rzeczy materyalnych, bo on w sobie mieści i duszę i ciało — i właśnie dla tego, że należy do cielesnego świata, do natury, nie jest sam przez się całością w sobie skończoną, zupełną, bo się sam przez się ostać nie może. Naprzód jest bowiem w stosunku do innego jestestwa podobnego, ale płci odwrotnej. Mąż i kobieta z osobna wzięte nie stanowią całości. Następnie też człowiek obejść się nie może bez natury otaczającej go; bierze od niej pokarm swój, oddycha jej atmosferą i z nią dopiero stanowi całość, a właśnie ten związek i stosunek ciała do natury jest przyczyną śmierci jego, bo natura zewnętrzna, onych ślepych żywiołów potęga bez ustanku działa na organizacyą ciała jego, i psuje je, i niszczy,

i trawi; a gdy się ciało w końcu oprzeć nie zdoła tym wpływom, wtedy ginie i śmierć następuje.

Widzisz, iż nawet najwyższe dzieło przyrody, bo ciało człowiecze nie jest całością w sobie i ginie, i dla tego nie może być dla nas wizerunkiem nieskończoności, którą człowiek śledzi mimowiednie w rzeczywistym świecie, choć nie wie, co go tak prze i co w nim działa. Cała natura tedy pokazuje nam jestestwa, które same wzięte są tylko ułomkami jednej myśli, ale całej myśli nie stanowią, a tém samém mają swój początek i koniec, nie mogą być tedy nieskończoności obrazem. To już wyżej choć innemi słowami powiedziałem. Ale może właśnie wizerunek ten znaleźć zdołasz w obrębie nie natury cielesnej, lecz w sferze czynności człowieka? może naprzykład moralność, cnota, obejmująca jakby sercem miłości pełnem świat cały, będzie doskonałym nieskończoności obrazem? Zważ atoli, moralność, cnota jest jedna i zawsze taż sama, ona jest całością ogólną, póki zamknięta jest w duchu, póki trwa we wnętrzu naszym; ale ona jako całość nie może się zjawić w świecie, bo w rzeczywistém życiu moralność się tylko w czynach pojedynczych okazać może. Utulisz boleść, łzę nieszczęścia, zapomnisz krzywdy złowrogięj nienawiści, gdy zacność gorejąca w piersiach twoich wystąpi na jaw poświęceniem dla dobra drugich, toć wszystko zależeć będzie od podanej sposobności, okaże się przy szczególnych okolicznościach, które mogą być tak różne, tak przypadkowe i rozmaite, jak rozmaite są życia przygody. Słowem, moralność zamknięta w duszy jako całość, występując na świat, rozbija się na pojedyncze osobne czyny moralne. Co się wyjawia w świecie rzeczywi-

stym, są to tylko ułamki tej moralności, nie mogące być moralności samej, a tem bardziej nieskończoności obrazem. A prawa, a ustawy spajające węzłem towarzyskim ludzi, zakładające miasta i garnące wszystkich pod sprawiedliwości paize? może tutaj dostrzeżesz wizerunku nieskończoności? Przecież tak sprawiedliwość jak i moralność zawsze jest jedna, wiecznie ta sama, i całością w sobie; ale ona, jako taka, nie wstępuje w rzeczywistość i wystąpić nie może, bo jest również jak moralność, jak cnota, myślą, ideą; w rzeczywistym świecie zjawić się tylko ona może w prawach, w księgach ustaw. Każdy jednak naród, każdy wiek ma inne swoje kodexa. Sprawiedliwość tedy jest tylko gruntem ogólnym, na którym wzrastają księgi praw, są to jedynie ułamki całości, ale nie całością. Co więcej, księga praw, obowiązująca w pewnym kraju a będąca przeto uwidomieniem wyobrażeń tegoż narodu i wieku o prawie, także nie występuje w całości w rzeczywistym świecie, lecz tylko ułomkami. Wszak prawo np. broni własności, jakże atoli ono chroni np. własności twojej i kiedy? oto wtedy tylko, jeżeli twój dom, twoja wieś, albo jakaś summa pieniędzy, będąca w twojej własności, jest zagrożoną: wówczas udajesz się pod obronę ustaw, a one oddalają napastnika. Widzisz tedy, iż praw wykonanie broni własności, lecz nie własności jako ogólnej myśli, ale rzeczy szczegółowych, jako wsi, domu, summy pieniędzy, a to wtedy tylko, jeżeli one są zagrożone; czyli zaś są zagrożone lub nie, toć znów od przypadku zawisło, od szczególnych okoliczności, więc własność rzeczy szczegółowych okazuje się w ułomkach. Jest tedy niewątpliwą prawdą, iż i spr-

wiedliwość w tej formie, jak się w rzeczywistym świecie okazuje, nie może być wyrażeniem nieskończoności.

Ale rzekniesz mi może, iż przecie historia powszechna, będąc najwyższem dziełem wieków i pracownią nieskończoną ducha człowieczego, wyraża nam myśl nieskończoną odzianą w szaty ludów, w postaciach bohaterów historycznych? W tym liście moim już dwa razy wprowadziłem ci historią świata: raz, wskazując ci znikomość rzeczy doczesnych i przemijającą robotę ludzkiego rodu, drugi raz przedstawiłem ci dzieje człowiecze i jego sprawy, jako przeświecane płomieniem nieskończoności. Zaiste nieskończoność jest dnem wszystkich wydarzeń. Teraz jednak zjawia się inne pytanie; chciiej ze mną zważyć, czyli wydarzenia w historyi, tak jak nam je historia wystawić może, są zwierciadłem same przez się tej nieskończoności? Bóg w nieograniczonej łasce swój natchnął człowieka rozumem, rozumną też drogą prowadzi ród cały za rękę przez stulecia i lat tysiące do udoskonalenia najwyższego. Choć jednak krew biegnie w żyłach, choć życiodawczą potęgą tętni w ciele człowieka, przecież nie jest widzialna dla zmysłów, ale drganiem serca, iskrą w oku i rumieńcą kwiatem na widok występuje. Tak podobnie duch żyjący w historyi nie występuje na jaw w zupełności swój, lecz w wielkich wydarzeniach, w epokach przemieniających świat, niewidomie tli i żyje, i jest krwią, co bije w pulsach narodów, a wieki całe, a stulecia, są oddechami wiekuistej myśli przebywającej w dziejach ludzkich. By ujrzeć potęgę poruszającą narody i wielkich ludzi historycznych, trzeba zajrzeć za kulisy teatru świata, i tam widzieć, jak owa myśl wiekuista, kierująca tym dramatem, wysyła kiedy

pora, jakby aktorów, wielkie figury historyczne na scenę czasów. Za jej skinieniem występuje to Alexander, to Cezar, to Kolumb, lub Arystoteles, znów Cyrus, to Dżingishan, to Filip II. lub Piotr Pustelnik, Grzegorz VII. lub Napoleon; każdy z kolei się zjawia, by odegrał rolę swoją z dramatu, którą wiekuisty autor ułożył, i, wedle uiszczenia się z gry swojej, zyskiwał oklaski lub wyświsty potomności. Boć iście nie ślepego trafu lub fatalizmu jest historia, ale Opatrzności dziełem; a ten Bóg, bez którego woli ani pyłek z kwiatu, ani włos z głowy nie spada, ten sam Bóg jest i dziejów ludzkich ojcem; i gdy mądrość Jego uzna potrzebę, rozdziela ciepłą dłoń swoją i z niej wypuszcza, niby pisklęta, uskrzydłone młode stulecia, i gwiazd gromady i wielkich ludzi. Ależ my tego w samej historyi nie widzimy jeszcze, bo myśl Boża, co żyje i działa na dnie wydarzeń, nie występuje w swęj całości w wypadkach historycznych, rozpryskuje się na narody, na wieki, na figury szczegółowe, na kraje pojedyncze. Każdy naród a każdy wiek zradza nową jedną myśl, wprowadza ją w świat i z kolei ustępuje z widowni; a ustąpić musi, bo nie będąc całością, lecz jedynie ułomkiem i częstką, jest również skończonym jak gwiazda, jak zjawisko mechaniczne, jak jestestwo organiczne, jak czyn moralny, jak ustawa prawna i t. d. i dla tego przeminąć musi. Historia taka, jak nam się ukazuje, podaje nam dzieje rozerwane na tysiące szczegółów osobnych, na milionowe wypadki, ale nam nie wskazuje tej jednej ogólnej myśli, żyjącej i pracującej we wnętrzu tych dziejów. Jest i tutaj nieskończoność zaiste, ale zakryta; historia jest jedynie jej widzialną łupiną ułomkową. Widzisz tedy, iż jak w naturze,

tak i w moralności, prawie, historii i we wszystkich czynnościach podobnych, duch nieskończony ujrzyć nie może własnego wizerunku a zwierciadło, które mu się tu przedstawia, jest stłuczone na sztuk tysiące, z których każda wskazuje jedną część oblicza wiekuistego, które w posagu od Boga na dziedzictwo odebrał. Aby w tej całej świata wszechnicy nieskończoność obaczyć, trzeba nam innego szczebla ducha, innę jego umiejętność, jak to obaczymy w liście następującym.

Duch człowieczy ciśniony tym niedostatkiem, party by to szczupłe koło istoty swęj rozszerzył, by nieskończoność obaczył i znalazł siebie samego w rzeczywistości, przerzuca się w inną wyższą sferę własnej swęj istoty, nabywa jaśniej wiedzy o tej nieskończoności, a nie mogąc jęj znaleźć w rzeczywistości, zaczyna od tego iż sam sobie *jęj obraz tworzy*. Tworzy go używając do tego właśnie tej osnowy, która mu jest najbliższą, najłatwiejszą dla niego; jest to ten świat dostępny dla oczu i słuchu jego, ten świat zmysłowy, i staje się mistrzem, tworzy dzieła sztuki. I to jest sztuk pięknych zaród tajemny i powód ich najwyższy. Świat materyalny, natura, pożyczca mu swoich postaci, swoich kształtów, daje mu na osnowę swoje marmury, drzewa, kruszce, barwy, tony, głos, a człowiek, uchwyciwszy je, wlewa w nich duszę swoją, przyciska gorejącem objęciem do serca, wlewa w nich nieskończone życie swoje, swego ducha, a tak staje się twórcą, *mistrzem*. Co żyło na bezdnach ducha, o czém jakby przez sen marzył, teraz dla niego zjawia się widome. On siebie w dziele swém widzi, a trud cały, jaki ponosił pasując się z sobą, wlał w piękności dzieła, niby w naczynie boleści swęj. Niedziw tedy, iż zjawienie się

dzieła sztuki jest pieśnią wtorującą nieskończoności człowieka; bo gdy on stanie przed obrazem, rzeźbą lub świątynią, albo gdy mu zabrzmia w duszy tony muzyki, melodyi, lub święty urok myśli poezją odziany, już rozumie, że go głos z dziecięcych lat wita, że się nań patrzy święte oblicze znane z dawnych lat, widziane gdzieś, niegdyś, czyli we śnie, czyli nad kolębką swoją, czyli to może anioł stróż jego, co mu niewidomie przez życie towarzyszył. Widzi obraz malowany w kamieniu, w postaci, słyszy potok muzyki; ale cóż mu z kamienia tego, z tych obrazów, z tych muzyki tonów; tęskni i płacze, coś go porywa i na niego woła. Zda się, iż jakby w długiej niebytności w kraju rodzinnym, nagle gdzieś niespodzianie w cudzoziemskiej stronie zabrzmiał mu mowy ojczystej dźwięk, niby dawna własna pieśń jego. Tysiące głosów dotychczas drzemiących budzi się w piersiach, i gromadami, jakby orły Boże, zrywają się i giną w ostatnich błękitnych nieba przepaściach.

A teraz jak myślę zrozumiesz, dla czego w listach poprzednich dowodziłem, iż ani zmysły, ani samo zachwycenie, ani uczucia, ani myśl, ani serce, ani rozum, same z osobna wzięte, nie mogą być sztuk pięknych podstawą. Bo jeżeli isticie sztuka piękna jest nieskończoności córą, jeżeli wiekuistość tu jest odzianą w cielesności szaty, jeżeli sztuki istotę ziemską i niebiańską człowieka, jakby dwa bieguny sobie obce i przeciwne, ku sobie naginają, jeżeli one biją we dwa światy tak odwrotne sobie, jak są zmysły ciała jego i duch wiekuisty, nie dziw tedy, iż godzą też wszystkie inne sprzeczności istoty naszój, iż uderzają na całą treść człowieka, chwytają wszystkie struny jego jestestwa,

i całą istotę człowieczą budzą pełnym akkordem. Zmysły i rozum, uczucia i myśl, duch i serce, ciało i dusza, wszystkie te potęgi zarazem są tknięte piękności dziełem, żadna tedy z osobna, ale wszystkie razem jakby w chór grzmiącym psalmem witają Wiekuistość, która na Ziemię ztąpiła. Tak piękność godzi wszystkie sprzeczności duszy naszej i pokojem niebiańskim ucisza wieczny w piersiach naszych bój. Przecież pokój ten nie jest głuchem przytłumieniem tych potęg, ale podniesieniem ich wyższem i uduchowieniem, on je uszlachetnia, wylęwa na nie powódź światłości niebiańskiej, uwalnia od ziemskiej ciężkości, dodając cherubinowych skrzydeł. Gdy piękność się zjawi, wszystkie radości i boleści, tęsknoty i nadzieje, odwagi potęga, lęki i miłość, żale i wesele, i co jeno w duszy naszej jest, rozgoreje ogniem nadziejskim i łączy się wspólnym płomieniem. Niebo i ziemia obejmują się uściśnieniem miłości. Gdy piękność się zjawi, cały ocean jestestwa naszego rozkołysze się do dna swego piorunną falą, i znów się jednoczy, znów zléwa się z sobą niby w zwierciadło, w którym niebo i Bóstwo się przegląda. Wpatruj się w obraz Syxtyńskiej Madonny; tutaj zmysłów naszych powaby i myśli potęga, duch i uczucia, wiara i miłość, mrozy i ciepło duszy naszej, słowem, cała nasze treść, roztopiona jakby pieśnią niebiańską, wciela się w tę postać nadziejską Boga-Rodzicy. Podobnie, słuchając muzyki wielkich mistrzów, widzisz jak nieba podwoje na rościę są otwarte, i widzisz, jakby po szczeblach Jakóba na obłokach spartych, wchodzące i zstępujące anioły, skinieniem drogę nam do wiekuistej ojczyzny pokazując. I zaiste, połączenie w jedną harmonią rozpromie-

nionych tonów duszy, pogodzenie rozdwojenia w pierśiach naszych, jest najwyższym sztuki wieniec.

Myszę tedy, że już zgodzisz się na to ze mną, że wiekuistość ducha a świat doczesny, że niebo i ziemia nawzajem są zaślubione sobie w piękności dziele; słowem, że nieskończoność i skończoność są dwoma pierwiastkami przebywającymi w dziele sztuki, że powiązanie ich w jedność jest wszelkiej piękności warunkiem.

Zważ jednak, że piękność świeci się tak przeróżnym rodzajem: ona zawsze będzie jedną i tą samą, ale występuje coraz to w innej postaci. W samej naturze nawet piękność jest tak różna. Ona jest inną gdy morskie zwierciadła, ciche i mileżące, przezierają się w błękitach niebiańskich, a inną, gdy grzmotną burzą rozkołysane fale, wzdymając się i przepadając w otchłani, powstają i giną na nieskończonej przestrzeni, i znów dzwigać się w zuchwałém rozjątrzeniu, i znów strącają się w rozwarłe topiele. Inna piękność, gdy dech uroczystego wieczora roznosi ciche szepty kwiatów, a w mroku świętym natura obchodzi zrękwiny ze sercem człowieka; inna piękność orła, co, oparłszy skrzydła na słonecznych promieniach, mierzy okiem rozłożone pod nim w głębi kraje, inna znowu piękność tajemniczego państwa, co w głębiach podziemnych zbudowało czarnoksiężkie pałace swoje, przystrajając je w sople świeciste, w zwoje i gałęzie błyszczących kryształów, wysadzając je bogato w smaragdy i rubiny; inną pięknoscią przemawia pierwiosnek, co wykwita na grobowej mogile, co tak rzewny, milczący, tęskny i zadumany, iżbyś rzekł, że go posiała

łza, co tu padła milcząca, rzewna, i teraz na pierwszku błyszczy rosy kropelką jakby oczko niebiańskie, a motyl różnobrawny, strojniś zalotny, oblatuje kwiatek płaczący. Tak jest, i natura rozacza się całym światem piękności przeróżnych; kędy spojrzysz, kędy zwrócisz duszy twojej słuch już ta przyroda zaśpiewa ci to hymny wzniosłe, to tęsknej słodyczy elegije, to zanóci piosenkę radosną, weselną. A cóż dopiero się dzieje w państwie sztuki, kędy już piękność ma właściwą ojcowiznę swoją! kędy ona żyje w całej swobodzie a wolności swojej! Bo sztuka piękna jest zaślubieniem skończoności doczesnej z nieskończonością wiekuistą ducha. Ale gdy duch człowieka jest duchem stworzonym, gdy on sam jest ochuchany tchem ziemskiego żywota, więc on sam wypowiada treść swoją w różnych akkordach, w różnych postaciach. Cóż dziwnego że sztuka to przemawia do nas *wzniosłością*, to znów zdradza piękność *naiwną, prostoty pełną*, to ubiera się w przepychy fantazyi, to staje przed tobą w *uroczystej* postaci, to jest pięknością *szlachetną*, to znów strachem przejmuje, gdy rozwija losy *tragiczne* figur swoich; a tak sztuka coraz inną a inną formą piękności zadziwia, pociesza, zachwyca widza i słuchacza swojego. Trudnoby mi było wyliczać wszystkie te formy piękności, więc też tém mniej będziesz wymagał, hym ci się wdawał w różne ich definicje. Zdaje mi się też, że jak to zwykle definiowanie wyobrażeń jest wielce nudne, tak też najczęściej nie dotrzyma placu, gdy mu się bliżej przypatrzysz; takie definicje, choćby położone rzędem po sobie, będą niby ułamkami łóżnemi niepowiązanemi z sobą, a zatem też żadna z nich nie będzie miała udowodnienia swojego w drugiej, bo

nie będzie się rodziła z poprzedzającą. Niema się tedy czego gniewać na czytelnika, gdy nie dowierza tym definicyom, gdy tu i ówdzie je doprawia, uzupełnia i prostuje.

Widzisz przeto, że chcąc te różne postaci piękności bliżej i trafniej oznaczyć, trzebaby je rozwinąć genetycznie, wypadłoby jej zrodzenia wskazać w zarodzie, należałoby tedy wysnuć je z owych dwóch pierwiastków, będących żywiołami piękności wszelkiej; takowy wywód okazałby, że, wedle różnego wzajemnego zachowania się tych dwóch pierwiastków, różne też będą powawy piękności. Przecież, gdy te listy moje bynajmniej nie mają na celu rozwicia systematycznego Estetyki, gdy moim, jak wiesz, zamiarem jest, aby jedynie pobieżnie potrącić myśl twoją, zatem wystarczy, gdy, wspomniawszy już o tych różnych postaciach, jeszcze naprzykład rozwinę choć z lekka i z wierzchu niektóre z tych szczegółowych form piękności, nadając im znaczenie mniej więcej przyjęte dziś już przez Estetyków. Prawda, że lubo sposób, który ci podaję, nie będzie ani ścisłym ani wyczerpującym rzecz, wystarczy atoli, jak się zdaje, do okazania, że te wszystkie kształty piękności możnaby wysnuć rzeczywiście ładem systematycznym.

Jakoż baczmy np. co rozumiemy przez wyraz „wzniosłość. Sama nazwa okazuje, że tutaj zachodzą dwa czynniki: jeden, który się wznosi nad czemś, a drugi właśnie ten, nad którym tamten pierwszy się wznosi; jestto przeto porównanie, które tutaj się objawia. Uważ teraz, że te dwa czynniki wyrażają właśnie owe dwa pierwiastki, które są dwoma warunkami wszelkiej piękności, ale one są tutaj rozdzielone od

siebie dualizmem. Bo ów pierwszy czynnik, który się wznosi nad drugi, wyobraża tutaj nieskończoność, wiekuistość; a czynnik drugi, nad który się wznosi ta nieskończoność, ta wiekuistość, jest właśnie wyobraźnikiem doczesności tutecznej. Ten czynnik drugi istnieje tutaj li dla tego, aby wyświecił moc, potęgę, nieskończoność; on się w obec niej kurczy, on ja mierzy ale zmierzyć jej nie zdoła.

Chciēj atoli mieć na oku wielce ważną okoliczność. Oba te czynniki występują w Estetyce jako zamknięte w dziele piękności, które samo przez się i w całości jest wiekuistości i nieskończoności wyrazem; wynika ztąd, że i ten drugi czynnik, który w dziele sztuki wyobraża skończoność, sam nie może być czēms codziennēm, drobnēm, a choć sam nie jest jeszcze nieskończonością prawdziwą, rzetelną, winien być jakby owiany tą nieskończonością, bo tak jedynie zdoła wyświecić nieskończoność wiekuiatą, która obok niego staje w postaci olbrzymiej, niezmierzonej. Z drugiej strony baczyć nam należy, że i ten pierwszy czynnik, który wyobraża nieskończoność, właśnie dla tego że się pojawia w dziele sztuki, a zatē w postaci uzmysłowionej, bēdzie miał przecieź granice swoje; lecz sztuka, że tak powiem, na tē m zależeć bēdzie, aby to ograniczenie jego zasłonić, aby tych kończyn a granic nie było widać. Może jednak całe to przedstawienie moje niedość jasne, więc unaocznimy sobie rzecz na przykładzie. Gdy w człowieku wzniosą się burzą namiętności, a serce jego wzdęte bēdzie falą uczuć olbrzymich — otoź, jeżeli wśród tēj burzy i boleści wewnętrznych, człowiek zdoła zakłąć własne serce swoje, co pęka z boleści, jeżeli zdoła przytłumić namiętności, i

wykonać wbrew uczuciom swoim powinności, które mu idea wiekuista nakazuje — wtedy taki człowiek będzie wzniosłości wyrazem. Ta idea, przemagająca w duchu jego, będzie owym czynnikiem pierwszym wyobrażającym nieskończoność, wznoszącym się nad namiętności i uczucia, które przeto tutaj mają znaczenie owego drugiego czynnika. Uważ zatem, że te uczucia, i namiętności winny być ogromne, bo tym sposobem jedynie moc duchowa, zdolająca je pokonać, wyświeca się w całej potędze majestatu pełnej. Atoli z drugiej strony taż sama moc, działająca w imieniu nieskończoności w sercu człowieka, ta idea wznosząca się nad głosy serca, nad uczucia, sama jest tylko jedną z wielu idei, z wielu prawd szczegółowych rządzących światem. Człowiek, choćby najzacniejszego, ogromnego oddechu, nie zdoła działać w imieniu najwyższej prawdy, która jest prawdą wszystkich prawd, która je wszystkie sobą obejmuje; człowiek śmiertelny, jako duch stworzony, staje się wyobraźnikiem tylko jednej szczegółowej idei i tę przeprowadza w życiu i w świecie; ta prawda, którą on wyznaje, z osobna wzięta, nie jest jeszcze prawdą bezwzględną, i ona w sztuce samej, która żąda z istoty swojej uzmysłowienia, uosobienia tej prawdy w człowieku, sama występuje jako ograniczona; przeciw, gdy ma być nieskończoności wyrazem, dla tego to jej ograniczenie jest usłonięte, zakryte.

Jak atoli w tym naszym powyższym przykładzie mieliśmy głównie na oku wzniosłość, objawiającą się w postępowaniu człowieka, tak podobnie przypisać możemy przedmiotom bezdusznym wzniosłość, a to wtedy gdy one w duszy naszej odpowiednie budzą

uczucia. Tak widok morza jest wzniosły, fale dźwigają się i przepadają z kolei na przestrzeni morza, ta przestrzeń morza rozkłada się w nieskończoność, bo jej granice zakryte, więc osłonięte, a fale mierzą tę nieskończoność oceanów; ale, choć ogromne i olbrzymie, przecież jej zmierzyć nie zdołają; one nieprzemierzonym, niedowidzianym rozłogiem topieli oceanów. Albo spójrzysz na wiekiustą przestrzeń niebiańską; toczą się i słońca i planety i księżyce, a pochodem odwiecznym kołują, wirują, ruszają się systematy słoneczne, i srebrzą się mleczne drogi; ale ani planety, ani księżyce, ani systematy słoneczne, ani mleczne drogi, nie zdołają zmierzyć Bożego Państwa, bo za nimi znów nowe zjawiają się systematy, nowe słońca, nowe mleczne drogi, i tak w nieskończoność.

Powiadasz, że ten tum obejmuje cię wzniosłością i że w nim powiewa nieskończoność tchem swoim? Gdy mu się bliżej przypatrzysz, postrzeżesz tłumy nabożnych i ołtarze, i pietrzące się w nim kolumny, łuki, gzymse, co, choć wielkie i potężne, giną w obec ogromu olbrzymiego całości budowania i wysokości sklepień. Ozdoby, dziergania wieży, choć same w sobie potężnych wymiarów, maleją i nikną w obec wysokości zawrotniej, podobłocznej, której sięga szczytem swojego krzyża.

Wystarczy może tych przykładów wzniosłości, zwracam tylko uwagę, że ona zdolna zamienić się na pokrewne sobie formy estetyczne. Tak np. jeżeli człowiek całą duszą, całym sercem objął jedną z idei, jedną ze szczegółowych prawd, i takową, z całym poświęceniem siebie, za nic sobie ważąc wszystko inne, chce przeprowadzić w życiu, a tak walczy z losem, walczy

z idea nieskończoną, mierzy się z prawdą wszelkich prawd i ginie pod brzemieniem jej wiekuistej potęgi; w takim razie ten człowiek stanie się figurą tragiczną, a los jego i upadek będzie tragicznością, która jest znowu nową formą piękności. Przecież o tej formie, jak i o konieczności, mówić będziemy często jeszcze na innych miejscach.

Zgodzisz się może również, że gdy ta nieskończoność, ta idea przeważna i wzniosła, ubiera się, jakby w szaty, w wielkie zjawiska natury, wtedy rodzi się to, co zwykle estetycznym przepychem zowiemy; taki przepych spotykamy często bardzo w świętych pieśniach hebrajskich, przedstawiających Boga „którego potęga zbliża się na skrzydłach wichrowych,“ który wodzi wóz niebiański z gwiazdami jego „a skinął na świtania i okazał kędy wschodzić mają zorza!“ W tych obrazach pieśni świętych widzimy przepych, ale pełen najwyższej wzniosłości; bo ogrom stworzenia ma w nich to jedynie znaczenie, aby okazać nieskończone wywyższenie Boże nad wszelkie wielkości natury; gwiazdy i świtania, skon i życie są tu jedynie haftem na rąbku szaty Bożej. Tutaj obok przepychu najwyższego, znajdziesz najwyraźniej wszystkie te cechy, którem powyżej oznaczył jako znamiona wzniosłości. Bo z jednej strony rzeczy stworzone, doczesne przybrały ogromne nieskończone rozmiary, a z drugiej strony wznosząca się nad te rozmiary nieskończoność przybiera formy zmysłowe, fizyczne bo uzmysłowionej idei Bożej, odzianej nawet „w szaty, kładącej stopy na gwiazdach, wodzącej wóz oriona, skinieniem rozkazującej świtaniu.“

Jeżeli do potęgi ogromnej, nieskończonej, łączy się spokój wewnętrzny, beznamiętny, wtedy występuje

na jaw Majestat. Jeżeli zaś ta potęga spokojna w sobie uznaje wyższą nieskończoną nad sobą potęgę, wtedy staje się uroczystą. Gdy bohater zsiwiał, czując zbliżenie się śmierci, modląc się oddaje cześć Panu na wysokościach, wtedy zdradza się uroczystość. Jeżeli ów pierwiastek nieskończoności objawi się w sztuce wyrzeczeniem prawdy głębokiej, bez wiedzy własnej, wtedy zdradza się piękność prostoty pełna — jeżeli zaś odwrotnie człowiek postępuje wedle tej prawdy z całą pełną wiedzą, że wykonywa zakon wiekuisty, jeżeli przytém wypełnienie tej idei nie jest dla niego trudem, z którymby mu walczyć przychodziło, ale jest właśnie dogodzeniem zacnej istocie ducha i harmonią z własną naturą swoją, wtedy pojawia się piękność szlachetności pełna.

Tak widzisz iżbyśmy mogli prawie z jednego i tego samego stanowiska określić bliżej znaczenie i innych tym podobnych pojęć estetycznych, — dla naszego dość żeśmy je choć z lekka wspomnieli. Przecież już widać, iż w jakimkolwiek bądź kształcie wystąpi z za obłoczną opoń piękność, zawsze ona będzie córą niebiańskiej ojezyny, czyli zaświeci jako bogini piękności z koroną różaną na skroniach, czyli jako Niobe, co skamieniała w posąg cudny macierzyńską boleścią, czyli jako Jowisz Phidiasa, co skinieniem wstrząsa Nieba i ziemi posadami, czyli w postaci Herkulesa idącego przez świat walcząc i łamiąc się z trudem, by wybawił świat, by uwolnił Prometeusa, co uniosł z nieba płomień światłodawczy; zawsze i zawsze piękność sztuki przebudzi śpiący Olymp w sercu człowieka. Miej serce, oczy, duszę otwarte dla piękności, ona wstąpi radośniej do piersi twoich i będzie ci uroczysto,

święteczno w duszy i wśród niebiańskiego wesela, wszystkie ducha twojego tony się odezwą i zestroją się z sobą i zagrają jakby hymnem i psalmem, i przestanie ci w duszy płakać i kwilić, a zapomnisz boleści, przebaczysz krzywdy i urazy, świat cały i ludzi wszystkich obejmiesz miłością, przeszłe i przyszłe wieki będą ci braćmi we wiekuistości. Odetchniesz szeroko, wesoło, swobodnie, jakbyś był po uniknięciu wielkiego nieszczęścia, od którego właśnie Boża ręka cię zachowała, odetchniesz wolno, swobodnie, jakbyś sprawił coś wielce zacnego, jakbyś uratował nieprzyjaciela swojego od biedy i zaguby — uczujesz się mocny na duszy, spotęgowany w sobie, jakby ci Anioł Pański podał wzmocnienia puhar.

LIST VIII.

Sztuka — Wiara — Filozofia.

Stosunek sztuki do Religii — do Filozofii. — Zwyczajne zdanie o Filozofii. — Uwłaczanie rozumowi jest bluźnierstwem. — Zapatrywanie się mylne na filozofią. — Jaroński i inni — Rzut oka na treść listów poprzednich. — Badanie początku sztuk jest równie mylną jak niepotrzebną pracą.

Dotychczas zatrzymywałem cię w przysionku sztuki pięknej, rozprawiając dopiero w ogólności nad jej naturą; wnet zaiste roztworzy się nam wewnątrz tej świątnicy, co, jakby stara wspaniałości pełna katedra, postawiona jest wedle pomysłu wiekuistego budownika, a dźwigniona pracą i sileniem się wszystkich wieków. Każdy naród, mający jakąś wartość swoją, przyczynił się do tej świętej budowy pracą żywota swojego; dawał jakby testamentem co miał najdroższego ku jej czci a ozdobie; o każdym też tutaj świadczy kamień grobowy, wspominając poczciwością o imieniu i obliczu zmarłego. Ludy jedynie bez wagi, ślepe oka nie liczące w grze dziejów świata, przeżyły czas swój bez śladu, przemknęły się milczkiem po ziemi; ich stopy, wyciśnięte jakby na lotnym piasku pustyni, zawiane są od dawna

tchem czasów, pomarły one w barbarzyństwie, a anioł piękności nie pobłogosławił im na ich samotnej i ciemnej pielgrzymce; świątelnica sztuki mileży też o głuchém ich życiu. A one zaś wielkie mistrze: Michał Anioł i Dante, Praxiteles i Petrarca, Shakespeare i Hayden, lub Stoss, Mozart i Sanzio, Horatius i Göthe, Cervantes i Molière, goreją jak jasne świece na wielkim ołtarzu piękności, a pokolenia późne stroją je w kwiaty swęj czci i uwielbienia, a przy ich płomieniu nie jeden już zapalił sie geniusz, tysiące rozwidniało serc. Tutaj też po wszystkie czasy, narody przychodziły odświeżyć siły do uiszczenia się z powołania, jakie każdemu z nich Bóg przeznaczył, i wzmocnić się duchem i ufnością ku sobie. Sztuki piękne podnosiły zawsze człowieka i nadawały mu zacność. Zaiste — spojrzj wstecz na dzieje ludzkie, a obaczysz, iż zawsze w epokach czarnych i smętnych, pełnych biędy i krwawęj roboty, gdy niebo szare, bezbarwne, zaćmiło się nad światem, a w Historyi jakby serce zamarło; gdy człowiek rozpaczając upadał pod brzemieniem własnego życia, wtedy, gdy wszystkie inne pociechy, nadzieje jego w kolo zasnęły, gdy sam z sobą w głuchęj nocy pozostał, Piękność w postaci jasności Anioła podawała mu kielich wzmocnienia. Ród człowieczy, patrząc na dzieło piękności, przypominał w nięm sobie potęgę swoją nieunierającą nigdy, i niczēm niezatartą zacność swęj natury; obojętnięj patrzeć mógł na pohańbienia swego szaty, a skronie jego uwieńczył obłok złocisty z nieba spłyniony.

Sztuki piękne w historyi zawsze się znalazły w parze z Religiją; i niedziw, bo Wiara jest pierwszą nie-skończoności ksienią; dla tego Wiara i sztuka w cią-

głym są związku z sobą. Z tój przyczyny zechciejmy zrozumieć stosunek sztuki do Religii. Obie z nieskończoności człowieka płyną, obie nam nieskończoność przed duszę stawiają, ale każda w innėj formie, każda w swoim sposobie. Nieskończoność, rodząca się ze sztuki pięknej, gaśnie obok onėj, która świeci w majestacie Wiary. Bo gdy w sztuce nieskończoność istoty naszėj wyjawia się we formie zmysłowej, a zatem we formie zewnętrznej, odwrotnie — Religia porzuca fizyczność i cały świat zewnętrzny, a zwraca się do wewnętrznych głębin człowieka, uderza w bezielesną jego istotę i w najskrytszych duszy tajnicach zapala nieskończoności ogień. Ale ona nie tylko o własnej nieskończoności człowieka przemawia, lecz za oponą najświętszėj świątnicy okazuje inną nieskończoność, która nie tylko nie ma końca, ale która i początku nie zaznała nigdy: bo ducha człowieczego stawia przed Panem, „który oblókł się w możność, utwierdził okrąg świata, by się nie poruszył, odział się chmurą i ciemnością, którego stolicy gruntem jest sprawiedliwość i sąd, którego błyskawice oświecają światów przestrzenie, a na ich widok ziemia drga w sobie, albowiem przed oczyma Pana tysiąc lat są jako dzień wczorajszy, który przeminął, i jako straż nocna, a porywa je Pan powodzią jako sen i jako trawę, która z poranku rośnie.“ (Psalm).

Lubo i zaród sztuki w duchu się znajduje, i lubo piérwėj, nim dzieło piękności w świecie zewnętrznym stanie, winno się zrodzić w wewnętrznym człowieku pracą ducha jego, przecież ta praca ma za cel dzieło fizyczne. Posąg wprzód był w duszy rzeźbiarza, nim on myśl swoją wcielił w marmur — przecież ten po-

mysł, to zrodzenie się duchowe miało za cel posąg, który w świecie zewnętrznym widzialny jest dla zmysłów naszych. Aby sztuka piękna była zupełną, powinna wystąpić z duszy mistrza i okazać się na jawie w dziele jego, bo inaczej nie miałby rzeczywistości. Odwrotnie, rzeczywistość Wiary, jej prawda stoi na duchowości wewnętrznej człowieka: ona mierzy w ducha jego i tu ma ostatni cel swój. W sztuce świat wewnętrzny jest środkiem, wyjawienie się zaś zewnętrzne jej celem i przeznaczeniem. Nawzajem w Religii, świat zewnętrzny widzialny jest jedynie widomym znakiem nadziemskiej łaski dla naszego poświęcenia wewnętrznego; jej przeznaczeniem jest duch człowieka, „bo duch ci jest Bóg, a ci, którzy Go chwala, powinni Go chwalić w duchu i prawdzie.“ (Ś. Jan. IV. 24.)

Te są główne podwaliny stosunku Religii do sztuki, a posłużą one nam na przyszłość za podstawę do różnienia sztuki klassycznej, to jest greckiej, od sztuki chrześcijańskiej. Tutaj tyle jedynie powiem, iż skoro, jak mówiłem, w sztuce duch objawia nieskończoność swoją wcielając się w zewnętrzne zmysłowe formy, a w Religii zaś duch ze zewnętrznego świata cofa się w siebie i w sobie obchodzi nabożeństwo i uroczystość nieskończonej swjej istoty; więc też świat zewnętrzny, zmysłowy sztuki nie potrafi wydać całkowicie onej świętości spływającej z Religii w serce człowieka; prawdy Wiary nie zdołają się pomieścić w szczupłe obręby, jakich im sztuka dostarczyć może, bo pojęcie chrześcijańskie Boga jest zupełnie duchowe; formy tedy sztuki, jako zmysłowe i zewnętrzne, nie zdołają sobą zamknąć pojęcia Bóstwa niemającego końca ani początku. Dla tego przyznasz, iż obrazy religijne nie

wszystkie podają jedną trudność do zwalczenia: im więcej w nich pierwiastek Boży przeważa, tém i zadanie trudniejsze. Bóg Ojciec przedwieczny jest przedmiotem dościgłym ledwie przez najwyższy geniusz artystyczny, bo jest Bogiem wiekuistym, nadziemskim, tymczasem Chrystus Pan, Bóg-Człowiek, Bóg, co przybrał na się postać ludzką, zmysłową, zbliża się do świata materialnego i do świata sztuki; a gdy znów dwojaka jest w nim natura, bo Boska i człowiecza, więc téż te chwile jego żywota, w których w nim natura ludzka przeważa, są łatwiejsze do uchwycenia dla artysty, aniżeli chwile, gdy Chrystus Pan jako Bóg występuje. Tak łatwiejszym jest obraz wystawiający Chrystusa w latach jego dziecięcych, lub w chwilach jego męki, upadającego pod krzyżem, albo w rękach najgrawającego się żołnierstwa, niż w chwili zmartwychwstania, lub sądu ostatecznego, bo tu jego Boża Natura zjawia się w całym swym majestacie. Toż samo powiedzieć można o innych sztukach. Jeżeli jeden tylko *Hayden* harmonią tonów odmalował *Stworzenie*, *Stabat Mater* znalazło dotychczas już trzech wielkich mistrzów.

Gdy zaś obrazy, rzeźby święte, są jedynie słabem i cichem echem téj żywój wszechmocnej potęgi, jaką Religia nas przejmuje, jeżeli ich zewnętrzne formy sprostać nie zdołają prawdzie, która nam jakby rosa niebiańska z góry przyszła, więc téż dla pobożności religijnej wyższa lub mniejsza piękność estetyczna obrazu czy rzeźby mniej ma wagi, bo już tutaj rzecz nie tak na tém stoi, czém dzieło jest, jak raczej na tém, co ono wystawia. Nie raz, wracając z przechadzki wieczornej, zatrzymywałeś się przed samym wstępem do miasta patrząc jakby po przez ramy przez ostrołuką

bramę głównej baszty Floryańskiej na widok pełny poezyi i godny pęzla wielkiego artysty. Ulica Floryańska strzałą bieży długim szeregiem swych domów, i ginie w szarém oddaleniu wieczora; w jęj końcu dźwiga się w olbrzyma kościół Panny Maryi niby widmo starych wieków, co dumając nad miastem rysuje okazałe kontury na zamroczoném niebie, a na koronie jęj wieży pali się jeszcze iskrami ostatnie spójrzenie konającego słońca, które już dla miasta zapadło. Ale gdy cienie nadchodzącej nocy rozwłokły się już po ziemi, a księżyc z tą wiecznie niezmienną, obojętną twarzą patrzy na świat, zalévając niebo i ziemię mlęcznym blaskiem, co dziwnie się miesza ze żółtém światłem skromnych lampek i świeczek, które lud teraz zapala w ostręj bramie Ś. Floryana przed wizerunkiem Matki Przenajświętszej; lud się modli do Boga-Rodziey, a co w duszy zakipi, brzmi w pieśni pełnej rezwności i szczeręj prostoty, a piersi napelnia serca mądrością. A zaiste, mniej temu ludowi zależy na wyższej lub mniejszej piękności onego zewnątrzego wizerunku Najświętszej Panny, obojętna mu téż i piękność poetyczna pieśni jego, i wartość muzykalna melodyi, i głosów harmonia, bo on w prostocie pełnej pobożności wizerunek Najświętszej Panny widzi w tajnicach duszy swojej, widzi go wewnątrz siebie, a serce śpięwa mu psalmy i rozplywa nadziejską muzyką; bo nad tém cichém pobożném zgromadzeniem Duch pocieszyciel rozpiął skrzydła swoje. Tak więc w duchu, świętością Religii przejętym, zawsze uczucia zastępują dzieła sztuki; serce samo buduje się w przepych świątnicy, stroi się tęsknotą jakby rzeźbą i malowaniem, i płacze tonami muzyki, która z Nieba mu płynie. Jeżeli nieskończo-

ność objawia się w sztuce postaciami zewnętrznymi, a w Religii nabożeństwem ducha, więc też nieskończoność w Wierze objawiona o tyle jest wyższa, świętsza, od nieskończoności wyrażonej w dziełach sztuki, o ile świat wewnątrz wzniesiony jest nad zewnętrzny, materialny. Na wstępie do Włoch, w Bononii, wita cię obraz Rafaela; widzisz Świętą Cecylią w rękach trzymającą organy, które smutnie już się rozstępują, u stóp jej na ziemi porzucone narzędzia muzyczne w części złamane, ich harmonie ziemskie już oniemiały, umarły, bo na obłokach widać wieniec anielskich chorów, co śpiewają chwałę Panu na wysokości; Święta dziewica obliczem ku niebu zwrócona tonie w oceanie tych niebiańskich hymnów, zapominając o muzyce doczesnego świata. To jest stosunek sztuki do Wiary!

Jest atoli jeszcze jedna, trzecia i ostatnia droga, którą nieskończoność staje przed duchem człowieka, droga będąca twardym dorobkiem długiej pracy wieków i trudem rozumu jego: jest to droga mądrości ludzkiej — *filozofia*.

Nie radbym tu wcale występować w szranki, broniąc niepotrzebnie rozumu powagi, bo już teraz świat cały w rozum uwierzył i poznał potęgę jego, a każdy z nas jeszcze dzieckiem będąc uczył się na pamięć zacnego Kopczyńskiego, i odpowiadał głosem rozlegającym się po klassie: „*Różnimy się ludzie od zwierząt rozumem i mową: przez rozum poznajemy rzeczy i o nich rozmyślamy, przez mowę wyjawiamy drugim myśli nasze;*“ — gdy zaś mimo tego po książkach i pismach czasowych pełno jest jakichś zdań podających wartość rozumu pod wątpliwość jeszcze, więc też nie weźmiesz

mi za złe, iż choć kilku wyrazami dotknę się całej tej rzeczy.

Nikt nie zaprzeczy, iż najwyższym, najświętszym darem nieba jest rozum: bo rozumem człowiek wywyższony został nad wszystkie jestestwa stworzone. Jedynie przez rozum i myślenie człowiek zdolny jest do przyjęcia świętych prawd Wiary, bo ani zacność, ani moralność, ani cnota nie miałyby miejsca, gdyby człowiek nie był istotą myślącą; ani by on znał, ani dopełniał powinności swoich, gdyby nie był obdarzony rozumem. Jeżeli tedy ktoś uwłacza rozumowi, toć zaiste w tém zachodzić musi nieporozumienie jakoweś, któremu bezwątpienia nie tak filozofia, jak panowie wrzkomi filozofowie dali w części początek, zwłaszcza filozofowie wieku zeszłego. Pokazała się wtedy ta niby-filozofia w tak obrzydliwym i cynicznym kształcie, i tak wierutna, wszeteczna, iż tchem swym zatruchiła i duszę i zdrowie wieku całego. Nie dziw tedy, iż każdy człek poczciwy i pracy stronił od tej wrzkomej mądrości nadzianej dowcipami Mefistofelesa, zawracającemi snadno wszystkie słabe głowy i wciskającemi się w nadgniłe serca. Może jednak i czas dzisiejszy nie jest zupełnie bez winy. Bo gdy np. u sąsiadów naszych filozofowie hałaśny prowadzą bój o systemata swoje, ich czeladź cechowa zakasawszy rękawy, pod katedrami swych nauczycieli staje do boksów, obrzucając się na dobitkę błotem uliczném, i znieważając grób zmarłego przeciwnika. W pismach nienaukowych, w pismach politycznych nawet, roztrząsają pytania dotyczące się najwyższych prawd człowieka, bo wieczności, Boga. Patrząc się na tę prostytutkę rzeczy drogich i pełnych dla człowieka wagi, podobne oburzenie każdego przenika,

jak gdyby po długiej niebytności w mieście rodzinném obaczył nagle wizerunek ojca i matki swojej, sponiewierane na tandecie żydowskiej. Z postępowaniem tém łączy się osobliwa pycha i pomiatanie prawdami od wieków uświęconemi, a zbudowanemi iście na opoce przedwiecznej. Ale pycha ludzka tu wcale nie na swoim miejscu, bo choć filozofia mocą rozumu dobija się prawdy, niechaj atoli jej zwolennicy raczą mieć na pamięci, że przecie ten rozum tak jest promieniem z góry pochodzącym i tak wypłynął z łaski przedwiecznej, jak i prawdy Religiją objawione, i że wypadek ostateczny rozumu, właśnie dla tego spólnego pochodzenia jego z Wiarą, nie może być od niej różny. Niechaj zechcą ci panowie zważyć, iż łatwiej téż już było w świecie chrześcijańskim dojść drogą rozumowania najwyższych prawd, skoro duch ludzki już był pierwój zkądinąd oświecony; bo nim filozofia trafiła do rezultatów swoich, już one dawno w sercu każdego żyły, we formie uczuć Wiary i Religii; tak jak ludzie dawno patrzyli swojemi oczyma, nim nauką doszli teorii optycznej widzenia, i wprzód umieli chodzić i stać, nim pojęli mechanikę ciała swojego. Rozumiem tedy, iż nadużycie i zła wiara filozofujących przyczyniła się do krzywego i niesłusznego mniemania o samej filozofii. Przewinienie zaś jednej strony nie nadaje bynajmniej prawa drugiej, by i ona dopuściła się niesprawiedliwości, bo targnienie się jej na powagę rozumu jest także bluźnierstwem i bezbożnością, tylko bluźnierstwem i bezbożnością innego rodzaju.

Najszlachetniejszy popęd człowieka, chęć wiadomości, nauczanie się, pragnienie rozszerzania granic ducha swojego, ma źródło swoje w rozumie. Co w rzeczach ludzkich jest, a czego przecie nie rozumiemy, o

tém wiemy — ale rozumieć, jest to umieć, mieć u siebie. Cośmy zrozumieli, toć jest naszą własnością duchową. Cała historia ludzka przez lat tysiące właśnie pracuje tylko nad tém, aby zrozumieć zjawiska natury, towarzystwa, zrozumieć własną istotę człowieka i t. d. Pragniemy zrozumieć mowę zjawisk, przetłumaczyć je sobie na język naszego rozumu. Wiemy bowiem, iż wszystko, co jest, powinno przystać do naszego rozumu, nadać się do niego. A choć nie tylko w świecie umysłowym, ale w naturze jest wiele rzeczy, których my sobie wytłumaczyć nie możemy, toć wiemy, iż tych rzeczy nie dla tego nie rozumiemy, jakoby były przeciwne rozumowi, ale dla tego, iż nie mamy wiele jeszcze faktów, to jest wiele ogniw potrzebnych do rozumowania, które, gdyby nam były wiadome, bez wątpienia posłużyłyby nam do pojmowania tego, co było zagadką. Słowem, szukamy wszędzie i we wszystkiém prawideł rozumu, bo w nas jest wrodzony instynkt, iż wszystko się odbywa rozumnie, i że wszystko do naszego rozumu przystać powinno. Ten instynkt, od Boga wlany w ducha naszego, łatwo téż pojęty być może: bo źródłem wszystkiego jest Bóg, Najwyższy Wiekuisty Rozum. On stwarzając świat i wszystko co na nim jest, stworzył rozumnie, tak równie i nas stwarzając wlał w nas myśl rozumną. Otóż więc rozum, będący ustawą świata, i ten nasz rozum, który żyje w myśleniu naszym, o ile ten ostatni nie jest źle użyty, nie mogą być różne od siebie, bo mają to samo pochodzenie. Dla tego sarkanie na rozum jest istotnie, jakem powiedział, bluźnierstwem i bezbożnością. Rozum więc z nieskończoności człowieka pochodzi. A teraz wyjaśnia ci się już i w zupełności usprawiedliwia się zasada wyrzeczona w liście

poprzedzającym, iż człowiek party jest instynktem, by nieskończoność, która w nim żyje, znalazł i zewnątrz siebie upatrył, by wszędzie wizerunek własnej nieskończoności obaczył, i że tedy co tylko jest prawdą w duchu naszym, winno się znaleźć i na zewnątrz ducha naszego. Ta tęsknota, ten instynkt, ta zgoda wewnętrzna prawd z ustawami a światem zewnętrznym wypływa z tego, iż wszechnica świata i duch człowieczy rządzi się prawami najwyższymi od Boga nadanymi. Człowiek dochodzi rozumu Boskiego wiekuistego, żyjącego na dnie każdej rzeczy, obiera ją z łupiny zmysłowej lub ze skorupy, w którą je przyodziały nasze uczucia, bierze rzeczy nie za to, za co się dają, czém się zdają, ale za to, czém one w istocie swojej są. Widzi zatem ich wewnętrzne połączenie, ich związek, i spostrzega myśl Bożą, na którą, mówiąc językiem Indów, wszech rzeczy są nawleczone jak perły na nici; widzi połączenie rzeczy fizycznych i duchowych, a co uczuciom naszym i zmysłom zdaje się być rozosobnione, okazuje się teraz jak część jednej ogromnej całości: a umiejętność mająca na celu wypatrzenie we wszech rzeczach onego nieskończonego pierwiastku, jest — *Filozofia*. Tak tedy i droga filozofii, droga myślenia, prowadzi człowieka do poznania nieskończoności.

A jeżeli, jakeśmy wyżej powiedzieli, (*List VII.*) ani świat fizyczny, ani moralny nie wystarczy, by był wizerunkiem nieskończonej naszej istoty, jeżeli wszystkie szczegółowe nauki i umysłowości, a nawet historia okazuje nam tylko części ogromnej całości, którą jest nieskończoność, tedy filozofia, łącząc te wszystkie części w jedność, okazując nam wszech rzeczy wiekuiste

powiązanie z sobą, pokazuje nam jakby w odbiciu nieskończoną istotę własnego ducha naszego.

Jeżeli więc w sztuce duch człowieka wlewa się w dzieła piękności jakby w godne siebie naczynie, uduchowia je sobą i tworzy wizerunek swój własnej istoty nieskończonej, tedy we filozofii duch dochodzi nieskończoności myśleniem. W Religii zaś samą łaską Bożą, bez zasługi a pracy naszej, nieskończoność zstępuje z Nieba w świętej objawienia postaci, i mieszka Wiarą w nieskażonem sercu człowieka, jako w przybytku i arce swojej: „bo Zbawiciel tętnął na wierznych swoich, i rzekł: weźmijcie Ducha Świętego“ (S. Jan, XX. 22).

Gdy w sztukach pięknych nieskończoność okazuje się w postaci dzieła sztuki, to jest cielesnym sposobem, we filozofii ta nieskończoność objawia się w postaci i we formie nieskończonej myśli Bożej, ukrytej na wszech rzeczy dnie; a do tej myśli Bożej prowadzi nas praca ducha naszego, myślenie. Tak do celu najwyższego wiedzie środek najzacniwszy, a oba z jednego źródła płyną.

Chciój mi wybaczyć, że się tak o filozofii rozpisuję: oznaczywszy atoli stosunek sztuki do Religii, radbym także wykazać stosunek sztuki do filozofii, a do tego przedewszystkiem potrzeba, byśmy się porozumieli jasno względem znaczenia prawdziwego tej umiejętności. Nadto filozofia stała się właśnie teraz przedmiotem powszechniej uwagi w literaturze naszej, i więcej niż kiedykolwiek publiczność u nas zajmuje. Niektóre nawet damy nasze, łącząc muzy z gracyami, porzucają ciepłe kwieciste doliny rzeczywistego ich życia, i spinają się na szczyty szorstkie, samotne, zawrotne, zim-

nej abstrakeyi. Prawda, iż kto tam stanie, bliżej jest Nieba, dalej Ziemi, i widzi świat, naturę i wszystkie rzeczy ludzkie rozłożone jakby na otwartej dłoni Bożej! Jest czego podejmować się tych prac jałowych. Nasza publiczność czytająca istic spoważniała, obrzydziła sobie słodkie pianki literackie, i już nie na żarty się na życie patrzy, a nawet coraz to więcej pozbywa się uprzedzeń spróchniałych o filozofii. Atoli tu i ówdzie pozostały nam z dawnych lat niektóre tradycyjne a często sprzeczne z sobą mniemania o filozofii, które jakby zwiędniały bukiet z prababki wesela na nas spadły. Bo tu znajdziesz jeszcze ludzi, którzy pod szatą białą Pitagoresa i w trzewiku Kanta widzą krogulcze pazurki, którym każda książka filozoficzna siarką trąci, i słysząc o filozofii już palcami sięgają do wody święconej, bo wedle ich zdania filozofia dla porządnego człowieka jest tém, czém dla wilka koń zatruty; jak się zdaje, to na swoją zgubę i koniec mizerny. Ówdzie znów jakieś Francuzy z Kleparza, których dusze spudrowane, chodzą jeszcze w jedwabnych w kwiatki frakach, i ciągle marzą o onej filozofii Rokoko, więc z lamusu przeszłości, z pośród zapomnianych rupieci literackich wyciągają perukę Woltera i w najlepsze paradują sobie z nią po świecie. Są tacy znów, u których zdania Śniadeckiego stereotypem stwardniały; oni całą filozofią uważają za niepotrzebny wymysł niemiecki, utkany w pajęczynę misterną z piany piwnej i dymów fajecznych. Lubo ile mi wiadomo, ani Plato ani Arystoteles nie miał takich materyałów pod ręką; a mają przecież ich niby za filozofów. Ludzie, którzy się nigdy o filozofią nie troszczyli, wprost i bez ceremonii o niej sądzą, dając o niej wyroki stanowcze.

Wedle ich zdania nie potrzeba się wcale obeznać z umiejętnością tą, by z góry już wiedzieć, jak się rzeczy z nią mają i czego ona warta. Gdy mowa o matematyce, geologii, astronomii, prawnictwie, chemii, lub o jakiegokolwiek bądź umiejętności lub nauce, żaden się z tych panów nie odezwie, jeżeli nie zapoznał się z nią pierwój; ale o filozofii radzić, o niej széroko rozprawiać i oceniać jęj wartość; ba! to każdy potrafi, choćby bez żadnego poprzedzającego przygotowania. Zdrowy rozsądek i poczciwość serca wystarcza, jak powiadają, do sążdenia o filozofii; aleć przy najzdrowszym rozsądku i największej poczciwości nikt skiby nie zaorze, nikt na koń nie wsiądzie, jeżeli nie ma wprawy, a témci mniej filozofii znać nie będzie bez cichęj pracy i sumiennęj usilności. Onym panom się zaiste zdaje, iż każdęj nauki, iż każdego rzemiosła nawet uczyć się potrzeba, filozofować tylko i trawić można bez żadnęj poprzednęj nauki. Każdy człowiek wedle mniemania ich filozofem się rodzi. Żaden z nich nie ma pretensyi zrozumienia książki matematycznęj, prawnęj, geologicznęj i t. d. jeżeli się tych umiejętności wprzód nie uczył, ale każdy ma pretensyą zrozumienia i osążdenia książki filozoficznęj; a jeżeli jęj nie zrozumieć, to nie jego wina, ale książka niedorzeczna, a autor musi mieć jakieś zajączki.

Zdanie ich niby ztąd się bierze, iż oni nie wierząc, czyli raczěj nie wiedząc, iż myślenie filozoficzne różni się od tak zwyczajnego codziennego myślenia, powiadają sobie: „iż skoro filozofia ma być podług wyznania samych filozofów umiejętnością rozumu i myślenia, „zatęm dość jest mieć rozum, dość myślęć, aby sobie „filozofować;“ przepraszam, bo można mieć nogi bar-

dzo zdrowe i bóty skrzypiące z ostrogami i z żółtemi kutasami, a nie umieć węgierskiego zatańcować.

Inni radziby filozofować, niechajby tylko filozofia nie była tak trudna; radziby mieć inną, której można nabyć tanim kosztem, bez wielkich zachodów i dla wszystkich przystępną, do którejby wszyscy siadać mogli jak do omnibusu jakiego, puszczać się w wycieczkę za małe pieniądze to w tę, to w ową stronę krainy mądrości. Niechaj atoli zważą, iż jeśli każda nauka ma swoje trudności, témci więcej filozofia nie może być umiejętnością łatwą, bo przedmiotem jęj nie są rzeczy dotykalne, ale myślenie samo, a myślenie abstrakcyjne. Nikt nie zaprzeczy, iż matematyka dla tego jest uważana za umiejętność trudną, bo jest abstrakcyjną, a przecież jęj liczby i rozmiary są mniej abstrakcyjne niż pojęcia filozoficzne. Z tém zdaniem w blizkiém sąsiedztwie mieszka drugie jemu spokrewnione, jest to mniemanie tych, co uważają, że nam potrzeba zupełnie innęj filozofii swego chowu i na swoją potrzebę. Na tę szczęśliwą myśl wpadł już przed laty poczciwy Jaroński i napisał książkę: „Jakiej filozofii Polacy potrzebują.“ (Kraków 1810, in 4to). I zaiste, coby to była za ładna rzecz, gdyby każdy naród miał swoją własną filozofią, jak każda dobra gospodyni ma swoją apteczkę domową. Takich zdań nie brakło jeszcze; znajdziesz ich pełno, często gęsto podnoszą głosy ze serdeczném życzeniem aby u nas każda prowincya nawet i każde miasto miało swoją filozofią, własnych swoich filozofów, tak jak to niby każdy domek na przedmieściu ma swoje grządki, a na tych grządkach własne kapuściane główki. Ale zkądże to zdanie tak osobliwe się bierze? Właśnie jak myślę

z tego, iż pospolicie utrzymuje się mniemanie, jakoby filozofia była owocem zwyczajnego rozmyślenia, dumania i t. d. że zatem ona podobnie jak każde rozmyślanie i dumanie zostaje pod wpływem uczuć, chęci, dążeń, i tych wszystkich okoliczności stanowiących piętno jakiego narodu, a więc że filozofia także koniecznie musi mieć piętno narodowe — jak naprzykład poezya i cały orszak sztuki pięknej. Uważmy jednak, że skoro filozofia więcej niż inna jaka bądź umiejętność jest czysto rozumowa, i mniej jak którakolwiek podlega wpływom uczuć, temperamentu i całej potędze miejscowości, więc też ona mniej niż inne może mieć piętno narodu.

Zaiste wtedy tylko będziemy się mogli spodziewać osobnej dla każdego narodu filozofii, gdy każdy naród wymyśli sobie osobną dla siebie matematykę, fizykę, chemią i t. d. Powiadają: iż człowiek za pomocą samego rozumu nie zdoła dobić się żadnych prawd bezwzględnych, to jest niezależnych od żadnego miejsca i czasu, będących zawsze i wszędzie prawdą. Więc jeżeli jedni powiadają, że dwa razy dwa = cztery, to u innych dwa razy dwa = pięć; jeżeli się dla innych ludzi ziemia obraca koło słońca, toć słońce, księżyc i gwiazdy, obracają się około niego jako około środka swojego; — a co jedni ludzie za pomocą rozumowego przekonania nazywają zacnym, poczciwym, szlachetnym, to u innych jest niedorzeczne, złe — i nawzajem. Weale tedy niepotrzebna jest taktyka onych, którzy, chcąc zaprzeczyć wartości rozumowi, zaczynają od oddania czei prawdom z Wiary płynącym. Bo nie wypada nam mieszać prawd objawionych z zasadami rozumowemi. Wszyscy przekonani jesteśmy, iż żadna

jakakolwiek bądź nauka nie ma zasady pod sobą, jeżeli nie stoi na fundamentach Religii. Bo wszystkie nauki, w gruncie swoim pojęte, okazują nam jedynie dobroć, wszechmocność i wszechbytność Boga w różnych kształtach i postaciach jego; dla tego też wiadomość i uczoność, nieosadzone na wierze objawionej, są tylko złópkami rapsodycznymi nie mającemi spólnego tła, którym jest Bóg. O tym wszyscy wiemy; wiemy także i o tym, iż wiadomości i nauki jeszcze się różnią od rozumu: bo gdy obaczysz człowieka nie gruntującego rozumu swojego na Bogu, o takim możesz być z góry przekonany, iż i rozum ten jego szwankuje. O tym wszyscy wiemy; lecz wiedźmy również, że potęga myślenia nie jest darmo dana człowiekowi od Boga; winien tedy zacnie użyć tego daru, którym Ojciec niebiański uposażył ludzkość, wyprawiając ją w życie doczesne i świat. A jeżeli nikt nie zaprzecza, że w żadnym kierunku życia, że w żadnych sprawach nie obejdzie się bez namysłu i myślenia, więc wiedźmy, że też winna istnieć umiejętność, która ma właśnie samo myślenie za przedmiot swój i że taką umiejętnością jest Filozofia.

Może filozofia dla tego nie ma kredytu i coraz to inne filozofie nastają, że zawsze system powyższy stawia się i buduje na gruzach poprzedzających. Przecież właśnie ten ruch jest dowodem życia tej umiejętności i jej chwałą. Te odmiany nie są migotaniem się fantastycznym bez celu, ale są postępem, wzrostem i szczeblem dalszym do udoskonalenia. Co się nie odmienia, co trwa ciągle w jednym, jest martwym i umarłym. Wszystkie umiejętności mające w sobie zarodek życia, w których jakby krew płynie, przeobrażać się ciągle winny, i w tym podobne są do historyi rodu człowie-

czego. I tu ciągła odmiana, tu ciągła walka, bo wieczny bój na myśli i krew, a walka i bój ten pełen zgrozy i okropności. Zaiste, w historii lata nie młkiem i miodem płyną, ona nie jest sielanką. Pierwszy syn pierwszego człowieka był mordercą, zabił brata. Każda odmiana, każdy krok, który czyni historia w swęj drodze po przez stulecia, opłacany bywa niesłychaną boleścią i zgruchotaniem milionów ludzi; a przeszłość iście w dziejach świata tehnje na nas jakby wielki grób, w którym pochowane zabite pokolenia bez końca, kości ludów pomarłych wśród mąk straszego skonu.

Iście historia ludzka jest krwią i łzami pisana: a czyliż owi sędziowie filozofii i w historiją nie wierzą, i nie wierzą w postęp rodu człowieka? a czyliż również dla tego, iż się ona ciągle odmienia, że w niej niema nic stałego, historia ma być jedynie igraszką i zbiorem krwawych anekdot! czyliż oni rozumieją, że ród człowieczy stworzony jest na pomiotłę lada zachcenia ślepego losu i na drwiny bezmózgłego przypadku? Zaiste, — wartożby było, aby historia taka żyła na świecie i ród ludzki istniał! Więc gdy w każdym człowieku instynktu głos przemawia, a potwierdzony Religiją, że jest Ojciec na niebie będący mu tarczą odezłego, do którego mu się modlić wolno, przed którym wyplakać się może, i że biedy, jakie go w tutéjszém życiu spotykają, są nawiedzeniem nieba uświęcającém go do przyszłego nieskończonego szczęścia; a jeżeli wierzymy, że historia naturalna, ta historia bydłat, krzewów i kamieni, spoczywa na podwalinie najwyższego rozumu i wiekuistych jego prawach, czyliż tak trudno im uwierzyć, że ten krwawy trud ludzkiego

rodu nie jest daremny, że opatrzone oko Boże świeci nad historią i drogami jej, i że owe wielkie przemiany i przeobrażenia umysłowego świata są jedynie okupieniem wyższej doskonałości, uwolnieniem ducha z zuzelić, i stopniami do tronu własnej jego godności? Kto ma sam zacność w sobie, ten iście i szanuje zacność człowieczego rodu, i wierzy w udoskonalenie jego ciągłe, wierzy więc w jego postęp bez końca. Kto zaś życie swoje trawi jako ślepy ślimak w ciemności błota morskiego, ten nie dosłyszysz wołania burzy grzmiącej, jak Bóg od czasu do czasu zatrząsie światem; a gdy rozkołysana fala dziejów ludzkich wyrzuci na brzeg ślimaka, on się dziwi, że jest jakieś słońce i jakiś dzień na świecie.

Tak jak historia, jak każda wyższa umiejętność, filozofia jest dziełem umysłowej potęgi a nie dowolnej fantazyi człowieczej. Bo nie tylko w łomocie i rodzeniu się państw, w padaniu się fundamentów ich, lub na poboju wojen, duch żyjący i rosnący w historii znać o sobie daje, ale on pulsem bije i w cichym robocie umiejętności i w tajemniczej pracy rozumu. Gdyby ci, którzy tak na filozofią powstają z powodu, iż ciągle nowe filozofie się rodzą, rozpatrzyli się nieco w umiejętności tej, o której tak skorze sądzą, jużby byli obaczyli, iż co innego są filozofie, a co innego filozofia. Wszystkie filozofie razem wzięte stanowią dopiero filozofią, będącą prawdą i gruntem wszystkich systematów pojedynczych; mają się one do niej, jako części do swjej całości. A jako w życiu człowieka żadna godzina i dzień, jako w życiu ludów ani rok ani stulecie nie jest straconem, ale gra w swjej przyszłości jako pierwiastek życia, tak i przeszłe filozofie

zawsze znajdują się w tej, która jest ostatnią; i co w nich było wypływem czasu, wieku, lub piętnem jakiego narodu, albo co było marzeniem pojedynczego człowieka, odwiane jest z nich jako plęwy, a co w nich jest prawdą ogólną, zostało. Bądź pewien, że gdy dwa systemata przeciwne sobie występują z sobą do walki, ten proces rozstrzyga późniejszy trzeci i przyznaje, komu się należy słusność, albo łączy oba w jedno, okazując, iż oba miały słusność, ale się zapatrywały na rzeczy z dwóch stron przeciwnych. Dla tego zawsze system ten, który jest właśnie ostatnim, zawiera w sobie wszystkie poprzedzające. Historya filozofów jest księgą i systematem filozofii, w której oddziałami są wieki i narody, w której Confucius i Thales napisali pierwsze stronicie, a Kant i Schelling ostatnie.

A jeżeli iście tak się rzeczy mają, jakimże prawem się dzieje, że tak często spotykamy w świecie ludzi, tak mało sobie wazących prace, myśli i rozum wieków, iż mniemać mogą, że to jest wierutną bajką, czemu się poświęcał lub za co życie dawał duch, jak Sokrates, Plato, Arystoteles, Leibnitz lub Newton? I jakim czołem można lekką mową lub hajdamackim obyczajem poniewierać trudem ludzi potężnego umysłu i wielkiego serca, co, zrzekając się samochcąc roskoszy życia, porzucali chętnie wszystko, co świat ma powabnego, zamykali się sam na sam z Bogiem i z trudem swoim, by myśleć i pracować za innych; a tak obierając sobie dobrowolnie niedostatek fizyczny i niosąc siły ciała i czerstwość wieku, i ochotę roskoszy, miłości prawdy w ofierze, życie swoje kroplami jęj poświęcali, gdy tymczasem tak łatwo znaleźć ludzi, którzy sami o sobie tylko myśląc, siebie tylko kocha-

jąc, gonią za zyskiem pieniężnym, lub za płochemi życia uciechami.

I u nas, lubo coraz rzadziej, znajdziesz niekiedy zdania o rzeczach, o najważniejszej w życiu treści z ust i od pióra ludzi, o którychbyś rzekł, że się upili za króla Sasa i dotychczas się nie wytrzeźwii, i takie to ich zdanie o filozofii. Filozofia zdaje im się być karczmą żydowską, do której lada kto wpadnie, burdę zrobi, okna powybija, zelży arendarza i wyjeżdża drugą bramą.

Teraz, gdy ci już oznaczył i istotę sztuki pięknej i stosunek jej do filozofii i Religii, proszę cię, chciej się na chwilę zatrzymać myślą na tej drodze, i rzucić oczyma wstecz na treść wszystkich listów poprzednich. Myślę, że usprawiedliwisz wszystko, com w nich powiedział. Zwracam zatem tylko uwagę na niektóre najgłówniejsze rzeczy, będące podstawą wywodu naszego. I tak: w drugim liście rzekłem, iż obudzone upodobania w sztukach pięknych uważam za oznakę uduchownienia się czasu; boć gdy się zrodzi upodobanie dla sztuk pięknych, już duch teńnie na materyą i życie zmysłowe i uszlachetnia je sobą, wprowadzając pierwiastek wiekuisty w przemijające chęci ludzkie. Również tam znajdziesz wyrażenie, iż istotą sztuki jest prawda we formach zmysłowych, bo prawda i nieskończoność jedno znaczą: — co skończone ma swój początek w czémś innem; bytność jego zależy tedy od czegoś innego, może być lub nie, o prawdzie zaś nie można powiedzieć, iż może być lub nie, bo jej bytność jest konieczną. Nadto, co jest skończone ma koniec swój, nie istnieje tedy dla siebie, ale dla czego innego, które się z niego rodzi, a zatem też co skoń-

czone nie może być prawdą, bo prawda sama w sobie stoi, i sama sobie jest celem. Nieskończoność, ta prawda żyjąca w sztukach, jest nieśmiertelny duch człowieka, duch od Boga wiany, który w nim żyje, będący ze wszech rzeczy stworzonych sam jeden prawdą. Jeżeli zaś sztuki mają źródło w nieskończoności człowieka, i objawiają mu istotę jego nieśmiertelną, więc płyną wprost z istoty jego, są tedy czémś dla niego koniecznym, są bo są, i być muszą celem siebie samych, i krom siebie nie mają celu (*List II*). Już bez dalszego wyvodu zgodzisz się teraz na to, iż piękność składa się z dwóch pierwiastków, z dwóch stron do siebie należących; bo z formy zmysłowej i z ducha, czyli nieskończoności objawiającej się w materialnej formie sztuki. Istota takowa sztuki jest zawsze jedna, zawsze taż sama i nie zmienia się nigdy. Ale gdy każdy naród i wiek o tyle tylko nieskończoność wyjawie może, o ile ją pojmuje, i wyjawia ją tak, jak ją pojmuje, i w tych formach, na jakie go stać, więc też formy piękności bywają rozmaite, i co do narodu i co do wieku, a ta różnaitość stanowi *Historią sztuki*. Jest tedy jeden pierwiastek w sztuce wieczny, zawsze jeden i ten sam, a drugim jest ta forma przemienne i przeobrażająca się ciągle. Przecież ta forma powinna być zawsze godną onęj niezmiennęj swęj istoty, zatem nie każda forma może być stosowną dla wyrażenia piękności.

Umiejętność, teoria, lubo sama jedna nikogo mistrzem nie utworzy, wyjaśnia nam istotę sztuki i rozwija rozmaite wyjawienie się jej w czasie i u różnych ludów.

Widzieliśmy wyżej, iż sposób wyjawienia się nieskończoności przez sztuki gaśnie i ginie obok nieskoń-

czoności, którą nas objawiona Religia oświeca; więc też nie dziw, iż od chwili, gdy Wiara zajaśniała nad światem, sztuki straciły wagę swoją. Grecy byli właśnie ludem najwięcej uduchowionym w czasach przedchrześcijańskich: gdy atoli jeszcze na nich nie spadł promień Religii Zbawienia, pojmowali Bóstwo jedynie sposobem zmysłowym; te formy zmysłowe uduchowili, połączyli ducha i materią, i tak stworzyli piękność. Piękność była dla nich bóstwem. Bogowie zapełniający Olimp mieli naturę ludzką z całą krewkością jej; gdy atoli ona miała być nieskończonością zarazem, więc duch uroku piękności nadziemskich wylał się na ich formy, a estetyczność odziała ich szatą pełną poezji. Ale gdy na Golgocie wielka tajemnica się spełniła, Panteon stanął w płomieniach, Bogi jego marmurowe, będące tylko pięknością samą, spadły z podnożów swoich, bo już nieskończoność nie w postaci zmysłowej rozosobnionych Bogów, ale w przybytkach wewnętrznych ducha znać o sobie dawała; sztuka nie wystarczała tej prawdzie, której się człowiek dorobił. Duch ludzki wyrósł ze sztuki, przerósł ją, a na miejsce ubóstwiania piękności nastąpił sąd o niej — a ten sąd stworzył teorią sztuki, której powołanie dopiero co skreśliłem (*List II*).

Jeżelim powyżej (*List IV*) dowodami zkądinąd wziętymi dowiodł, iż sztuka nie jest naśladowaniem natury, teraz prawda ta wypłynie nam już ze samej istoty sztuki. Bo gdy sztuka jest wyrażeniem nieskończoności ducha, a gdy nieskończoność ta nie wyraża się w jestestwach natury, więc się też nie wyrazi w ich kopijach przez sztukę utworzonych. Ze stosunku sztuki do Religii i filozofii, wyłożonego w liście niniejszym,

czone nie może być prawdą, bo prawda sama w sobie stoi, i sama sobie jest celem. Nieskończoność, ta prawda żyjąca w sztukach, jest nieśmiertelny duch człowieka, duch od Boga wlany, który w nim żyje, będący ze wszech rzeczy stworzonych sam jeden prawdą. Jeżeli zaś sztuki mają źródło w nieskończoności człowieka, i objawiają mu istotę jego nieśmiertelną, więc płyną wprost z istoty jego, są tedy czemś dla niego koniecznym, są bo są, i być muszą celem siebie samych, i krom siebie nie mają celu (*List II*). Już bez dalszego wywodu zgodzisz się teraz na to, iż piękność składa się z dwóch pierwiastków, z dwóch stron do siebie należących; bo z formy zmysłowej i z ducha, czyli nieskończoności objawiającej się w materyalnej formie sztuki. Istota takowa sztuki jest zawsze jedna, zawsze taż sama i nie zmienia się nigdy. Ale gdy każdy naród i wiek o tyle tylko nieskończoność wyjawie może, o ile ją pojmuje, i wyjawia ją tak, jak ją pojmuje, i w tych formach, na jakie go stać, więc też formy piękności bywają rozmaite, i co do narodu i co do wieku, a ta różnaitość stanowi *Historiją sztuki*. Jest tedy jeden pierwiastek w sztuce wieczny, zawsze jeden i ten sam, a drugim jest ta forma przemienne i przeobrażająca się ciągle. Przecież ta forma powinna być zawsze godną onej niezmiennej swęj istoty, zatem nie każda forma może być stosowną dla wyrażenia piękności.

Umiejętność, teoria, lubo sama jedna nikogo mistrzem nie utworzy, wyjaśnia nam istotę sztuki i rozwija rozmaite wyjawienie się jęj w czasie i u różnych ludów.

Widzieliśmy wyżej, iż sposób wyjawienia się nieskończoności przez sztuki gaśnie i ginie obok nieskoń-

czoności, którą nas objawiona Religia oświeca; więc też nie dziw, iż od chwili, gdy Wiara zajaśniała nad światem, sztuki straciły wagę swoją. Grecy byli właśnie ludem najwięcej uduchowionym w czasach przedchrześcijańskich: gdy atoli jeszcze na nich nie spadł promień Religii Zbawienia, pojmowali Bóstwo jedynie sposobem zmysłowym; te formy zmysłowe uduchowili, połączyli ducha i materią, i tak stworzyli piękność. Piękność była dla nich bóstwem. Bogowie zapełniający Olimp mieli naturę ludzką z całą krewkością jej; gdy atoli ona miała być nieskończonością zarazem, więc duch uroku piękności nadziemskich wylał się na ich formy, a estetyczność odziała ich szatą pełną poezji. Ale gdy na Golgocie wielka tajemnica się spełniła, Panteon stanął w płomieniach, Bogi jego marmurowe, będące tylko pięknością samą, spadły z podnożów swoich, bo już nieskończoność nie w postaci zmysłowej rozosobnionych Bogów, ale w przybytkach wewnętrznych ducha znać o sobie dawała; sztuka nie wystarczała tej prawdzie, której się człowiek dorobił. Duch ludzki wyrósł ze sztuki, przerósł ją, a na miejsce ubóstwiania piękności nastąpił sąd o niej — a ten sąd stworzył teorią sztuki, której powołanie dopiero co skreśliłem (*List II*).

Jeżelim powyżej (*List IV*) dowodami zkądinąd wziętymi dowiodł, iż sztuka nie jest naśladowaniem natury, teraz prawda ta wypłynie nam już ze samej istoty sztuki. Bo gdy sztuka jest wyrażeniem nieskończoności ducha, a gdy nieskończoność ta nie wyraża się w jestestwach natury, więc się też nie wyrazi w ich kopijach przez sztukę utworzonych. Ze stosunku sztuki do Religii i filozofii, wyłożonego w liście niniejszym,

przyznasz mi, iż miałem słusność, gdym nazwał sztukę piękną pierwszą nauczycielką ludów (*List II*); bo gdy człowiek naprzód jest zmysłowym, nim duchowym się staje, więc też łatwiej mu ujrzyć nieskończoność we formach zmysłowych sztuki, niż we formie duchowej wiary jak w Religii, lub w formie duchowej myślenia jak we filozofii.

Jeżeli tedy jest pewną i niezaprzeczoną prawdą, iż sztuki piękne są koniecznym wypływem nieskończonej istoty człowieczej; więc też już widzisz całą płytkość i zbyteczność onych zachodów pragnących koniecznie zgadywać, jakim sposobem sztuki były wynalezione. Powiadają np. postać luba kochanki rysowała się cieniem po ziemi, oblubieniec obwiódł go krechą i malarstwo się zjawiło. Tam na skorupie żółwia naciągnięte struny miały zrodzić lutnię, ówdzie znów ludzie zaczęli mieskać w jamach wygrzebanych w górach, później na dwóch żerdziach widłowych zaczęli trzecią, a tak niby wynaleźli architekturę.

Tak wielu buduje fantastyczne domysły, serdecznie żałując, iż sposobność minęła podpatrzenia sztuki w zarodzie jej pierwotnym, w chwilach, gdy puszczała blade kielki swęj przyszłej okazałości. Lecz na Wschodzie i w Helladzie czas ten zapadł niepowrotnie we ćmie odległej przeszłości. Europa nowożytna, dziś tak harda swoją mądrością i bogactwem, zasiadłszy na świata całego stolicy, zapomniała on czas twardy swojego dorobku, i z góry już się patrzy na chwile, gdy jeszcze okryta czarną puszcza, ze zwierzem i własnym barbarzyństwem o życie walczyła, gdy każdy, sam sobie artystą będąc, zastępował bóstwa posąg źle struganym pniakiem; ku ozdobie swojej twarz i piersi malował

różnobarwnemi kréchami, i chodził do bobra uczyć się architektury. Ameryka jedna bliżej była dziecięctwa swojego, gdy do niej Europa zawinęła: mądrze badana byłaby może dziwne rzeczy o sobie wypowiedziała, a kto wie, może nawet w jakiej rozochoconej i rzewnej chwili byłaby zanuciła dawną piosenkę kolébki swojej. Ale Europa za piérwszém się z nią poznaniem, rabując złoto jój, wycinała żelazem, jak teraz dobijając morduje ją wódką swoją. Życie tych ludów-bohatérów świetniej jeszcze może płynęło niż onym pod Troją mężom, lecz skołało jak długa Epopeja, która nie znalazła Homera, której nikt nie dosłyszał, nad którą nikt nie zapłakał. Ludy te, umierając w głuchych lasach swój ojczyzny, jednemu Bogu przekazały księgi żywota, pieśni i cierpién swoich, i złożyły je nad gwiazdami u podnoża tronu jego. Garstka pozostała tych ludów wlecze dziś to spodłone życie, goniąc za zwierzem jako za monetą, dającą im w zamian trunek, jedyny dar, jaki im cywilizacya europejska w upominku przyniosła; u nich już i własnego ich imienia się nie dopytasz. Tam w głębokim zachodzie, na zatyłkach Ameryki, ukrywają się wprawdzie szczątki dawnój świętności, ród starój daty, ale i te rozsypańcy przeminą ustami niememi i znikną, nim się Europa do nich przebierze. Mamy się przecież czém pocieszyć i wynagrodzić straty, bo stary planeta nasz, jakby zbiór różnych osobliwości, przechowuje nam wszystkiego po kawałku: znajdziesz na nim zawsze każdy stopień cywilizacyi, każdy gatunek biedy i nędzy ludzkiej w jednym najmniejszej exemplarzu. Chcąc chwycić naturę na gorącym uczynku i obaczyć jak sobie ludzie wynajdują sztuki piękne, estetycy nie mają czego koniecznie udawać się

do Azyi, co w zgrzybiałości swojej już zdzieciniała i przebajała żywot swój, ani do czerwonych Amerykanów, ani potrzeba im gawędzić z Tacytem lub Cezarem o młodej barbarzyńskiej Europie i jej sztukach. Mamy tuż niedaleko, bo pod okiem Egiptu, naród będący jeszcze zupełnie w rękach natury, a nadający nam się dziwnie dobrze na przykład; bo gdy rozprawiacze o wynalazku sztuk pięknych najczęściej o architekturze i początkach jej wspominają, naród ten od lat tysięcy zachował tę biedną pierwiastkową architekturę swoją. A godzi się tu byśmy się całemu teatrowi żywota jego przypatrzyli.

Jakoż pożegnawszy ostatnie śnieżne turnie Abissynii, onęj Szwajcaryi afrykańskiej, usłyszawszy, i po raz już ostatni śpiewy jej rzeskich górali, gdy wędrowiec spuszcza się stokiem zachodnio-północnym ku poniżom zapadłej Afryki, widzi pod sobą rozwleczone niezmiernie borów szmaty; ku nim przewalają się wody abissyńskich Alp i w nich przepadają: ale skwarne bory wyziwiają je na powrót wilgotną strzeżagą, co mglistą płachtą wiecznie nad knieją zawieszona, jakby tajemnicą pokrywa ten świat, którego przebyć nikt jeszcze się nie ważył. Jest to kraj, czyli raczej bezmierna puszcza Kolla. Zaledwie zstąpisz do onęj kniei, a już jej pomroka nocna, niby ciężkie marzenie, otacza cię strachami w koło. Ciżba pogmatwana drzew ogromnych i krzaków zasłoniła niebo i ziemię; tu promyk słońca nie zabłądzi. Zielska, ciernie i trzciny olbrzymie pchają się od ziemi, chwytając i dławiąc się nawzajem. Strop lasu, uwity w gęste sklepienie, jakby wiekiem ciężkiem przywała naturę, a powietrze, jak w szklarni gęste, duszne, gorące, zatyka dech i niby

kamieniem cięży na duszy. Wśród cieniów głębokich kałuże i bagna zepsutej wody, najezone plugawem zarosłem, odziane zielonym kozuchem, dyszą jadowitą parą, zgnilą gorączką, zarazą i febrą. Często na tych wodach cos pluśnie, strzeli; są to igraszki kąpiących się krokodyłów, lub wąż ogromny, co dęba staje i na zwiady modremi oczkami świat w około przegląda. Tam znów jaszczurka sążnista muśnie po wodzie, lub kłęby skorpionów się zagnęją, gdy tymczasem po drzewach swawolą hordy małp złośliwych, i swarzą się roje nieprzeliczone leśnego ptastwa. Przez gęstwinę sunie się to jelen, to dzik, to szakal zaświeci krwawem okiem w ciemnych krzewach, to znow usłyszysz jakieś szlochy, niby kwilenie płaczącego dziecka, jest to zgłodniała hyena, trupów cheiwa: ale w dali gdzieś lew zagrzmiął wołając na lwicę — i wszystko ucichło. Niekiedy znagła słyszeć trzaski i łomot roztraconych i łamanych konarów wywracających się drzew; stado słoniów lub rozhukanych nosorożców toruje sobie gościniec przez puszcę. Indziej znów hurma dzikich bawolów rozjuszonych cwałem na oślep rzuca się gęstwiną, a za niemi suwa w pogoń wściekły ród lampartów, lub skoczna tygrysów zgraja. Ze strachem piérzchają szakale i hyeny, oniemiały małpy i ptaki, bo w głębi kniei już słyhać niby grzmot głuchy, wycie i ryk i charkanie; — złowrogie drapieżcy dopędziły łupu swego, a bój i mord się rozpoczął. A zdala szarzą się kłęby dymów, rozigrał się wichur, w puszczy gore, trzeiny, drzewa i zarosłe objęte ogniem, płomień syczy, wije się po ziemi wężem, lub słupcem stawa. Słyhać i głos niby ludzki. Niebawem zoczysz jakby mrowisko krzątających się Szangallów, płaskonosych Negrów o

zapachłych wargach, o kędzierzawych szorstkich włosach; oni gotują sobie plac na budowie swoje, wypalając w koło zarośla i trzciny. Zwinnością małpią zawieszają się na drzewach, przechylają ich konary, wiążą je z sobą, splatają, i w chwili złożą strzechę potężną i nieprzebytą; tu i ówdzie podpiierają ją ściętym drzewem młodem, niby kolumną, i na nich rozwieszają, jakby pokrowce i makaty, skóry zabitych zwierząt, a tak strop i ściany domu gotowe; w każdym roje ich mieszka. Wnet tak całe miasto staje. Toć jest ich architektura letnia. Dzień i noc bije płomieniem ogień na odstrach zwierzowi dzikiemu. Rybołowezy i myśliwcy ród nie zna rolnictwa, ani pasterstwa nawet. Gdy zaś dęszcze zwrotnikowe na puszcze spadną, gdy niemi wzdęte potoki z gór Abissyńskich las zaleją, gdy całe puszcze zamienią się na bagno niezmierne, Szangalle opuszczają to miasto swoje i chronią się do samotnych gór, kędy sterczą strome ściany skał niedosiętych. Tu inny budownictwa rodzaj. — Bo z dołu na ledwie okiem dościgłych wysoczyznach nieprzeliczone rzędy jam, jakby ulice wykute z wielkim mozolem w skałach piaskowca. Te jaskinie, wedle większej lub mniejszej liczby członków rodziny, są szczuplejsze lub obszerniejsze. Do tych mieszkań ciągną Szangallowie na zimę, jakby do stolicy swojej; tam żywią się tem, co przez lato zebrali: jedzą ryby, jaszczurki suszone, mięso z krokodyłów i strusiów, i koni rzecznych, dla tego też nazywają się Hylo-elephantostruthio-phagi, a to od najdawniejszych czasów, albo też od onych jaskiń swoich Troglodytami; tak ich nazywali starożytni, tak nowocześni. Gdy pora deszczowa przemiuje, znów wracają do puszczy, znów po staremu wypalają trzcinę i zielsko,

i zabiérają sié do budowania letniego swojego. Ta jednak letnia pora jest dla nich pełna trwogi i niepokoju; właśnie wtedy schodzą pogranicznicy im Abissynczykowie z gór, wydając im wojnę na zabój; bo oni królom swym podatek ludźmi płacą; polują tedy na Szangallów, a ci bronią tych biednych chat swoich i dzieci i żon, jak zwierz broni strzelcom legowisko swoje i młode. Zaboje krwawe szérzą sié po puszczy; kogo nie warto jeńcem w niewolę uprowadzić, bywa mordowany, czy to dziecię, czy kobiéta, czy starzec. — Czasem Szangałła, cichaczem podszedłszy wojska abissynskie, do nogi wycina wrogów kąpiąc sié we krwi ich; a częściej zaraza okropna, typhus, wystąpiwszy z onych bagien, czepia sié najeźdców, dławi ich i zabija w powrocie, a niekiedy odprowadza do samych chat góralskich i w nich rzuca śmierć i rozpacz. Odwróćmy sié od tych obrazów pełnych ohydy, będących niby paszkwilem na naturę ludzką, i ogarniających myśl jakby czarnym złowrogim snem. Przecież jest to wiernym wizerunkiem człowieka drżémącego w objęciu natury. Wielkie jednak światło rzuca ten stan pełen nieszczęścia na przedmiot nasz. Chciéj baczyć, iż ci Szangallowie od dwóch tysięcy lat żyją w onéj Kolli lesistéj — od dwóch tysięcy lat toczą sié te tak krwawe, tak łzawe żywota ich koleje — i od tyluż lat taką mają architekturę; ona nie zmieniła sié na jotę. Położenie ich i żywot zaiste nie nadają sié, by były sztuk pięknych kolébką, ani téż te ich chaty z gałęzi i skór, ani ich jaskinie i jamy nie są zarodem architektury; bo gdyby nim były, byłyby sié przecież przeobraziły w długim ciągu dwudziestu wieków; bo gdzie sié sztuki piękne zjawiły, tam duch ożył, tam i

on postępuje, rośnie z siebie i przeobraża się ciągle — a nie tkwi w miejscu.

Budowanie więc dla ochrony z prostej potrzeby fizycznej jest tylko rzeczą rzemiosła, techniczności; nie zaś sztuk pięknych, jest tekturą a nie architekturą, a zatem też w niem nie znajdziemy piękności zarodu. Architektura jako sztuka wtedy się dopiero zaczyna, gdy człowiek, krom użytku budowli, rad nią wyrażać jakąś myśl, nadać jej formę przemawiającą o duchu jego. Dla tego budowla, dziełem sztuki będąc, zawsze składa się z dwóch stron: jedna jest techniczna, mająca na celu jej dogodność, moc, ochronę i t. d., a drugą stanowi artystyczność dzieła. Sztuka używa onęj techniczności za kanwę, na której rozsnuwa myśl swoją. Gdyby jamne Szangalle zdołały czémś owe nory swoje, gdyby im nadawały jakiś kształt, nie koniecznie wypływający ze samej potrzeby materialnej, lecz z upodobania, z fantazyi, jużby tęp wyrażały jakąś wewnętrzną potrzebę duchową, obok potrzeby ciała swojego, i wtedy też moglibyśmy słusznie powiedzieć, iż one jamy, jaskinie, są zarodem choć słabym sztuki. Budowanie jakiegokolwiek, mające li potrzebę fizyczną na celu, nie jest architekturą, ani początkiem jej, jak pociąganie kolorem drzwi, okien lub bryczek, nie jest malarstwem. Mała dziewczynka, przymierzająca przed zwierciadłem, to tak, to owak, chusteczkę swoją, lub wieńcząca się kwiatami — albo parobek krakowski, przypinający pawie piórko do czapki, bliżej są sztuki pięknej, niż one budowania urosłe ze samej potrzeby cielesnej.

Śledzenie tym trybem początku sztuki jest zupeł-

nie zbyteczną pracą, i najczęściej pochodzi z mniemania, iż sztuki zostały wynalezione tak, jak to wynaleziono proch, sztukę drukarską i koleje żelazne; — ale bez prochu, sztuki drukarskiej i kolei żelaznych ród ludzki obstałby się wcale; jakoż długi czas żył nie znając tych tak wielkiej wagi wynalazków. Bez sztuki jednak ród człowieczy nie byłby sobą samym, bo one są wypływem jego wewnętrznej koniecznej istoty. Sztuki pięknej, tak jak i miłości i mowy, nikt nie wynalazł. Ludzie się kochali, nie czekając, póki im psychologowie z katedr wyłożyli definicyą miłości. A pamiętam, iż bawiąc w Berlinie, spotykałem się często z młodym cudzoziemcem, który tam także na nauki przyjechał; miał jednak nie mało trudności z językiem niemieckim; nie mógł sobie zwłaszcza dać rady z artykułami, i ciągle na nie narzekał; w końcu nalegał na mnie pytaniem, czyli ja przypadkiem nie wiem, jak się zwał ów Niemiec, co jakby na jego biędę *der, die, das* wymyślił, a mówił z doprawdy. — Factum historyczne. Nie jest dowcipniejszy, kto mówi o wynalezieniu sztuki.

Czas atoli bym ten list ukończył. Pomówiwszy tedy w liście przeszłym o istocie sztuki, a w niniejszym o jej stosunku do Religii i Filozofii, tudzież dotknąwszy, o ile słusznie o początku sztuk mówić można, pozwolisz mi bym w liście przyszłym kilka słów powiedział o stosunku sztuki do rzeczywistości i wyłożył istotę ideału.

Obaczysz jak teraz, opierając się na istocie sztuki wyłożonej w liście przeszłym, a wstępując w coraz ściślejsze szczegóły, znajdziemy potwierdzenie sposobu

pojmowania rzeczy, wyłożonego w ogólności w listach dawniejszych; a będę też mógł, założywszy sobie fundamenta ogólnego rozumowania, pisać już zwięźlej, krócej i treściwiej, gdyż bez wątpienia już z łatwością mnie zrozumiesz.

LIST IX.

O I d e a l e.

Stosunek rzeczywistości do sztuki. — Przedmioty rzeczywistego świata nie mogą być żywcem przeniesione w świat sztuki. — Istota Ideału. — Stosunek ideału do natury fizycznej. — Zkąd pochodzi szpetność pozorna niektórych jestestw natury. — Jestestwa pojedyncze, żyjące — Okolica i pejzaże. — Pomniki historyczne.

Szata i draperya — Figury dramatyczne — Obrazy hollenderskiej szkoły — Adryan Brauwer i Jan Steen. — Stachowicz. — Paweł Kock — Kraszewski — Boz — We wyższej sferze ideału rzeczywistość mniej jeszcze wystarczyć może. — Słowa Rafaela. — Zdanie Cyncerona o Phidiasie. — Boleść bez granic nie ma miejsca w ideale. — Oedipus w Kolonos Sofoklesa. — Romeo. — Dwa obrazy Girodeta — zastosowanie rzeczy téj do komiczności. — Don Quishot. — Damy i Huzary, Poeta i Odludki Fredry. — Trzy sfery ideału.

Czyli znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych? Czyli wpatrywałeś się kiedy w ten obraz, pełen bogactwa i czarodziejskich uroków? Natura tu zaiste, w swych szatach niedzielnych, przybrała się w co miała najstrojniejszego, a tak jej téż dobrze i ładnie w tych sukniach, świetnie wyszywanych i lśniących.

cych świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w sercu zapisze. Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy nieczwiędłych kwiatów. Tu dziwnie się splatają powaby różnaitości pełne, bo przy sobie znajdziesz i zuchwałę butne góry, czarnym borem poważne, i wzgórze łagodne urosłe w kształty pulchne i miękkie, i wytężone rozłogiem niezmiernym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy bukietami po równiach porozrzucane, kraj rozwinięty kobiercem haftowanym w warcabnicę zbożnych łąnów. Rusza się i migoce rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wierzb, sosien dumających i męzkiego hartu dębów. — Osiadły też tu ciżbą, wioski i pałace, klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełnem sercem, oddychają tym cudnym Bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecaną Ziemię darami swojemi, iżbyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile osobnych obrazów z widoku tego wykroić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku: byłoby nas stać nie jedną jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale. Tu drzewa i ptaki, potoki i zwierzęta, góry, ludzie i dzwony śpiewają weselem; ale już primadonną tej wielkiej opery Natury jest Wisła, co od lat tysiąców falami swojemi nuci nam tę samą, jej niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoją. Ona też jest królową obrazu; długim, posuwistym tanem zwiija się poważnie, uroczysto, a ucałowawszy Wawelu stopy, narzeczona Bałtyku, pośpiesza w objęcie kochanka. W dali, kędy już Niebo schyla się ku Ziemi, srebrzą się niby obłoczne twierdze, Tatrów grody, stojące na straży u chmurnych wrót, i

wedle łaski swęj wypuszczają na nas to pogody i słyoty, to burze i powodz, susze i grady, atoli zdradza je własne ich dziecko; bo gdy nam jakie biędy gotują, już zeskakuje w równie z kosą i kozą suchy i chybki góral, i wszystko na te Tatry swoje wygada, i wróży, i przestrzega, i straszy — a rzadko mu się zmyśli.

Otóż wczoraj, właśnie pod sam wieczór, znów zaszedłem przechadzką na ulubione miejsce moje; tą razą zupełnie było głucho, samotne. — Bo też dzień cały był pochmurny, posepny, i od rana już płakał dęszczykiem gęstym, drobnym. Obraz cały, zwyczajnie tak przejrzysty, jasny, teraz zachmurzony, tęskny, szary. I niebo, jakieś nie rade, rozwlekło po sobie jednostajną siwą płachtę. Wisła dziś smutna płynęła od niechcenia, a ziemia, w nudach swych oddychając mokrą parą, wiązała ją w kłęby, w potworne straszzydła, co goniąc się po równinie błoni i polnych obszarów niekiedy przebiegały Wisłę i mieszały się z ciężkim, brudnym węglanym dymem ognisk palących się na galarach. Cała Natura, Ziemia i Niebo zakopcone. Co bliższe, było jednostajne, jakieś zaspane i krzywe jakby chore dziecię: co dalsze, zachuchane, a odległość, ostatnia zlewała się w niepewnych zarysach. Cały ten obraz, tak cudny, oślepl. Widok, zwyczajnie tak szeroki, rozłożysty, podzielił się mgłą na drobne części, z których każda zosobna siebie tylko widząc, w sobie się kureczyła, na sobie przestawała samolubnie, i wołała być ułomkiem biednym, niż częścią wielkiej całości. Dwie osiki pode mną potrząsając obwisłym liściem, ciągle czegoś kiwając głowami ku sobie, szumiały i gaworzyły z sobą niby dwie kwaśne kumy

o kłopotach domowych — a tam ku biskupiemu pałacowi, ona cała linia topoli, niby jakieś wojsko zaczarowane stoi jednostajnie sprzykrzone i ekliwe. Niekiedy, gdy skądś powiew cwałem przyleciał i szepnął coś pierwszój, ta szumiąc obruszyła się i pochyliła ku drugiej i szepnęła, a ta następnej, a tak dalej i dalej w okamgnieniu cały ich szereg jakby podziwieniem zadygotał, zaszumił, kropnął, pochylił się, szepnął i zamruczał, znów umilkł, i znów wyprostowany nudził się i ziewał; byłyby się pewnie wszystkie te topole zabrały i poszły, gdyby miały jako i gdzie.

Nie daleko ode mnie stały trzy zaszargane wrony; strój ich szary, sponiewierany, zmiętoszony; ogonami zwrócone do siebie, dając się milczały w najgorszym humorze. Nakoniec zegar z wieży zamkowej srebrnym głosem zadrzał w sobie tęsknie, przeciągło, wywołał konającą godzinę. Zerwały się skrzydlate tony, niby duchy umarłego czasu, i rozleciały się po mokrem powietrzu na wsze strony; lecz ociężałém i zamoczonym piórem jedne spadły i utonęły w wilgotnym grobie Wisły, inne zapewne musiały dolecieć na miasto i przebudzić drżące tam zegary i dzwony; bo przecież po chwili wieża ratuszna ocknęła się, ziewła, odstękała godziny swoje, a głos jój tak płacziwy, przewlokły i chrapiący, iż znać, że jój w dwójnasób ekliwo przy tym słotnym czasie, bez onego ratusza swojego, wiernego małżonka, a towarzysza z dawnych lat, co go zabił wandalizm czasów naszych, a ciągle téż ona do dziś dnia wiernie strzeże tych z niego kamieni, co jakby kości jego złożone są u stóp jój. Wtém dzwonnica maryacka, kompana jój z przeszłego żywota, jakby głosem świątnicy przemówiła potężnym

dzwonem pocieszając wdowę; raz jeszcze odpowiedziała szlochami Ratuszowa, raz jeszcze Maryacka — i znów wszystko ucichło. Od dziecka nasłuchiwałem się dniem i nocą tych wień rozmowy, nigdy atoli ich wyrazy nie zdawały mi się tak jękliwe, rzewne i tęskne, jak właśnie w tój chwili.

Gdy wszystko około mnie tak było zaspane, dęsa-
jące się, osowiałe i krzywe, nie dziw, iż mnie samemu ciężko coś a ckliwo na duszę padło, rad byłem wrócić do domu. Zstępowałem zwolna z góry, w ziemię się patrząc; podobno myślałem, coby ci w tym liście napisać i jakby wedle przyrzeczenia mojego najwyraźniej wyłożyć stosunek sztuki do rzeczywistości, gdy nagły blask uderzył oczy moje. Spójrzałem około siebie, a tu mury zamkowe, kopuły kościołów i domy miejskie oblane rumianą łuną. Coś osobliwego się świeciło, spojrzełem nad siebie, a niebo gore! Wróciłem co tchu na miejsce moje ulubione. Gdybyś to był ze mną był i widział, co się teraz działo! Jeżeli mały chłopczyzna coś zbroi, a matka w udanym gniewie nie przymili się do niego zwykłym uśmiechem, dziecię smutne i ciche; lecz gdy wieczorem chłopczyzna do paciérza i snu się zabiera, a matka żegnając ulubieńca przytuli do serca, pobłogosławi i ucałuje, dziecię zapłonie radością na twarzy i w sercu uszczęśliwione usypia marząc o aniołkach, o kwiatkach i rajst; tak słońce cały dzień zachmurzone, niewidzialne, teraz przed nocą, gdy ziemia do snu i paciérza się miała, spojrzeło na ziemię i, odziane wszystkim majestatem, tonęło zwolna z nieba zstępując jakby jaki świat w płomieniach. Oplynęły je wielkiem półkolem obłoków drobnych głowy, jaśniejące żarem rozpalonego złota, niebiańskiej stolicy dwo-

rzanie. Nad niemi piętrami kipiały fantastyczne budowania, jakby twierdze, pałace i miasta napowietrzne, zajęte ponurym ogniem i palące się wszystkimi tęczy barwami; a z dala ciekawie przypływały, niby okręta z wzdętym żaglem lub niezmierne orły śnieżne, olbrzymie obłoki ze złotym rąbkiem, a z drugiej strony zalane głębokim cieniem miedzianym, ciągnąc za sobą długie, wązkie, chmur smugi. Tu i ówdzie, poprzez rozstąpione obłoki, na najwyższym nieba stropie zataliły się już bladém światłem gwiazdy.

Gdy tak niebo, całym przepychem swoim strojne, obchodziło uroczyste nabożeństwo wieczora, ziemia, wtórując jęj chorem, zaświeciła weselem swych błoń, lasów, gór i wodnych zwierciadeł. W naturę wstąpił odmłodnionego żywota dech: przebudzone jęj barwy roztuliły oczy, patrząc się jasnym, czystym spojrzeniem; postacie wszystkie wyskoczyły z zamglonej opony rysując wyrazisto, ostro i śmiało kontury swoje; znikła mgła, co je rozdzielała na samolubne części; cały obraz przejrzał i jedną wielką złożył całość. A poświata wszystka czarodziejskiem stopniowaniem rozprysła się po przestrzeni bezmiernęj; światło odegrywało tu całą gammę swych tonów, bo zaczynając w najbliższych miejscach uderzało z razu w silne światła i niskie a potężne cienie, a oddalając się przechodziło w tony wyższe gasnąc zwolna, a ostatnie tło obrazu obléwało drżącym łagodnym promieniem. Wpatrując się teraz w Wisłę świetną, żarzącą się nieba ogniami, rzekłbyś, że ona jest szeroką ziemi szczeliną, że ziemia na wylot pękła, żeś ją wskrósł przejrzał i w zawrotnęj głębi przeciwnożne niebo

w ogniu obaczył. Cała natura zadrgała życiem; odechnęły radośnie zwierzęta, ptastwo, ludzie i rośliny.

Stałem zadumany porównyując czarodziejstwo tej natury z tém, czém ona była przed kilku chwilami. Co za różnica! te dwa obrazy miały się do siebie, jak doczesność do wieczności, jak biedny nasz żywot do rajskich roskoszy, jak uboga mowa ludzi do śpiewów anielskich, — jak chłodna proza do poezyi cudów, jak *rzeczywistość do sztuki!*

Zaiste — tém słońcem, co spojrzeniem swém budzi żywota potęgą świat, co wyléwa czarodziejstwa urok na ziemskie padoly, a płosząc mgły doczesne, rozszerza ciasne rzeczywistości szranki, okazując nam wszech światów cuda w ogromie majestatu swojego; — tém słońcem, co spojrzeniem swoim ziemię na niebo przemienia, jest sztuki piękność i mistrza wszechmocne technienie. Nie darmo to na Hellenów Olimpie Phoebus, sztuki pięknej Bóg, prowadził słońca wóz jasnym, wiekuistym po niebie gościńcem.

Rzeczywistość traci ziemską i ułomną swoją istotę, gdy na nią spłynie niebiańska luna sztuki. Ale do rzeczywistości należy także natura, czyli ten świat wszech stworzeń, który nas otacza, jak i te całe dzieje, co biją falą codziennych wydarzeń, owe stosunki społeczne i moralne, nieodstępne towarzysze człowieka na drodze doczesnego życia. Człowiek samem urodzeniem swoim oddany jest rzeczywistości potędze, co go ciśnie, jakby oczynieniem, władzą swoją. Lecz gdy sztuka zaświeci jasném okiem, oczynienie owo znika, a ducha swoboda się zbudzi i wzmoże się uznaniem własnej zacności.

Stosunek rzeczywistości do sztuki wypływa sam

przez się z całego powyższego wywodu naszego. Bo już w jednym miejscu starałem się okazać, iż sztuka, będąc wolną ducha córą, nie jest natury naśladowaniem (*List IV*), później zaś (*List VII*) wyświeciłem, iż jak natura, tak też wszystkie stosunki towarzyskie, prawa, moralności, obyczaju i t. p. nie mogą być nieskończoności ducha wizerunkiem, i że nie mogą tedy być żywcem w sztukę przeniesione. Z tego już widzimy, iż rzeczywistość pod żadnym względem nie może być dla sztuki piękną wzorem. Wypada nam więc oznaczyć jedynie jeszcze w bliższych szczegółach mienie się sztuki do rzeczywistości.

Jeżeli duch ma oglądać, jak w zwierciadle, nieskończoność istoty swojej w dziele sztuki, w postaci zmysłowej, więc też postać ta, choć z rzeczywistości pożyczona, winna być uwolnioną od skazy doczesności wszelkiej, i z pyłu ułomności ziemskiej, winna być przejrzana ducha poświęcą; bo rzeczywistość, postawiona na wysokościach obłocznych sztuki, już nie istnieje dla siebie ale dla ducha, jest tylko dla niego środkiem, aby on się zmysłowo wyjawiał; ona jest dla ducha świecznikiem i lampą, w której wiekiistość jego goreje. Prawda ta jest pełna wagi, dla tego chciejmy dokładnie ją zrozumieć, bo z niej wypłynie, jakby ze źródłiska swojego, cały wątek następnej osnowy naszej.

Uważ dobrze, co się dzieje z przedmiotem rzeczywistego świata, gdy go do sztuki przeniesiemy. Wszak każdy przedmiot takowy, rzeczywisty — czyli to on będzie jestestwem natury, jako np. postać człowieka, zwierzęcia, okolica i t. p. czyli to będzie przedmiot wzięty ze stosunków społecznych i obyczajowych,

a przeniesiony w obraz, lub tragedya, komedya, powieść i t. d., zawsze on będąc częstką rzeczywistości, z którą jest ściśle połączony, jest jakby tylko jedną nicią wplecioną w całą tkanicę natury i społeczeństwa. — Tysiące stosunków i węzłów łączą go z ogółem, z tą rzeczywistością, do której należy, i dla tego téż on na sobie nosi cechę swój istoty ułomkowej, znać po nim, iż on sam nie jest całością, ale jedynie częstką jakiejś całości, i ta to cecha jest piętnem doczesności jego. Taka jest istota przedmiotu w rzeczywistym świecie. Jeżeli zaś ten przedmiot przeniesiony będzie w świat sztuki, wtedy się téż wskroś przeobrazić winien; bo skoro on, jakem powiedział, nie istnieje już wtedy dla siebie, ale istnieje dla objawienia się ducha, więc ta jedynie strona jego istoty będzie miała znaczenie, co temu objawieniu się ducha służy, wszystko zaś inne, jako już nie mające wartości, z niego spada i ulatuje. Znikają tedy z przedmiotu wszystkie przypadkowe znamiona, wszystkie drobne i bezważne cechy, będąc skutkiem związku jego z rzeczywistością, a gdy jego przeznaczeniem jest, by nie rzeczywistości téj służył, ale ducha był wyrazem, więc téż zrywa te wszystkie nitki łączące go ze światem rzeczywistym, odłącza się przedmiot od niego, staje się niezawisłym — uosabnia się, zakończy w sobie. A lubo zachowuje istotę swoją indywidualną, przecież przestaje być częścią i ułomkiem rzeczywistości, i sam przeobraża się na całość duchową, a jedność zupełną. Przedmiot tak przeobrażony, postać tak uświęcona jest *idealem*.

Ideał tedy, wyobraźnikiem ducha będąc, tyle zaiste tylko w sobie zawiierać winien, ile potrzeba do objawienia ducha; winien być tak całością, jednością osobną, jak duch, który o sobie w nim znać daje. W ideale

właśnie jest pogodzenie rzeczywistości i ducha: te dwa bieguny spotykają się z sobą na pół drogi i zlewają się w jedno, oba się równoważą.

Rzeczywistość zmysłowa nie przechodzi bynajmniej żywcem w świat piękności, bo w takim razie dzieło sztuki nie byłoby całością, jak jest duch, ale jedynie ułamkiem biednym, niedostatecznym, jakim jest każdy przedmiot rzeczywisty, a sztuka byłaby wprost kopiowaniem szczerzej rzeczywistości, co być nie może, jako już wyżej rzekłem.

Znać tedy, że ta rzeczywistość, mając się stać ideałem, winna być przerobioną, przetopioną przez ducha.

Z drugiej strony pierwiastek duchowy winien naprawdę przybrać na się ciało zmysłowe; bo zważ, że bez tego ciała przez ducha naszego byłaby-li myśleniem, byłaby mową prozaiczną, bo w takiej mowie duch objawia się bez ciała, bez szaty.

I dla tegoż to ciało, które ma być objawem ducha w ideale, nie może być czemś tak ogólnym jak myśl, jak mowa prozaiczna. Zważ, kiedy mówimy: człowiek, drzewo, dąb i t. d., toć zaiste nie mówimy o żadnym człowieku w szczególności, o żadnym dębie, drzewie w szczególności, ale mówimy ogólnie, więc wyrażamy rodzaj człowieka, dębu i t. d., ale rodzaj to jest ogólnik, jest abstrakcją, jest myślą. W rzeczywistości zaś nie widzisz (zmysłowo) nigdzie rodzaju, lecz widzisz jedynie szczegółowe, pojedyncze jestestwa, które do tego rodzaju należą, a rodzaj istnieje w głowie naszej; istnieje on wprawdzie i w świecie, ale nie dla zmysłów naszych, bo go trzeba dopiero dochodzić *myślą*. Wynika ztąd, że jeżeli w sztuce zechcemy wyrazić tylko takie ogólne, rozsądkowe myśli, już sztuka takowa nie będzie sztuką

prawdziwą, lecz będzie abstrakcją, będzie dopiero symbolem, godłem, hieroglifem, jak naprzykład dwoje skrzydeł oznaczają modlitwę, wąż skręcony w pierścień oznacza wieczność, trójkąt trójcę, krzyż mękę Chrystusa Pana, łódź kościół, jabłoń grzech pierworodny, i inne podobne znaki, które atoli przez zgodność ogólną wyrażają zwykle jakieś myśli i uczucia. Aleśmy już przy innej sposobności trącili w tę samą ośnowę, mówiąc o sztuce w ogólności (*List V*). Widzisz tedy, że gdy uzmysłowienie myśli, wyrozumowanych pojęć, nie jest już sztuką, więc w sztuce prawdziwej, w ideale prawdziwym, to jest warunkiem aby nie wyrażać pojęcia ogólnego rodzaju, ale pojedyncze, jedno pewne jestestwo, tak aby się zdawało jakoby ono było postacią z rzeczywistego świata wziętą, aby się zdawało, że dzieło sztuki jest niby wizerunkiem rzeczywistego jestestwa. Mówię *niby*, co powinien być pozór, jakoby w ideale występowała rzeczywistość, ale ta rzeczywistość nie powinna być, że tak powiem, rzeczywistą; ta rzeczywistość winna być złudzeniem, t. j. pozorem; ona będzie owiana tchem innych światów; ona chociaż będzie indywidualną, żywą, będzie przecież odziana najwyższym nadświatnym urokiem. Tak tedy ideałowi właśnie chodzi nie o ogólną naturę ludzką, lecz o to, aby ta postać w rzeźbie, lub obrazie, albo poezyi, oznaczała pewnego jakiego człowieka, lub jakieś pewne bóstwo, mające swój właściwy charakter, swoje własne piętno i indywidualność, różniące go od wszystkich innych, i aby się ten człowiek uwidomił, stał się cielesnie obecny czyli to w posągu, czyli malowany będzie pędzlem i farbami, czyli wyrazami jak w poezyi.

Tak tedy z jednej strony w ideale rzeczywistość

przechodzi w świat duchowy, uniesiona jest do nieba piękności, a z drugiej strony duch zastępuje rzeczywistość, *niby* pożyczając od niej szat swoich. Ideał, jak widzisz, pozostaje przeto w środku między czystą duchowością a szczerą rzeczywistością, łączy te dwie sprzeczności w jedność. Chciój dobrze zatrzymać w pamięci tę zasadę naszą; co tu jeszcze o ideale powiem, będzie jedynie jej dalszym wątkiem i wyjaśnieniem tego pojmowania naszego rzeczy.

Patrz, na posąg marmurowy, co z podnóża swojego, jakby nadziemskich światów zesłaniec, na nas się patrzy; wszak to niby postać rzeczywistego człowieka, rzekniesz może nawet, iż w naturze znajdziemy wiele kształtów ludzi podobnej prawie piękności i powabu. Wszelako posąg ten w swym uroku jest innej urody niż koło ludzi stworzonych, bo jest wolnym od przypadłości wszelkich, obojętnych dla niebiańskiej piękności jego, a będących skutkiem ich natury cielesnej i doczesności przemijającej, której ulegają ludzie w padołach rzeczywistego życia zrodzeni. On od głowy do stóp jest duchem — uzmysłowionym, żywym; a gdy w rzeczywistych ludziach, choćby najwyższej urody, duch jedynie w obliczu się wyraża i w oczach ma stolicę swoją, w posągu tym duch wszędzie jest obecny, z każdej części patrzy tysiącami oczu, rozlany po całej postaci, drga i w kędziorach włosów i w rzemyku sandałów, a co doczesne, nieznanne, spadło z téj postaci, niby głuche zwłoki, a co wiekuiste, wystąpiło na jaw, — więc téż i ta postać wywinęła się z objęcia znikomiej doczesności, odosobniła się, zerwała związki z rzeczywistością, cała jakby ochrzczona w oceanie ducha. Podobnie gdy postać droga z dawnych czasów, przed wielu laty zmarła, w senném

marzeniu staje nocnym nawiedzeniem z innego świata przed duszą naszą, choć zarysy drogiego oblicza i postaci żywo wskrzeszone, tak prawdy pełne, iż żadne przypomnienie na jawie wyrównać jej nie zdoła, przecież wskrós przejęta jest przeobrażającą odmianą, bo z niej znikły cisnące żywota biedy, i troska ziemską, co tłumi i więzi ducha swobodę, a przez całe zjawienie goreje i świeci zorza wyższego świata i nieznanym dawniej nieśmiertelności uśmiech. Postać stała się nieskazitelnym duchem, nie należącym więc do doczesnego świata, duch atoli zjawił się w postaci oznaczonej i pewnej drogiej nam osoby. Przybrał na siebie ciało rzeczywistości uduchowionej.

Otoż dwa te konieczne pierwiastki, bo wzniesienie nad doczesność, to jest zerwanie stosunków z rzeczywistością, a zachowanie przecież indywidualności pewnej oznaczonej osoby, są dwiema koniecznymi stronami ideału. Powiedziałbym, iż w ideale przedmiot rzeczywistości wprzód musi tracić ułomność doczesną, zerwać z rzeczywistością, umrzeć ziemską śmiercią, przejść niby przez czyściec duszy mistrza, zmartwychwstać bez skazy w piękności świecie, a tak odrodzić się ideałem. (*obacz str. 65*).

Niedziw tedy, iż wizerunki, portrety osób rzeczywistych, malowane nawet ręką celujących mistrzów, wydają się pospolicie jakby zbyt pochlebne, wszakże, jeżeli dzieło takowe jest godnym sztuki tworem, więc już mistrz nie pochlebiał wprost naturze. Bo upiększenie takowe nie wypłynęło z udania kłamliwej urody na obrazie, której w rzeczywistości nie było, ani z poprawienia spaczonych rysów twarzy, lecz raczej ztąd, iż mistrz przepuścił wszystkim onym drobnym szczegółom (np. włoskom, plamkom, marszczkom drobnymi, piegami)

będącym nieodstępnyim znamieniem natury, a uchwycił właśnie tę stronę fizyognomii, którą duch o sobie świadectwo daje, że ujął jedynie stronę duchową oblicza i niema jego mowę. Tak więc, gdy wizerunek stracił oznaki przypadkowe i szczegółowe z doczesności człowieka pochodzące, już téż zerwał stosunki z rzeczywistością, a duch, uwolniony od pyłu tego fizycznego świata, zajaśniał wiekiustą istotą swoją, wypiękniął w sobie i rozgorzał niezwykłym urokiem. A przecież ten wizerunek zachował podobieństwo całe swojego żywego wzoru.

Prawda że właśnie to zaślubienie niżyn rzeczywistych, doczesnych, ze światem nadziemskim, duchowym, niebiańskim, które się odbywa w ideale, zdaje się nam być zrazu sprzecznością; zważ atoli, że sztuka jest właśnie zestrojeniem wszelkich sprzeczności, pogodzeniem wszelkiej dysharmonii. Sprzeczność, dysharmonia, jest udziałem rzeczy ułomkowych, doczesnych i biednych; ale w sztuce żyje duch, więc żyje wiekiustosc unosząca się nad ułomność i niedostatki wszelkie. Prawda że zestrojenie sprzeczności w ideale nie jest sprawą lada człowieka, lada chwili; aby dokazać tego najwyższego pogodzenia trzeba *fantazyi artystycznej*. Fantazyja artystyczna w chwili wieszczego natchnienia zdradza z siebie ideał, zdradza z siebie formy rzeczywiste a przecież niebiańskie. W tych świętych chwilach twórczych duch z innych światów, niby gość nadniebny, zamieszkuje w duchu mistrza, prze go i niewoli do zrodzenia ideału piękności. Są to chwile boleści i najwyższej roskoszy. Atoli o fantazyi artystycznej mówić będziemy na inném miejscu obszerniej; myślę téj osnowie poświęcić ze dwa listy osobne. Teraz przypatrzmy się jeszcze z innéj strony istocie ideału.

Chciejmy naprzód zważyć bliżej stosunek, któryin

się ma ideał określony powyżej do natury fizycznej. Natura nie żyje życiem estetycznej piękności, lecz życiem piękności wszechmocnej wiekuistego rozumu. Nie tak przemawia tedy do wyobraźni naszej, jak raczej do myśli, do rozumu, a mądrość, świecąca na dnie zjawisk przyrody, jest treścią samęj umiejętności, dla sztuki zaś nie jest dościgłą. Bo sztuka, wstępując w królestwo natury, przyswajając sobie jedynie może stronę powierzchowną jestestw przyrodzonych, nie zdoła jednak przeniknąć do rdzeni myśli stwórczej, której owa powierzchowność jest jedynie łupiną. Postawa pełna wielmożności lwa, lśniącą grzywa i sierć jego, złotopióry strój mieniącego się barwą ptastwa, rozłożysta potęga hardego dębu, jest wprawdzie sztuki dzielnicą, atoli sztuka nie zdoła się zapuścić w wewnętrzną budowę lwa, ptaka, dębu, w ten tajemniczy świat ich składu, w zégar ich wewnętrznych organów. Sala anatomiczna nie może być pracownią dla sztuki pięknej. A przecież fizjologia roślin i zwierząt jest dopiero najpotężniejszą stroną jestestw żyjących, i, językiem nauki i rozumu zimnego mówiąc, jest prawdziwą natury pięknnością, dla sztuki zaś nie jest przedmiotem.

Podobnie téż w kole stworzeń napotyamy mnóstwo jestestw, których nawet i powierzchowność jest obrzydliwa, szpetna. Cóż brzydszego jak wiele gadów, owadów, nieschludnych ryb i robactw ohydnych, a przecież ta ich szpetność istnieje tylko w wyobraźni naszej, i znika skoro na nie patrzeć się będziemy oczyma umiejętności. Bo zkadże się rodzi w nas uczucie o brzydocie tych jestestw, jeżeli nie z tego, iż je pospolicie bierzemy bez związku z całym ogromem natury, do którego one istotnie należą, i z tego, że je uważamy z osobna. Doznajemy tedy wstrętu nie znajdując harmonii w ich

postaci, ani proporcjonalności powierzchniowej członków, do których nawykli jesteśmy; widzimy w nich bezecne i niezwykle potwory, i bezwiadomie porównujemy je z kształtem innych jestestw. — Przecież takie zapatrywanie się jest błędne, bo te jestestwa wszystkie są jedynie przejściem z jednego ogniwa stworzeń w drugie, są naprożnikiem dwóch rodzajów jestestw całkowicie różnych, a dla tego nie będąc zupełnie ani jednym, ani drugim, czyli raczej będąc zarazem i jednym i drugim rodzajem, stają się potworami w zwyczajnym zapatrywaniu się na rzeczy. Tak np. grzyby są przejściem między martwem państwem natury nieorganicznej a roślinami, polipy są ogniwem pośredniem roślin i zwierząt, a znów między robactwem i rybami w środku stoją kształty niesforne ślimaków i mięczaków, a między rybami znów i gadami ogniwem łączącym są ryby chrząstkowe i t. d.

Jeżeli zaś wedle tego, cośmy wyżej powiedzieli, każdy choć najdoskonalszy przedmiot natury jest ułomkiem całości przyrodzenia, a zatem nie może być pięknym w znaczeniu estetycznym, jakże dopiero mają uchodzić w oczach naszych za piękne twory natury, które już w porównaniu z samemi jestestwami są ułomkami — są to ułamki ułomków. Atoli szpetność ta znika nietylko gdy się przypatrzymy pełnemu mądrości ich składowi, lecz nawet skoro je uważać będziemy we związku z całym natury państwem. Gdy ludzie zuchwałą i niebaczną ręką zgruchotali wielki wszechmocności obraz, złożony jak w mozaikę ze szczegółowych jestestw natury, cóż dziwnego, iż przypatrując się z osobna tym okruciom różnobarwnym i kawałkom stłuczonym bez znaczenia, nikt nie zdoła odgadnąć oblicza przedwiecznej

mądrości, której ten obraz jest wizerunkiem. Cześć tedy niechaj będzie wiekowi naszemu, że go stać było na ludzi, jakim był Cuvier, który potęgą swęj anatomii porównawczęj znów złożył tę potrzaskaną starą mozaikę, a wyuczywszy się z jednęj kostki całe zwierzę odgadawać, jał się uporządkowania ogromu natury żyjącej, rozkładając ją po różnych szczeblach wedle ich różnej w porównaniu doskonałości. Bo umiejętność tegoczesna doszedłszy, iż zjawienie się serca, nerwów, muskułów, oddechu, oczu, słuchu, krążenia soków i podobnych organów i czynności, stanowi wzmagającą się doskonałość u zwierząt, uważała że jedne jestestwa żyjące nie mają wcale tych organów, lub tylko niektóre z nich, inne znów, mają je w zarodku, inne zupełnie zaś rozwinięte. Ułożyła je tedy w miarę ich stopniowego ukształcenia w łańcuch po sobie następujących ogniw. Tak zaczynając od onych żyjatek, będących pęcherzykiem, drgającym sercem obracającym się jakby planety wirem około siebie samych, przeszła do zoofitów, robaków, bezgłowych muszli, a dalej, coraz wyżej a wyżej się spinając, umiejętność stanęła na człowieku jako najwyższem dziele natury, zbierającem wszystkie stworzenia promienie jakby w spólném ognisku a niosącym w sobie świat duchowy, wiekuisty. A tak wykazała wcieloną logikę najwyższą w wątku wszech stworzeń. Budując jestestwa jednego rodzaju na organizmie wszystkich poniższych, wykazała jak natura, z siebie się rozwijając, kształci się, rośnie z siebie. Ale tu i ówdzie okazała się przerwa w ogniwach; trzeba było obok siebie postawić dwa rodzaje zwierząt tak różne udoskonaleniem od siebie, iż one nie mogły być dwóma stykającemi się ogniwami; wyjawilo się tedy jasno, iż brakowało ogniwa pośredniego. Z tryum-

fem jednak wiadomości i na chwałę rozumu ludzkiego spostrzeżono, iż czego naturze żywej brakowało, dostarczyła umarła, czego nie znaleziono w świecie z nami współ żyjącym, znaleziono w onym świecie starym, który przedpotopowym nazwano. W głębokiem łonie ziemi naszej, jakby w kruchcie siwej, dokopano się skamieniałości jestestw dziś już nie znanych, żyjących niegdyś, a będących właśnie ogniwami brakującemi w owym łańcuchu stworzeń dzisiejszych. Idea i myśl Boża się uzupełniła, a cała natura jedną więc stanowi całość, a każde jój jestestwo jest koniecznym szczeblem, jednem słowem w onym wielkim psalterzu natury. Jestestwa są mniej lub więcej doskonałe, wszystkie atoli są jedynie bledsze lub jaśniejsze gwiazdy tlejące firmamentem roztoczonym po niższych lub wyższych stopniach Bożego tronu. Tu nie ma szpetności ani brzydoty.

Jest zaiste jeszcze druga przyczyna, dla której jestestwa natury nie mogą być żywcem ideałem. Powód bardzo prosty, bo jestestwa te do państwa materji, do doczesności należą, a materja i doczesność paczy wszelkie formy duchowe. Patrz na dąb okryty strojem swym niepoliczonych liści, a każdy z tych liści jest inny a inny, nie ma dwóch do siebie podobnych, a przecież jedna tylko jest, ściśle mówiąc, forma liścia dębowego, jedna forma jest prawdziwa i wzorem jego. Ten atoli wzór pierwotny nie zdoła się wyrazić, w swój zupełności, w rzeczywistym świecie, nie zdoła przemódcz niesforności materji. Ten wzór jest zawsze jeden i ten sam, jest wieczny, bo jest myślą, a wszystkie liście rzeczywiste są inne a inne, bo są materją, bo są doczesne, a tém samém podlegają w wzroście swoim tysiącnym przypadkom i wpływom, które je paczą i psują. Bo

myśl i materya, duch i rzeczywistość, są dwa przeciwne sobie bieguny, dwa wrogi. Patrz na bezmierne mnóstwo koni żyjących po świecie, wszystkie są od siebie różne, żaden nie jest doskonałością idealną, żaden nie dosięga piękności idealnego konia, która tylko myślą być może, dla tego też one mają piękność względną, wedle tego czyli się więcej lub mniej zbliżają do onego wzoru idealnego, do onęj myśli pierwotnej, która dla nich wszystkich jest modłą. Piękność tego wzoru rozstrzeliła się na mnóstwo koni i poobdzielała je nierówną miarą zalet i przymiotów. Zresztą zważ, iż w życiu nawet mnóstwo wpływów przypadkowych działa na formę koni rzeczywistych: klimat, choroby, karm^o niewłaściwa, i inne przypadłości, więc przyznasz, iż piękność pierwotnego wzoru ginie w rzeczywistości. Ale ideał rehabilituje ten wzór pierwotny, tę myśl, oną czystą formę, wciela ten wzór w dzieła swoje, odradza go. Koni, jakie Vernet lub Suchodolski maluje, nie ma na świecie. Przecież rehabilitacya nie zależy bynajmniej nie na kompilacyi, nie na tém, aby, chcąc np. konia malować, zbierać zalety, które się rozsypane znajdują w tłumie koni rzeczywistych, a tak złatać on wzór umysłowy; bo sztuka nie powinna się mieć biernie do rzeczywistości, ale czynnie. Ona jest twórcą, a ideał nie jest zlepkiem pozbiieranych piękności, ale jakby odléwem duchowym z jednej sztuki. Mistrz winien do głębi ducha swojego sięgnąć, i ztamtąd wydobyć postać ideału swojego. Wzór w innym świecie poczęty jest mu ideałem i modłą, jak to jeszcze później obaczymy.

Jestestwa żyjące mają atoli przecież od Wszechmocy dodaną jakąś duszę, choć senną, mglistą i głu-chą, dającą atoli o sobie znać w kształcie, ruchach i

formach ciała, które już tém samém pod pewnym względem się uduchownia. Inaczej zaś rzecz się ma ze światem roślinnym, a co więcej z oném niemém i martwém państwem kamieni, gór, potoków i chmur, i z tym całym światem bezokich żywiołów, będących osnową pejzażów. Tu mistrz, jak niegdyś ów Pigmalion król-rzeźbiarz, winien w zimny marmurowy posąg wlać życie, objąć je ramionami ducha swojego, rozgrzać je ciepłem serca i tchem miłości swojej. I w tej duchowości spoczywa cała tajemnica poezyi, krajobrazów, czy to w pieśni objętych, czyli w malowanym obrazie, a tak dopiero z rzeczywistości martwej utworzy się ideał duchowy. Bo czémże jest w rzeczywistości okolica, choćby pełna najwyższych uroków? oto jedynie drobniuchną, nic nie znaczącą częścią powierzchni kuli, z której idą jej góry, potoki, doliny, obłoki, wiatrów powiewy, zostaje w ścisłym powiązaniu z krajem sąsiednim swoim; a przytém narażona jest na skutek całego gospodarstwa ogólnej natury. Wody, powietrze i ląd, ciągle, na siebie działające i oddziaływające, stanowią ową troistą potęgę co rządzi kraju naturą, a łącząc się z położeniem jeograficzném stwarzają klimat, malują barwą właściwą strop niebieski i wywołują roślin fizyonomią. A co te potęgi sejmujące między sobą uradzą, co w swój wywarzą pracy, już spada urokiem na okolicę, co poddana wszechmocnemu ich prawu, ulega jej biedna, skrepowana, oddana na oślepie ich łasce. Jakiego kształtu w niej czernią się góry, jakiej formy i głosu są jej srebrne rzeki, jakie do niej zagładają obłoki, lub w jaki strój roślinny się ona odzięwa, słowem, jak się tu siły natury zbiegły, toć zależy od przypadku, od tego, jaką właśnie częścią całości jest ta okolica. Tysiące przejdzie tędy wędrowców, a ta natura zamknie-

temi ustami milczeń będzie, i głucha nie zawtóruje uczuciom, nie odezwie się. Gdy zaś w jój kole stanie człek z talizmanem w oczach i z poezią w sercu, wtedy natura pozna pomazańca piękności i jakby ze snu magnetycznego do kochanka przemówi; góry, lasy, skały, jeziora, drzewa i obłoki rozebrawszy pieśń na głosy, zaśpiwają mu chórem rzewną melodyą, wspólną orkiestrą, wspólnemi akkordy. Cały kraj w około zaludni się duchami; poszepty i gawory leśne, pomruki potoków złożą się w jasną mowę, powiedzą o głębokich tajemnicach życia natury; roztworzą mu duszę swoją, wypowiedzą cierpienia, miłości swoje, i te swe dzieje pełne dziwów i uroku. A mistrz chwyta te mowy i tęskność okolicy, złoży je w rymy, wyleje muzyką, lub wcieli w barwy pejzażu — słowem, uniesie je w świat ideału. Bo gdy w rzeczywistości okolica ta jest jedynie drobnym ułamkiem całej powierzechni kuli, w oczach fantazyi te góry, skały, potoki, drzewa, krzewy i niebo do siebie należą, składają jedną całość, jedną harmonią, są jednością osobną; wyłączają się tedy od ogółu natury, zrywają swój związek z resztą świata, i stają się od niego niezawisłe, odosobniają się od rzeczywistości. A owa tajemnicza świętość okolicy pokryje się własną barwą i rumieńcem, gdy w niej jakby czarem zaklęte przemieszkiwać będzie wspomnienie historyczne z dawnych lat, gdy w niej stał domek, co obtulał kolébkę człowieka jasnej chwały, lub gdy imie ze starych czasów pokrywa się mogiłą, drżemiąc pod ziemią, gdy ją zalegną pobojuwisk lub okopów reszty, albo gdy jaka stara świątelnica lub rozwalony gród wpląta swoje wspomnienia pełne grozy w głosy natury. Przez okna rozpadłe i szczeliny rozstąpione, widma i duchy naddziadowych lat patrzą w okolicę i spojrzeniem

rzucają na nią urok. Bo co wiek zapracuje, przekazuje swym następcom, a najszlachetniejszy pierwiastek jego żywota wykwita w dziełach sztuki.

Jak matka konająca zostawia z błogoławieństwem dzieciom pierścień z wizerunkiem Najświętszej Panny, by je strzegł od złego, tak przeszłość, w grobie zapadła, puścizną po sobie zostawia budowania swoje, stare kościoły i groby; są to klejnoty familijne każdego narodu, co, idąc od pokolenia do pokolenia, stroi one czią, boleścią i tęsknotą swoją. A gdy tej świętej puścizny ludzie we czci nie mają i płochą duszą jęj odbiegną, natura bierze je w opiekę, niby opuszczone sieroty, i przyjmuje w objęcie nieskończonej swęj miłości, przeobrażając je na własne dzieci; — nadaje im kształt swych skał, ckliwość ostrych linii, dzierzgając po swemu ściany we fantastyczne formy, odzięwa je suknią swych bluszczów i melów, a wieńczy wierzchołek starych murów drzewem, jakby kwiatem wplecionym we włosy zmarłej dziewicy. Wtedy rozwaliny wychodzą z własności ludzi, stają się natury dziedziną, jak te jęj skały, te góry, obłoki i strumienie, a kto się ich teraz jeszcze dotknie świętokradzką ręką, grzeszy przeszłości zarazem i przyszłości, i staje się swych współczesnych hańbą. Gdy Lord Elgin rabował rozwaliny Partenonu w Atenach, Minerwa-Athene, bóstwo opiekuńcze znieważonej świątnicy, wywołana lutnią Byrona, rzuciła klątwę na łupieżcę. U nas dość spojrzeć na klasztory gotyckie potynkowane, na obielone stare świątnice, na znieważone grody niedowcipnemi pomysłami dzisiejszych dziedziców, aby przewidzieć, iż gdyby się jaki Byron zjawił, przekleństwo nie na jednąby winną głowę spadło.

Tak, aby pojąć naturę, aby posłyszć jęj westchnie-

nia, trzeba ją widzieć i słyszeć oczyma i słuchem duszy; wtedy dopiero rzeczywistość przybierze na się duchowość ideału, odosobni się od codziennego życia, stanie się całością w sobie.

Teraz atoli chciejmy postąpić szczeblem wyżej, i obaczmy, jak się stosuje pojmowanie nasze ideału do wyższych przedmiotów rzeczywistości, do świata umysłowego. Pójdźmy sobie od niższych do coraz wyższych stopni.

O ile oblicze i postać człowieka zmienia się przechodząc z rzeczywistości w ideał, powiedzieliśmy wyżej. Ale jeżeli już, jakem rzekł, ciało samo i postawa jego jest ducha wyrazem, więc téż szaty pokrywające postać winny znów wyrażać postawę i uduchowanie jój. Gdy bowiem bezduchowa natura pejzażu zalana jest zorzą wyższego świata, więc téż nieżywa istota szat samych ma być przeświecona duchem gorejącym w postaci człowieka. Aby zaś postawa i ciało mogło się wyrażać w szatach, wypada, aby one nie miały własnej formy, ale były zawisłemi od formy ciała, co tylko dwojakim sposobem dźać się może: albo, aby suknie były opięte, to jest miały formy ciała samego, jak to np. suknie średniowiekowe zachodniej Europy — albo téż, aby szaty nie miały żadnej formy i były płaszczyzną bezkształtną, jak to osobiwie widzimy w stroju rzeźb greckich. Tu szaty spadają własnym ciężarem bijąc fałdzistą draperyą, i stosują się do każdego poruszenia ciała. Tegoczesne suknie nasze, zwłaszcza męskie, środek trzymające między strojem przylegającym a draperyą antyku, są dla sztuki najniesforniejszemi, bo mają niby formę swoją a

przecież różną od formy ciała, więc ani wyrażają kształtu ciała, ani się układają w draperye. Przypatrz się np. rękawowi naszemu; — stosuje się on niby do ramienia i ręki, a gdy się przecież zarazem i fałduje, więc téż ręka w nim przybiera kształt napuchłego potworu; — rękaw taki nie jest ani naturą, ani draperyą. A posągi przebrane w dzisiejsze nasze surduty z klapami i całym przyrządem, fraki i t. p. są śmiešnością, dowodzą braku uczucia estetycznego. Do malarstwa, tworzącego swe dzieła na płaszczyźnie, podobne formy więć się nadają, w rzeźbie zaś są nieznośne. Przecież nawet i na obrazach te suknie, mianowicie nowożytnie, ulegające wszelkim wymysłom kapryśnym mody, choćby malowane były przed niedawnymi laty, wypaczają wizerunki osób w osobliwe dziwaki.

Jeżeli atoli już suknie same, ono materyalne otoczenie osoby, winny być idealizowane, cóż rzec o całém zmysłowém zjawieniu się figur, czyli to w sztukach, w malarstwie lub rzeźbie, czyli w poezyi. A jak oddanie pęzlem wszystkich szczegółów figury, np. każdej zmarszczki, włoska i t. d. jest chybieniem celu sztuki, a nawet nigdy osiągnięte być nie może, tak téż w poezyi opisanie wyrazami wszystkich drobnostkowych szczegółów żadnego nie ma znaczenia: bo w sztuce to jedynie miejsce mieć może, co służy do wyjawienia ducha; te zaś drobnostki o tyle mogą wchodzić do sztuki, o ile są środkiem pomocniczym do oddania wewnętrznej muzyki duchowej. Tak np. figury, odmalowane mistrzowską ręką Walter-Skota, unaocniają nam ducha ich; a zarzuty, czynione mu iż zanadto tonie w tych drobnostkach, o tyle tylko słuszne być mogą, o ile te szczegóły stają się zupełnie obojętne i nie służą więć do uwi-

domienia nam duchowej strony człowieka. Góral szkocki Walter-Skota staje przed duszą czytelnika niby żyw: jest to człowiek, którego dusza i ciało, kraj i suknie, z jednej sztuki odlane i do siebie należą. Podobną drobną rzeczywistością, odbywającą się powszednią koleją, są codzienne sprawy człowieka: spanie, jedzenie, picie, ubieranie się. Patrząc na dramat, żądamy czynów i postępowania do wątku dramatu należącego, ale nie pragniemy bynajmniej, by figury dramatyczne oddawały się przytém sprawom powszednim, wszystkim ludziom spólnym. A jak do teatru nikt nie chodzi, by np. w scenie wiejskiej widział wystawione nawozy przed chatą i kałużkę z kaczkami, tak téż nie pragnie tam widzieć rzeczywistości naśladowanej w rubasznych obyczajach, brudnej odzieży, plugawych piosnkach, ułożeniu i giestach godnych kordegardy, choćby to wszystko było jak najnaturalniej udawane. Nawzajem, również jest przewinieniem pojmowanie odwrotne: jeżeli np. wieśniacy na scenie mówić i ruszać się będą, jak dworzanie Ludwika XV. Powinno być uduchowanie ideału, zarówno jednak ma prawo indywidualność i prawda.

Jeżeli zaś poeta lub obraz wprowadza codzienne czynności ludzi, toć iście nie dla tego, iż one są rzeczywiste, lecz dla tego właśnie, iż nadać mogą barwę i charakter figurom, oraz wyświecić indywidualność ich ducha. A co nie służy ku temu celowi jest w sztuce płaskim, jałowem i niskim. Słyszę w myśli, iż pomijając obrazy obyczajowe wyższego rodzaju, przypominasz mi w téj chwili onych Hollendrów, co to będąc arcy-mistrzami swéj sztuki, wprowadzają nas w najniższe, ba, w najplugawsze sceny plugawego życia. — Ta sztuka tutaj

zrzuciła pychę z serca, i awanturuje się po szynkowniach, kordegardach, karczmach, wśród dymów fajek gipsowych, wyziewów piwnych, hucznych opilców, rubasznych śpiewów, bijatyk, kart, dzbanów, kijów, krzyków, a przecież te obrazki jasnej sławy są klejnotami nieoszacowanymi każdej galeryi.

Patrząc się na te bamboccyady pełne fantazyi ochoczej i kipiącej swawoli mistrza, przyznaję ci z serca, iż nie zasługują na to, by przejść około nich pogardliwie i z góry się patrzeć zadzierając nosa. Albowiem pod ową swawolą a gburowatością wierutną ukrywa się inny duch prawdziwego geniuszu. Rzekłbyś, że to najniższa rzeczywistość, — jednak przekonamy się, iż właśnie ich istotą jest oderwanie się od rzeczywistości i wzniesienie nad świat doczesny; zobaczysz, iż te ich obrazy i figury, przy całym zachowaniu prawdy i indywidualności, pomimo że są ścisłą rzeczywistością a nie kłamliwym wymysłem fantazyi, są jednak istotnie ideałem. Bo téż trzeba zrozumieć i lud ten, i ochotę jego i mistrza, co zawtórował pęzlem życiu temu. Ba, nie jest to rzeczywistość goła, lecz poezya, śpiew radośny, śpiew, co z serc wykypia; jest to tryumf z odniesionych zwycięstw. Bo widzisz, ten ich kraj, co tak świeci schludnemi domkami ze szlifowanych cegieł, ślniących mosiądzów i jasnych szyb, i miasta ich, co tak rześko pracują, handlują i myją się, zamiatają i płuczą od rana do wieczora, i sieć onej kanałów rozciągnioną po ich ziemi całej, i te majowe łąki, i lasy i gościńce; otóż to wszystko stworzyli ci sami Holendrzy, i syny ich, one proste gbury, co tak na obrazku hałasują, biją się, i piją i wrzeszczą. Oni kraj swój wydarli morzu, bo fale szturmujące ich ziemię złamały się o twierdze holenderskiej tamy; piędź

po piędzi ci ludzie zdobywali na oceanie ojczyznę swoją, i wzięli nad nim górę, i już się go nie boją i są panami jego. Gdzie było morze, tam stoją te karczmy ich, więc mają prawo do hulatyki w tych szynkowniach swoich. Aleć zaiste i ta wojna z Hiszpanią, tak szczęśliwie skończona, dała powód do radości téj. Więc się też ochotniej radują i swawolą: a któż im tedy za złe weźmie, że niekiedy i miarę przebiorą i skrewią dobremu smakowi.

A i te mistrze, co te obrazki malowali, otóż i oni tak czuli, tak się radowali i śpiewali. Masz np. *Adryana Brauwer*, którego obrazy, będąc w Dreznie, spotkać po kilka razy mogłeś. Otoż on, młodym chłopcem będąc, zaczął karierę swoją od tego, iż uciekł swojemu mistrzowi i przystał w służbę do szynkarza w Amsterdamie; a wolał koleżeństwo z hulakami i opilcami, niż ofiarowany sobie dom świetnego Rubensa: więc pił, fajkę palił, malował, grał, bił się i hultał, i znów malował, a malował w karczmie i karcznię; a znać, gdy spojrzysz na jego obrazy, iż ta grubijańska opiała hołota jest jego przyjacielem od serca, że ona jest sobie z nim brat za brat. Ale w końcu zachorował z rozpusty i umarł w 32 roku życia w szpitalu w Antwerpii, gdzie został pogrzebiony na cmentarzu zmarłych na dżumę. Rubens poszedł na grób niewdzięcznego ale drogiego ucznia, zapłakał rzewnie nad tym grobem, i biędną trumnę jego z ziemi dostawszy sprawił mu pogrzeb uczciwy i pochował w klasztorze OO. Karmelitów.

Krótszą drogę obrał sobie *Jan Steen*, bo nie potrzebował kojarzyć się z karczmarzami, gdyż sam został szynkarzem; — ale nie ubliżaj mu, nie dla zysku pieniężnego on to uczynił, boby się to sprzeciwiało geniuszowi

prawdziwego artysty, tylko tak sobie ze smaku obrał to powołanie. Lubił wesołe towarzystwo, kompanią ochotną, więc z nią pił, częstował się, a wypijał sam więcej niż goście: więc zysku nie szukał. A gdy zabrakło i w beczkach wina, i w mieszkach gotówki, wnet sobie poradził: bo namalował co tchu kilka obrazków, sprzedał i znów hulał sobie. A podobno tak przehulał życie swoje całe, i tak z kuflem je wychylił.

Z grobu atoli tych hulaczy wyrosły nieśmiertelne kwiaty: ich sława i imię. Przecież ten jak i tamten drwili sobie z rzeczywistości i z siebie: byli to poeci i filozofowie, ale poeci i filozofowie osobnego rodzaju. Dla nich życie i rzeczywistość były Ostatnim Wtorkiem, maskaradą huczną, combrem tłustoczwartkowym, na to dobre, by je przehasać, z dymem lulek puścić i przepić. A że oni właśnie chwycili to życie karczemne z taką wysoką ironią, z taką kipiącą fantazyą, że oni ten niski świat tak genialnie pojęli, że uchwycili poetyczność wśród onych pijackich dynów fajczanych, wśród tej hołoty, toć dowodzi, że oni byli wyżsi od tego świata, który malowali, że górowali nad nim geniuszem swoim, i to właśnie ich czyni artystami, i to właśnie czyni te obrazki prawdziwymi dziełami sztuki. Patrz na te twarze, na te postacie na ich obrazkach: one zerwały z rzeczywistością, wesołość ich tak jest serdeczna, iż niby po za tą karczmą utonął cały świat z kłopotami swojemi. Wszystkie ziemskie wielkości i co tam się świeci, wszystko za izbą tą brudną przepadło; kufel i bójka, to dla nich perpendykuł świata, a fajka i śmiechy, to wszech rzeczy grunt. Dla tego też oni tak huczni, tak weseli, tak niezawisli, żebyś rzekł, iż to bogowie światowładni Olimpu, zebrani w szynku na piwie. A naj-

większe złe, które te bogi sprawują i na co się narażają, są kułaki i guzy: a cóż to u nich złego? to frachy i roskosze! Wszak i Homerowi bogowie mieszają się do bitew ludzkich, nawet ciskają na się kamieniami, a choć trochę zajęczą, toć znów w zgodzie zbierają się w pałacu złotym Jowisza, piją sobie na zgodę nektar i jedzą ambrozyą.

Otóż te prostytutki holenderskie nieokrzesane, pełne grubasnych dowcipów, przyémione wódką i piwem, stosowniejszym są przedmiotem dla sztuki i bliższym ideału, niż te wierutne a eleganckie urwisze, z gruntu serca przegniłe łotry, błyszczące świetnością w romansach francuzkich.

W Monachium, w pinakotece masz podobnie owych sławnych uliczników hiszpańskich *Murilla*, słusznie bardzo stawianych w tym względzie za przykład. Na jednym obrazie dwóch gra w kości, trzeci bawi się z pieskiem; na drugim dwóch się zebrało, jeden zajada smacznie winne grona, drugi melon; a taka na tych twarzach wesołość, takie zadowolenie z siebie i świata, żebyś rzekł, iż oni tego całego świata króle, albo najmuiej jakie sułtany, istoty z jednej sztuki, całe, niezależne od nikogo; nic ich nie obchodzi; a kłopot, a bogactwa, i świetność i dostojności, to bajką u nich. Żadna troska nie łączy ich z rzeczywistością, a dusze ich pełne swobody, radości, występują rumieńcem na lica: a po przez łąchmany świeci wartka życia roskosz i poetyczne poniewieranie światem realnym. A *Stachowicz*? tu już nie mówmy o fizyonomii, bo téj nie ma w obrazach *Stachowicza*. Kilka krések, na przypadek i śmiech rzucony, stanowi jego twarze; patrz zaś na kontury i zarysy jego figur, tu życie, tu prawda. Widzisz to krakowskie wesele,

słyszysz głos cymbałów i dudy, i skrzypka, co sobie rźnie od ucha, i krzesanie podkówek, i brzęk kółek u pasa; słyszysz, jak pan młody i drużby krzykają, a tak też tym parobkom i dziewczętom do serca, iż widać, że wierzą, iż nie ma jak oni na całej kuli ziemskiej, że oni nie tam lada *jacy tacy*, lecz istotnie *chłopcy Krakowiacy*, że to są ludzie do wszystkiego; zapomnieli i te znoje swoje i te troski, a z głębi duszy swej wykrzykują i bawią się: i oni z rzeczywistego koła świata wyniesieni w świat poezyi, w świat ideału. Ale bo też potrzeba było znać Stachowicza. My, będąc dziećmi, widywaliśmy go jeszcze, jak sobie chodził w sutęj sukmanie, z rogatą kipiastą w tył się mającą czapką, i z wysoką trzcina w rękę; a dopieroż gdy na processyi niosąc baldakim w całym swym blasku występował, patrząc się na ten świat tak jasnym, tak miłującym okiem, że znać, iż nim się radością poił. A śmigał też pędem hożym i nagłym, a wszędzie też z równą ochotą, z równą pilnością malował: czyli to przyszło Woroniczowi ustroić ściany biskupiěj stolicy, czyli salę Jagiellonów, czyli też na przedmieściu ubrać zewnętrzną ścianę karczmy figurami, choć wiedział, że wnet słoty i śniegi tę pracę jego spłókać miały: bo nie znał swėj wagi, ani swėj wartości; co mu w sercu zagrało, to i wymalował. Nie znał Rzymu ni Drezna, Bóg sam był jego mistrzem i nauczył jak pędem kręślić duszy obrazy, tak jak nauczył Drużbackę wiersze składać. Za to też żadne słoty, żadne dėszyce nie spłókają poczciwego imienia Stachowicza ze serca i pamięci ludzi. I w Album pana *Piwarskiego* wiele pięknych rzeczy pod tym względem obaczysz. A co do poezyi, któż nie zabawił się temi obrazami prawdziwie flamandzkiej szkoły, jak

je skreśla w romansach swych np. Dikens, którego pióro i figury tak jędrne i pożywne, jak ta ojczysta jego kuchnia angielska; albo Kock lub Kraszewski w pierwszej epoce autorstwa swojego. Prawda że i w Kocku, i w początkowych powieściach Kraszewskiego, znajdziemy obrazki „wielce“ flamandzkie, toć przecież nie ma czego z pedancka moralizować nad niemi, bo lekkość pióra, żart, dowcip, humor, którym ci autorowie traktują przedmioty lekkoduche, paraliżują wszelki lekkoduchy ich wpływ. A byle czytelnik rozśmiał się nad temi ich obrazkami, już wtedy komiczność w duszy jego przeważy i zobojętni wrażenia, któreby te płóche scenki mogły sprawić na umysłach młodszych czytelników. Wierzaj, że wiele zależy od sposobu wystawienia rzeczy i że ułomność ludzka, szczerze bez ogródki lecz ze śmiechem zrysowana, przejdzie bez śladu po niezepsutych umysłach, gdy nawet dwójznaczność okazana przez magiczną oponę, oświecona całym bengalskim ogniem fantazyi, omami, odurzy i wzbudzi żyjące w sercu młodem demony. Lecz nawróćmy do naszego przedmiotu.

Otóż i w malarzach hollenderskich i w Murillu i w Stachowiczu, w całej sztuce tu należącej natura jest żywcem schwytana; jednak nie ta natura powszednia, mdła, codzienna, ułomkowa, lecz ujęta w swój poetyczności stanowi istotę tych dzieł. Niezawisłość tych figur od rzeczywistego świata tworzy z nich istoty osobne, całkowite; nie są to zatem ułamki życia, lecz całości. — I tém właśnie te figury różnią się od rzeczywistych, pijących Hollendrów, uliczników i parobków krakowskich, iż patrząc się na tych w rzeczywistym świecie, znać jak im życie ciąży, że tam dolegliwości ziemskie z oczu im patrzą, że tam na nich pozostało mnóstwo ułomności

znamion, że życie ich jest powiązane i skrepowane niezliczonym tłumem stosunków, co jednoczą ich ze światem rzeczywistym, którego oni są okruchami tylko. Przecież i my wszyscy biedni rzeczywiści ludzie na chwilę zapominamy o naszych troskach, o tych jukach, z którymi się przez życie wlecemy, — atoli to jest wrzkoma swoboda, bo w tych chwilach niby szczęśliwych podobni jesteśmy do ptaka, którego rzeczywistość na długiej trzyma nitce, a tój iście nigdy się nie wymkniemy. Mimo jednak tój strony poetycznej w owych wspomnianych obrazach, są one żywą prawdą; nie są to bezuzdnej fantazyi dzieła, lecz istotnie żywe Hollendry, najrzetelniejsze uliczniki, istne Krakowiaki z całą indywidualnością i prawdą.

Widzisz więc w całym wątku listu tego, dotychczas przebieżonym, potwierdzenie pojmowania naszego o ideale. Powiedzieliśmy, iż ideał jest pogodzeniem ducha i rzeczywistości, iż on zrywa stosunki z doczesnością, że jest całością duchową w sobie, a przecież nie może być wymysłem samowolnym fantazyi, lecz zachować winien prawdę, indywidualność. Są to dwa główne pierwiastki ideału, dwa jego koniecznie warunki. A widziałeś zastosowanie ich, gdyśmy wspominali powyżej o portretach, jestestwach żyjących, okolicy, góralach szkockich, wystawie scenicznej, mistrzach niderlandzkich, Murillu i Stachowiczu; a dalszy ciąg listu tego jeszcze więcej nam tę istotę ideału unaoczni.

Jeżeli już w tój sztuce obyczajowej, co w izbie czeladnej u piękności przesiaduje, rzeczywistość dla ideału nie wystarcza, témci mniej we wznioślejszych sferach sztuki. Jakoż opuszczając już obrazy i powieści obyczajowe wyższego rodzaju, zwracam uwagę na obrazy starój

szkoły niemieckiej i niderlandzkiej, na one arcydzieła, jakie nam zostawili upominkiem obaj *van Eycki*, *van der Goes*, *Messis*, *Schoreel*, *Dürer*, *Holbein* i tylu innych — i jakie znaleźć możesz w zakrystyi naszego kościoła Maryackiego. Otoż ze słusnością zaiste tym starym Niemcom i Niderlandczykom zarzucają zbytne trzymanie się rzeczywistości. Za pierwszym rzutem oka na to koło apostołów i mężów świętych przez nich malowanych, znać, iż to żywe portrety; twarze ich jawnie niemieckie i wprost z życia wzięte, i w obraz postawione; ale również znać, iż to jakiś świat wyższy tchnął na te oblicza i zdmuchnął z nich prochy doczesne. A ten wyższy ich świat poznasz, gdy porównasz tych apostołów i świętych z fundatorem obrazu, z człkiem świeckim, umieszczonym także niekiedy obok nich na obrazie. Choć on klęczy i ręce pobożnie składa, i na twarzy pełen bogobojności, serdecznego nabożeństwa i ducha chrześcijańskiego, toć przecież znać, iż to jest człowiek, co się z życiem ziemskim zmierzył, a potykał się z niejednym trudem.

Bo któż zaprzeczy, iż wiele np. twarzy w rzeczywistości, albo prawie wszystkie, zdołają wyrazić skromność, bogobojność, skruchę: mogłyby się tedy nadać do obrazu religijnego; — ale cóż z tego wszystkiego, kiedy oprócz tej skromności, skruchy, bogobojności, te twarze wyrażają wiele innych jeszcze uczuć, pochodzących z ich rzeczywistego życia, z passowania się ze światem — nie mogą być tedy żywcem przeniesione w ideał; bo w nim to jedynie być powinno, co jest ducha wyrażeniem; co nadto, jest niepotrzebne, a zatem psujące całość. Trzeba tedy wynieść te figury z rzeczywistości, poprzerzywać ich stosunki ze światem rzeczywistym, uczynić je niezawisłymi od niego.

Co tu o obrazie i rzeźbie mówimy, stosuje się i do poezji. Znajdziesz w historii ludzi zdolnych być bohaterami w eposie lub tragedyi, a w życiu zwyczajnym spotykasz ludzi mogących być wybornie przedmiotem romansu lub komedyi: ale rzecz jasna, że przenieść ich w sztukę zupełnie nie można w tej formie właśnie, jak ci się w rzeczywistości podobają. W sztuce wyświecisz ich charakter poetyczny, podniesiesz ich do potęgi, a obierzesz ze wszystkich czczych drobnostek, rozpalisz ich barwę właściwą, czyniącą ich dla sztuki osnową. Anibym się ważył przeczyć, iż wiele jest dam, nawet z tych, które mamy szczęście znać, mogących być z piękności swojej śmiało przeniesionemi w obraz, służyć za modłę jakiej Minerwy, Junony, Wenus: ale cóż, gdy na twarzy tych rzeczywistych dam wiele jest jeszcze wyrazu, nie mającego najmniejszej styczności z błogim Olimpem. Cóż dopiero mówić o sztuce chrześcijańskiej, gdy przyjdzie stworzyć figury świętych postaci? Czyliż w obrazie np. Najświętszej Panny, tylko o samą piękność cielesną chodzi? a nie raczej o ducha, który oblicze Matki dziewicy prześwieca, co gore najczystsza miłością macierzyńską ku dziecięciu swemu, tudzież przejęta jest grozą uszanowania dla Boga swojego; a uczucie niegodnej służebnicy i szczęśliwość niebiańska Boga-Rodzicielki waży się w tém obliczu nadziemskim. Ta ducha niepokalanego wysokość jest wzniesiona ponad gwiazdy i serce człowiecze i nie może się wyjawiać na twarzy niewiasty rzeczywistej, choćby najwyższych uroków, bo w tej, oprócz piękności, świeckie i światowe stosunki, cierpienia i roskosze, żale i nadzieje ziemskie ciężkiem przeleciały skrzydłem.

Widzisz tedy, iż ideał mistrza nie przebywa w tém

pstrém a zmienném kole zewnętrznego świata, on go z głębi swojej fantazyi dobyć powinien. Czuł tę prawdę ów kochanek a namaszczeniec najwyższej piękności, Rafael, co w liście do hr. Castiglione przy sposobności Galatei swój tak się wyraża: „Io mi servo di certa idea che mi viene al mente.“ — Zaprawdę, ta to idea jego niebiańska, w tajnikach jego istoty świecąc, zjawiała niu się przed oczyma duszy w postaci Boga-Rodzicy, odzianej całym cudem niebiańskiego uroku, w postaci lekkiej, powietrznej, zrodzonej z woni rajskich kwiatów i westchnień aniołów: a tak stworzone są Madonny jego. Uważ, iż po wszystkie wieki ideał wypływa z toni ducha mistrza, bo zrodzony jest z głębi jego fantazyi: tak było i w świecie pogańskim, w sztuce greckiej; patrz na on złoty piękności wiek Hellady, gdy Peryklesa, jakby gwiazdy jasne, otaczał wieniec wielkich ludzi. Jedną z tych gwiazd był Phidias, którego duch, na olbrzymią miarę stworzony, ogarniał sobą cały piękności świat. Cycero, ów Rzymianin, co pochylony nieszczęściem kraju swojego, w szarej godzinie życia i ojczyzny, lubił marzyć o Grecyi i tęsknie obziierać się na lata tam spędzone w młodości swój, temi słowami wyraża się o ideale i Phidiasu: „Już ja tego nie jestem zdania, iż w żadnym „rodzaju nie ma nic tak pięknego, nad coby nie można „pomyśleć wyższej jeszcze piękności, której tamto jest „tylko niby odbiciem i wizerunkiem. Ale tej wyższej „piękności, ani oczami, ani słuchem, ani żadnym zmysłem „dostrzedz nie podobna: zdołamy ją tylko pojąć myślą „i duszą. Tak lubo zaiste nic doskonalszego widzieć nie „można, jak posągi Phidiasa i obrazy wyżej przeze mnie „wspomniane, ale przecież w duszy jeszcze piękniejsze „wyobrazić sobie można. Ani też Phidias, gdy tworzył

„Jowisza lub Minerwę, nie zapatrywał się na nikogo, „biorąc sobie go za wzór do naśladowania: lecz w duszy jego tkwiła najwyższej piękności modła jakowaś, „w którą się wpatrując, w której tonąc mistrz, ku niej „kierował rękę i sztukę swoją.“ (*) Wyznaj, iż ustęp ten jest arcy ważny, i dla tego ci go w całości przytoczyłem. Widzimy wyraźnie, iż owa „certa idea che mi viene al mente“ Rafaela, i ta Cycleronowa czyli Phidiasowa „mente insidens species pulchritudinis quaedam“, są zupełnie jedno i to samo, są ideałem. Przypominam ci tutaj owo wzniosłe stanowisko Platona, pojmującego ideał jak przypomnienie duszy z olimpijskiego żywota (*ob. List VI*). A Phidias, Rafael i Plato są zaiste powagą w państwie sztuki. Widzisz tedy, iż ideał nie jest zbiorem piękności porozrzucanej po wielkiej liczbie postaci rzeczywistych, ale że w całości z ducha wyrasta, że jest zrodzeniem fantazyi natchnionej, że jest w zachwyceniu jej poczętym.

Lecz jeżeli istotnie ideał jest rzeczywistością wprowadzoną przez fantazyę mistrza w nadziemskie ducha krainy, jeżeli iście z téj rzeczywistości spadają okowy

(*) Sed ego sic statuo, nihil esse in ullo genere tam pulchrum, quo non pulchrius id sit, unde illud, ut ex ore aliquo, quasi imago, exprimatur, quod neque oculis, neque auribus, neque ullo sensu percipi potest: cogitatione tantum et mente complectimur. Itaque et Phidiae simulacris, quibus nihil in illo genere perfectius videmus, et his picturis, quas nominavi, cogitare tamen possumus pulchriora. Nec vero ille artifex. cum faceret Jovis formam aut Minervae, contemplantatur aliquem, e quo similitudinem duceret: sed ipsius in mente insidebat species pulchritudinis eximia quaedam, quam intuens, in eaque defixus, ad illius similitudinem artem et manum dirigebat. (Cic. Orator.)

ciężkie rzeczy tutecznych, jeżeli ustaje i rozrywa się wszelkie pokrewieństwo z doczesnością, jeżeli ideał się staje osobną niezawisłą całością: więc nie dziw, iż też do tych wysokości nie dochodzą westchnienia ziemskie, że tam nie zagości rozpacz bez nadziei, ani boleść bezdenna. Dzieła sztuki, mówi Schiller, ideały, są to cienie i duchy tamtego świata, mieszkańce niecierpiętliwe pól elizejskich. Więc już rozumiesz, iż wszelkie boleści rozdzierające serce, wszelka rozpacz i wszelkie cierpienia bez granic, nie mają miejsca w sztuce. Ideał ma swoje cierpienia, i boleści i łzy: bo jest z rzeczywistości wzięty, ale one łagodzone są ducha poświęcą; a duch jest nieskończony, a duch jest nieśmiertelny, więc też i cierpienia i boleści zniweczyć go nie mogą. W życiu rzeczywistém człek upada pod brzemieniem swych nieszczęść, wije się w prochu poniżenia swojego, sęp boleści wbija w duszę rany nieskończonego żalu, serce pęka, i śmierć pełna rozpaczny kończy niekiedy żywot nasz. Lecz w ideale poprzez łzy i cierpienia świeci nieśmiertelna ducha szczęśliwość. Bo ideał jest rzeczywistością i duchem zarazem; w nim styka się doczesność i świat tameczny, znikomość i wiekuistość; on nie podlega tedy boleści i nieszczęściu bez granic.

Jak muzyka nie wyraża boleści krzykami, jękami szorstkimi i przeraźliwym rażącym dźwiękiem, ale boleść ciężka, twarda, topniejąc tonami pełnemi ciepłej harmonii, rozplywa się rzeką melodyi tęsknej, rzewnej; podobnie harmonia i piękność ideału uswięca boleść w innych sztukach wyrażoną, jako w malarstwie, rzeźbie i poezji: jest to wielko-środkowe kwilenie się płaczących aniołów nad śmiercią Syna Bożego w kaplicy syxtyńskiej w Rzymie, gdy z każdym psalmem jedna z trzynastu

świeć na ołtarzu gaśnie, niby gasnące gwiazdy w przebitém sercu Matki Bolesnej. Spójrzysz na rzeźby greckie, a wszędzie znajdziesz, iż rozpacz, skon i całe okropności rozdzierające dusze rzeczywistych ludzi, w ideale miejsca nie mają. Nawet bardzo wątpliwą jest rzeczą, czyli usta otwarte samego Laokoona otoczonego węzami znaczą krzyk mniej szlachetnej rozpacz. A w tragediach onych starych wieszczów greckich masz tego cudnej piękności przykłady; we wszystkich powiędza duch pociechy, a nieśmiertelny wieniec spuszcza się z obłoków na skronie umierających bohaterów. Rozumiem, że nic tak nie maluje pojmowania Greków w téj mierze, jak *Oedipus w Kolonos* Sofoklesa. Oedipus bez wiadomości obciążył się podwójnym grzechem, bo kazirodztwa i ojcobójstwa zbrodnią. Gdy prawda ta w całej okropności swojej stanęła przed duszą jego, gdy wejrzał w całą otchłań nieszczęścia, gdy od srogich synów z tronu wyzuty, własną ręką dotknął się oczu swoich, wydarłszy je z ich stolicy, wypuścił z duszy jasny wzroku źródło, i samowolnej ślepoty się poświęciwszy, wiekiem i okropnością zsiwiał starzec, o kiju idzie w świat daleki, obcy, szukać przytułku. Początek naszej tragedyi zaczyna się właśnie od chwili, gdy Oedipus, na córce swéj Antygonie wsparty, doszedł świętego gaju poświęconego Eumenidom, onym boginiom pełnym zgrozy. Wątek jej zupełnie prosty, ale najwyższej piękności. W cieniach nocnych gaju tego jest wstęp do podziemnego państwa, kędy już nie ma boleści, a oddech tamtego świata chłodzi cierpienia. Tu czekają go bogowie, by się z nimi i z sobą pojednał, i uprowadzają ze skwaru doczesnego żywota w państwo nieznaną łez. A gdy córki rozpaczają, iż w samotności na świecie zostać muszą, pociesza je chór, mówiąc:

„Gdy łaską rozwiązały się kończyny żywota jego, uciszcie więc boleści głos. Wszak każdy tak snadnie w nieszczęście wpada!“ — A Tezeus później dodaje: „Utulcie wołanie żalu! ani dzieci ubolewajcie nad ojcem, bo łaska-wość świętą obtuliła go ziemią, a bezbożnością byłyby skargi i płacze.“ Iście, śmierć bez cierpień i boleści, gdy człek pod skrzydłem bóstwa w inny świat się przenosi, jest najwyższem szczęściem, które człowieka na tej ziemi spotkać może.

Tak w starożytniej literaturze, zwłaszcza w Sofoklesie, znajdziesz nieprzebrane skarby tej wysokiej poezyi. A radbym też kiedy mieć sposobność porównania w tych listach moich Sofoklesa, największego wieszczą świata dawnego, z Shakspearem, największym poetą literatury chrześcijańskiej. Tu atoli, nie zbaczając z osnowy mojej, przypominam, jak Shakspeare, mając w tętnie i we krwi uczucie najwznioślejsze ideału, duchem swoim, jakby instynktem, odgadł i zrozumiał ducha przeczystej piękności, rzucając kwiaty czarodziejskie na cierpienia okropności pełne. Tak w *Reomeo i Julia*, w końcu, gdy już — już cała czynność śpieszy do rozwiązania swojego, Romeo widząc Juliettę swoją w grobowcu martwą i bez życia — powiada: „Bo tu spo-
 „czywa Julia, a piękność jój napełnia ten nocny śmierci
 „przybytek jasnością promienną. Czyliż ludzie, stanąwszy
 „nad śmierci progiem, raz jeszcze rozweselą się radością?
 „Świadkowie umierających powiadają, że to jest niby
 „ostatnia błyskawica w śmierci obliczu. Och, jabym
 „wesele to moje nazwał błyskawicą taką! żono moja!
 „Śmierć, co wyszała słodycze tchu twojego, nie wywarła
 „swój potęgi na cuda uroków twych. Ona nie odniosła
 „jeszcze nad tobą zwycięstwa! oznaki piękności purpurem

„powiędają jeszcze na ustach i na licach twoich. Tu „nie posunęła się skonu chorągiew błada... Tutaj ja „zostanę i już nie opuszczę tych ciemności pałaców, tu „złożę ciężkie zwłók brzemię, i strącę jarzmo nienawist- „nych gwiazd z ciała znękanego światem. Wy oczy, „spójrzycie ostatniem spojrzaniem! wy ramiona, weźcie „uściśnienie ostatnie! i wy usta, oddechu wrota, ucałowa- „nia waszego pieczęcią potwierdźcie wieczny zapis lichwią- „cój śmierci!“ A w końcu dwaj ojcowie wrogich sobie rodzin, Capuletów i Monteków, nad ciałem dzieci podają sobie ręce; ich nienawiść spaliła rozpacz. *Capulet*: „Bracie, podaj mi rękę bratnią“ i t. d.

A w *Hamlecie*, gdy Hamlet umiera, Horatio powiada: „Teraz pęka szlachetne serce — dobra noc królewiczu drogi!“ W tych kilku a prostych wyrazach zebrana jest cała treść życia i skonu. Tak, gdy opona zapadnie na ostatnią scenę tragedyi, każdy rzeknie: *wykonało się*, i położy kwiat na trumnie ofiary doczesności.

Przypatrzmy się wszystkim wielkim mistrzom, a wszędzie obaczym boleść uszlachetnioną, uzacnioną; bo chmury, słoty i pioruny ciągną nad dolinami ziemskiego żywota; do jasnych zaś szczytów ideału nie dochodzą ani słoty, ani chmury czarne, ani gromy piorunów, a ze suchego drewna krzyża cierpień doczesnych wyrastają wonne niebios uciechy. Ale poezya, już dla samej istoty swojej, może rozedrzeć tajnice uciech naszych, bo je znów następnie ukoić i ułagodzić zdoła, bo płynąc rzeką swych harmonii unosi nas, to przez czarne i pełne zgrozy przepaści skalne, to znów wyprowadza w promieniste szerokie doliny, lub przypływa w cienie gajów świętych, gdzie rozboleła serce nasze, jakby Edyp, jedna się z Bóstwa majestatem, co przebywa w toniach serca na-

szego. Rzeźba jednak i malarstwo, mogące jedną tylko chwilę uchwycić i tę już na zawsze w dzieło wcielić, trudniejsze mają powołanie. Żołdactwo i siepacze, otaczający Chrystusa Pana, we formie jak ich widzimy na dawnych obrazach niemieckich, są jakby dźwięki przerażliwe fałszywej struny wdzierające się w harmonią ideału. Najwyższy geniusz tu jedynie poradzić przedmiotowi tego rodzaju zdoła.

W tej chwili przypominam sobie dwa obrazy jednego i tego samego mistrza; oba są arcydziełami *Girodeta*, oba po dziś dzień jeszcze zbierają w Paryżu tłumy czcicieli około siebie, oba nam się za przykład nadadzą. Jeden wystawia scenę z potopu, drugi scenę z Atali. W pierwszym wody zalały świat; na przodzie trup, kołysany igrą rozhukanych bałwanów; — samotna stroma skała sterczy wśród oceanu — na niej wyrasta drzewo. Mąż w sile wieku, dźwigając na barkach swoich ojca strętwiałego starca, jedną ręką trzyma się onego drzewa, drugą podaje młodej i pięknej małżonce, przytulającej niemowlę do piersi swoich. Lecz syn starszy, chwyciwszy z przestachu włosy matki, przechyla ją wstecz; — ona traci równowagę; małżonek z wyrazem okropności, natężając ostatnie siły, zatrzymuje przepadającą żonę: wtém drzewo ciężarem nagięte łamie się, — i cała ta grupa osób już, już spada w otchłań przewalających się fali. Jest to scena wstrząsająca sercem do dna, i, mimo mistrzostwa swojego, rani duszę dźwiękiem przeraźliwym i pełnym okropności. Wręcz przeciwnie wrażenie sprawia drugi obraz *Girodeta*, wystawiający pogrzeb Atali. Widz postawiony niby w jaskini ciemnej, obliczem do jej wchodu obrócony; na przedniem tle, pod jaskini sklepieniem, wykopany grób. Chaktas

i pustelnik, spuszczają ciało dziewicy w łono ziemi. Młodzieniec, roztopiony cichym wewnętrznym płaczem, przytula twarz swoją do kolan umarłej kochanki, a starzec w niemęj boleści cofnął w głębie duszy serca smutek. A w dali, na jasności lasem obrosłego pagórza, świeci krzyż, — koniec boleści wszelkiej.

Znasz zapewne „zaśnięcie Najświętszej Panny“, tak pełne słodyczy arcydzieło Schoreela; tu we figurach naokoło stojących nie ma rozpaczy; albo się wpatruj pilnie w ołtarz wielki Maryackiego kościoła i podziwiał tę świętość i błogość figur otaczających Boga-Rodzicę, co, chyłąc się ku ziemi snem znękana i tonąc w marzeniu anielskiem, porzuca życie doczesne. Radbym iście mieć jeszcze sposobność pomówienia z tobą szeroko o tém niedościgłym dziele sztuki.

Sztuka oddycha na wysokościach, kędy nie docho-
dzi okropność ziemskiego żywota: tu nie dosłyszysz
krzyku rozpaczy bez końca. W komedyi nawet, kędy
przecież jedynie o żarty chodzi, rzecz nie powinna się
rozwiązywać zponiewieraniem zupełnym figur. Tu komi-
czność, a wcale nie obracanie w śmieszność, nie szy-
derstwo, drwiące sobie kosztem drugich, miejsce mieć
może; bo komiczność, lubo wykazuje obłąd ludzi, prze-
cież unika zniweczenia zupełnego figur swoich. Potrzeba,
żeby figury komedyi, choć się przekonają o swęj po-
myłce, ostać się jeszcze w sobie mogły, żeby zdołały
przenieść na sobie i przetrwać przeciwny im obrót rze-
czy. Ztąd wynika, iż ludzie z gruntu źli i ladaco nie
mogą być nawet i w komedya wprowadzeni. Komiczność
bynajmniej nie na tém stoi, by zgnębić, zetrzeć złośli-
wość i brudy moralne, lecz raczej na tém, by wykryć
sprzeczność w jakiej się niekiedy stawia indywidualność

człowieka z prawdą ogólną lub rzeczywistością. Najwyższym przykładem komiczności jest *Don Quischo*; tu ciągle występują te sprzeczności: wszelako, wśród zawrotów umysłu i mgły obłąkania, strzela błyskawicą światło szlachetnej i zacnej duszy. A dopiero ów nieporównany *Sancho*, co jakby odwrotnym biegunem pana swojego i wręcz jemu przeciwny będąc, jest najgenialniejszym dopełnieniem, bo stroną odwrotną jego.

Nie tu miejsce, bym rozbierał istotę komedyi i komiczności; podam tylko dwa przykłady z naszego *Fredry*. Któż nie podziwiał arcydzieła jego *Damy i Huzary*? Otóż pan Major, pan Rotmistrz i Grzegórz, wygadują naprzód na małżeństwo i kobiety, pod niebiosy wynosząc stan wolny i roskosze jego: niebawem zjazd panny Zofii, panny Anieli i Fruzi, miesza szyki Huzarom. Każdy z tych panów staje w sprzeczności ze sobą samym i widzi śmieszność swoją i błąd, iż nastawał na małżeństwo jako prawdę ogólną, bo huzary kochają się, chcą się żenić, i w tém druga pomyłka: bo w ich znów wieku małżeństwo staje się niedorzecznością. Komiczny zbieg okoliczności, wyrazy starego Remby, stawiają ich w końcu powtórnie w położeniu komiczném względem siebie samych; jakoż poznają znów sprzeczność między postanowieniem swoim a rozsądkiem. Wracają więc do rozumu, widzą pomyłkę swoją i poblądzenie: ale choć ich prawda zwyciężyła, nie zabołała ich do żywego; znoszą ją wesoło i z lekkim sercem żartują sami z siebie. Tak pełni radości cieszą się z sobą i śmieją, a pani Orgonowa wchodząc pyta się: „Cóż tu za wiwaty?” Rotmistrz wesoło odpowiada: „Obchodzimy powrót rozumu!” A zacny Major kończy rzecz całą zarysem pełnym szlachetności. Przeciwnie w komedyi *Odludki* i

Poeta rzecz inaczej ułożona: bo rozwiązuje się na tém. iż Czesław z twarzą zmartwychwstałego staje się dobroczyńcą młodych kochanków, a Astolf, drugi odludek, smętniejszy jeszcze, powiada:

„Sam, sam jestem na świecie, postrzegam w tój dobie,
Ten równie nieszczęśliwy pociechę otrzyma,
Dla mnie tylko natura i uśmiechu nie ma.
..... Koni! bo sobie w łeb strzelę!“ (odchodzi)

W tém wszystkiém przeto nie ma nic komicznego, jak mi sam przyznasz; ten Astolf to człowiek moralnie zabity, wskrós zniweczony. Mniejsza atoli już o odludku. Im więcej wpatrzysz się i wyczytasz w dzieła Fredry, tém coraz nowych dostrzeżesz skarbów prawdziwej komiczności; i zaiste nie wiedzieć co w nim więcej podziwiać, czyli tę jego głęboką znajomość świata, życia i serca ludzkiego, czyli też mistrzowskie użycie tych nabytków i prawdziwie artystyczne ich powiązanie. Myślę że i najbogatsza z literatur europejskich jeszcze mogłaby się poszczycić pisarzem, jakim jest Fredro.

Otóż rzuciłem ci główne zarysy istoty ideału w ogólności uważanego. Ale ta istota jego winna być zastosowaną do oznaczonego dzieła; wymaga tedy określenia w szczegółach.

Zrada się zatem tutaj przedewszystkiém pytanie, w jakich różnych sferach mistrz może znaleźć ideał swój? Jak stwórcza siła wiekuistego Ojca objawia się w błyskawicznych pomysłach wielkiego człowieka, i w drganiu proszku zawieszzonego na słonecznym promieniu, tak twórczy duch mistrza uobecnia się równie na najwznioślejszych ducha jaśniach, jak na zapadłych ponizach natury; wszędzie zdobywa sobie swój przedmiot

i wszędzie zatyka sztandary zwycięstwa i podbojów swoich. A ztąd powstają różne sztuki stopnie.

W świecie dawnym nie ma jeszcze wyraźnego stopniowania między sztuką; bo tu rzeczy Boskie i ludzkie zwinięte z sobą drzemią, a świat wiekuisty i doczesny jest nierozdziérzgniony z pierwotnej swój jedności; człowiek przez sen swych zmysłów marzy, a Bóstwo z łona ziemi przemawia wyroczeni ustami; Olimp wesołą drużyną swych Bogów otacza młodzieńczą myśl świata. Tu człowiek nie doszedł jeszcze do rozróżnienia rzeczy niebieskich od ziemskich, nie doszedł do wyraźnego poznania różnicy między sztuką religijną a światową; ta różnica zrodziła się dopiero, gdy umierający Bóg spójrzył z wysokości krzyża na świat. Świat poruszył się w swych posadach, a z objęcia sennego zmysłów wywinęła się swoboda ducha i sztuka Religijna. Bo jak na powiewy wchodzącego ciepła i światła zadygocą drzewa i gałęzie i wszystkie liście boru, tak myślą o Bogu zadygocą i drgają serca wszystkich ludzi, wszystkich narodów i wieków. Bóg słyszy i rozumie to serc drganie, i mowę wieków i wszech ludów westchnienia, a świat modli się Bogu najzacieńszemi swój sztuki dziełami: bo sztuką Religijną, uzmysławiającą świętość. Ale Bóg-Ojciec, Bóg przedwieczny i bezcielesny króluje na wysokościach nie-dościgłych dla sztuki, a ideał poczęty w duchu człowieczym, choć nieśmiertelném skrzydłem wzgóre się ma, przyciśniony atoli postacią zmysłową ziemską darennie pracuje, by się wzniosł do Bożej stolicy na najwyższém niebie. Lecz Bóg-Syn, Bóg wcielony, Zbawiciel, zstąpił ze szczytów wieczności, przybrał ciało, a ideał sztuki stworzył wizerunek Boga-Człowieka. Na miejsce bogów, co rozplynęły się obłokiem, zajaśniała wśród ludzi postać

Królowej niebiańskiej, i koło mężów, niewiast duchem Bożym natchnionych, i postaci świętych, apostołów, uczniów, męczenników pańskich; a na miejscu oniebiałej już wyroczni zabrzmiały jasne proroków usta i rzewnością zapłakały hymny i psalmy święte.

Chceszli wiedzieć i czuć czém jest sztuki świętej, religijnej majestat? — wstąp do przybytku katedr naszych katolickich, ale wstąp z sercem pełném wiary. Tu w jedno ognisko zebrane, na co tylko sztuka najwyższa zdobyć się może. Jak niemowlę przejmuje się dreszczem radości, gdy głos matki usłyszy, tak dusza zdrzży tęsknotą wiekuistości, gdy ją tutaj owieją tchby innych światów. Tu słupce i kolumny śmiałym strzałem ulatują ku niebu, niby modlitw kamiennych oniebiałe nabożeństwa, a rozwijając się u szczytów jakby gałęzie palm pokoju, łączą się z sobą sklepienia łukami; a w przestrzeniach tych wysokich, rozległych, niby szepty liści gaju, unoszą się uskrzydłone westchnienia i ciche płacze ludu. Przez wyniosłe okna i malowane szyby, grą tysięcznych promieni wpływa światło niebios rozlewające się oceanem po świątnicy, i bije falami wszystkich tonów jasności i cieniów i szarą pomroką wieczora, a łamie się, świeci i cieniuje po gankach wysoko zawieszonych, dzierganych, fantastycznych kamiennych gzymsach... Jest tu wizerunek różnaitości i ładu, poetycznej fantazyi i harmonii. Pokój pański zstąpił w ten przybytek i w serce ludu korzącego się Bogu. Rzekłbyś, żeś stanął w przysionku wieczności; uciechy, boleści i nadzieje doczesne, wszystko w duszy umilkło. A wążenie się uczuć naszych, co wiecznie się w nas kołysze, teraz się przechyla; szala rzeczy ziemskich tonie w zapomnieniu, a szala rzeczy niebiańskich wznosi się wie-

kuistości nadzieją. — Słuchaj: jęknął grzmiący organów głos; chór zabrzmiał hymnem i psalmem na chwałę Panu na wysokościach, a Pan przybywa na wichrów i piorunów wozie; toczy się muzyka i śpiew jakby bałwany rozkołysanej powodzi świata, a napełnia przestrzenie wszystkie, odbijając się o sklepienia, łuki i słupce wzniosłe. Świątelnica pełna głosów, — to wzdychają, sączą się, kwilą pieśnią tęskną, to znów rosną, wzdymają się i kołyszą burzą i gromem. A w tych głosach słyszysz modły, prośby natury całej i miriadów ludzi, i tych co byli, i są, i co będą. Tu czas stracił panowanie, tu wieczność osadziła stolicę swoją. Z pod ostrołukich sklepień głowy słupców zadumane patrzą się na klęczący lud. Na wysokości ołtarza rozpięty Chrystus Pan, obliczem pełnym miłosierdzia rozgrzewa nadzieją i miłością duszę, roztopia najtwardszych serc mrozy strumieniem łez; z nisz i ze ścian świętych jaśnieją malowane obrazy i wymowne postaci niemych posągów, co marmurowymi ustami przemawiają o tajemnicach wiary, o głębinach niezbadanych ducha człowieka i przeznaczenia świata. Tu na tej ziemi żyjesz a widzisz postaci niebiańskie, zaglądasz w życie nieśmiertelne, widzisz je cielesnemi oczyma swojemi i słyszysz słuchem twojego ciała.

Zaiste, tać jest wszechmocna potęga sztuki religijnej, bo ona jest szczytem sztuki wszelkiej. Gdy bowiem w sztuce wyraża się nieskończoność i bezwzględna prawda pod postacią zmysłową; więc też sztuka religijna uzmysławiając najwyższą nieskończoność, to jest Boga samego, staje się zarazem najwyższym sztuki szczyblem. Ideał tu jest w najwznioslejszej swojej sferze. Lecz sztuka religijna, jedynie na gruncie wiary serdecznej urość i

rozkwitnąć może; gdzie tój nie ma, nie ma też sztuki religijnej. Protestantyzm zrodzić jedynie sztukę historyczną zdoła; a gdy we Francyi lampa wiary się wywróciła, sztuka zajęła się ubóstwianiem, apoteozą człowieka wieku: piastą jój stał się Napoleon.

Jak słońce jasność swoją nie po samém tylko niebie rozlęwa, i na niém zapala gwiazdy niby świece w przybytku bożym, lecz i na ziemię spływając, gore na szczytach alpejskich, a ztamtąd tonąc w zapadliny ziemskie, zazięra ciasnym okienkiem pod niską strzechę człowieka; tak i ideał zstępuje na ziemię i stwarza sztukę światową. Czem są w sztuce religijnej męże święte, duchem bożym natchnione, tém w sztuce ziemskiej są wielcy ludzie, wielkie figury historyczne, mające już jasną wiedzę tego, co w reszcie świata spoczywa jeszcze bezwiadomie na dnie serc wszystkich, jakby ziarno przyszłej historii. Takie figury w dziejach świata wyobrażają w swój osobie narody całe i całe wieki: a co w innych ludziach jest dopiero boleścią, nadzieją mglistą, uczuciem, mdłym instynktem, u nich staje się myślą, potęgą zgadującą czasy, co idą, pojmującą pulsa wieku i będącą wyrocznią świata, tudzież wolą silną, działającą. Albo też ideał chwyta ludzi wielkich charakterów, w których potęgą się wzmogła jedna z ciężkiej wagi prawd, jako: chęć sławy, przywiązanie rodzicielskie, synowskie, cześć dla prawdy i słuszności, miłość, przyjaźń, i tym podobne prawdy poruszające serce człowiecze, a którym się owe wielkie charaktery poświęcają i życie za nie dają. Tak psalmy, hymny kościelne, obrazy i rzeźby święte, zamieniają się na dzieła sztuki światowej, na ody wzniosłe, na epopeje, tragedye, na posągi i popiersia czczące pamięć ludzi jasnej chwały. Tu należy także malarstwo

historyczne, będące apoteozą wielkich mężów i wielkich czynów. Podobnie muzyka kościelna, święte oratoria, w sztuce światowej stają się arcydziełem muzyki scenicznej i opery, lub pieśnią poruszającą państwa całe i ludy (jak *Rule Britania*, — *Gode save the king*). A architektura katedr i świątnic zamienia się tutaj na budownictwo świeckie, dźwigające grody, pałace rządowe, gmachy publiczne, teatra, galerye, biblioteki, akademie, które kraj cały na chwałę swoją stawia. Te są zjawienia ideału w sztuce światowej. Lecz sztuka ta ma jeszcze inne poniższe szczeble, bo nawiedza poziomą sferę życia codziennego i prywatnego, w którym architektura stawia skromne dworki, domki sielskie, szałasze tatrzańskie, dzwoniące altanki chińskie, mosty ogrodowe, domy schludne po miastach. A malarstwo stwarza obrazy obyczajowe, bamboccyady niderlandzkie. Poezya zaś téj sfery staje przed nami w kształcie romansu, powieści, komedyi. Rzeźba stawia nagrobki, pomniki przyjaźni i t. d.; a Muzyka zawtóruje wesołym pieśniom i przygrywa tanom hożym.

LIST X.

Świat właściwy dla ideału, Sytuacja, Kollizya, Działanie, Pathos, — Charakter.

Stan społeczny stosowny do ideału. — Dzieje Polski. — Mordelion Kaczkowskiego — Świat sielankowy — Wiesław Brodzińskiego i starzy sielankarze polscy — B. Zaleski, W. Pol. — Czasy bohaterskie Grecyi — Wieki romantyczne. — Cooper — Walter-Skot. — Romanse morskie, powieści ukraińskie.

Działanie ideałów. — Sytuacja. — Panteony chrześcijańskie. — Indye i Egipt. — Figury ze sytuacją spokojną. — Przykłady z rzeźby klassycznej i nowoczesnej. — Małgorzata we Fauście. — Julia Shakspeara. — Kollizya — Powody które wywołują kollizyę. — Powody przyrodzone. — Iphigenia, Hiob, Prometheus, Quasimodo. — Rebeka Walter-Skota, Ofelia. — Kollizya wywołana czynem. — Potęgi porywające człowieka do działania — przykład na tragedyi: Romeo i Julia Shakspeara.

Złe. — Powody działania w sztuce. — Pathos. — Miłość. — Charakter. — Achilles — Romeo. — Wallenrod. — Mohort Pola, Ks. Radziwiłł Rzewuskiego i Chodźki — Kraszewski i Korzeniowski.

Pożegnanie czytelnika.

Pewnego razu, właśnie pod chwilę wieczorną, około kopalni Falunu w Szwecyi powstał znienacka ruch nadzwyczajny. Kobięty, dzieci, górnicy, starcy, ożyli ja-

kimś pośpiechem, zbiegając się zewsząd hałaśną cizbą i rozprawiając z sobą — a wszyscy zbierali się w jedno miejsce, jakby wspólne ognisko swęj ciekawości i trwogi. Niesłychane jakieś dziwo przydarzyć się musiało! Bo zaledwie te głośnie tłumy stanęły kołem, a już każdy, cofnąwszy głos w siebie, umilkł zgrozą i podziwieniem, i niemy wpatrywał się w osobliwe zjawienie. Wśród koła osłupiałych cichych widzów, spoczywał leżąc na murawie młodzieniec, niby głębokim snem uspiiony: odziany był obcym strojem, nieznanęj twarzy. Nikt nie zaznał tych rysów jego i tęj młodocianęj postaci: odzież i bielizna świeża, nowa — a ciało było miękkie w dotykaniu. Znaleziono go na dnie trzysta stóp głębokiego szybu, gdzie wody siarkowo-metaliczne przesiąkły ciało jego i ochroniły od zepsucia. Z ciemnicy podziemnej wyniesiony na jaśnią dnia, zadziwał zjawieniem swojęm; późne, jemu obce, pokolenie nie zasłyszało nawet podaniem o tęm nieszczęściu biędnego górnika. On, co do imienia nawet wygasł w pamięci ludzi i umarł nawet w ich mowie; teraz leżał niepoznany, zimny, martwy, niezrozumiany wśród cudzego mu świata; postać jego w żadnęm sercu nie zbudziła już wtórujących dźwięków, w żadnęj duszy nie odezwał się współczucia głos. Sam jeden, spokojny i niemy wśród żywęj społeczności ludzi, co teraz głuchym i przytłumionym szmerem obstała go ciekawą gromadą. On był zaiste towarzyszem młodości ich dziadów. — Ale gdy już cichym szeptem nawzajem się pytają, ktoby mógł być ten młodzieniec, kiedy daremnie badają wspomnięni starców zgrzybiałych — patrz, jakaś matunia na kulach, złamana wiekiem, okryta bielą późnęj siwizny, chwiejąc się, drząc, przydzwiga się wiedzona natchnieniem niewypowiedzianego przeczucia.

Z łękiem w sercu, z nadzieją i boleścią w oczach, już precisnęła się przez widzów grono — topi wzrok przygasły i duszę w bladym obliczu martwego młodzieńca. Znała te jęj omdlałe oczy zatliły się błyskawicznym ogniem, z najgłębszego duszy dna wystrzelił rumieniec na twarz, i z jękiem, w który się cała jęj przeszłość wcieliła, rzuca się na umarłego młodzieńca, pokrywa zimną twarz jego gorącym pocałowaniem i rzewnemi łzami bolesnej radości. — To jest narzeczony jęj! to jęj kochanek! — On przed pół stuleciem był jęj zaślubiony, i właśnie przed samemi godami weselnemi zginął gdzieś z powierzchni ziemi. Nikt wtedy nie przeczuwał, iż młody górnik samotnie spuszczać się w otchłanie kopalni zapadł się w jęj łębiach. Cały świat go zapomniał, atoli pamięć jego gorzała jasnym płomieniem w sercu kochanki; — ona przez pół wieku dochowała mu wierność i miłość rzewną. Tak nadzwyczajna ta para kochanków, znów po latach piędziesięciu obchodziła złote wesele swoje. On młody i piękny, jakby w poraniu żywota swojego — lecz zimny, martwy, bez czucia i niemy; — ona zgrzybiała, nachylona ku ziemi, lecz z ciepłem i bijącym sercem, pełna życia, pełna jeszcze gorącej miłości i tkliwego kochania.

Podobnie, drogi przyjacielu mój, jak ten górnik biedny, tak postać idealna będzie niezrozumiałą, martwą, umarłą, gdy się znajdzie w obcym i niestosownym dla siebie świecie. Ideał, poczęty w tajnikach fantazyi mistrza, i z tych świętych głębin wyniesiony w cudzy świat, w cudzy wiek i społeczność obcą, wzbudzi jedynie nieme podziwienie, będzie gościem z innego świata; nikt go nie pojmie, nikt go po imieniu nazwać nie zdoła, nie wzbudzi w nikim współczucia, żadnego serca dźwięk nie

połączy go z tym światem obcym; będzie dla wszystkich umarłym, głuchym i niemym. Jednak dusza mistrza go pozna — on dla niej nie będzie obcym; ona sama wśród ludzi dochowa oblubieńca zarzysy i uświęci kochanie swoje uściśnieniem gorącym, bo on jęj zaślubiony z dawnych lat; ona dochowała mu wierność i miłość rzewną, i wśród obcego świata odprawi z nim złote wesele swoje (*).

Zważ — czyliż dość aby figura poetyczna, aby ideał wystąpił z ducha mistrza pełen piękności? Czyliż nie powinien mieć jeszcze za tło swoje, za grunt żywotny, świat dla siebie stosowny, świat idealny? A czyliż każdy wiek, każdy kraj i społeczność każda jest stosownym otoczeniem i ramą dla ideału? Rozwiązanie pytania tego bez trudności nam się wyświęci, skoro przypomnimy sobie z listu zeszłego istotę ideału. Wszak powiedzieliśmy tam sobie, iż do ideału głównie należy, aby był całością w sobie zupełną i odosobnioną, aby zatem nie był wiązany stosunkami do rzeczywistości, aby nitki zewnętrznego świata nie krępowały swobody jego duchowej. Winien tedy być w takim osadzony świecie, w takim stanie towarzystwa, któryby nie wiązał stosunkami osobistej swobody człowieka, któryby nie krępował zupełnego rozwinięcia indywidualności pojedynczych. — Potrzeba tedy dla ideału taką wynaleźć rzeczywistość otaczającą go w koło, aby był zupełnie niezawisłym, aby cokolwiek czyni, czynił przez siebie, bez wpływu obcego, a nawzajem, żeby na siebie samego

(*) Zdarzenie to już często wierszem i prozą opowiedziane zostało. Fr. Hoffmann na jego tle rozwinął jedną z najpiękniejszych powieści swoich. Leonhard w tomie III. swej Geologii przytacza napis grobowy tego górnika. Ja poszedłem za Schuberthem.

brał skutki swojego postępowania i odpowiedzialność za czyny swoje. Bo gdyby działał nie wedle siebie, ale wedle obcego natchnienia i okoliczności, jużby te czyny jego i skutki ich w części tylko od niego zależały, a on sam byłby tedy jedynie czemś cząstkowem, czemś ułomkowem, a nie jedną całością w sobie skończoną. — Widzisz tedy, iż ten świat tylko będzie poetycznym i stosownem otoczeniem dla ideału, w którym człowiek może ruszać się, żyć, działać i walczyć; i gdy wypadnie, legnąć nawet wedle woli a przekonania swojego. Atoli nie każdy naród ani wiek jest objawieniem takowego stanu.

Oto — weź naprzykład dzisiejszy prozaiczny stan Europy cywilizowanej. Czyliż nawet pomyśleć można, aby mistrz stwarzając figurę pełną poezji, a pełną poezji w myślach, uczuciach i czynach, mógł ją postawić w stanie społecznym, w jakim żyją kraje oświeconej Europy? Czyliż nawet przypuścić można, aby tutaj ktoś mógł postępować zupełnie wedle własnego natchnienia swojego, nie obzierając się w koło siebie i nie mając względu na żadne stosunki z rzeczami i ludźmi, i sam w czynach swych być całością w sobie zamkniętą i odosobnioną od rzeczywistości, w której żyje? — Jest to zgoła niepodobieństwem. Bo zważ, im kraj na silniejszych dźwigniony podwalinach, im ukształcenie ogólne jaśniejszym dniem zalało umysły wszystkie — tém też silniej ustalony ogólny porządek rzeczy, tém też liczniejsze i mocniejsze są węzły łączące ogół i wszystkie indywidua z sobą — cały organizm kraju składa ściśłą całość. Tu nie tylko prawa, ustawy, przepisy, prawidła rządzą, lecz również wielką, a może większą powagę jeszcze mają obyczaj, zwyczaj, zdanie ogólne, formy towarzyskie, a nawet

moda. Tu wszystko, tak najważniejsze życia sprawy, jak rzeczy najdrobniejsze wzięte są w karby, w rubryki wiążące wszystkich nieprzebitą siecią. Tu zacząwszy od najwyższego szczytu towarzyskiego aż do najbiędniejszej chatki, nikt z tych karbów, z tych ustaw, praw, obyczajów, opinii publicznej wyłamać się nie może; każdemu ściśle przepisana droga i sposób postępowania; nie on rzecz prowadzi, ale rzecz jego. Gdyby kto sam chciał pójść własnym torem, a nie pytając się o wyobrażenia przez wszystkich innych przyjęte, zechciał wedle własnego osobistego przekonania postępować, zderzyłby się ze wszystkimi, wystąpiłby w otwartą walkę, w którejby bez zwłoki uległ ze stratą swoją. Wszak formy towarzyskie choćby drobiazgowo, strój nawet, są tak twardo krępującą normą, iż téż nikt nie waży się puścić własną fantazyą, a cóż dopiéro rzec o ważnych życia sprawach; tu wszystko stereotypem się stało, bo nie ludzie, ale prawa, ale przepisy rządzą. Tu wszyscy nawzajem tak ściśle z sobą połączeni, iż nikt ruszyć sobą nie może bez ruszania zarazem wielkiej liczby innych ludzi.

Jakoż w świecie takowym, zwłaszcza w jego życiu towarzyskiem, wszechwładnej potęgi są zewnętrzne formy; formy te nawet równie potrzebne jak wewnętrzna treść, a formy żądają raczej czém nie być, nizeli czém być. Stan taki jest stanem prozy i wbrew przeciwny wszelkiej poezyi, bo węzły rzeczywistości i stosunki z otaczającym światem tak każdego wiążą i krępują, iż ani pomyśleć można, by się z tego świata wyosobnił, i stał się całością w sobie zupełną i ukończoną. Jest to stan rozumowy, bo nie samowolność pojedynczych myśli, ale prawo, ale przekonanie wszystkich ma wagę i znaczenie, i dla tego ma wyższość nad wszelkim stanem poetycznym,

który jest stanem walki wszystkich ze wszystkimi. Uważ, jak w stanie podobnym rozumowym i prozaicznym, jak dzisiejszy stan nasz, małe jest kółko, w którym ludzie pojedynczo wedle woli swojej działać i postępować mogą; jest to bowiem kółko samych spraw li osobiście nas dotykających, do niego téż więc należy miłość, przyjaźń, powaga rodzicielska, przywiązanie małżonków, dzieci, stosunki majątkowe i t. p. Tu mieści się cała ta ona wojna i walka na szpilki tak drobiazgowa, choć niekiedy tak bolesna. Patrz, ów się kłopotci, iż ma syna ladaco, ten ci się zawiódł na kupnie, tamten się zakochał i szczęśliw jak w niebie, że stanął u celu swych życzeń, tu matka biędzi się z dorosłą córką, ów nie może się ognać wierzycielom, na tego spadła bogata successya, tamten znów trapi się, że go awans ominął, lub że mu się zaloty nie poszczęściły, ten tłumi się z ludźmi, ów rozwodzi się z żoną; wszystkie zaś tym podobne sprawy mogą być jedynie treścią dla powieści romansu, komedyi, obrazu obyczajowego; ale epopei, ale, tragedyi lub obrazu historycznego nikt z téj treści nie złoży, i właśnie téż dla tego sama komedya, powieść, romans, żyć i mieścić się może w tym świecie powszedniego życia. Czuł to dobrze Schiller, bo gdy zapragnął w życie towarzystwa już uorganizowanego wprowadzić figurę poetyczną, stworzył tę olbrzymią postać Karola Mohra, i uczynił go zbrojcem. Utwor kolosalny — lecz złamany w sobie na dwoje: bo bierze na się obronę tego, co wielkie jest na świecie i szlachetne, a sam jest złoczyńcą i zbrodniarzem — olbrzym zakrawający na karykaturę. — Ani téż nikt nie zaprzeczy, iż kalabryjskie bandyty i opryszki nasze karpackie, nie uznające ustaw

i praw, i wodzące ze społecznością wojnę, są to zaiste figury pełne poezyi.

Nie ma tedy wątpliwości, iż stan, w którym społeczność ludzka wyrobiła z siebie niezachwiany porządek i ład, w którym wola ogólna i sposób pojmowania wszystkich jest niby ich atmosferą, którą oni oddychają, taki mówię skład społeczności nie jest dla poezyi stosownym. Dla tego mistrz, choć sam będzie członkiem społeczności takowej, sięgnie duszą poza tój szczupłej rzeczywistości szranki, inne stworzy kraje, inne dla siebie światy; a myśli jego i uczucia i ideały, te dzieci geniuszu, choć zrodzone w zimnym świecie prozy, roztałajają skrzydła swoje, i niby ptaków wędrownych stado ulecą przed mrozami rzeczywistości ziemnej, dążą poprzez te jej góry, skały, równiny, do krainy poezyi, do swój ziemi obiecanej, której nie zaznały nigdy, w której zima nie zapada, kędy chłody rozsądkowe nie zawieją, kędy wiecznie się uśmiecha do duszy wiosna, a przewodzi im do rajskich krain mistrza wszechmocne tchnienie.

Jeżeli tedy jasno nam się wykrywa, jaki to stan świata nie jest stosownym tłem dla ideałów, tём samém się już wykazuje, jaki jest istotnie właściwy stan dla nich. Rzecz jawna, iż takowym stanem może być tylko ten, w którym społeczność ludzka niezwiązana i nieustalona ścisłym organizmem, w którym stosunki wzajemne ludzi nie są złożone szczelnie z sobą, a zatém stan taki, który albo *jeszcze* nie uorganizował się mocno w sobie, albo taki, który się *już* zdeorganizował, który się rozstępuje już ze spojów swoich i rozlatuje na części. Tak tutaj, jako i tam, ludzie wyżsi od tłumów poziomych świecą niby Tatrów głowy po nad ciemne doliny; na nich to najpierw zapala się zorza nadcho-

dzącego świtu, na nich najpóźniej gaśnie dzień jasny, i gdy głębie pokryte już mgły namiotem, ich czoła jaśnieją jeszcze purpurą zapadającej przeszłości. Blżej gwiazd, sąsiadują z niebem, ale bliżej też gromów niebiańskich; a gdy ziemia zadrży w swych posiadach, one harde szczyty runą w sobie i przepadną, ogromem swym napełniając otchłanie. Patrz na ostatnie chwile skonania Grecyi lub Rzymu, na owo krwawe pasowanie się, co wyprzedzało upadek Syonu, a masz przykład jawny, jak ciężkiej są wagi ludzie pojedynczy w czasach, gdy się cała przeszłość zapada i w sobie się roztrąca. Takim też stanem rozpadania się społeczności była Francya podczas wywrotów torwarzyskich, przy końcu stulecia zeszłego. Dawne stosunki się rozwiązały, a indywidualności oddane własnej sile swojej, na sobie oparte, i swoje i obce dziwigały losy i mogłyby być treścią stosowną dla tragedyi lub historycznego obrazu. Podobnie też dzieje Polski, poczynając od śmierci ostatniego z Jagiellonów, z tej samej przyczyny są czasem i wiekiem obfitym w poezję i we figury idealne. Rozumie się samo przez się, że w epokach przejścia, gdy stan dawny społeczeństwa się rozkłada a nowe zapatrywanie się na rzeczy jeszcze nie nastąpiło, wtedy ze samej istoty rzeczy wypływa, że zwyczajne charaktery czyli raczej figury bez charakteru, jeszcze bardziej spłowieją i tracą wydatność indywidualną konturów swoich; a ludzie o wyższej, mocniejszej potędze duchowej, nie mając właściwego pola dla siebie, skręcają się w sobie i spaczają się we figury dziwaczne. Taki świat widzimy malowany z talentem znamienitym bardzo w Murdelionie Kaczkowskiego: świat bezbarwny otacza w koło główną figurę spaczoną, będącą koniecznym wpływem czasu swojego.

W samym Murdelionie złamały się dwa światy, więc i on jest figurą złamaną w sobie.

Podobnych przykładów rozstrajającej się społeczności mógłbym ci wiele przytoczyć z historii, przecież stanem równie poetycznym, a może więcej mającym uroku, jest stan społeczności, który się dopiero rodzi, który nie oparł się jeszcze na silnych posadach swoich, w którym cała przyszłość dopiero ziarnem zwinięta. Czyliż tedy dziwno, iż właśnie w chwilach przekipiającej cywilizacji, w epoce wbrew przeciwnej wszelkiemu rozwinięciu się osobistemu, gdy oprócz koniecznych i potrzebnych ustaw, będących warunkiem każdego towarzystwa, wtłoczono na się ciężkie i niewolnicze jarzmo konweniencji, ciężar krępujących uprzedzeń, śmiesznych wymagań, gdy ciało i umysł chodziły w szatach obcistrzych, dusznych, gdy kał plugawy zepsucia znieważył zacność ludzi i zdrowy rozsądek, cóż dziwnego, mówię, iż w takim czasie umysł obrzydliwszy sobie rzeczywistość i tknięty niewypowiedzianą tęsknotą, marzył snem dziecięcia o życiu bez zbytków, bez pragnień i pełnem prostoty, bez zawisłości od tysiąca obmierzłych więzów ściskających niezawisłość osobistą, słowem, iż zamarzył o życiu pasterskiem niby o raju lśniącym wszystkimi barwami wyobraźni, i że tak zrodziły się sielanki? Świat pasterski, świat sielankowy zdawał się być gruntem osobiście nadającym się dla ideałów sztuki. Lecz stan ten niewinności i prostoty jest zarazem ziemią jałową i głuchą: tu niewyrośnie silna i potężna poezja, tu nie wzniosą się czyny ogromne, zajmujące umysł i serce swą potęgą, bo w życiu pasterskiem o zbyt małe rzeczy chodzi. Wszystkie chęci i trudy serca ograniczają się tutaj kilku owieczkami, kozką, a walką na fujarki i piosnki. Naj-

większém nieszczęściem jest stracona krówka i nieczułość lub niewierność jakiej pasterki, a gdy się pasterz bardzo zatnie, to grożąc zaśpiewa: „Niechaj ten napis „niesie wyniosła mogiła: Phyllis sroga Dafnisa zabiła.“ A na tój groźbie się tóż wszystko kończy.

Małe pacholeta zwykły płakać czytając Gesnerową *Śmierć Abła*, i zaiste dobrze jest, że nad tём płaczą; mimo tego przecież trzeba przyznać, iż rzecz ta cała, jak wszystkie sielanki tego rodzaju, jest zupełnie bladą, mdłą i bez koloru. Budowanie chatki, ptaszek umarły, kwiat skonały, i tym podobne drobnostki, za zbyt małej są wagi, by się niemi zajmować; a po zabójstwie samém płaczliwy Adam i sentymentalna Ewa tak są słodkawe, tak mdłe, iż budzą cikliwość a nie podziwienie, bo to są ludzie bez czynu. Inaczéj, lubo nie o wiele doskonałej postąpił sobie znów *Voss*, wprowadzając sielankę w życie już ucywilizowanych Niemiec. Jakoż te obrazy sielskie jego są wbrew w sprzeczności z sobą: bo jego bohaterzy sielanek chodzą sobie w szlafrokach w wielkie kwiaty, palą fajki, piją kawę, i dla scen sielskich wyjeżdżają sobie fiakrem na dzień jeden na wieś. Kto zaś kawę pije, fajkę pali, w szlafroku chodzi i fiakrem jeździ, winien już tём samém koniecznie żyć w społeczności silnie uorganizowanéj, mogącéj dostarczać tych przedmiotów mocą rozwiniętego już i rzeskiego przemysłu: a tu przecież cały cel sielanki na tём właśnie zależy, aby wystawić świat nieuorganizowany jeszcze, społeczność pierwotną, w którój człowiek szczegółowy jest zupełnie niezawisły i sam na sobie się opiera. Poezye tego rodzaju mają sprzeczność w samym zarodzie swoim, a figury ich niby sielskie są tak czcze, tak beztreściwe,

jak one Dafnisy, Tyrsysy, Damony i Phyllidy sielanek zwyczajnych.

Dla tego cześć niechaj będzie *Kazimierzowi Brodzińskiemu!* bo jeżeli słusznie estetycy niemieccy wielbią powieść *Hermann und Dorothea* z tego, iż *Gothe* kreśląc ją na tle ważnych wypadków, wstrząsających całą Europą, bo na tle rewolucyi francuzkiej, podniósł tém samém znaczenie wątku całego tej powieści; my również prawo mamy wielbić Brodzińskiego, iż za dno obrazu rozwiniętego w *Wiesławie* wybrał wielkie wypadki świata, bo wojnę, co rozwinęła sztandary swoje po całym świecie spółczesnym. A tak na całej tej jego powieści tak skromnej, rzewnej i prostoty pełnej, rozlana jest łuna wielkiego zdarzenia, co świeciła nad światem i historią jego. Brodziński w jednym liście nazwał się tylko skromnym dzwonkiem wiejskiego kościołka, mającym tę jedyną zasługę, iż najwcześniej, z pierwszym świtem, przebudził literaturę do porannego nabożeństwa, a który zamilkł, gdy olbrzymie dzwony stolicy odezwały się potężnym głosem rozlegającej się po kraju całym poezyi. Tak Brodziński o sobie mówi, ale te pieśni jego i ta uczciwa o nim pamięć nie zamilknie, a będzie śpiewać i dzwonić w duszy ludzi, póki zacność będzie we czci na świecie. On to był rejem w nowój epoce literatury, a tak zacnie jój zaprzodkował.

A warto téż tu z miłością wspomnieć o starych sielankarzach naszych z 16 i 17 wieku, i od serca im się pokłonić. Ich poezye po większej części są jedynie sielankami z imienia, bo wyższa treść i głębsze znaczenie na dnie ich się ukrywa: czyli roztaczają krwawe ustępy ze spółczesnych dziejów, czyli rozwinają jakąś satyrę łzami pisaną o biedzie społeczeńskiej, czyli się in-

nego dotkną przedmiotu, zawsze znać, iż tam podłoga jest pełne grozy uważanie rzeczy i pojmowanie wyższe niż zwykle w sielankach bywa. Tutaj możeby było miejsce dla rozprawy bliższej o romansach pasterskich, któremi między innymi celował Cervantes. Nie trudnoby nam było wykazać, skąd im się bierze ten dźwięk tak pełen uroku; przecież miliej jeszcze zaiste przyjmiesz, gdy zwrócę uwagę twoją na ów cudny obrazek B. Zaleskiego, w którym maluje nam rodzinę Przenajświętszą; jest to sielanka święta, owiana tchem świeżym, uroczym, jakby wiosenny pacierz natury, a szczegóły wszystkie z taką miłością obrobione, żebyś rzekł, że to dyjamenty świecą oprawne w złoto, gdybyś ich nie wolał porównać do rosy, co z nieba zrodzona spuściła się na kwiaty błyszcząc światłością niebiańską, promieniejąc tęczy barwami. Tak też i W. Pol całym urokiem wysokiego talentu skreślił owe poemaciki małe, co to niby sielanki tak są proste i naiwne i znów tak są rzewne jak pacierz dziecięcia; są to sielanki podobne do onych obrazów mistrzów włoskich, przedstawiających to Najświętszą Pannę z dzieciątkiem Świętym, to rodzinę Świętą. Wśród cudnie pięknej natury, widzisz Pana Jezusa i Śgo Jana bawiących się sobie to kwiatkiem, to ptaszkiem, to igrają z sobą; a w tych igrach i kwiatach taka lubość, taki wdzięk niewinności rozlany po tych malowaniach, żebyś rzekł, że one snem wdzięcznym anioła uspionego w rajskich ogrodach, gdyby znów z oczu Matki Przenajświętszej nie patrzyło przecucie o przeznaczeniu jej dziecięcia, gdyby z oczu samych pacholątek nie promieniła wiekuistość.

A zaprawdę, stan społeczeństwa sielankowy, lubo zostawuje pojedynczym ludziom całą niezawisłość w dzia-

łaniu, lubo nie matwa stosunkami wolnego ich ruchu, przecież ta niezawisłość, ani ten ruch wolny nie prowadzi do rezultatów ważnych, ztąd też poezya taka jest zupełnie ckliwa i mdła. Malarstwo tu snadniej sobie poradzić zdoła, gdyż te figury pasterskie mogą mieć znaczenie obrazu obyczajowego, a nawet owce, kózki i inne zwierzęta należące do ich dworu mogą być przedmiotem mistrzowskiego pędzla, a nadewszystko urok otaczającej w koło natury zamienić może rzecz całą na pejzaż wielkiej wagi i wysokiej wartości; przecież one wartości obrazów historycznych nie osiągną nigdy.

Nie samo atoli życie pasterskie jest stanem niezawisłości osobistej indywiduów, znajdziesz ich wiele jeszcze, byle się historyi i jeografii poradzić. Owoż, ten stan Grecyi dawniej, one czasy jej na poły mitologiczne, zwyczajnie bohaterскими zwane, a któreby nazwał epoką romantyczną świata klassycznego, są to czasy bohaterów Homerowych, tak cudnemi barwami skreślone w Iliadzie i Odyssei. Tu znajdziesz ludzi całkowitych z jednego odlewu, od nikogo niezawisłych: królowie nawet w rzeczach potocznych sami sobie wystarczają, własnoręcznie biją i sprawiają sobie woły i piekają je; każdy sam sobie przyrzędzić zdoła, co mu do życia potrzebne; lecz ten żywot nie na samych tych błahych sprawach im schodzi, bo to nie są głuche łupiny i słodkawe Tyrsyse; są to ludzie czynów wielkich, męże z pełnym sercem a przewaźną głową, niosące jakby na barkach swoich świat, do którego należą, a co który zdziała, zdziała sam przez siebie, nie oglądając się na nikogo wcale. Biorą też całe brzemie odpowiedzialności za czyny swoje na siebie, stawiając życie swoje na szanie. Żadne też względy ich nie wiążą. Ich stosunek np. do

Agamemnona, onego króla królów, pochodzi z ich własnej woli; słuchają go, póki takie ich upodobanie, a gdy im się to nie zdaje, idą za własnym popędem. Atoli czas ten nie tylko jest treścią Homerowych Epopei, jest on téż przedmiotem tragedyi greckiej. Tak Aeschylus jak Sophocles i Eurypides w tym czasie heroicznym osadzali tragedye swoje; jedna tylko tragedia *Persowie* Aeschylusa odbywa się w okresie późniejszym, bo w czasie wyprawy Xerxesa na Greków; ale za to odbywa się w Persyi, w kraju barbarzyńskim, dalekim od współczesnie wzrastającej cywilizacyi greckiej.

Oto i świat chrześcijański ma wieki swoje idealne a pełne poetyczności; są to wieki bohaterskie nowoczesnej Europy, epoki romantyczności, słowem, wieki średnie — rycerskie. Okres ten pełen cudów ułudy, trwał blisko lat tysiąc, a poetyczność jego spoczywa w samej istocie jego. Feudalizm podzielił kraje na drobne dzielnice, a każda dzielnica była całością dla siebie; a kto ją posiadał, był na niej udziałnym, niby królem u siebie, bo lekkim tylko ogniwnem wierności i honoru połączony z lennodawcą swoim; i o tyle mu obowiązany przybyć z chorągwią na posiłek, o ile się to zgadza z honorem; w pewnych razach mógł nawet *guerroyer le roi*. Przy tej nieuległości samego składu państwa, rozwija się najwyższa niezawisłość indywiduów. Rycerz, byleby miał zbroję i konia, jest panem siebie, rzuca się w świat daleki, niczyjéj nie potrzebując pomocy, sam sobie wystarcza: nocował, gdzie go noc zapadła, a w najgorszym razie upolował w borze królika, sprawił, i posypawszy solą zjadł na surowo; a tak posiliwszy się tą *nourriture des héros*, ruszył dalej na obronę sierot, wdów skrzywdzonych, i badał, czyli nie ma gdzie jakiej

cierpiącej niewinności, potrzebującej własnego jego ramienia, a przy podanej sposobności kruszył kopią za niezrównaną piękność damy serca swojego; niczem nie był wiązany, w sobie samym czerpał całą siłę swoją. Dziś takich rycerzy błędnych, chwała Bogu, nam już nie potrzeba, nie mieliby się czego fatygować ku obronie uciśnionej niewinności; dziś jednym błędnym rycerzem jest — żandarm.

Wpatrując się w ten obraz tak bogaty w tych rycerzy i turnieje, pustelniki, i piękne damy, w te wojny krzyżowe, pielgrzymki do ziemi świętej, w te zamki i mosty zwodzone, w tę galanterią i męstwo, w tę wierność i miłość honoru, i w tę wiarę rzewną, widzisz, iż tak wszystko gra, promieni się, migoce, błyszczy barwami, żebyś rzekł, iż duch młodzieńczy świata we śnie jeszcze, drżenie usypiony na łące pełnej poczyi kwiatów, któremi dech poranny powiewa, a młoda Europa marzy o miłości, sławie, bitwach i Bogu. A tak świat ten piękny drzemał, i marzył i śnił, póki go nie zbudził huk broni palnej i silniejszy jeszcze głos myśli wcielonej w drukowane księgi. Gdy bowiem proch i druk, dwojaka broń, bo materyalna jedna, duchowa druga, wystąpiły na jaw, już ród ludzki nagle podrósł, w okamgnieniu spoważniał i spójrzył się w około siebie i w siebie okiem pełnym grozy, przestał być młodzieńcem i poznał, że na niego inne czekają szranki, inne nagrody, że mu wypadnie nie kopija ale duchem na ostre pogonić. Atoli jak oczy umierającego przed samem skonaniem niby gasnąc raz jeszcze migną jasnością, tak też nim ten czas średniowiekowy skonał, nim go historia pochowała w wieczności grobie, raz jeszcze zaświecił potęgą, raz jeszcze w oku swem zebrał błyskawice całej swęj istoty:

temi oczami konającego średniowiekowego świata były sztuki piękne.

Patrz, on czas zapadający się w dziejach spójrzył na nas duchem Leonarda, Dürera, Ariosta, Michała Anioła, Raphaela, Correggia, Camoensa, Tassa, Cervantesa, Shakspeara. Cały ten wieniec gwiazd jaśniał prawie w jednym czasie; wielu z tych mężów znało się nawzajem z sobą, i nawzajem mieli się we czci i uszanowaniu. W nich, jakby w ognisku, zebrały się promienie całego romantycznego świata; stanęli oni na progu dwóch epok dziejowych, a obok nich mężę, jak Kopernik, Baco, Galileus i Kolumb, co należąc już całą duszą do historyi nowoczesnej, roztworzyli szeroko wrota dla nadchodzącego nowego porządku rzeczy, który miał zająć stolicę świata moralnego po zgasłym wieku średnim.

Lecz nie tylko przeszłość nastęrcza nam ziemię zdolną do rozwinięcia całego kwiatu ideałów poetycznych, ale przestrzeń kuli naszej tak przeliczne, tak wielobarwne roztacza nam światy i stosunki, iż zawsze znajdziesz stan, kędy indywidualność pojedyncza ludzi rozwinać się może w swój sile, i być panem własnego losu, i na siebie tylko liczyć, i na sobie tylko polegać a tak stać się treścią dla ideałów. Widzisz, jak tam Cooper prowadzi czytelników swoich do dzikięj i bezludnej puszczy Ameryki północnej, kędy osadnik w walkach ciągłych ze zwierzem, żywiołami i dziczą miejscową, sam sobie wszystko winien, sam wśród rodziny jest jej ojcem, sędzią, wodzem, kapłanem, zdając sprawę tylko sobie samemu i Bogu. Patrz, jak Walter-Skot stawia cię nad zwierciadłem jezior górskich, wśród Klanów szkockich, związanych li tylko stosunkiem dalekiego po-

krwieństwa, a naczelnik Klanów jest ich ojcem, panem niezawisłym. Indziej znów obaczysz powieść morską kołyszącą się w okręcie na falach oceanu; ta cała załoga trzymana wprawdzie pod ścisłym ładem karności, lecz ona, odsadzona daleko od reszty świata, jest jedynie wielogłowym bohaterem; w chwili atoli niebezpieczeństwa każdy w szczególności okazuje, czém jest, co wart, rozpręga się całość rozpryskując się na indywidualności szczegółowe, grające o życie. Czyliż też dziwno, iż na kurhanach ukraińskich jak kwiaty wyrastają powieści? Rozłóg stepowy, niby morze suche, bije bałwanem zielonym kwiecistym swych traw, a wolny jako sokół puszcza się tym stepem kozak. Tu nic go nie ciśnie; gwiazdy i słońce wskazują mu drogę, a ze stepem i trawą, i kwiatami i rosą oddycha te szerokie i otwarte Boże powiewy. Sicz sama jest ledwie słabym zarodem towarzyskich związków; mieszkaniec jej jest u niej gościem, sam na sobie polega i w siebie samego tylko wierzy. Pan Grabowski między innymi wybrał sobie tamte strony w powieściach swoich, a w Stanicy Hulaj-polskiej umieścił nawet scenę, zwyczajnym sobie taktem, na granicy polskiej, rosyjskiej, tureckiej kędy tylko słabym odgłosem dochodzi potęga praw i przepisów towarzyskich, dając tedy jak największą swobodę do bujania swym figurom.

Pocóż nam jednak jeszcze więcej wyliczać tych przykładów? Czyliż cała dzisiejsza Arabia, albo cały Wschód nie jest żywą poezją? Czyliż tylko w Ameryce północnej znajdziesz świat, jak nam maluje Cooper? czyliż go nie spotykamy wszędzie, kędy tylko Europa zetknęła się ze światem pierwotnym, kędy ona postanowiła pierwsze swoje placówki i wydzwigła swój oświaty

samotne strażnice? Czyliż tu nie znajdziesz podścielisk dla wszystkich rodzajów poezji?

Kończąc tedy już tę osnowę, tyle jeszcze powiem, że choć rzecz cała o świecie stosownym dla ideału najbliżej poezją obchodzi, przecież nieobojętny on jest dla rzeźby i malarstwa, a nawet dla muzyki; jeżeli muzyka ma być tłumaczem wewnętrznych uczuć duszy, jeżeli najgłębsza treść człowieka ma się wcielić w harmonią, już też przyznasz, iż piersi człowieka nie powinny być przytłumione światem zewnętrznym i sprawami jego; z całych piersi, z wolnych dopiero tylko piersi wypada jedynie swobodny śpiewu potok. Dla tego też słusznie w operach scena odbywa się po większej części w świecie rycerskim, albo na Wschodzie, albo w sferze czarodziejstwa i uroków nadziemskich, albo w jakimkolwiek bądź położeniu nie ściskającym działania figur. Dla tego rzadko widzimy wielkie opery, którychby scena odbywała się w świecie już uorganizowanym, bo takowy nadaje się nierównie lepiej do małych operetek i wodewillów.

Jeżeli atoli już mistrz zrodzi z siebie ideał, jeżeli mu znajdzie tło właściwe, już też ideał ten winien czynem na jaw wystąpić; bo czynem, bo działaniem tylko, tak człowiek rzeczywisty, jak ideał sztuki, o wewnętrznej swój treści świadectwo daje. Wszak i ideału istotą jest, by działał; wszak tylko dla tego jedynie trzeba mu dobrać świat stosowny, by na nim mógł samego siebie rozwinąć czynem i dziełem. Treść człowieka, zwinięta w głębi duszy, ocknie się tylko, gdy ten świat zewnętrzny uderzy go w samo serce, ugodzi w same

duszy tajniki; wtedy człowiek zerwie się uczuciem, błysnie wolą, i uderzy czynem niby gromem. Widzisz to narzędzie muzyczne, jak nieme, głuche; w niem spi i marzy niemowlęciem harmonia, śpią milczące struny; lecz gdy mistrz, co świadom serca tajników i cudów harmonii, dotknie tych strun, wtedy całe chóry aniołów się zbudzą, napełnią świat niebiańską mową, rzekłbyś, że harmonia nowe zapaliła gwiazdy na niebie, z pączkow dziwnej nowej cudności wywołała kwiaty, że piętrząc obłoki na obłokach, złociste powiewne schody do nieba buduje — rozumiesz, że słyszysz mowę ogromnej rzeki, co z pod Bożego wypływa tronu i zapada w wieczności łono. Tak i struny duchowe w ideale milczą, póki na nich nie zagra ręka mistrza. Nim zaś usłyszemy te tony jego, nim przebudzenie ideału i walkę jego obaczmy, wprzód jeszcze go uważać nam potrzeba w różnych jego postaciach, wyprzedzających tę walkę jego.

Postać idealna, figura poetyczna, postawiona jest tedy wśród świata, który ją otacza; stosunek, w jakim się ona do niego ma, jest jej *sytuacją*; zachowuję tę nazwę, choć nie swojska, otarła się bowiem w języku estetycznym Europy. Owoż ta sytuacja nie zawsze jest walką ze światem, a czasem ideał żadnej jeszcze nie ma sytuacji, bo w żadnym nie zostaje stosunku do świata, lecz zamknięty jest w sobie, w sobie tylko utopiony; świat zewnętrzny nie wywołał jeszcze czynności jego. Jeżeli poezya taki stan, taką sytuacją kreśli, toć ona jest tylko epoką przechodnią, stopniem przygotowawczym. Malarstwo jednak i rzeźba, mogące chwycić jedną chwilę tylko ideału swojego, lubią mu nadawać postać nie mającą jeszcze żadnej sytuacji, nie będącej w żadnym jeszcze stosunku ze światem zewnętrznym.

Rzeźba zwłaszcza kocha się w przedmiotach téj treści, nadając im cały piękności urok. Tu z pod dłuta, z łona jasnego marmuru zradza się postać śpiącego Amora, tam Jowisza głowa lub innych niebian oblicza spojierają na świat czołem i okiem pełném spokojnego majestatu. Tam koło Cezarów, co niby bogowie spójrzaniem mierzą świat, — lub świeci się Wenus medycejska lub kapito-lińska ufna w swą potęgę, Pallas welletryjska, Herkules farnezyjski, Bachus indyjski, Eskulapius, Ganimed, lub inne posągi będące arcydziełem starożytności. A w nowój sztuce widzisz Napoleona, co założywszy ręce z kolumny Vendome duma nad światem, lub Mojżesza i Bachusa, dzieła nieśmiertelnego Buonarotti. A i w sztuce religijnej mamy całe morze przykładów tu należących.

Oto, wstąp do katedr naszych, gdzie cię otoczy mnóstwo nagrobków, pełnych poważnego uroku. Bo gdy kraj powierza kamienną historją swoją i sztuki swój pomniki Boskiej pajży i skrzydłu opiekuńczemu Religii, stwarza chrześcijańskie panteony wielkich ludzi. Któż sobie nie przypomina z lubością kaplicy w Westminsterze londyńskim, nazwaną kaplicą poetów, kędy i Shakespeare w obliczu wieczności duma nad nieśmiertelnością swych dzieł i nad tém, co tu w głębi ziemskiej porusza ducha ludzkiego, i co tam w górze po nad gwiazdami jest stałą, wieczną i niezmienną prawdą. Pomi-jając już inne tumy, dotknę tylko tu naszą katedrę krakowską; — one Piasty i Jagiellony i król Stefan, co legli marmurem na tych grobach, spokojni w sobie, bo rzecz skończyli ze światem zewnętrznym, skwitowali się z historją; znać, że spoczęli wieczorem po robocie żywota swojego, oddech przeszłości i powiew wiary stoi im na straży. Ich już nie dotyka sytuacja!

W malarstwie znajdziesz osobliwie ten stan bez sytuacji w pierwszych okresach sztuki chrześcijańskiej, — zwłaszcza w tym, kilkakrotnie już przeze mnie wspomnianym, stylu bizantyńskim, który podziśdzien w cerkwiach greckich widzujemy. Spójrzyj w oblicze tych świętych, co ciemną twarzą, pełną grozy, otoczoną tłem złocistém, patrząc w świat, nie doczesność lecz pozaświatne państwo widzą i w niém toną. Jakoż i w sztuce świętej późniejszej i najnowszej często bardzo spotykamy obrazy, w których figury nie mają sytuacji, np. Pan Jezus pacholę, Madonna syxtyńska, oblicze Chrystusa przez Holbeina, Annibala Caracciego, i wiele tym podobnych arcydzieł.

Atoli tak grecki jako i chrześcijański świat nie przestał na sztuce i ideałach nie mających sytuacji, bo dotknął się poznania owocu dobrego i złego, opuścił swój niewinności raj, wstępując w walkę z życiem; a tak rozwinięty się sam z siebie, rozwinał także i ideały swoje, nadając im czynność i ruch. Jednak są ludy w dziejach świata, których umysł wiecznie w zarodzie spoczywał, a cała téż ich sztuka niemal wystawia ideały bez sytuacji; bo duch ich jeszcze samego siebie nie uznał, ani położył piętna swój potęgi na świecie. Patrz na dzieje starych Indyów, na ich myśl pierwotną, co jest sercem ich historyi, i na ich sztukę będącą odbiciem wierném téj ich myśli. Oto masz tę myśl główną Indyów, tę myśl ich żywotną zamkniętą w wierze o Wisznu. Wisznu, Bóg Stwórca, drżenie snem złożony na głębokim trzonie oceanu, spoczywając na samém dnie morskiém, lub na wężu wieczności, a z niego wyrasta długa, bardzo długa łodyga, sięgająca aż na sam wierzch wody; na téj łodydze roztula się kwiat *lotos*, co pływa

i unosi się na falach oceanu: póki ten kwiat był pączkiem, póty był światem przed stworzeniem — rozkwitniony, jest światem po stworzeniu; a cztery rozpięte liście jego, są to cztery części świata, niby półwyspy otoczone falą wiecznych wód, a pręciki i miodniki tego kwiatu, są najwyższych gór przyczółka; z nich płyną główne rzeki Ziemi. Liście oderwane od kwiatu, płynące samopas około niego, stanowią wyspy oceanu. Z tego pojmowania rzeczy już poznać można ducha Indów. Nie roztaczam ci przeto już tutaj dalej obrazu, jego, bo już z tego, co powiedziałem, widzisz jak ściśle jest pomięszanie boskich i ludzkich rzeczy; tu zrasta się doczesność i wiekuistość, świat duchowy z fizycznym, bóstwo i świat w ściślejsz z sobą są jedności; bóstwo wciela się w materią, a materia wyzwolona z swych więzów staje się duchem, bóstwem. Tu wiecznie trwa przeradzanie się jestestw w siebie: co było, odradza się w to, co będzie; koniec jest początkiem. Cały świat, tak duchowy jak i cielesny, bóstwo i stworzenie, są tutaj dziejami wiecznego przejścia i przeradzania się rzeczy zmysłowych i duchowych; świat, ze wszystkiém co jest, płynie party bez końca przez przeobrażenia wieczne. Wszechbytność jest wędrownikiem, co idzie drogą przez tysiące, miliony lat, przywdziewając na się różne kształty, to duchów, to rzeczy materialnych; a gdy całą drogę odprawi, poczyna znów od początku, a tak wiecznie i wiecznie koniec jest i początkiem, cała droga jest kołem. To nierozdziergnięcie, ta jedność echem przechodzi w całe życie Indów, w ich sztuki, w ich ideały.

Nie tu jeszcze miejsce, bym się zanurzał w ten świat czarów, i w puszcze indyjskie, będące siedliskiem i teatrem ich epepei, i badał Ramajanę i Mahabaratę,

te dwie olbrzymie ich pieśni; słowem tu w tej poezji człowiek i bóstwo, zwierzę i niebo, gwiazdy i drzewa w ścisłym są z sobą związku. Bohatérem w tych pieśniach jest pokutnik: on umartwieniem siebie dokazuje dziwów, pokutą może podnieść się nad siebie samego, zostać Brahmanem; a pokutując przez lat tysiąc, z kolei dostępuje światowładnej mądrości, później wstrząsa potęgą światy, wzdyma fale rozhukane morza, gasi słońca jasność, rzuca lęk na same bóstwa, słowem włada światem jakby własną osobą swoją; bo ta moc człowieka nad wszechnicą światów zmysłowych i umysłowych jedynie ztąd pochodzić może, iż on z niemi jedną składa całość i ściśle z nią jest złączony. Byleby więc umartwieniem ciała zrzucił z siebie część materyalną istoty swojej, byleby ją starł i zniweczył, wtedy znów wraca do stoku pierwotnego wszechbytności, odłączenie jego od istności, ogólnej, sprawione ciałem jego, ginie, a duch niby kropla wlewa się w ocean wszechduchowy. Tu nie ma więc silnie odznaczonój granicy między ideałem a światem jego zewnętrznym, nie ma tedy i *sytuacji*, a przynajmniej nie ma jój w zwyczajném rozumieniu rzeczy.

A budowania i rzeźby indyjskie? W nich wyraźniej jeszcze niż w poezji pokazuje się ten brak sytuacji; owa zaś jedność człowieka z naturą i bóstwem w całej swój sile występuje. Budowania ich, świątynie, grody postawione bogom, podobne do miast i pałaców, nie dźwigają się na jawie, na jasnym słońcu, bo wykute w głębiach skalnych, w ciemnicach podziemnych, a budowania te olbrzymie bez końca ciągną się długimi ulicami obok siebie, nad sobą, piętrzą się w kruzganki, pałace sparte na całym lesie słupców i kolumn dziwnie

rzeźbionych. Tu wieki całe i miliony ludzi złożyły świadectwo swych trudów, twardej pracy; tu pokolenia całe znoły się robotą i tu zaiste razem z bogami swojemi mieszkały. A to wszystko ukryte w łonie ziemi: bo duch człowieczy z tą matką-ziemią jest w jedności jeszcze i nie wychylił się z jej objęcia. Ich rzeźby i posągi, bóstwa, potwory, w których wzrosło mnóstwo głów, rąk, nóg, postaci ludzkie i zwierzęce, a całość wiąże się i gmatwa w głąb, w nierozdzierzgniony motek. Te rzeźby wyrażają wszech rzeczy jedność mglistą zlaną w sobie; tu nie ma sytuacji.

Ten duch Indów, który, jakby ziarno cichemu łonu ziemi powierzone, spoczywał jeszcze w ciemnościach swój architektury pod ziemią, w Egipcie zateśknił niby ku światłu jasnemu, wyrósł kiełkiem na powierzchnią ziemi, dźwignął się na niej oném budowaniem nadnilowém: architektura Egiptu nie stawia się już pod ziemią ale na ziemi. A dziwne téż jest to budowanie, a dziwniejszy jeszcze ten lud, co pielgrzymką przeszedł tym krajem pełnym tajemnic. Tylko jedna tutaj myśl pokryła nocnym skrzydłem swém i lud ten i kraj: jest to myśl o śmierci, krom niej nic nie ma wagi, a człek w swém dumaniu tonie w otchłani zamroczonej własnej istoty swój, niby w bezdennym grobie. A historia jego jest długą, przeciągłą, jednostajną; wiecznie a wiecznie wybija ona tu jeden i ten sam akkord, a ten ton jednostajny i pełen grozy jest jakby wcielony, jakby skamieniały w te dwoiste szeregi sfinksów, — co w jednostajnych ustępach parami naprzeciw sobie ustawione, zawsze jedne i też same, jakby monotonnym dźwiękiem, prowadzą długą drogą do świątyni, niby do wieczności przybytku. Tu wszystko pokryte śmierci oponą, a napis

na świątynicy Izydy w Sais wiecznie przemawia do przepływających stuleciów: „Ja byłem — jestem — będę, nikt nie podniesie opony mojej, ale Słońce jest moim synem.“ Śmierć jest tutaj osią świata i bytności wszelkiej; — domy doczesne są skromne, biedne, od niechęcenia budowane, bo życie ziemskie jest tylko jedynym noclegiem, przemianą gospodą niezasługującą na uwagę; groby zaś, te śmierci mieszkania, są olbrzymie, stawiane dla wieczności i przetrwały lat tysiące.

W Egipcie starym nie szukaj poezji żywej, ona obróciła się w granitów hart. Hymnu wzniesłego płomień strzelił obeliskiem ku niebu, modlitwa zbudowała się w piramidę obtulającą sobą królów grobowce, a dramat zagrał mową onych budowli tebańskich i lasem ich słupców monolitowych zdziwiających historią; a pieśni tęskni i płacze w tych świątyniach, co od katarakt do Memphis nieprzerwanym szeregiem dumają nad Nileni toczącym poprzez głuche pustynie te fale swoje, niby stulecia uciekające do wieczności łona. Ich epepeją są groby tebańskie wykute w skałach Nubijskiego pasma, owe katakomby i podziemne miasta, co powikłane labiryntem nieskończonych pieczar są śmierci stolicą. Gdy odwiedzisz dziś to ciemne państwo wiecznego milczenia, gdzie jedynym życiem są roje nietoperzów i sów oblatujących pochodnie wędrowca piskliwym krzykiem i ocieżałem skrzydłem — roztworzą się ci zewsząd ulice umarłych: bo od samego dna podłogi, aż do wysokich sklepień ułożone są warstwami trumny, piętrzące się na sobie, a bez końca ciągną się tych trumien ściany; a tak wszędzie i wszędzie towarzyszą ci tysiącami świadkowie śmierci. Stulecia wszystkie starego Egiptu złożyły tutaj zwłoki swoje; tu i ówdzie tylko swawolną ręką

Arabów poderwane spodnie warstwy trumien zwały na ziemię całą ich budowę; cała ściana runęła, rozścielając mumje po podłodze pieczar; gdzie stąpisz, noga zapadnie przebijając się jakby przez próchno, przez stósy ciał, z których kurzawa i miał gruby, ciężki, wznosi się ciemnym kłębem, zatykając tchy i mrocząc światło pochodni. To jest epopeja i życie Egiptu, epopeja śmierci! W tej epopei umarli są bohaterami, a życie całe skurczyło się w brunatną mumią omalowaną hieroglifem, a duch skamieniał w Memnona; tu życie, śmierć, niebo i ziemia, człowiek i bóstwo okryło się zagadką. Życie doczesne jest czczym, martwym snem, z niém nie ma o co walczyć, a bój i pasowanie się z doczesnością jest tu bez wagi. Tu nie ma tedy i sytuacji artystycznej — tu człowiek się rodzi by umarł. Patrz! na wstępie do średniego Egiptu, jakby na straży, zasiadły dwa posągi Memnonów; zarysy ich ciemne czarnym wizerunkiem odrzynają się na wiecznie jasnych nieba błękitach; samotne, nieme milczące. Wtedy tylko, gdy ze świtem pierwszym słońce na nie spojrzy, one zabrzmiają dźwiękiem, niby jękiem długim; jest to głos rodzącego się i umierającego Egiptu: ten jęk jest całą mową jego historyi. A te Memnony i sfinxy, i te bóstwa wszystkie, co pilnują wstępu do tajemnic świątyń, lub zdobią ich ściany, są suche, jałowe; nogi, ręce przyciśnione do siebie, wszędzie formy nie okrągłe, kończyste, postaci wyprostowane, twarde jakby duch ściśniony powiciem. Najdobitniejszym są one tedy przykładem braku stosunku do świata, braku sytuacji. Atoli oblicze i wzrok tych bóstw, Memnonów i sfinxów, patrzy w otchłań wiekuistą nieba, utopiony w gwiazdach; one pomijają ten świat i

tę treść jego biędną, zapominają o rzeczywistości nie istniejącej dla nich.

Podobnej formy, choć barbarzyńskiej, są stare słowiańskie i germańskie bożyszczka, tudzież początek rzeźby i sztuk u wszystkich narodów, jak to widzimy między innymi np. u Greków i Etrusków w pierwotnych ich czasach. Przecież — to ziarno duchowe sztuki, co się w Indjach kryło pod ziemią tuląc się do Natury, a w Egipcie wykuło się bladym kielkiem ku słońcu, w Grecyi dopiero jaśnieje bogatym kwiatem. Tu duch i sztuka usamowolniona, tu zaczyna się sytuacja; bo człowiek, uznawszy siebie, uznał też stosunek swój do świata, i tu ideał zjawia się oswobodzony w sobie, wyzwolony; tu związanie rąk i nóg i sztywność ciała, właściwe Egipcjom, ginie; duch się wzmacnia, ciało nabiera swobody i wolności — słowem, ideały nabierają sytuacji.

Sytuacja zaś nie staje się od razu walką, jest dopiero przejściem do niej, jest to sytuacja pełna jeszcze spokojności w sobie; figury już nie dumają więcej, nie zapadają się już duchem w otchłaniach własnej istoty, ale są oswobodzone i wolne, i zatrudniają się sobą. Stopień ten jest osobliwie dla rzeźby stosowny. Posągi w swęj cichęj a milczącej wielkości spoglądają jakby z Olimpu w ten świat nasz śmiertelny.

Dokładniej atoli niż tłumaczenia wszelkie wyjaśniają ten rodzaj sytuacji przykłady z dzieł sztuki głośnej i powszechnej sławy. Zrozumiesz jednak, iż jak wszędzie, tak i tutaj zastosowanie ogólnych pojęć do przykładów ma swoje trudności; bo gdy teoria rozdziela rzeczy dobitną granicą na klasy, stopnie, i tym podobne odcienia, w rzeczywistości tego silnego odgra-

niczenia nie znajdziesz, bo często spotkasz się z przedmiotami stojącymi właśnie na granicy dwóch różnych dzielnic, przechylając się to w jedną to w drugą stronę; tak też wiele jest dzieł sztuki, gdzie trudnoby przyszło orzec stanowczo, czyli stan ideałów jest już stanem bez sytuacji, czyli też jest już początkiem tej sytuacji spokojnej w sobie, będącej cichym ducha żywotem, a którego czynność nie wypływa jeszcze z rozdzielenia ich ze światem, lecz raczej z własnej jego natury. Duch ideałów tu należących jest kryształową wodą źródła, co cichym ponikiem, począwszy się w sercu szczytów alpejskich, sączy się samotnie wśród kwiatów niedostępnej polany; natura tylko słyszy cichą jego mowę, a niebo samo strzeże jego biegu; a płynie milcząc i w pokoju, nim się strąci urwistym spadkiem w głębie doliny, nim wzmógłszy się potęgą swęj wody grzmiąc i pieniąc się znajdzie się w padołach burzliwego żywota.

Starożytność zostawiła nam najcudniejsze wzory tej sytuacji: Diana myśliwa zdobiąca bytnością swoją Paryż, Apollo lutnista, Amor i Psyche, Amor z łukiem, Apollin i Faun, obaj mieszkańcy trybuny florenckiej, młodzieniec wydobywający drzazgę ze skaleczonej nogi, Faun grający na fujarce, i wiele tym podobnych dziwów świata greckiego; a obok nich śmiało postawić możesz wiele arcydzieł Canovy i Thorwaldsena: wspomnę tylko o ich grupie trzech graczy. Cicha wielkość duchowa, wyrażająca się tą sytuacją w rzeźbie, jest najwyższym urokiem; rzekłbyś, iż duch tych figur śpiewa w głębi swojej pieśń nieśmiertelną, nie dochodzącą zewnętrznego świata — sam sobie jest wieszczem, sam słuchaczem. Gdy w posągach tu należących nie ma tego nadziejskiego duszy spokoju, gdy w tej sytuacji figury okazują

ruchy gwałtowne, nagłe, szamotające się, wtedy graniczą prawie z karykaturą. Tak np. patrząc na onych kolosalnych marszałków, których niedawno jeszcze można było widzieć na moście Ludwika XV. w gestykulacji nagłej, w postaci szumnej i nadętej, powiedziałbyś, iż to truppa złych komedyantów, co nagle skamieniała. Turki, dźwigające w kościele zamkowym trumnę króla Jana i Michała, lub te anioły, dmące wzdętą twarzą w trąbę sławy, są jawnymi świadkami upadku uczucia piękności, który tak u nas jako i w całej Europie się pojawił. W sztuce świętej tu należy np. Pan Jezus, dzieckiem będąc, pieszczący się krzyżem albo bawiący się to kwiatem, to ptaszkiem lub owocami — albo igrający ze Świętym Janem; — Święta familia oblana spokojnością niebiańską, Chrystus zmartwychwstały, Najświętsza Panna wpatrująca się obliczem pełnym miłości i czci Bożej w postać śpiącego Zbawiciela. Podobne przedmioty są niewyczerpane, i byłoby daremną pracą chcieć wyliczyć choćby najdrobniejszą ich część. A lubo sytuacja ta osobiwie sprzyja rzeźbie i malarstwu, jednakże i w poezji okazuje się często pełną cudownego uroku. Taką np. znajdujesz w niektórych miejscach Fausta Goetego. Faust, wszedłszy z Mefistofelesem cichaczem do komnaty Małgorzaty w nieobecności jój. w zachwyceniu powiada:

Tu powiéwa skromnej zaciszy technienie,
I rządu i spokojnej szczęśliwości uczucie!
Wśród ubóstwa tego jakież bogactw skarby!
W tém więzieniu jakież niebiańskie wesele!

(Podnosząc zasłonę łóżka.)

Porywa mnie dziwny roskoszy dreszcz!
Tu stojąc dawałbym godzinami życie moje!

O naturo! Tu lekkim marzeniem sennych obrazów
 Wypiaśtowałaś poczętego w duszy anioła!
 Tu spoczywało lube to dziecko,
 Pieszcząc w piersiach tkliwych ciepłego życia pączki!
 Tutaj pod świętym, czystym oddechem
 Roztuliła się jasnych Niebios postać!

Tak i Julia, nim poznała Romea, jest aniołem, spokojności pełna, potulna bez granic woli matki swojej, rzuca się cała w objęcie jej. Gdy jej matka odkrywa zamysł rodziców, by ją zaślubić Parysowi, i prosi, by mu się przypatrzyła na balu, Julia odpowiada, że się będzie przypatrywała, ale że o tyle tylko o nim sądzić będzie, o ile matka jej na to zezwoli. Poczyta liryczna przemawiająca o wnętrzu duszy, wylęwająca z gorących piersi dzieje tajemnicze uczuć naszych i myśli, najczęściej objawia nam ten stan sytuacji, — tej sytuacji bez walki. Hymny i psalmy zwłaszcza tutaj należą.

Przecież spokojność ta duchowa ulatuje z serca ludzkiego, gdy człowiek, słuchając jedynie własnego natchnienia, zderzy się ze światem i potraci ludzi odmiennych uczuć i woli. Wtedy zdradza się kollizya wdzierająca się w cichą istotę człowieka, a kollizya prowadzi do czynów i walki. W różnych też postaciach i różnych kształtach snują się około nas przyczyny wywołujące kollizya. Naprzód człowiek, ciałem swoim do natury fizycznej należąc, narażony jest na jej działanie. Prawda, że z naturą samą niepodobna jest walka, lecz katastrofy natury mogą się stać przyczyną kollizyi z ludźmi. Tak piękne nam przykłady starożytność nastrocza. Grecy np. wybićrają się pod Troję, ale w Aulidzie brak sprzyjających powiewów wiatrowych zatrzymuje drogę ich floty. Wróżby badane orzekają, iż natura nie będzie sprzyjała ich podróży, póki Iphi-

genia córka Agamemnona nie zostanie poświęconą na ofiarę Dianie. Tak Agamemnon i Iphigenia postawieni są w kollizyi z dobrem i wolą całej floty greckiej. A przyczyny pierwsze téj kollizyi są potęgi natury fizyczne, brak pomyślnego wiatru. Podobnie dzuma, powódź, głód, pożar i inne podobne wypadki przyrodzone stają się przyczyną zderzenia się z ludźmi. Wszelako klęski pochodzące od potęg natury straciły już wagę swoją; gdy Religia zaświeciła łuną Bożą, stały się one nawiedzeniem Opatrzności, wpływając pociechą w serce ludzi. Duch ten i wiara rumianém światłem otaczają postać Hioba i historiją jego, tak cudownie skręśloną w piśmie świętém. „Ogień Boży spadł z nieba, i dobytek jego i majątność w niwecz obrócił; wiatr przypadł z pustyni, uderzył we cztery węgły domu, a dom upadł i zgruchotał dzieci jego; a Hiob powstał, rozdarł płaszcz swój, i upadłszy na ziemię uczynił Panu pokłon. Niebawem choroby zaraziły ciało Hiobowe od stóp aż do wierzchu głowy jego: a tak stał się pośmiewiskiem i poniewierką ludzi najlichszych. Odstąpiły go dawne przyjacioły, a nawet żona jego, i zwróciły przeciw niemu mowę swoją dotykając cierpkimi wyrzutami, i złorzeczyły mu gromiąc, że to grzechy jego ściągnęły gniewy Boże. Lecz Hiob korzy się Panu, wyznawa winę swoją, w końcu téż Bóg przyjął oblicze Hiobowe i błogosławił ostatnim czasom jego więcej niż początkom. A Hiob żył długo i oglądał syny swe, i syny synów swoich, i umarł będąc starym i dni sytym.“

Inaczéj, i wbrew przeciwnie, rzecz się ma w świecie klassycznym pogańskim: tu inny stosunek jest człowieka do bogów swoich a wyraża siebie w swéj całości w Prometheusie Aeschylusa. On tajemnie uniósł za-

zdrościwym bogom ognia płomienie, co zradzają sztuki, umiejętności i wiedze, najwyższe człowieka dobro. A Pan Olimpu w zemście swój i zawiści uderza okropnością swój kary. Prometheus, choć do skały przykuty, harde stawia czoło Jowiszowi, zuchwale wyzywając zemstę króla bogów, sromotą okrywa Hermesa wysłańca jego; a gdy już chwila ostatnia, pełna okropności, nad głową jego się zbiera, Prometheus pełen pogardy, woła:

„Niechaj spada płomieni żar,
I śniegów, uskrzydłych mrozy!
Niech gromów, światem wstrząsających, potęga
Wsze jestestwa pomięsza zamętem!
Ja nie ukorzę méj głowy! — (w. 902).

A tak w ostatniej chwili, gdy cała natura się szaleństwem rozsrożyła, gdy zbuntowane żywioły wirem pełnym grozy oblatują go kołem, gdy ziemia drząc w swych posadach pęka, a tartarus, roztwierając się, chłonie go w swe przepaści, on trwa w potędze niezłamanéj woli, i tak przepada do piekieł: zacny sposób znoszenia krzywd natury.

Jest zaś inny rodzaj kollizyi również z natury pochodzący, lecz nie z natury zewnętrznej otaczającej człowieka, jak raczój z wpływu, jaki z urodzeniem samém na człowieka wywiera. Zważ np. obraz mistrzowski, jaki nam skreślił *Victor Hugo* w *Notre-Dame de Paris*, obraz nowego *Quasimodo*. Natura zrobiła go ohydny potworem i prawie bozrozumnym zwierzem, a tak rozdzieliła go przepaścią nieprzebytą od *Esmeraldy*, przedmiotu miłości jego. W kollizyi tego rodzaju postawiona jest *Rebeka* w *Ivanhoe* *Walter-Skota*: ona, żydówką będąc, kocha się w rycerzu chrześcijańskim. Także miłość bez nadziei jest uczucie *Ophelii* ku *Hamletowi*: ona

dziewica skromnej przyszłości, on następcą tronu; ta różnica urodzenia, mocą ustaw państwa, staje się powodem kollizyi. Lecz godniejsza dla sztuki i człowieka jest kollizya pochodząca nie tak od ślepego władztwa przyrody, jak z własnego czynu człowieka, to jest gdy człowiek własnym i od niego zależącym postępkim stawia się w rozdwojeniu ze światem, gdy tu nie miesza się ślepy traf i przypadek, ale jasna wola i jawny czyn człowieka. Czémże atoli są te czyny? jakieżto są te potęgi, co prą człowieka, by działaniem się zjawił? To jest jeszcze jedno z zapytań ciężkiej wagi, które teraz mi rozwiązać wypada. Chociaż rozbiór mój następny prawie do wszystkich sztuk się nadaje, przecież najbliższe ma zastosowanie w poezyi. Mić tu zwłaszcza tragedya na pamięci; bo jak poezya jest najwyższym szczeblem sztuki, tak znów tragedia jest najwyższym rodzajem poezyi; w tragedyi tedy, w ognisku sztuki, teoria znajduje zupełne i całkowite miejsce swoje.

Słońce, duch opatrny natury, stanęło w ognisku zmysłowego świata i ociepla go i oświeca swym promieniem, i trzyma swą siłą na wodzy, by się nie zapadł w przestworzach bez końca; a koło niego toczą się gwiazd tłummy i ogrzewają się przy tém świetle jego. A promień słońca jest przejrzysty, wiecznie jeden, wiecznie ten sam; gdy atoli spłynie na tę naszą ziemską doczesność, wtedy to traci swoją wiekuistą białość jasną i rozbija się w kolory powlekające rzeczy materialne. Jakoż jestestwa ziemskie mają tylko barwy, a nie stać ich na jasność białą promieni słonecznych, bo barwy nawet świata materialnego nie są w swój czystości, lecz przyćmione doczesnością. Wszak w całym państwie rzeczy materialnych, które widzimy na kuli

ziemskiej, żadna nie ma barwy w swój czystości pierwotnej, wszystko jest skalane, jakby kurzawą rzeczy ziemskich; i rumieniec róży, i zieloność dąbrowy i błękit niebios, noszą na sobie cechę pokalania materyalnego. Gdy zaś jeden z tych jasnych białych promieni weiśnie się w pokój ciemny szczeliną okienicy, niby słowo Boże w doliny ziemskiego żywota, i gdy go uchwycisz słupcem przejrzystym pryzmatu kryształowego, owa jasność biała rozszczepi się na płomyki różnobarwne, i płatami najświetniejszej barwy zaświeci na ciemnej ścianie pokoju, a każdy płomyk zapali się barwą czystą, jasną, przejrzystą, jakiej natura materyalna zaznać nie zdoła. Lecz gdy znów nadstawisz tym różnobarwnym promieniom szkło wypukłe, soczewkę, zbiorą się te wszystkie promienie w jedność, zleją się z sobą, i znów złożą promień biały, znów wróci się jasność wiekuista, co nie zmienia się nigdy i trwa po wszystkie wieki, która sama jest matką jedną i powszechną wszelkiej przemijającej barwy.

Tak, drogi przyjacielu mój, jest jedna prawda ogólna, powszechna, będąca okiem świata, ciągle jedna, wiecznie ta sama: jest to mądrość przedwieczna, co ociepla, oświeca i trzyma świat po przez stolecia i lat tysiące, co, jak planety, wirem ją obiegają, i biorą z niej życie i światło i ciepło swoje. Lecz promień jój jasnej białości nie zjawia się w swój czystości w sercach ludzi. W każdym człowieku, miasto onego jasnego promienia wiekuistej mądrości, świeci tylko jedno przeważające uczucie, mające swoją własną barwę, swoją cechę osobną, różniącą go od innych. Przyjaźń, miłość, honor, przywiązanie rodzeństwo, rodziców, chęć sławy, odwaga, przywiązanie do kraju i t. p. uczucia, są to owe cechy

nadające piętno ludziom, gdy jedna z nich wyłącznie w człowieku górę bierze. Uczucie to przeważające w człowieku jest zaiste prawdą, lecz tylko prawdą szczegółową, ztąd więc w tém niedostateczną i błędną, że jest prawdą przeważającą, że samo jedno siebie za prawdę uważa, że nie przyznaje innym prawdom szczegółowym téj saméj wagi, téj saméj wartości, że tém samém grzeszy *onéj prawdzie ogólnej, powszechnej i wiekuistej*, świecącej ożywcem ciepłem, wieczną jasnością przezystą, która jest źródłem wszelkiej barwy duchowej i ogólnym początkiem wszelkiej szczegółowej prawdy, która je wszystkie zarówno w sobie zawiera. Przecież i te szczegółowe prądwy pojedyncze, rozdzielone w rzeczywistości po sercach i umysłach ludzi nie świecą w nich czystą, niezmaconą barwą, bo są przyćmione pyłem rzeczywistości i zamroczone doczesności tchem (*ob. List IX.*) Gdy atoli ten promień biały, jasny wiekuistej prawdy uchwycisz kryształowym pryzmatem sztuki, już on rozszczepi się na różnobarwne promienie szczegółowych ideałów, figur poetycznych, z których każda świecić będzie jedną o sobną prawdą, niby jedną barwą tęczy, a prawdy te już okażą się w swéj czystości, uwolnione od pyłów ziemskich; proch i óma rzeczywistości z nich spadnie, bo będą wzniesione nad świat doczesny, powszedni. Tak w sztuce, zwłaszcza w tragedyi, prawda jedna wiekuista rozpromienia się na koło ideałów. Jednak mistrz, sztuka, ma za powołanie swoje uzmysłowienie nieskończoności téj prawdy wiekuistej, która zawsze jest jedna, zawsze ta sama (*ob. List VII*). Nia może tedy sztuka piękna poprzestać na prawdach szczegółowych, wyjawiających się w figurach pojedynczych, lecz winna okazać potęgę wiecznie trwałéj

prawdy nieskończonej, i napowrót wrócić jej światłość jasną, białą, bezbarwną, winna ją rehabilitować, winna znów zebrać te promienie różnobarwne swych figur w jedno ognisko, zlać je razem. Tak figury tragiczne, z których każda jest tylko wyobraźnikiem jednej prawdy szczegółowej, ją tylko uznając, stają w kollizyi, występują czynem i walką przeciw sobie, i grzeszą prawdzie, która jest prawdą wszystkich prawd. Dla tego też te figury tragiczne giną i ginąć muszą; śmierć ich jest zagubieniem prawd szczegółowych, zlanie ich niby różnobarwnych promieni w jeden biały wiecznie jasny promień, jest zadość uczynieniem oniej prawdzie wiekuistej i jej krwawą rehabilitacją. Do tej wiecznej prawdy wszystkie prawdy wracają, tak jak z niej wypływają — ona nie ginie nigdy. Tak się dzieje w sztuce, tak w tragedyi świata. Tak pojmowali teorią kollizyi tragicznej wielcy mistrze. Pozwolisz, abym to, powyżej roztoczone pojmowanie wyjaśnił stosując je do jednego z arcydzieł sztuki.

Zgadujesz już, iż wybiorę najwyższego mistrza wszystkich wieków chrześcijańskich — Shakspeara. Z jego tragedyj najstosowniej nadaje się za wzór *Romeo i Julia*, bo już i nie pierwszy raz o niej wspominał, a nadaje się tém więcej, iż to dzieło jego najgłębiej rozbrane zostało przez estetyków, na których już opierać nam się godzi. Nie mogę się wdawać tutaj jeszcze w sam rozkład czynności, w organizm jego wewnętrzny, bo nie tutaj miejsce, bym oznaczył istotę tragedyi; ograniczę się tylko skręśleniem barwy i cechą figur, z których każda jest uzmysłowieniem innej prawdy szczegółowej, i dla tego każda staje w kollizyi ze wszystkiemi. Piastą całej tragedyi jest *miłość*; ona tu posiada wszech-

władną potęgę, ale wyraża się w całej swój wszechmocy sile w *Romeo i Julii*. Choć ona w duszy gorącej i gwałtownej Romea innym świeci promieniem niż w sercu dziewiczym jego kochanki, przecież tak jego jak i ją zarówno niewstrzymaną przewagą prze i porywa do zguby: bo oni oboje wierzą tylko w *miłość*, w prawo własnego serca, ją tylko uznając za prawdę, a wszystkie inne lekce sobie ważąc.

Inna prawda szczegółowa wciela się w ich rodziców, będących głowami dwóch zawistnych sobie domów *Capulettów* i *Monteków*; ci wierzą jedynie w *prawo rodziny*, unoszą się prywatą i nie dbają o całość ojczyzny swjej upadającej pod brzemieniem niezgody wewnętrznej; a w tój waśni wrogich rodzin przepada bez nadziei miłość dwojga kochanków. Kierowany jedynie widokiem podniesienia świetności domu swojego i znaczenia rodziny, *Capulet*, ojciec Julii, przeznaczając ją *Parysowi*, nie pytając się zgoła w tym wyborze serca swjej córki. Sam zaś *Parys*, młody młodzieniec, wysoko siebie ważący, kocha się w Julii, nie pyta jednak czyli uczucia jego znalazły odgłos w jej duszy. Nie o jej przywiązanie się stara, ale wprost do *rodziców* się udaje, w *ich* tylko władzę wierząc; i w tём się myli. Dla tego słusznie uważają za mistrzowstwo Shakspeara, iż *Parys* ginie z ręki *Romeo*, bo ten zaiste rzetelniejsze do niej ma prawo. *Tybalt*, z domu *Capulettów*, jest wcieloną *odwagą* i *ślepy nienawiścią*, kocha bój dla boju samego.

Merkucyo, przyjaciel *Romeo*, filozof, zważający wszystkie rzeczy ziemskie z ich strony *zartobliwój*, *maloznaczącej*, drwi sobie ze świata, ludzi i życia, satyrycznie na świat się patrząc. To stanowisko, jak z jednej strony

jest prawdą i dowodzi że Merkucyo uniósł się nad do-
czesność, tak z drugiej strony jest mylne: życie ma
swoją stronę wielkiej wagi i pełną zgrozy. *Benvolio* i
ojciec *Lorenzo* są pierwiastkiem zgody i rozumu zimnego,
ale słowa ich i starania giną wśród huku rozigranych
fali namiętności; bo tam, gdzie serce jest rokołysane
burzą rozumu, na mowy nie wystarcza.

Jakby na dopełnienie całości Shakspeare stworzył
figurę, jaką jest *mamka Julii*, zapatrująca się na miłość
jedynie ze stanowiska *wylącznie zmysłowego*. Z po-
czątku jej słowa nie są rozumiane przez serce Julii,
dziewicy pełnej niebiańskiej czystości, lecz gdy odgadła
sposób widzenia swjej stariej przyjaciółki, już jej nie ufa,
odwraca się precz od niej z uczuciem obrzydzenia. Po-
dobnie *szłużba* wchodząca do gry, *muzykanci* nie dzielą
nieszczęścia, co gromem na cały dom spada i i. p. są
pełni grubych dowcipów, ironią ciérpką życia, i służą
w rękach naszego wielkiego mistrza za tło, na którém
silniej jeszcze koloryt całej sprawy się maluje. Werona
znów, będąca sceną tych dziejów tragicznych, właśnie
wystawia nam ten świat uznany przez nas powyżej
jako tło właściwe dla figur poetycznych, to jest ów brak
ściśłych stosunków towarzyskich pozwalający swobodne
działanie indywidualności. Stan ten wątkiego porządku
publicznego i *dobra ogółu wstrząsanego roztérkami do-
mów przemożnych* wyobrażone są w osobie *księcia
Werony*. Jest on jedną z najważniejszych figur na-
szej tragedyi. To groźbą, to ustawami, to środkami łą-
godzącemi radby ukoić właśnie dotykające boleśnie dobro
publiczne. Wszakże usiłowania jego są daremne, nie
zdołają uśmierzyć rozigranych niechęci i dumy prywatnej.

Spojrząwszy na te wszystkie figury, na te ideały,

które wchodzą do téj tragedyi, wyznasz zaiste, iż *miłość, związki rodzinne, powaga rodziców, mężtwo, uważanie rzeczy ze stanowiska filozoficznego, zdrowy rozsądek i rozum, zmysłowość, rząd publiczny*, są prawdami pełnemi wagi, lecz każda z nich jest tylko prawdą szczegółową, prawdą pojedynczą, i póty tylko ma znaczenie, póki obok niéj inne prawdy szczegółowe ostać się mogą, bo one wszystkie są tylko rozpojedynczonemi promieniami téj wielkiej a wiekuistéj prawdy, która je wszystkie w sobie zawiera. Jeżeli atoli one staną w kollizyi, a walkę i bój z sobą prowadzą nie uznając siebie nawzajem, wtedy téż one w téj walce giną i przepadają, jako to widzimy w naszéj tragedyi. Romeo, Julia, Parys, Tybalt, Merkucyo, giną, a katastrofa krwawa tak wstrząsa sercem pozostałych, iż się godzą i jedną rzekając się swéj pomyłki: a tak panowanie prawdy wiekuistéj, którój wszyscy ubliżyli, przywrócone, i znów opatrnie świeci nad światem. Wszyscy dotknięci nieszczęściem podają sobie ręce, a ostatnie słowa pełne prawdy najwyższéj wyrzeka *książę*, ów wcielony porządek społeczny. — Nie mówmy, iż w téj tragedyi ślepy traf sprowadził smutną katastrofę i krwawe rozwiązanie, bo w tragedyi i historyi nie ma trafu; co się stać winno, koniecznie się staje; przypadek ma tylko pozorną władzę, jest on tylko widomą przyczyną, lecz w głębi, na dnie wszech rzeczy, mieszkają potęgi co niecofnione piszą wyroki.

Kollizya i czynność pełna tragiczności wyraża się potężnie w malarstwie i rzeźbie. Ktokolwiek zna np. Niobę i dzieci jéj, Porwanie Sabinek, Dwóch Szermierzy, Laokoonu; ktokolwiek zwłaszcza przypatrzył się sali Aegenitów w Glyptotece Monacheńskiéj, przyzna

mi, iż to są wcielone myśli i ideały tragiczków greckich i uczuje iż wśród tych ożywionych marmurów wypadaloby czytać Sophoklesa, by się z nim duchem połączyć.

Jeżeli tedy już zaiste się zgodzisz na takowe zapatrywanie się na rzeczy, jeżeli przyznasz, iż figury poetyczne i ideały są wcielonymi prawdami, lecz prawdami szczegółowemi, i takowe prawdy mają za treść swoją, więc też wątpić już nie będziesz, iż złe samo przez się, złe istniejące dla siebie samego, miejsca mieć nie może w sztukach pięknych. Bo co innego jest, jeżeli figura idealna, porwana przekonaniem wewnętrznym, popełnia zbrodnią gruchocąc i łamiąc wszelkie zawady, a co innego wykonywać zbrodnią dla zbrodni samej.

Te ideały są więc, jakem powiedział, jedynie pojedynczemi promieniami jednej wiekuistej jasności, z której pochodzą i do której znów wracają, lecz złe samo przez się nie pochodzi zaiste od tej prawdy nieskończonej, i dla tego też do niej wrócić nie zdoła. Czyliż z pomieszania cieniów, a cieniów nieczystych, utworzy się jasność? Czyli z dźwięków samych przez się fałszywych złoży się harmonia akkordu? Nie zaprzeczysz iż z tego, cośmy powiedzieli, ideały winny wyrażać jakąś prawdę, a zatem jakiś pierwiatek twierdzący, jakąś bytność uznaną w świecie duchowym. A czémże jest złe, jeżeli nie brakiem czegoś; jest ono czémś głuchym i pustym w sobie; każda zbrodnia ma za nicę swoją cnotę jej odwrotną. Co jest niczym, co jest czczym i pustym, nigdy nie stworzy dzieła w świecie umysłowym. Co jest czcze, nie może być poetycznym, jest to najjałowsza proza. Jakaż piękność wzrośnie i złoży się z tego, co jest w so-

bie już ohydny, szpetny i obrzydliwy? Już nawet sam sposób mówienia oddawna tu orzekł, nazywając czyny niemoralne, złe, czynami szpetnymi, a nawzajem postępowanie szlachetne, zacne, pocziwe, uważane bywa za jednoznaczące z czynami pięknymi. Jakież tedy stworzyć dzieło piękności z figur i osnowy szpetnej i obrzydliwej?

Już ze samego stanowiska, rozwiniętego w tych listach, zwłaszcza z tego, com wyrzekł w liście szóstym, wiesz, że ja bynajmniej nie uważam, jakoby moralność miała być celem sztuki pięknej; bo jak z jednej strony sztuka, uzmysławiając nieskończoność istoty człowieczej, już tem samem uszlachetnia i uzacnia człowieka, tak z drugiej zgadzasz się, iż ona tego uszlachetnienia nie ma za cel swój główny; ona, jakem powiedział, jest bo jest, bo wypływa koniecznie z istoty człowieka. A w końcu zważ, iż moralność a estetyczność inną piędzią mierzą. Słusznie mówi Schiller, iż czyny człowieka nie zawsze są w tym stopniu niemoralne, w jakim są nie estetyczne. Cóż bardziej nie estetycznym, jak kradzież, kłamstwo, oszustwo, a przecież to wszystko w oczach moralności mniejszym jest przewinieniem jak morderstwo. I zabójstwo i zbrodnia pod pewnymi warunkami mogą być, i bywają bardzo często, wprowadzone w sztuki piękne, ale nikczemność, podłość jest wręcz wszelkiej sztuce przeciwna. Dla tego zrozumiesz, iż nam trudno przystać na wiele figur, które Pan Kraszewski w powieściach swoich skreślił — nie wspominam już o autorach innych literatur.

Zarzucisz mi może, iż wielkie imiona jako Dante, Milton, Byron, Goethe wprowadzają szatana w poezye swoje, a szatan jest przecież wyobraźnikiem złego sa-

mego przez się, istniejącego samo dla siebie. Prawda, ale téż u tych mistrzów szatan ma inne wcale znaczenie, jest on ową wewnętrzną pochopnością człowieka do złego, gnieźdzącą się na dnie serca, miotającą niem i porywającą do zguby. Sam Mefistofeles wyraźnie to potwierdza, bo gdy Faust porzuca umiejętność, nauki, wiadomości, będące dla człowieka właściwem polem nabywania wiedzy, a party nienasyconém i pełném pychy pragnieniem wzniesienia się nad tę sferę przeznaczoną dla człowieka, ze szatanem zawiera pakta, Mefistofeles rozbiesiwszy się w sobie powiada o nim: „Pogardzaś sobie umiejętnością i sztuką, najwyższemi nieba darami i najszlachetniejszą człowieka potęgą, — niechaj cię usidli kłamstwa duch czarem swych błyskotek i mamideł — a przepadniesz i djabła będziesz własnością, choćbyś mu się nawet i nie zapisał na własność.“

Lecz wracam już do wątku osnowy mojej. Powiedzieliśmy wyżej, iż każda tedy figura idealna jest wyobraźnikiem jednéj prawdy, która w niej przemieszkuje, całą jęj istotę stanowi i do działania unosi. Rodzi się tedy pytanie, w jakichże kształtach te prawdy i te pobudzające potęgi zjawiają się człowiekowi? Pod jakąż one formą działają na umysł ludzki? — W głębiach zaiste własnych piersi naszych zradzają się te potęgi, co są władcami losu i żywota naszego; ani zaś zgadniesz, czyli to anioł — niemowlę drzemiące na różach, czyli hydra lęgnąca nieszczęścia, śmierć, zbrodnią i zgubę. Nim atoli człowiek zbadał te tajnie własnej swéj istoty, zanim poznał, iż to w nim samym rodzą się potęgi, co go niewstrzymaną siłą osadzają na szczytach chwały lub wtrącają w otchłań ciemną, cóż dziwnego, iż mniemał, jakoby jestestwa nadprzyrodzone wiodły i parły nas do

czynów, że bogowie schodzą z wysokiego Olimpu nagłąć człowieka do działań, którychby bez ich rozkazania nikt nie był dopełnił. W świecie chrześcijańskim bogów Olimpu zastąpiły czarownice, gnomy, rusałki, strachy, upiory i tym podobna gawiedz. Atoli w nowej i najnowszej literaturze widzimy tego przykłady. Lecz łatwo poznać, iż wprowadzanie tych jestestw do sztuk, jako potęg działających, nie ma wiele wartości, jeśli te jestestwa nadprzyrodzone, pobudzające do czynu, będą jestestwami zupełnie obcemi dla ducha człowieka, jeśli zostaną zupełnie zewnętrznemi dla niego potęgami, na które on wpływać nie może i które wcale od nikogo nie zależą; bo już wtedy czyn jego nie jego będzie dziełem, lecz całkowicie, lub przynajmniej w części do onych jestestw należeć będzie; człowiek stanie się tylko ułomkiem, niezdatnym do ideału. W eposie te zjawienia snadniej jeszcze miejsce znaleźć mogą, bo w niej wystawienie jest właśnie zewnętrznem, plastycznem; jest zaś wcale niewłaściwem w tragedyi, bo tu chodzi o to, abyśmy wejrzeni w tajnie ducha bohatera, w jego wnętrze, i z niego zrozumieli postępowanie i czynności jego. Rzecz zupełnie inaczej się ma, jeżeli te bogi, te zjawiska, które nam mistrz jako osobne figury maluje, są istotnie niczém więcej jak potęgi i te prawdy szczegółowe żyjące we własnem sercu człowieka. Każdy zrozumie figurę jaką jest np. Mars, Apollo, Wenus, Amor, Minerwa; wszak to są jedynie pierwiastki własnej duszy naszej, jak to widzimy w Homerze i w wielkich mistrzach starego świata. Bo człowiek bogami zrodzonemi we własnych piersiach napełniał Olimp i stwarzał sobie niebo na jakie go stać było. Niebo i mieszkańcy jego były zwierciadłem własnej duszy czło-

wieka. Tak i w literaturze chrześcijańskiej czarownice są wcielonym głosem serca Makbeta, a cień ojca występuje iście, jakby z grobu, z posepnej myśli Hamleta. Tak Wallenstein pragnąc czeskiej korony widzi w gwiazdach i astrologicznych figurach przeznaczoną mu purpurę.

Któs powiedział, iż są chwile święte, co ciszą głęboką uroczystą pokrywają naturę i serce człowieka; gdy drzewa, skały, kwiaty, wody, liście milczą nieporuszone, gdy muszka nie zaszeleści, łąka nie przemówi, obłoki nawet złote zatrzymują się w swym polocie; wtedy, niby dzieci marzeń i ułudy, z własnych piersi unoszą się gromadami gieniusze, rusałki, świtezianki, co napełniają naturę całą, ziemię i niebo, Lecz myślę, iż silniej jeszcze zradzają się te jestestwa duszy naszej w godzinach wieczornych późnej jesieni, gdy lasy zahuczą niby sejmem duchów natury, gdy drzewa, gdy gałęzie z sobą się swarzą, gdy wicher na niewidomych skrzydłach szaleje po żyjącej naturze pędząc przed sobą słupce liści zdartych, zakręcając je wirem, gdy, wpadłszy do mieszkań ludzi, jęczy, stęka, skarży się i kwili jakby upiorów czereda, gdy mgły gmatwają się w utwory dziwaczne, w olbrzymy płasające po równinach, a księżyc, jakby gnany przestraczem poprzez niebo rozdartych obłoków, to chowa się za chmur szmaty, to niekiedy przez szczeliny, jakby przez okna, na nas spoziéra, i znów się kryje; ba, wtedy sama się powieść złoży, i byle mieć trochę wyobraźni, świat napełni się w koło jestestwami dzikiej fantastyczności i uniesie nas do innych nadrzeczywistych krain. Chwil takowych doświadczał każdy młodzieniec z duszą świeżą i ciepłą; doświadczała ich też literatura cała, póki i ona była mło-

dszą, świeżą i ciepłą. Dość ci wspomnieć o jedena-
stym i dwunastym wieku, gdy świat, jakby ogrody na
wiosnę kwiatami, ustroił się w romanse i powieści cu-
dotworne; a one czasy złote, gdy z duszy Ariosta zro-
dził się Orland szalony, a z myśli potężnej Shakspeara
wyskoczyły dzieła przedziwnych uroków i barwy; jak:
Burza i Sen nocy letniej!

Zawsze atoli te zjawienia i postaci nadprzyrodzone
nabierają dopiero wartości prawdziwej i głębokiego zna-
czenia, jeżeli one wyrażają te uczucia, co w nas żyją
i bez ustanku pracują, bo wtedy jedynie człowiek jest
czynny przez się samego i działa przez siebie. Wszel-
kie zaś powieści fantastyczne, nie mające tej głównej
cechy, muszą być, mimo talentu autora, mimo imagina-
cyi, zawsze czémś czczém, powierzchowném i proza-
iczném: bo cóż już może być więcej prozaiczne, jak po-
słuszeństwo potęgom przyrodzonym i widziadłom, które
lada gdzie, lada komu, lada kiedy, wedle upodobania
autora, zjawiają się i przynoszą rozkazy dla bohatera
powieści, które znów tenże ślepo wykonywa. On sam
jest jedynie ciemnym i bezwolnym narzędziem tych wi-
dziadeł, czyli raczej autora samego. Nic łatwiejszego
jak pisanie podobnych powieści, byleby samopas pu-
ścić imaginacyą, byleby ja rozpoić obrazami rozuzdanej
fantazyi.

Jest atoli jeszcze inna postać działająca na czło-
wieka i wiodąca go do czynu: jest to potęga patety-
czna, jest to ono *pathos* greckie. Nazwa ta również już
przeszła w język estetyczny u innych ludów, dla tego
ją też i my zachowujemy. *Pathos* znaczy co do słowa
cierpienie; w języku Estetyki zaś nie wyraża zupełnie
toż samo co *namiętność*, bo przez *natmiętność* rozu-

Jakoż widzę, że uniosłem się poza przedmiot, nawracam tedy do dalszego wątku. Uważmy, że pathos, ta potęga gorejąca w człowieku, będąca główną sprężyną działania jego, winna, jakem powiedział, być tej natury, aby znalazła odbicie i współczucie w sercach wszystkich. I tak zaiste zawsze się dziać będzie, jeżeli istotnie w sztukę te prawdy szczegółowe, wyżej już obszernej rozebrane, wprowadzone będą, bo one są właśnie takowe, iż obudzą wtorujące dźwięki w sercach wszystkich widzów i słuchaczy. Czyliż prawdy wyobrażone przez figury w tragedyi *Romeo i Julia* nie są z tego rodzaju, iż je wszyscy dzielić będziemy, iż w nich samych siebie ujrzemy?

Z tego tedy już jasno wypływa, iż patetyczność nie powinna wypływać z uczuć, do którychby pewnego już przygotowania naukowego, pewnego ukształcenia rozumowego potrzeba było. Jakoż odkrycie nowe i ważne w chemii, matematyce, w historyi naturalnej, zoologii i t. p. umiejętnościach, może nas wprawić w zachwycenie, można nawet dla niego życie swoje ważyć, lecz nie odbije się w zercach wszystkich ludzi, i zrozumiane tylko będzie przez ludzi z pewnym ukształceniem; nie będzie tedy patetycznym, nie może być tedy wprowadzone do sztuki; bo sztuka jest przemową ducha do duchów wszystkich, jest własnością wszystkich jestestw czujących, i myślących, bez względu na ich naukowość. Mniej jeszcze patycznymi bywają ochoty czcze, skłonności i bezważne i śmieszne; one nawet w komedyi są niestosowne: bo co w sztuce żyje i w ideale się święci, powinno być godne aby też przez innych zrozumianem być mogło. Zachcenia atoli czcze i dziecinne do nikogo nie przemówią.

Tak tedy pathos jest pierwiastkiem działającym

w ideale, we figurze poetycznej; zważ jednak, iż ta patetyczność, ta prawda szczegółowa, która w nim gore, wcielić się winna we formę rzeczywistego człowieka. Mistrz, chcąc wprowadzić tę patetyczność w sztukę, winien sobie stworzyć człowieka, któryby ją sercem i czynami wyznawał, winien wynaleźć w duszy swojej figurę właściwą do wyrażenia tego pathos, słowem, winien stworzyć *charakter*. W charakterze figury idealnej masz tedy dwie strony: naprzód owo ogólne pathos, drugi raz prawdziwego człowieka nadającego temu pathos pewną barwę i cechę. Wszak nie ma patetyczności powszechniejszej jak miłość, ona sama przez się wzięta w ogólności jest zawsze jedna i ta sama, a przecież nabiera różnej cechy, różnej barwy, wedle charakteru ludzi; myriady ludzi już się kochało, a każdy kochał innym sposobem, każdy po swojemu, w każdym ona inaczej się objawiła, wedle charakteru a osobistego piętna jego. Tak istota Najświętszej Panny przez wielkich mistrzów jednako pojmowaną była, a przecież jaka różnica jest w obrazach wielkich mistrzów! wszak Madonny Rafaela, choć jeden w nich żyje duch świętości najczystszej, są różne a różne. Przypominasz sobie np. te głowy, które niekiedy dzieciom do przerysowania dają: jedna ma znaczyć rozpacz, druga gniew, tamta trwogę, i t. d. — te głowy zwyczajnie nie mają charakteru, bo nie są wzięte z rzeczywistych ludzi rozpaczających, gniewających lub trwożących się, lecz są zupełnie abstrakcyjne. We *Flecie czarnoksiężkim* występuje *Noc*, figura sama przez się zupełnie abstrakcyjna, a zatem zupełnie bez charakteru; trzeba było na to Mozarta, aby pokryć muzyką tę czczość figury samej. Widzimy też jak twardo się passuje Klopstock w *Messyadzie* wprowadzając aniołów; bo anioły są czystemi duchami, a jako takie do

siebie podobne, nie mogą mieć tedy same przez się barwy i piętna charakterystycznego, różniącego ich od siebie.

Jeżeli zaś patetyczność żyjąca w człowieku powinna mieć na sobie charakter pewnej barwy, więc też tę cechę właściwą okazać wypadnie; co tylko wtedy się stać będzie mogło, jeżeli okazemy charakter ten w różnym położeniu, w różnym stanowisku, w różnych stosunkach do rzeczy i ludzi. Nie sama tylko ta patetyczność winna na jaw wystąpić, lecz bogactwo, mnóstwo uczuć i myśli, okazujące jakim ten człowiek jest, i jakie jego zachowanie w różnych życia przygodach. — Patrz, Achilles w Iliadzie, ów bohater twardego męstwa i zapamiętałego gniewu, wleczący zabitego Hektora około murów Troi, ma duszę bogatą i szlachetności pełną; pokazuje nam go Homer to jako tkliwego przyjaciela, to znów w chwili gdy ojciec Hektora, stary Pryamus, błaga o ciało zabitego syna, i klękając przed Achillesen zaklina młodzieńca na własnego ojca, i woła płacząc, że tę rękę całuje, co mu zabiła syna, a rycerz Grecki rozrzewniony ze łzami podnosi starca ze ziemi. Albo, aby nie szukać innych przykładów, masz Romea; wszak on, oprócz miłości dla Julii, ma nieprzebraną treść w duszy; bo jest odważny i przywiązany do przyjaciół, i czy w chwili gdy jest tknięty ciężką obrazą przez Tybalta, czyli zraniony słowami Parysa, czyli zachowując się ze czcią dla ojca Lorenzo, czyli też kłując, w każdym położeniu wyjawia charakter swój i nadaje barwę całej swój figurze; a we wszystkich tych stosunkach, tak rozmaitych, zawsze to jest jeden i ten sam człowiek pełen szlachetności. Rzekłbyś, że charaktery takowe zyskują we wielkich katastrofach żywota swojego; burza

co miota falami ich duszy i do dna je porusza, wymiata z głębi jej skarby ukryte i perły drogie.

Takie ideały są charakterami w całym znaczeniu, w nich nie jedno uczucie świeci samotnym płomieniem, ich istota spogląda na nas całym niebem gorejących gwiazd. — Charakterem w największym znaczeniu jest Mohort, jakim go stworzył Pol; Mohort zawsze jeden a ten sam, czyli na dworcu królewskim, czyli na kresach ukraińskich odsadzonych od świata, czyli nakoniec z szablą w ręku, czyli w klasztorze, czyli wtedy, gdy prawi o niegdyś młodej miłości swojej — on zawsze jeden i ten sam. Różne życia koleje, ciemne i jasne losy jego wygrywają jedynie, jakby na strunach, różne tony na sercu jego, ale te tony wszystkie, te akordy i pieśni zestrojone wszystkie do jednego kontra-punktu. Albo wspomnij na postać księcia Radziwiłła, skresloną ręką mistrzowską Rzewuskiego, lub Chodźki — ona zaiste ze śpiżu ulana, z jednej sztuki odlana. I Rzewuski i Chodźko przedstawili nam te figury tak plastycznie, jak posąg marmurowy greckiego mistrza, lecz w tym posągu żyją głębie uczuć, serdeczność gorąca, rodzima i niesfałszowana żadnym obcym tchem: możesz się ugrzać ciepłem tej postaci, odżyć jej życiem; jeżeliś omdlał na sercu, a krew w duszy twojej skrzepła, odmłodniejesz tą postacią. Jest to charakter, na który już nie stać świat obecny. Ta plastyczność klasyczna obok treści bogatej wewnętrznej, prawdziwie romantycznej, jest właśnie zestrojeniem romantycznego i klasycznego świata, jest tedy właśnie cechą najwyższą nowożytniej sztuki, przebywającą w charakterze, jakim jest Mohort, jakim Radziwiłł Chodźki i Rzewuskiego, jaki znajdziesz

tak często w powieściach Kraszewskiego i Korzeniowskiego.

Zebrawszy w krótkości cośmy wyżej rzekli, widzimy, iż jeśli charakter winien być bogaty w sobie, tak również we wszystkich stosunkach życia, w których nam go mistrz rozwija, powinien być jednym i tym samym. Charakter winien być *jednością*, choć różnaitości pełną: co działa, działa z siebie i jawnie; żadne potęgi ciemne, zagadkowe, nie powinny wpływać na niego, winien być w sobie jasny i przejrzysty, a bez długiego wahania się w czynach, bo wszelka nieprawość dowodzi tylko rozdo-wojenia wewnętrznego i braku jedności duchowej.

Tak tedy skończyłem treść przeznaczoną na tę pierwszą wiązkę listów moich; widzę, że mi przedmiot pod ręką urosł i że skreślił prawie wszystkie, choć najogólniejsze zasady *Filozofii sztuki* wedle dzisiejszego jój stanowiska.

Pragnąc dopełnić przyrzeczenia mojego, starałem się o formę mniej ścisłą, mniej surową, jakby może wymagała treść będąca tak ważną gałęzią *filozofii samój*. Wybaczysz mi tedy, iż niekiedy wśród całego wątku wprowadziłem cię na ustronia nie będące wprawdzie wprost w stosunku z *Estetyką*, leżące atoli zawsze jakby na granicy jój osnowy, a udzielające i nowego widoku i chłodu wśród drogi naszej. W tym też celu przywo-odziłem ci dość liczne przykłady, wiedząc, iż za ich pomocą snadniej się porozumiemy. Jeżeliś tedy w polocie dotykał to téj, to owéj epoki historyi sztuki, i jeżeliś wspomniał przy sposobności o różnych jój rodzajach, jako o rzeźbie, architekturze, malarstwie, muzyce, a na-

wet o różnych gałęziach poezyi, np. o tragedyi, lirze, komedyi, sielance, powieści, czyniłem to jedynie, aby przykładami wyjaśnić teoretyczne pojęcia sztuki, w ogólności uważanej, a nie miałem bynajmniej myśli, ani rozebrać ze ścisłością szczegółów wszystkich, ani ci podać systematycznej całości; pragnąłem głównie dotknąć w tych listach, choć powierzchownie, najważniejszych przedmiotów należących do estetyki, wedle dziś przyjętych wyobrażeń w tej umiejętności, aby się tém łatwiej porozumieć z tobą względem ogólnego zapatrywania się na tę umiejętność.

Jakoż wypadałoby mi jeszcze wiele podobnych listów napisać, zwłaszcza radbym w drugim ich szeregu pomówić o fantazyi; boć to ona jest potęgą twórczą, rodzącą dzieła sztuki. Wspomniałem wprawdzie już dotychczas o tej potędze duchowej, lecz jedynie przygodnie, pobieżnie; teraz wypadnie nam o niej pomówić ściślej i obszerniej, a rozbiór jej bliższy, jak myślę, rzuci nam jeszcze silniejsze światło w dziedzinę tajemniczą piękności.

Zrozumiesz, że wyobrażenie choćby powierzchowne o fantazyi już nam wskaże, że tej sile z wielorakich stron przypatrzeć się należy. Lecz zaiste dwa są najgłówniejsze względy, które się nam nasuwają, gdy mamy rozebrać istotę fantazyi. Bo naprzód możemy mieć na baczności fantazyą pojedynczego człowieka, powtóre fantazyą różnego ludu i różnego wieku. Pod względem pierwszym wypadnie nam bliżej rozebrać tę potęgę wszechmożną, niewolącą mistrza do stwarzania dzieł piękności; — pod względem drugim przyjdzie wyświecić, jak to ona, różną będąc w różnych ludach i w różnych stuleciach, wykwita przeróżną sztuką dając świadectwo

o różnym usposobieniu ludów w historii świata. Otoż widzisz, rozwój istoty fantazyi pod tym dwojakim względem będzie osnową następującego szeregu listów. Poczem wypadłoby mi napisać jeszcze trzeci szereg listów, w którymbym roztoczył dokładniej istotę głównych *pięciu rodzajów sztuki*, zwłaszcza wszelkich gałęzi poezyi. Tym trybem będziemy mieli sposobność okazania, jak ogólne te zasady teoretyczne, choć zawsze jedne, zawsze te same, przyodziewają się w ciągu dziejów szatami różnych wieków i ludów i jakim sposobem one się stosują do każdego z osobna rodzaju sztuki.

Spodzielam się że może zamiaru tego dokonać zdołam, lecz tu wszystko głównie od tego zależy, czyli to, com już skreślił, do smaku ci przypadło, i czyli czytając te listy choć w cząstce doznałeś tego zadowolenia, które ja czułem pisząc je do ciebie. Przejrzyj niedostakom, które bez wątpienia często w téj mojej pracy spostrzegłeś, a wierzaj, że ci z całego serca wdzięczny jestem, żeś tak cierpliwie zechciał doczytać się końca i raczył tak życzliwie pójść za wątkiem osnowy całej — *Vale et fave.*

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



TREŚĆ LISTÓW.

ZAWARTYCH W PIERWSZYM TOMIE.

LIST I., str. 5.

Wstęp.

Oznaczenie treści listów, stronica 7. — Stanowisko całej osnowy, 10. — Usprawiedliwienie formy, 11.

LIST II., str. 13.

Ogólny widok na sztukę.

Stan dzisiejszego społeczeństwa do potęg natury, 13. — Zjawiska nam społeczne dowodzące budzącej się miłości do sztuki, 17. — Zasmakowanie w sztukach pięknych jest oznaką uduchownienia się czasu, 23. — Sztuka ma cel swój sama w sobie, 27. — Sztuka jest ogniwem łączącym świat duchowy z cielesnym, 28. — Historia sztuki jest obrazem rozwijania się duchowej potęgi ludzkiego rodu, 29. — W świecie chrześcijańskim sztuka straciła wagę swoją, 34.

LIST III., str. 37.

O prawidłach i ustawach w sztuce.

Rozmaitość pierwiastków duchowych i ich walka, stwarza doskonałość. Różne zdania co do samej drogi prowadzącej do piękności, 39. — Czas głuchy w sobie i bez treści wierzy w same jedynie prawidła, 39. — Prawidła stojące li na wzorach przeszłości. — Tow. Przyjaciół Nauk War. w r. 1812, 44. — Prawidła opierające się na abstrakcyjnym rozumowaniu z pomijaniem wzorów, 46. — Natchnienie, 49.

LIST IV., str. 53.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury.

Panowanie świata materyjalnego nad duchem, 54. — Sztuka nie jest kopiowaniem natury, 56. — Wielkie dzieła natury, 56. — Stosunek rzetelny sztuki do natury, 60. — Dwa pierwiastki konieczne objęte w każdym dziele sztuki, 63. — Różnica między prawdziwymi dziełami sztuki, a dziełem będącym naśladowaniem natury, 64. — Wrażenie, jakie te ostatnie na nas czynią, 66. — Zofiówka, — figury woskowe, udawanie zwierząt. — Wyznanie, iż sztuka ma prawo przebierania w dziełach sztuki, 69. — Natura w swych najwyższych pięknościach jest ukrytą dla sztuki, — Przykłady. — Przestrzeń niebios, 71. — Puszcze pierwotne i ich cuda, 73. — Natura przedpotopowa, 75. — Piękność natury i piękność sztuki, 82. — Lubo sztuka nie może być naśladowaniem natury, przecież poznanie tej natury jest ogromnej wagi dla ducha człowieka, 84.

Od chwili stania się Boga człowiekiem, materya i natura jest jedynie naczyniem duchowém, 88.

LIST V., str. 89.

Stosunek sztuki do zmysłów i do rozumu.

Powołanie zmysłów, 93. — Wzrok i słuch są jedynie zmysłami będącymi w stosunku do sztuki pięknej, 94. — Różnica ich od innych trzech zmysłów, 95. — Przyjemność zmysłów nie jest celem sztuki, 96. — Przeważanie strony zmysłowej w sztuce dowodzi jej poniżenia, 99. — Czas malarzy *Huet* i *Boucher*, 99. — Przecież bez zmysłów potęgi nie byłoby sztuki, 101. — Wielkie znaczenie świata zmysłowego, — Skon, 103. — Czasy poniewierania światem zmysłowym nie są dla sztuki przyjazne, 104. — Pierwsze czasy chrześcijaństwa, 105. — Symboliczność, 107. — W sztuce nie wyraża się pojmowanie rozumowe, 109. — Allegorye — Shakspeare i Leonardo da Vinci — Dzieła sztuki przed sądem zimnego rozumu, 112. — Podział sztuki pięknej na różne jej rodzaje, 114.

LIST VI., str. 127.

Stosunek sztuki do uczuć.

Niezawisłość uczuć od woli naszej, 130. — Uczucia nie mogą być prawidłem sądenia o rzeczach, ani skazówką postępowania naszego, 131. — Nie mogą tedy stanowić prawdy w sądeniu o dziełach sztuki, 136. — Uczucia są właściwym sądem w spra-

wach zupełnie osobistych, 138. — Sztuka nie ma celu wzbudzania uczuć religijnych, ani moralnych, 140. — Uczucie piękności czyli smak nie jest dostatecznym sędzią, ani tworcą dzieł sztuk pięknych, 147. — Pojmowanie piękności przez Platona, 149. — Właściwy okres dla smaku, w znaczeniu zwykłym uważany, 151. — Smak estetyczny — Styl, 153.

Chwile przemagających uczuć są zupełnie przeciwne sztuce, 156. — Uczucia są atoli wyborną treścią dla sztuki, 156. — Indyana Pani Sand, 158. — Stanowisko dzisiejszych romansów francuzkich, 159. — Powołanie rzeczywiste piękności, 166. — Harmonia rozumu i uczuć, 171.

LIST VII., str. 173.

Istota sztuki.

Różne rodzaje piękności, 192.

LIST VIII., str. 201.

Sztuka — Wiara — Filozofia.

Stosunek sztuki do Religii, 202 — do filozofii, 207. — Zwyczajne zdania o filozofii, 208. — Uwłączanie rozumowi jest błuznierstwem, 209. — Zapatrywanie się mylnie na filozofia. — Jaroński i inni, 212. — Rzut oka na treść listów poprzednich, 221. — Badanie początku sztuk jest równie mylną jak niepotrzebną pracą, 227.

LIST IX., str. 233.

O Ideale.

Stosunek rzeczywistości do sztuki, 239. — Przedmioty rzeczywistego świata nie mogą być żywcem przeniesione w świat sztuki, 240. — Istota ideału, 241. — Stosunek ideału do natury fizycznej, 246. — Zkąd pochodzi szpetność pozorna niektórych jestestw natury, 247. — Jestestwa pojedyncze, żyjące — Okolica i pejzaże, 251. — Pomniki historyczne, 254.

Szata i draperya — Figury dramatyczne — Obrazy hollenderskiej szkoły — Adryan Brauwer i Jan Steen, 259. — Stachowicz, 262. — Paweł Kock — Kraszewski — Boz — We wyższej sferze ideału rzeczywistość mniej jeszcze wystarczyć może, 264. — Słowa Rafaela, 268. — Zdanie Cyccrona o Phidiasie, 268. — Bolesć bez granic nie ma miejsca w ideale, 269. — Oedipus w Kolonos Sofoklesa, 270. — Romeo, 271. — Dwa obrazy Girodeta, 273 i t. p. — Zastosowanie rzeczy

tej do komiczności, 275. — Don Quishot. — Damy i Huzary, Poeta i Odludki Fredry, 276. — Trzy sfery ideału, 277.

LIST X., str. 282.

Świat właściwy dla ideału, Sytuacya, Kollizya, Działanie, Pathos — Charakter.

Stan społeczny stosowny do ideału, 284. — Dzieje Polski, 290. — Murdelion Kaczkowskiego — Świat sielankowy — Wiesław Brodzińskiego, 293 i starzy sielankarze polscy, 293. — B. Zaleski, W. Pol. — Czasy bohaterские Grecyi, 295. — Wieki romantyczne, 296. — Cooper — Walter-Skot, 298. — Romanse morskie, powieści ukraińskie, 299.

Działanie ideałów, 300. — Sytuacya, 301. — Panteony chrześcijańskie, 302. — Indyje i Egipt, 303. — Figury ze sytuacyą spokojną, 309. — Przykłady z rzeźby klasycznej i nowoczesnej, 310. — Małgorzata we Fauście, 311. — Julia Shakspeara, 312. — Kollizya, 312. — Powody które wywołują kollizya, 213. — Powody przyrodzone, 314. — Iphigenia, Hiob, Prometheus, Quasimodo, 314. — Rebeka Walter-Skota, Ofelia, 314. — Kollizya wywołana czynem, 315. — Potęgi porywające człowieka do działania — przykład na tragedyi: Romeo i Julia Shakspeara, 315.

Złe, 322. — Powody działania w sztuce, 324. — Pathos, 327. — Miłość, 328. — Charakter, 331. — Achilles — Romeo, 332. — Mohort Pola, Ks. Radziwiłł Rzewuskiego i Chodźki — Kraśzewski i Korzeniowski, 333.

Pożegnanie czytelnika, 334.

Sprostowania.

Stron.	Wiersz.	Zamiast:	Czytaj:
167	21	mierzy	mierzyc.
316	31	rodzeństwo	rodzeństwa.

1000072375

